ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVI. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXIII.

TOM III. — ZESZYT I.

Lipiec.

WARSZAWA.

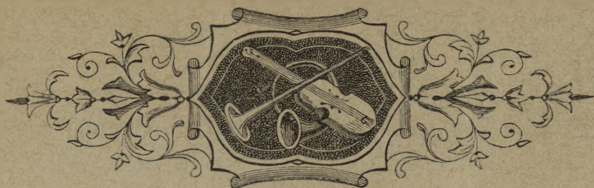
1891.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

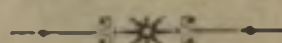
Zeszyt niniejszy zawiera arkuszy 13½.

Druk ukończono dnia 8 lipca 1891 r.



FRYDERYK CHOPIN.

CHARAKTERYSTYKA.



M. Karasowski. Fryderyk Chopin, 2 tomy, Warszawa, 1882. — Fr. Niecks. Friedrich Chopin, aus dem Englischen uebertragen von Dr. W. Langhaus, 2 tomy, Lipsk, 1890.

Dotąd dwu tylko ludzi wydaliśmy, których duchową spuścizną karmi się ludzkość cała, których nazwiska szerzéj są znane na ziemi, niż nasze miano narodowe. Tymi głośnymi przedstawicielami naszego udziału w zbiorowéj pracy duchowéj ludzkości są: Kopernik i Chopin.

Domieszka obcéj krwi u obu, w połączeniu z kosmopolityczną formą (język Rzymian i mowa tonów) i z ogólno-ludzką przeważnie treścią ich dzieł, wreszcie nazwiska pozbawione cechy narodowéj, wszystko to złożyło się na ogołocenie tych postaci wobec świata ze znamion plemiennych.

Czyż mamy prawo wymagać od cudzoziemców rozumienia związku, jaki łączy rozwój umysłowy Kopernika z rozkwitem humanizmu w Polsce, albo kompozycye Chopina z odrodzeniem poezyi między r. 1820 a 1840, jeżeli sami tak mało zrobiliśmy na tém polu, tak słabo stwierdziliśmy łączność krwi i życia duchowego, wiążącą nas z temi postaciami?

Oburzamy się na Niemców za przywłaszczanie Kopernika, ale jeśli przeszukamy nasze biblioteki i inwentarze księgarskie, to przekonamy się, iż wielkie dzieło astronoma polskiego znalazło u nas do końca XVIII w. nie więcéj może nabywców, niż liczyło wydań. Nawet w XIX w., mimo rozbudzonéj przez Śniadeckiego i Staszica czci dla imienia Kopernika, nie znalazł się u nas nikt, coby dla wyświetlenia rozwoju umysłowego i prac naukowych wielkiego uczonego

poświęcił tyle trudów i osiągnął takie rezultaty jak Niemiec Prowe, autor pomnikowéj biografii Kopernika. Rzecz naturalna, że przy takiém duchowém lenistwie i drugi przedstawiciel naszego udziału w życiu duchowém ludzkości—Chopin, nie od rodaków swych doczeka się tego poważnego hołdu, jakim jest pracowite zebranie świadectw o życiu i twórczości wielkiego człowieka i poważny, gruntowny rozbiór jego czynów czy utworów.

Chopin, który zniewolił genialną potęgą swych melodyi świat cały do zachwytu, nie zdołał śród legionów wielbicieli i wielbicielek na ziemi swojéj, pobudzić choć jednéj duszy, do wykonania tego, czego dokazał, przy pokonywaniu daleko większych trudności, chłodny krytyk angielski, Niecks, autor dwutomowéj biografii muzyka polskiego. Zdumiewa i zawstydza nas suma pracy, jaką wyłożył ten poważny i uzdolniony badacz dla zebrania wszystkich świadectw zarówno z ust żyjących jeszcze uczniów i znajomych młodo zmarłego muzyka, jak z listów osób, z któremi łączyły go bliższe stosunki i z porozrzucanych po rozmaitych czasopismach sądów i wzmianek. Samo zapoznanie się z językiem polskim, a przytém z historyą i w części z literaturą polską, przedstawiało dla cudzoziemca trudności, które nie wielu obcych pracowników miałoby odwagę przezwyciężyć.

Niemcy wyprzedzili nas już w przyswojeniu pięknéj pracy Niecks'a. Przekładu dokonał prof. Langhaus, znany z prac na polu historyi muzyki, a samo wydanie zarówno co do wybornéj korekty (zwłaszcza nazwisk polskich), jak druku, papiéru, rycin i okładki, może służyć za wzór staranności i wytworności.

Nim zdobędziemy się choć na porządny przekład angielskiéj biografii Chopina, chciałbym, po świeżém przeczytaniu książki Niecks'a, podzielić się z czytelnikami kilkoma myślami, odnoszącemi się do czynników twórczości Chopina i stosunku jego utworów do życia duchowego epoki.

Krytyka muzyczna u nas ogranicza się na sprawozdaniach z objawów działalności artystycznéj w zakresie wykonawczym — na scenie lub sali koncertowéj. Nieliczne pojawy twórczości kompozytorskiéj bywają oceniane pobieżnie, w śpiesznie pisanych recenzyach z koncertów, na których były wykonywane. Nasze miesięczniki nie mają działu muzycznego, a tak bogata w piśmiennictwie niemieckiém, francuskiém i angielskiém, literatura muzyczna, u nas nie istnieje prawie. Nie dorachowalibyśmy się dziesięciu książek polskich, poświęconych historyi muzyki i krytyce muzycznéj. A jednakże uważamy się za naród wielce muzykalny, a o muzykalności Warszawy wygłaszamy tak pochlebne opinie.

Wobec coraz większego znaczenia, jakiego nabiéra muzyka, jako czynnik cywilizacyjny, piszący te słowa, choć nie muzyk, nie krytyk muzyczny, pragnąłby choćby brakami swéj pracy, pobudzić lepiéj przygotowanych do poważnéj działalności na tém zaniedbaném u nas polu.

I.

Ażeby pozyskać właściwą podstawę dla oceny stanowiska Chopina w muzyce nowoczesnéj, zmuszony jestem przypomnieć znane powszechnie, lecz u nas mało rozpowszechnione pojęcia o stosunku sztuki wogóle, a muzyki w szczególności, do życia duchowego.

W miarę tego, jak umysł człowieka staje się bogatszym w pojęcia objaśniające mu zjawiska przyrody i życia ludzkiego, a skala uczuć rozszerza się i zbogaca, sztuka, jako najwierniejszy, najbliższy i najgłębszy wyraz życia duszy, wytwarza coraz nowe i doskonalsze środki i formy.

Badanie i odtwarzanie pomników sztuki dawniejszéj jest koniecznéｍ zarówno dla artysty, który powinien przebyć niejako w ciągu swych studyów, wszystkie wybitniejsze momenty rozwoju danéj sztuki, jak i dla dyletanta, pragnącego pojmować jéj współczesne objawy. Zatrzymywać rozwój sztuki na pewnym stopniu, uznanym za doskonały, jakto usiłowali i usiłują często jeszcze wielbiciele pewnych epok, pewnych form i stylów — jest to tłumić życie sztuki, odbiérać jéj główną racyę bytu, przerywać związek ze źródłem jéj żywotności, siły, znaczenia i piękności, jakiém jest współczesne życie duchowe, którego winna być czynnikiem i odbiciem zarazem.

Na wspólności źródła opiéra się wewnętrzna łączność i zawisłość wzajemna różnych gałęzi sztuki i rozmaitych form, jakie wytworzyła każda sztuka drogą powolnego rozwoju.

Dla nadania kształtów swoim pojęciom i uczuciom człowiek w najodleglejszéj przeszłości posługiwał się bądź środkami i formami pozwalającemi utrwalić na czas dłuższy dla drugich pewne fakty, pojęcia i uczucia (budownictwo, rzeźba, rysunek), bądź też poprzestawał na momentalném odtwarzaniu stanu duszy: ruchami, mimiką, dźwiękami głosu (taniec, muzyka, poezya).

W miarę pojawiania się w umysłach donioślejszych idei, grupujących koło siebie inne pojęcia, w miarę rozbudzania się i uszlachetniania uczuć pod wpływem wyższych idei, wyosabniają się z pierwotnéj jedności pojedyncze gałęzie sztuki, by przez odbicie, utrwalanie, idealizowanie postępów życia duchowego, rozpowszechniać te zdobycze

w szerszych kołach i przygotowywać dalszy rozwój, który będzie wymagał nowych środków i form tworzenia.

Historya sztuki uczy nas, iż odrębne formy twórczości artystycznéj kolejno pojawiają się i rozkwitają w rozmaitych epokach.

Bogactwo życia duchowego współczesnéj epoki, znalazło swój wyraz w świetnym, równoczesnym rozwoju wszystkich gałęzi sztuki. Jednakże, jeżeli zwrócimy uwagę na to, że zarówno architektura, rzeźba i malarstwo jak poezya, miały w przeszłości chwile świetniejszego daleko rozwoju i gienialniejszych przedstawicieli, to pozostanie nam jedna tylko muzyka, jako najświeższy i najwybitniejszy pojaw duchowego życia ostatnich czasów.

Ton, jako wyraz uczuć, ma nad słowem doniosłą wyższość, jaką mu daje jego uniwersalność, trwałość, podatność do stopniowania pod względem siły i natury brzmienia.

Chcąc uczucia nasze wypowiedzieć słowami, musimy przedstawić warunki i okoliczności, które wywołały naszą radość czy cierpienie, zachwyt czy oburzenie, dla określenia stopnia i natury uczucia, musimy posługiwać się szeregami porównań, obrazów.

Ileż to załamań i przekształceń przejść musi uczucie przy ujmowaniu go w formy pojęciowe i wyrażaniu w postaci słowa pisanego zwłaszcza.

> Myśl z duszy bystro leci, nim się w słowach złamie,
> . . . .
> Ile krwi tylko ludzie widzą w mojéj twarzy
> Tyle tylko z mych uczuć dostrzegą w mych pieśniach —

powiada wielki poeta, który pojmował dobrze stosunek formy słownéj do uczuć przez nią wyrażanych, wiedział jak drobną cząstkę stanów uczuciowych duszy, ujmujemy i odbijamy w formie pojęciowéj.

Usiłowania współczesnéj grupy młodych poetów francuskich (symbolistów), zmierzające do osiągnięcia harmonii między wypowiadanemi uczuciami a ich wyrazową formą, z poświęceniem pojęciowéj treści słów, używanych w charakterze barw, tonów, symbolów, świadczą jedynie o niemożliwości osiągnięcia w formie słownéj tego związku między uczuciem a jego wyrażeniem, jaki stanowi wyłączną cechę muzyki. Im prostsze jest uczucie, im bliższe i mniéj liczne są jego pierwiastki i bodźce, tém łatwiéj je wypowiedzieć. Karpiński mógł w kilku strofkach odtworzyć swe uczucia religijne i miłosne. Goethe, Byron, Mickiewicz dla wypowiedzenia treści duszy Fausta, Manfreda, Konrada, potrzebowali ram obszernych poematów. Mimo to czytelnik poznał głównie pojęciowy proces odbywający się w duszach tych

postaci i tylko z ich usiłowań i czynów więcéj niż ze słownych wynurzeń, mógł odtworzyć we własnéj duszy burze, walki, cierpienia i rozkosze, jakich doznawali twórcy tych poematów.

Cały szereg wielkich wieszczów z pierwszéj połowy naszego stulecia, rozszerzył widnokrąg poezyi, wprowadzając do niéj nowe pojęcia o życiu, naturze, wszechświecie i człowieku, nowe idee społeczne i polityczne, a nadewszystko pogłębione, spotęgowane i w nowych występujące formach uczucia ludzkie.

Na pogłębienie uczuć wywierają doniosły wpływ pojęcia takie jak: ideał, nieskończoność, ludzkość, postęp, które w ostatniém stuleciu dopiéro wysunęły się na pierwszy plan w sferze umysłowéj, gdy jednocześnie rozpowszechniająca się zdolność i skłonność do analizowania własnych pojęć, uczuć, dążeń, doprowadzała do przeświadczenia o naszéj niemocy duchowéj, ograniczoności rozumu, zmienności uczuć, słabości woli, sprzeczności dążeń szarpiących nas w różnych kierunkach i niedopuszczających do osiągnięcia wytkniętych celów.

Gdy więc z jednéj strony otworzyły się dla myśli i uczuć ludzkich rozległe widnokręgi, gdy duch ludzki śmiało wtargnął w bezmiary nieskończoności, z drugiéj taż sama praca myśli obserwującéj i analizującéj ukazała mu, jak drobnemi i słabemi są środki, któremi człowiek rozporządza w dążeniu ku tym wielkim celom, jak, pomimo ujarzmienia sił przyrody, mało posiada władzy nad własnemi popędami i uczuciami.

Pod wpływem nowych idei, które zawładnęły umysłami, znikło to spokojne zadowolenie, jakie towarzyszyło poprzednio uczuciom religijnym, miłosnym, humanitarnym, estetycznym, wraz z pogłębieniem tychże wkradł się do dusz wrażliwszych niepokój, tęsknota, smutek. Pojęcia nieskończoności i ideału, zmienności i słabości naszych uczuć i dążeń, nie pozwalają znaleść zadowolenia w miłości kobiéty, natury, ludzi, nauki, sztuki.

Rzecz naturalna, iż taka rozległa rewolucya w życiu duchowém człowieka, musiała znaleść swe odbicia w sztuce, wywołać wystąpienie nowych form potrzebnych dla ujęcia nowéj treści. Poezya i romans przedstawiły nam analizę pojęciową, rezultaty faktyczne (zmiany w życiu i stosunkach społecznych) tego przekształcenia. Forma pojęciowa i słowna, nie pozwoliła jednak odtworzyć spotęgowanych i skomplikowanych uczuć, ich intensywności, falowania, ścierania się, przechodzenia jednych w drugie. Uczucia te unoszą ducha ludzkiego ku bezpośredniemu związkowi ze sferami ideału, przestworami nieskończoności, do których uniemożliwiła jednocześnie wszelki dostęp

krytyka rozumu, burząca mosty, jakie po nad tą przepaścią pozawieszała religia i filozofia spekulatywna.

Rozwój nauki z jednéj strony zawiódł nadzieje co do oczekiwanego rozwiązania na téj drodze najważniejszych zagadnień życia, z drugiéj zaś odsłonił, uwidocznił, we wszystkich objawach natury, tkwiącą w nich tajemniczość, nieskończoność, nieujętość. W sobie i dokoła siebie człowiek widzi wszędzie tajemnice, których się nie domyślał dawniéj, w zjawiskach, które uważał za proste i jasne, dostrzega nieujęte czynniki, światło, jakiego dostarcza mu wiedza, służy tylko do tém silniejszego uwydatnienia ciemnych bezmiarów nieskończoności, mrówczych kształtów widowni naszego bytu.

Pomimo ostrzeżeń i nawoływań myślicieli, chcących uchronić ludzkość od zawrotu i obłąkań, jakich nabawia zatapianie się myślą w nieskończoności, pociąga ona, w miarę słabnięcia wierzeń religijnych, coraz więcéj dusz spragnionych rozwiązania dręczących je zagadnień, pragnących choćby wizyą lepszego świata pokrzepić się w ciężkich warunkach życia ziemskiego.

Nieskończoność o ile przeraża nasz umysł nie mogący jéj ująć i przeniknąć, o tyle pociąga nasze uczucie, które jéj pragnie, które woła ustami poety:

. . . . ueber Sternenzelt
Muss ein lieber Vater wohnen.

Idea nieskończoności oddziałała na wszystkie uczucia duszy ludzkiéj. Miłość natury, kobiety, ojczyzny, ludzkości, uczucia religijne, uległy pogłębieniu, tracąc zarazem dawniejszą swą prostotę. Odbicie pojęciowe stało się coraz trudniejszém i coraz mniéj wiernémi. Ująć i odtworzyć z całą prawdą nowy stan uczuciowy duszy ludzkiéj mogła jedynie muzyka. Gieniuszem, który współcześnie z Goethem i Byronem, stał się w nowéj, uniwersalnéj mowie tonów, tłómaczem nowych uczuć i dążeń duchowych ludzkości, był Beethoven.

Mozart, to nieporównany mistrz w malowaniu uczuć prostych, jasnych, szczerych, pełnych wdzięku, lecz nie głębokich. W religijnych utworach wzrusza nas swą szczerością, gorącą wiarą i spokojem. Nie szuka on Boga w czarnych bezmiarach nieskończoności, bo go widzi w majestacie z jakim przedstawia się każdemu wierzącemu katolikowi. W arcydziełach Mozarta (opery i *requiem*) muzyka ściśle się wiąże ze słowami, których jest gienialną ilustracyą; u Beethovena w najważniejszych utworach (symfonie, uwertury, kwartety, sonaty) występuje sam dźwięk tylko, bez udziału słowa. W utworach swych wypowiedział on po raz pierwszy takie stany uczuciowe, takie walki,

pragnienia i porywy ducha, jakich w żadnéj innéj formie wyrazićby nie można, z taką bezpośredniością, z takiém uplastycznieniem falowań, drżeń, rzutów i skurczów duszy ludzkiéj.

W chwili, gdy Beethoven odtworzywszy w „dziewiątéj“ symfonii (r. 1824) wielkie a głębokie uczucia, niepokoje i pragnienia, jakie wypełniały jego duszę, ustępuje z widowni, nierozumiany i nieoceniony, jak każdy wielki torownik nowych idei czy kierunków, potrzeba świeżych form na budzące się w duszach ludzkich uczucia, popchnie na pokrewne tory, w zakresie twórczości muzycznéj, dalekiego pochodzeniem i duchem przedstawiciela młodszéj kultury, która w rozwoju sztuki wogóle a muzyki w szczególności bardzo słaby brała udział.

Tym mistrzem, który do gamy stworzonych przez Beethovena form, na wyrażenie nowych stanów uczuciowych duszy, miał wprowadzić pominięte przez mistrza półtony, odpowiadające słabszym, nieokreślonym (bo bez związku z jasno sformułowanemi ideami), lecz tém powszechniejszym uczuciom—był Fryderyk Chopin, urodzony 1 marca 1809 r. w Żelazowéj woli pod Sochaczewem, na skraju puszczy Kampinoskiéj, śród piaszczystych równin mazowieckich zalegających obszar między Bzurą a Wisłą.

II.

Dla wytłómaczenia właściwości duchowych, wielu przedstawicieli pokolenia przychodzącego u nas na świat w pierwszych kilkunastu latach wieku XIX, powołać się możemy na znany powszechnie początkowy ustęp „Spowiedzi dziecięcia wieku“, w którym Musset charakteryzuje współczesne pokolenie francuskie.

Nadmiar różnorodnych, głęboko wstrząsających wrażeń, jakich doznawały matki, wyczerpanie energii i siły woli przez naprężoną działalność ojców, kontrast między wysiłkami i ofiarami a rezultatami, jakie osiągnięto — oto czynniki, którym następne pokolenie zawdzięczało swój przedwczesny rozwój duchowy, nacechowany brakiem równowagi w funkcyach duszy, chorobliwą wrażliwością uczucia, i tą charakterystyczną sprzecznością między gorączką pragnień a słabością woli, rozbujaniem wyobraźni i trzeźwą świadomością, różnostronnością wiedzy i uzdolnień a chwiejnością w pojęciach zasadniczych.

Przyniosłszy na świat, w fizycznych i psychicznych właściwościach swéj organizacyi, wrażliwość wielką na dźwięki i zdolność odtwarzania stanów wewnętrznych, przez odpowiednie kombinacye melodyjne i harmoniczne, w 9-ym roku życia zdumiéwa Chopin swą grą

fortepianową cały świat muzykalny Warszawy. Znawcy zapowiadają w nim nowego Mozarta.

To wczesne powodzenie decyduje o dalszym kierunku edukacyi chłopca; gra fortepianowa i teorya muzyki będzie na pierwszym planie, rozwój umysłowy zejdzie na drugie miejsce. Popisy chłopięce odbywają się wobec wielkopańskiego audytoryum na salonach Czartoryskich, Sapiehów, Radziwiłłów, Skarbków, Lubeckich. Przedstawiony przez ks. Czetwertyńską ks. Łowickiéj, staje się mały artysta częstym gościem w Belwederze; W. ks. Paweł, rówiennik Chopina, wstępuje nieraz wraz ze swym ochmistrzem, hr. de Moriolles, do domu rodziców Fryderyka i zabiéra go na wspólne wycieczki.

W późniejszém życiu, od chwili wyjazdu z Warszawy w listopadzie 1830 r., zostaje artysta nasz bądź jako nauczyciel, czy też jako upragniony gość, w ciągłych stosunkach z arystokracyą polską, francuską, angielską, zarówno rodową, jak pieniężną. Te sfery zapełniają zwykle sale koncertowe w czasie rzadkich bardzo występów publicznych artysty. Rzecz naturalna, iż Chopin, jako wykonawca i kompozytor będzie podlegał wpływowi tego otoczenia i choć nie usiłuje schlebiać jego gustom, choć pójdzie zawsze niemal za głosem swego uczucia i polotem wyobraźni, to przecież w formie swych utworów, w swych stylowych właściwościach, nawet w wybuchach uczucia lub kaprysach wyobraźni, strzedz się będzie pospolitości, szorstkości, realizmu, a pozostanie zawsze eleganckim i wykwintnym, jakim był w życiu: w ubiorze, urządzeniu mieszkania, stosunkach towarzyskich. Brak siły zarówno fizycznéj, jak i duchowéj, nie pozwalając mu porywać mas za przykładem Liszta, zniewalał do wyszukiwania dla subtelnych uczuć własnéj duszy form odpowiednich, wdziękiem, lotnością i wytwornością nacechowanych.

Żywość wyobraźni i niezwykła, dziecięca wrażliwość na uchwycone przez nią szczegóły stanowią wydatną cechę duchowéj organizacyi artysty.

Wyobraźnia jego nie zdolna do obejmowania rozległych widnokręgów, zawiłych sytuacyi, bogatych treścią obrazów, zwraca się — jak u dzieci i kobiét — ku szczegółom, drobiazgom, które odtworzone z całą wyrazistością, pobudzają wrażliwe uczucie i lotną fantazyę.

W związku z tą właściwością wyobraźni, zostaje zdolność do naśladowania cudzych ruchów, mowy, gry, — zdolność, z któréj w chwilach dobrego humoru korzystał Chopin dla zabawienia kółka dobrych przyjaciół.

Żywość, naiwność, instynktowa dobroć młodego chłopca, kobiéca wrażliwość uczucia, pozostaną aż do śmierci cechami chrakterysty-

cznemi wielkiego artysty, który dojrzałość duchową osiągnął jedynie w zakresie twórczości kompozytorskiéj i wykonawczéj. Inne sfery twórczości artystycznéj i działalności umysłowéj, czy polityczno-społecznéj, będą dla Chopina niezrozumiałe i obojętne. Co nie oddziaływało na jego wyobraźnią, co nie mieściło się w szczupłéj, choć złożonéj z mnóstwa subtelnych odcieni skali jego uczuć, czego nie można było wypowiedzieć mową tonów, to nie dostawało się do jego duszy, w któréj funkcya tworzenia i łączenia pojęć ustąpiła pierwszego miejsca czynności przetwarzania odbiéranych wrażeń, doznawanych wzruszeń, na kombinacye tonów. Popędy moralnéj natury, porywy woli, zmierzającéj do czynów, znajdowały zwykle swe urzeczywistnienie w pomysłach muzycznych.

Jakkolwiek nasz muzyk kończy liceum warszawskie, to przecież odbywane jednocześnie studya muzyczne pod kierunkiem Elsnera, odwracają umysł chłopca od szkolnych nauk, a nauczyciele, widząc w nim przyszłego Mozarta polskiego, zachowują się z pobłażliwością wielką wobec małéj zapewne pilności tak głośnego już z talentu ucznia. Ani w listach Chopina, ani w zebranych dotąd świadectwach licznych przyjaciół i uczniów, nie spotykamy nigdzie—prócz wzmianki o „Dziadach“—wiadomości o lekturze artysty, o interesowaniu się jego bądź ojczystą literaturą, któréj przedstawicieli znał dobrze zarówno w Warszawie (Niemcewicz, Brodziński, Goszczyński, Zaleski, Witwicki), jak w Paryżu (Mickiewicz), — bądź życiem umysłowém francuskiém, w ognisku którego przebywał i z którego przedstawicielami spotykał się niejednokrotnie w salonach paryskich. Pomimo ścisłych stosunków, jakie łączyły go z George Sand, nie czytywał jéj prac, spoczywających zwykle na biurku artysty z nierozciętemi kartami [1]. Gdy dusza jego potrzebowała poważnego pokarmu, szukał go w studyowaniu fug Bacha, którego utwory hartowały niejako delikatną organizacyą Chopina, były dla niego biblią i filozofią zarazem.

III.

Czy pomysł zużytkowania dla celów artystycznych, form ludowych pieśni i tańców, można przypisać wpływowi na Chopina po-

---

[1]) Z tego, co opowiada Karasowski o odczytywaniu choremu artyście w ostatnich tygodniach życia ustępów z „Dykcyonarza filozoficznego“ Woltera, znajdującego się w bibliotece Chopina, trudno wyprowadzać wnioski o jego upodobaniach literackich. W wytwornie urządzonym apartamencie artysty szafa biblioteczna z pięknie oprawnemi książkami była koniecznym meblem.

dobnego a współczesnego zwrotu w poezyi polskiéj, jest rzeczą bardzo wątpliwą. Współczesność obu zjawisk wskazuje raczéj na wspólność źródła, na tożsamość wywołujących je bodźców i warunków.

Polska liryka zdawna już — od „Pieśni świętojańskiéj o Sobótce“ — nosi cechy wpływu pieśni ludowéj, rytmu melodyi ludowéj. Główny przedstawiciel liryki polskiéj w gronie poetów epoki stanisławowskiéj, Karpiński, wprowadza do poezyi niejednokrotnie („Pieśń dziada sokalskiego“, „Duma Ludgardy“, „Mazurek“) formę, ton i rytm ludowego śpiewu. Toż samo spotykamy u Kniaźnina. Niemcewicz pierwsze swe „dumy“ historyczne ogłasza w r. 1794. Jednocześnie Stefani (włoch z pochodzenia) w muzyce do „Krakowiaków i górali“ (1794 r.), zużytkował bardzo szczęśliwie i z wyborném zrozumieniem ducha muzyki polskiéj i pieśni ludowe („Krakowiaki“ głównie). Choć opera sama wkrótce zeszła ze sceny, to muzyka Stefaniego zastosowana do baletu „Wesele w Ojcowie“ rozbrzmiewała przeszło 1,000 razy na scenie warszawskiéj. Polonezy Ogińskiego wyrobiły prawo obywatelstwa w państwie muzyki dla formy polskiego tańca. Do ponownie obrobionych „Krakowiaków i górali“ pod tytułem „Nowe krakowiaki“ („Zabobon“), pisze muzykę Kurpiński (rok 1816), który posługuje się bardzo udatnie formami ludowych i narodowych melodyi. Toż samo czyni Elsner, malując uczucia ludu krakowskiego w swoim „Łokietku“ (1818 r.). Podczas jednak, gdy poezya nowa („Krakowiaki“ Brodzińskiego, dumki Zaleskiego) przedstawiała artystyczne przekształcenie form ludowych, to w muzyce (zarówno u Stefaniego, jak Kurpińskiego) zachowują one daleko więcéj pierwotnéj prostoty i surowości.

Przy niezmiernéj wrażliwości Chopina na dźwięki, a obojętności dla pojęciowych bodźców, trzeba wpływom muzyki ówczesnéj, a nadewszystko wpływom saméj pieśni ludowéj, w czasie wakacyi spędzanych w Szafarni (dawna ziemia dobrzyńska, dziś pow. rypiński) przypisać ten ścisły związek, jaki się ustali między stanami uczuciowemi duszy młodego muzyka, a formami ludowéj i narodowéj pieśni.

W pierwszych utworach młody artysta nie umié jeszcze nagiąć nowéj formy do wyrażenia polotu własnéj fantazyi, nie umié pożyczonego pomysłu melodyjnego uszlachetnić, pogłębić. Jest on tylko świetnym wirtuozem, oplatającym bogatemi arabeskami melodye ludowe, lub pomysły innych kompozytorów (Mozart, Kurpiński, Herold).

Rzecz naturalna, iż kompozytor zostawać będzie pod wpływem ulubionych mu mistrzów współczesnych muzyki fortepianowéj, jak: Hummel, Moscheles, Weber, Field.

Pierwszém z uczuć, które nacechuje początkowe utwory Chopina znamieniem oryginalności, jest młodzieńcze zadowolenie ze siebie i życia, poczucie swych zdolności i niecierpliwe oczekiwanie coraz szerszéj sławy, coraz świetniejszéj działalności artystycznéj. Formy krakowiaka i poloneza nadawały się wybornie dla wypowiedzenia tonami tych stanów duchowych. „Alboż my to jacy tacy“ powtarzał sobie w duszy młody artysta, oczekując z całą pewnością młodzieńczą świetnéj przyszłości.

Chwilami jednak ten stan radosnego upojenia, poczucie siły i pragnienie działania przechodzi w melancholiczną zadumę. W słabym, wrażliwym wielce organizmie młodzieńca (w 16-ym roku życia odbywa z rady lekarzy kuracyą serwatkową w Reinerz), pobudzalność nerwów, podniecana jeszcze przez ciągłe studya muzyczne, wywoływała nagłe przejścia od wesołości do zadumy, od zapału gorączkowego, optymistycznego upojenia do zniechęcenia, niepokoju, bojaźni, bezprzyczynowego smutku. I tu forma budowa pieśni mazowieckiéj, motyw pastuszéj fujarki, smutny, przeciągły, odpowiadały stanowi duszy artysty, w któréj z temi tonami łączyły się błogie wspomnienia chwil wakacyjnych. Niedość znane i cenione prześliczne „*Rondeau à la mazur*“ (op. 5, poświęcone hrabiance de Moriolles, córce wspomnianego już mentora W. Ks. Pawła), przypominające muzykę Bizeta do „Arlezyanki“, tudzież Trio G-moll, poświęcone ks. Radziwiłłowi, są odbiciem tego drugiego momentu uczuciowego życia artysty.

O wczesném rozwinięciu się uczuć w duszy młodego wirtuoza, świadczy zarówno temat pierwszego ronda, jak ustęp z listu do Tytusa Wojciechowskiego (w dziele Karasowskiego, t. I, 32), stwierdzający świadome dążenie do odczucia i odtwarzania cech polskiéj muzyki. Uczucie to zamknięte, jak i inne, w głębiach duszy artysty, nie osłabnie do śmierci, mimo 20-letniego pobytu za granicą i obracania się w kosmopolitycznych kołach paryskiego świata arystokratycznego i artystycznego. Mimo żywych sympatyi, jakie pozyskuje u obcych, grono przyjaciół wytwarza z samych rodaków (Wojciechowski, dr. Matuszyński, Grzymała), mimo ciągłego posługiwania się w życiu codziennem językiem francuskim, korespondencyą z rodziną i przyjaciołmi prowadzi zawsze po polsku.

IV.

Twórczość Chopina staje się samoistną pod wpływem nowego czynnika, który podnieci i pogłębi życie uczuciowe i działalności fantazyi. Czynnikiem tym jest miłość, jaką 20-letni młodzieniec zapło-

nął dla współuczennicy z konserwatoryum warszawskiego, śpiewaczki Konstancyi Gładkowskiéj. W miłości téj—rozwija się ona w początkach r. 1829 — większą odgrywa rolę wyobraźnia niż serce, nerwy niż krew.

Słabość woli, mająca swą fizyczną podstawę w wątłości organizmu, w przewadze i wrażliwości nadmiernéj systemu nerwowego — duchową zaś w braku umysłowych bodźców i kierowników, jakiemi są głębsze pojęcia o życiu — nie pozwalała mu zdobyć się na stanowczą decyzyę. Uczucia swe powierzał fortepianowi. W liście do Tytusa Wojciechowskiego (3 paźdz. 1829 r.) pisze: „Ja już może na moje nieszczęście mam swój ideał, któremu, wiecznie nie mówiąc z nim, już pół roku służę, który mi się śni po nocach, na którego pamiątkę skomponowałem *adagio* do mojego koncertu, który mi inspirował tego walca dziś rano, co ci posyłam.“ W innym liście określa samo uczucie, jakie odbiło się w owém *adagio.* „Charakter jego romansowy, spokojny, melancholiczny; powinno czynić wrażenie miłego spojrzenia w miejsce, gdzie stawą tysiąc lubych przypomnień na myśli. Jest-to jakieś dumanie podczas pięknéj wiosennéj nocy, oświetlonéj księżycem... Tak to pomimo woli przez oczy wlazło mi coś, do serca i ciśnie, chociaż się tém lubuję i pieszczę...“ Udział w koncercie pożegnalnym Chopina (śpiéwa aryę z opery *„Donna del logo“)* i wstążeczka dana przy jakiéjś okazyi, oto jedyne odwzajemnienie uczuć ze strony „ideału“, który wychodzi za mąż w dwa lata późniéj i porzuca sztukę i scenę. I w duszy artysty miłość dla panny Konstancyi miała potężne rywalki w sztuce i sławie, które pobudzały zakochanego do wyjazdu z Warszawy, dla rozwinięcia zasobów młodzieńczego geniuszu w wielkich ogniskach umysłowych i artystycznych. W tym samym liście (z 22-go września 1830 r.), w którym opisuje Chopin swemu przyjacielowi, jak „uderzony jednem niespodzianém ideału spojrzeniem w kościele, w chwili jakiegoś lubego odrętwienia“ wybiegł na ulicę i przez kwadrans nie mógł przyjść do przytomności, powiada daléj, wspominając o bliskim wyjeździe z Warszawy na długi czas: „Nuty w tłomok, wstążeczka na sercu, dusza na ramieniu i w dyliżans.“

Zrodzona z wiosną r. 1829, miłość nie dotrwa wiosny r. 1831-go. Wywołane przez ten czynnik podniecenie władz duszy, uzdolni artystę do rozwinięcia twórczéj działalności w najszerszéj z form fortepianowych kompozycyi, w formie koncertu, w któréj główny instrument wsparty na orkiestrze, rozwija zwykle szerokie pomysły symfonicznego pokroju. Forma koncertu wymaga zespolenia uzdolnień wirtuoza z twórczością artysty, świadomego swych celów i środków, panującego nad gorączką uczuć i polotem fantazyi. Potrzeba tu uprzedmiotowić

dramat ścierających się w duszy ludzkiéj popędów, scharakteryzować właściwemi środkami naturę tych popędów i główne momenta w zmiennéj, a ciągłéj grze uczuć, stanowiącéj niewyczerpane źródło pomysłów muzycznych. Działalność myśli, wybierającéj i porządkującéj logicznie i artystycznie pojedyńcze momenty odtwarzanéj tonami akcyi czynników duchowych, jest tu nieunikniona. Otóż Chopin w całéj swéj twórczości, jest tylko lirykiem, zdolnym co najwyżéj przeplatać swe uczuciowe wylewy drobnemi, ale potężnemi nieraz zarysami przedmiotów lub pobudek wypowiadanego uczucia. Stąd to forma ballady nada się dla twórczości Chopina, podczas gdy jego sonety i koncerty są właściwie „*suitami*“, połączeniem różnéj wartości ustępów nie powiązanych organicznie. W poezyi już sama forma pojęciowa wymaga uświadomienia, uprzedmiotowienia uczuć przy ich wypowiadaniu, w muzyce możliwém jest bezpośrednie przelanie stanów uczuciowych w formy melodyjne, czy kombinacye harmoniczne. W ten sposób odtwarzać się dają tylko pojedyńcze momenty uczuciowe, któremi tak bogato uposażył Chopin oba swe koncerty: F-moll (z r. 1829) i E-moll (z r. 1830). Trafnie się wyraża Niecks o układzie tych kompozycyi (stosuje się to i do sonat), że przesłanki są w nich wyborne, argumentacya słaba, a konkluzyi zwykle brakuje. Muzyk rostacza przed słuchaczem całe bogactwo uczuciowych stanów swéj duszy, ale nie mając świadomości tych stanów i odpowiedniéj energii, nie umié nad nimi zapanować ani w duszy własnéj, ani w utworach. Fale uczuciowe coraz to inne, biegną i—to brzmieją, wrąc namiętnością, radością, zapałem, to rozpływają się w cichą skargę lub szept miłosny, lecz gdzie dążą, co sprowadza w nich te zmiany, czém się kończy ich gra nieustanna, tego się nie dowiadujemy od muzyka, bo i on sam nigdy tego nie wié.

Formy nokturnu i walca nadają się za to wybornie do odtwarzania fal uczuciowych, tworzących się pod wpływem „majaków“ naszéj wyobraźni i rozpływających się wraz z niemi w mglistych bezmiarach.

Pierwszy nokturn Chopina powstał w r. 1827-ym; pierwsze walce, jako wyraz miłosnego zawrotu w r. 1829. Z tegoż roku pochodzi téż pierwszy marsz żałobny (C-moll, op. 72 b), nacechowany pełną wdzięku melancholią. Najswobodniejszą, a zarazem najdogodniejszą formą dla odtworzenia zmiennych stanów uczuciowych artysty była forma „etiudu.“ Jak Kochanowski we „Fraszkach“ zostawił odbicie rozmaitych momentów uczuciowych swego życia, bez podania klucza do rozwikłania tajemnicą okrytych faktów, które wywołały te stany duszy, tak Chopin w swych etiudach i preludyach odtwarza

przelotne porywy, wybuchy, wzruszenia, zadumy, cechujące jego życie duchowe. Pierwszy zbiór etiudów powstał w latach od 1829-go do 1831-go.

V.

Wyjazd za granicę w listopadzie 1830 r. rozpoczyna nowy okres życia i twórczości Chopina. Cztery lata upływało właśnie od zgonu Beethovena, tego orła rozkochanego w szczytach i bezmiarach, gdy ku ogniskom zachodniéj cywilizacyi śpieszyło z obawą i nadzieją młode orlę, wychowane śród murów miejskich i osłabiającéj atmosfery salonów.

Z małym zasobem sił fizycznych przy wielkiéj pobudliwości nerwów, z bujną wyobraźnią, a słabą wolą, zginęłoby ono odrazu zostawione samo sobie w nowym, obcym świecie, gdyby nie nosiło w duszy niezwykłych skarbów uczucia i wyobraźni, gdyby nie umiało czarodziejską siłą swéj nowéj mowy tonów trafić do dusz ludzkich, utorować sobie wstępu do salonów i pałaców przedewszystkiém.

Pobyt w Wiedniu i Niemczech w ciągu r. 1831 umocnił w młodym artyście świadomość posiadanych uzdolnień. Przekonał się, że nietylko swoich, lecz i obcych potrafi zdumiewać, czarować i porywać zarówno grą, jak i utworami, których pokaźny zbiór w nieogłoszonych jeszcze rękopisach wywiózł ze sobą z Warszawy. Dwa koncerty, trio, sonaty, krakowiak, fantazya na polskie pieśni, waryacye na temat „*La ci darem la mano*", polonez na fortepian z wiolonczelą, oprócz drobniejszych (nokturny, mazurki, walce, etiudy), mogły budzić nadzieję świetniejszego o wiele rozwoju twórczości, niż go nam przedstawia dalsza działalność artysty. Dla świata muzycznego Niemiec i Francyi były te utwory niespodziewaném pojawieniem się bądź nowych, pełnych świeżości form muzycznych, bądź też odnowieniem i przekształceniem dawnych, przez wypowiedzenie w nich nowych, subtelnych odcieni uczuć ludzkich.

Przybywszy do Paryża w jesieni 1831 r. zapoznał się wkrótce ze znakomitościami ówczesnego świata muzycznego. Pierwszorzędnemi gwiazdami byli wtedy: Cherubini i Rossini, obok nich z młodszych kompozytorów operowych stali: Auber, Halevy, Meyerbeer. Grono mistrzów fortepianu tworzyli: Hummel, Moscheles, Kalkbrenner, a z młodszych: Liszt, Hiller i Mendelsohn. Bliższe stosunki zawiązał Chopin z Lisztem, Hillerem i wiolonczelistą Franchomme'm. Po pierwszym koncercie, danym 26 lutego 1832 r., napisał głośny krytyk muzyczny Fétis w „*Revue musicale*": „Jest dusza w tych melo-

dyach, fantazya w tych passażach i oryginalność wszędzie.“ Zarzuca mu tylko pewien nieład w układzie, nadający kompozycyom charakter improwizacyi. Liszt, wspominając o debiucie swego przyjaciela, powiada, iż burzliwe oklaski nie mogły wyrazić całéj potęgi entuzyazmu, jaki budził w słuchaczach ten genialny muzyk, odsłaniający nową fazę czucia poetyckiego w połączeniu z najszczęśliwszemi nowościami strony formalnéj. Wcześniéj jeszcze, bo od r. 1830 Robert Schuman pomieszcza w niemieckich pismach muzycznych entuzyastyczne oceny pierwszych utworów Chopina.

Uznanie świata muzykalnego, gorące poparcie ze strony rodaków (Plater, Czartoryscy), utorowało młodemu muzykowi wstęp na salony paryskie, w których porusza się z całą swobodą, dzięki edukacyi, odbytéj w pałacach Warszawy i wrodzonéj wytworności, uwydatniającéj się w obejściu, grze i kompozycyach. Od zimy z r. 1832 na 1833-ci staje się Chopin pożądanym gościem i poszukiwanym wielce nauczycielem muzyki, w wielkim świecie paryskim. Jednocześnie rosnąć zaczyna rozgłos jego utworów, o które ubiegają się wydawcy. W ciągu lat 1833 i 1834 wychodzi na świat 16 kompozycyi (przeważnie utworzonych przed wyjazdem z Warszawy). Pojawiają się zwykle współcześnie w kilku edycyach w Paryżu, Lipsku, Londynie. W szeregu wydanych utworów mieszczą się trzy zeszyty „Mazurków“ (13 sztuk), wprowadzających w dziedzinę muzyki nową formę, podatną dla wyrażania bogatéj skali uczuć, od buńczucznéj pewności siebie, iskrzącéj, hulaszczéj wesołości do omdlewającego smutku, marzycielskiego zatopienia się w światach fantazyjnych. Do tych, którym nowość formy utrudniała wykonywanie i rozumienie mazurków, którym trudności techniczne nie pozwalały zapoznawać się z koncertami i większemi utworami Chopina, przemawiał on najwymowniéj w ogólnie znanéj i zrozumiałéj formie nokturnów, walców, etiudów.

Świadomość własnych sił, umocniona uznaniem najznakomitszych przedstawicieli ówczesnego świata muzykalnego (Schumann, Mendelsohn, Meyerbeer, Cherubini, Liszt i inni), pozwala artyście tém śmieléj rozwinąć dalszą twórczą działalność.

W warunkach i czynnikach téj twórczości zaszła teraz doniosła zmiana. Artysta nie mógł już ulegać wpływom, które dostarczały sercu i wyobraźni zarówno bodźców i celów twórczości, jak i form melodyjnych i rytmicznych na odtworzenie tętna uczuć i wzlotów fantazyi. Pulsująca życiem atmosfera paryska, kosmopolityczne towarzystwo arystokratycznych salonów i również kosmopolityczne koło przedstawicieli sztuki muzycznéj wszystkich niemal ludów

Europy — podziałają podniecająco na twórczość i kształcąco n technikę artysty, lecz nie zasilą jego ducha, który w tém gorącz kowém życiu wyczerpie się i zniszczy wątły organizm, zmuszon podtrzymywać wytężoną działalność systematu nerwowego.

Przemawiając do obcych i chcąc być przez nich zrozumianyn Chopin, choć nie wyrzeknie się form noszących cechę narodową, prze ważnie jednak i to w najlepszych utworach posługiwać się będzi kosmopolitycznemi formami (Scherzo, ballada, impromptu, walc).

Jakież uczucia i jakie obrazy (jako bodźce uczuć) spotkam w tych utworach? Chcąc odpowiedzieć na to pytanie, trzeba poszu kać w głębiach duszy artysty wydatnych cech jego duchowéj organi zacyi, wchodzącéj teraz w okres dojrzałości.

VI.

Słabość woli, wrażliwość na drobiazgi życia i przewaga wyo braźni, utrzymującéj się ciągle na dziecięcym niemal szczeblu roz woju—oto główne znamiona téj młodzieńczo-niewieściéj duszy.

Nie tyle może niski stopień wykształcenia, ile stłumienie roz woju umysłowego wskutek nieczułości na bodźce myślowe, uniemożli wiało Chopinowi dostrzeganie i rozumienie głębsze zjawisk świat przyrody i świata ludzkiego, interesowanie się temi zjawiskami, od czuwanie pragnień i dążeń ludzkich. Nauka, literatura, życie polity czne są mu obojętne.

Słabość woli czyni go nieudolnym w życiu praktyczném. Przy jaciele spełniają za niego zwykle czynności, jakich wymagały przygo towania przedkoncertowe, prowadzą układy z wydawcami, najmuj i urządzają lokale.

Ludzie słabi zadawalniają się często skierowaniem swéj działal ności po linii najmniejszego oporu, a więc w sferę wyobraźni. Brak rzeczywistéj energii moralnéj zastępują śmiałością i polotem fantazyi torującéj im drogę życia o tyle, o ile umieją drugich zainteresowa wytworami téj fantazyi ujętemi w artystyczne formy.

Z brakiem woli łączy się zwykle słabość i zmienność uczucia zostającego pod wpływem kaprysów imaginacyi i wrażliwości na dro biazgi. Walka z własnemi nawyknieniami i popędami, towarzysząca naszym czynom, pozwala nam dopiéro poznać samych siebie i uczy ograniczać nasze „ja.“ Istoty, nie zdolne do czynu, nie mogą mieć świadomości swego naiwnego egoizmu. Chopin zachowuje go do

śmierci. Jest on dobrym, hojnym dla przyjaciół i potrzebujących, bezinteresownym, ale nie z przeświadczenia moralnego, nie z poczucia obowiązku solidarności ludzkiéj, lecz z przyrodzonéj słabości, miękkości i nieoględności na jutro, a po części pod wpływem ideału arystokratycznego, który przewodniczy jego postępowaniu w stosunkach towarzyskich.

Organizacya duchowa artysty daje nam klucz do zrozumienia jego utworów, do scharakteryzowania uczuć i stanów wewnętrznych, jakich te utwory są odbiciem.

Pokrewieństwo duchowe bardzo bliskie między Chopinem a Słowackim, pozwala nam w twórczości poety szukać wskazówek, wyjaśniających dzieła muzyka [1]). Rówiennicy wiekiem dochodzą w jednym czasie do artystycznéj dojrzałości, przypadającéj na lata od 1834 do 1840-go.

Najwybitniejszym wyrazem geniuszu Słowackiego w epoce jego dojrzałości jest niewątpliwie „Beniowski“, w którym poeta dla wyrażenia odcieni zmieniającego się ciągle uczucia i snujących się widzeń fantazyi, osiągnął potęgą geniuszu to umuzykalnienie, zabarwienie i plastyczne upodatnienie słowa, o jakie z takim mozołem, a małym rezultatem ubiegają się dzisiejsi symboliści francuscy.

W epoce swéj dojrzałości Słowacki, jako poeta, wirtuoz, olśniewa słuchacza przebieganiem całéj gamy różnorodnych tonów uczucia i grą obrazów, przesuwających się w elektryczném oświetleniu fantazyi.

Podobne cechy przedstawia współczesna twórczość Chopina. Formy nowe: scherzo, impromptu, służą artyście — obok dawniejszych—do uwydatnienia z całą swobodą bogactw rozszerzonéj skali uczuć, w któréj, jak u Słowackiego, główną rolę gra egotyczny protest, przybierający ton wyzywającéj buńczuczności, przeplatanéj wybuchami żalu, momentami zadumy, porywami marzycielskiéj ekstazy, lub ochoczéj wesołości. Jak w „Ojcu zadżumionych“ przez skargi nieszczęśliwego ojca przebija się rozpaczliwy protest poety przeciw bezlitości potęg przyrodzonych, przygniatających człowieka, urągających poniekąd jego porywom i pragnieniom, uczuciom, tak że utwór ten można uważać za wyższy, potężniejszy stopień skargi na „nicość“ i bezsilność ludzką, wypowiedzianéj w „Hymnie na morzu“, tak

---

[1]) Słowacki w liście do matki z 2 kwietnia 1838 r., wspominając o pogłosce co do małżeństwa Chopina z Maryą Wodzińską, dodaje: „mówią ludzie, że Chopin do mnie jak dwie krople wody podobny.“

i „Marsz żałobny“ Chopina jest wyrazem egotycznego uczucia, przechodzącego od ponurego jęku do rozpaczliwie wybuchającéj skargi (w pierwszéj części), która w środkowym ustępie przemienia się w czysty, serdeczny żal, stanowiący wraz ze szczerą wesołością cechę, wyróżniającą serce śpiewaka „Mazurków“ od twórcy „Beniowskiego.“

Liszt opowiada, iż pewnego razu hrabina d'Agoult, pod świeżém wrażeniem gry Chopina, spytała go, jak nazywa to uczucie, które kryje się w głębi jego utworów jak tajemnicze popioły, przechowywane w urnie z alabastru. Artysta odrzekł, iż istotnie, nie wyłączając chwil przelotnéj wesołości, serce jego nie nie może nigdy uwolnić się od przemagającego w niém uczucia, którego nazwę znajduje jedynie w języku ojczystym, w wyrazie „żal“. Mawiał nieraz, iż wyraz ten w samém brzmieniu ma dziwny dla niego urok, gdyż obejmuje całą skalę uczuć jego serca, od rozrzewnienia aż do nienawiści.

W uczuciu tém Niecks trafnie dostrzega obok pierwiastków egotycznych, odbicie plemiennéj właściwości, smutku, cechującego ludowe i narodowe pieśni.

Tenże sam żal tylko ze znaczniejszą domieszką protestu i pesymizmu stanowi zasadniczy ton serca u twórcy „Godziny myśli“, „Szwajcaryi“, „Beniowskiego“.

Zawsze mi smutno i wszędzie mi jedno
I wszędzie mi źle... i wiem, że źle będzie.

Obaj artyści szukają często ulgi na swe cierpienie w poddawaniu się pod hypnotyzujący ich poniekąd wpływ pewnych obrazów, postaci harmonizujących z uczuciami, uderzających wyobraźnią i pobudzających czynność fantazyi.

Opis odjazdu Eglantyny (w liście do matki, z czerwca 1834) uwydatnia wybornie oddziaływanie na wyobraźnię poety tła dekoracyjnego i efektów oświetlenia w faktach rzeczywistych. Etyczna, realna istota wypadku nie wstrząsa duszy i uczucia poety. Korespondencya a nadewszystko utwory poety stwierdzają mnóstwem faktów tę właściwość jego duchowéj organizacyi. Już w „Bieleckim“, bodźcem twórczości jest nie idea jak w „Wallenrodzie“, nie potrzeba wypowiedzenia własnych cierpień, w ramach pomysłu, odtwarzającego rzeczywiste fakty z pewną domieszką fantazyi, jakiéj zawdzięczają powstanie: „Dziady“ i „Marya“, ale pobudzona przez świéżą lekturę „Maryi“ wyobraźnia lubująca się w barwnych obrazach i niezwykłych sytuacyach. „W Szwajcaryi“ jesto tylko serya wrażeń z podróży, krajobrazów odbitych przez wyobraźnią, prze-

kształconych przez fantazyę rozsnuwającą na tle alpejskiéj przyrody tkankę mglistych marzeń, oświetloną księżycowém światłem imaginacyjnego uczucia. Wszystkie dramaty Słowackiego powstały przez oddziaływanie na duszę poety nie idei, którąby chciał wcielić, nie charakteru lub czynu, któryby oddziałał na jego stronę moralną, lecz tylko pod wpływem zewnętrznych cech i dekoracyjnego otoczenia pewnych postaci i sytuacyi. Krytycy nadaremnie siłą się pochwycić myśl przewodnią, zrozumiéć i określić charaktery głównych figur tych dramatów, gdyż poeta kierując się upodobaniami swéj imaginacyi rozwija tak akcyą, iżby z pomocą wprowadzonych na scenę postaci wytworzyć szereg niezwykłych położeń i obrazów, choćby z poświęceniem jedności w charakterach i logiki w układzie.

Korespondencya Chopina nie odsłania nam głębin jego duchowego życia, które odtwarzał jedynie w swych kompozycyach. Mimo to możemy twierdzić z pewnością wszelką, że nie idee, lecz obrazy, postacie czy też pewne sceny, widoki, były bodźcami jego fantazyi, któréj towarzyszy falowanie uczuć znajdujące swój bezpośredni wyraz w rytmicznych kombinacyach i opartym na nich wątku melodyjnym.

Imaginacya Chopina nie goni za niezwykłemi postaciami i sytuacyami, nie lubuje się w tragiczności, mistycyzmie i fantastycznym symbolizmie. Wybiéra ona z otaczającéj artystę rzeczywistości a zwłaszcza z wrażeń młodości postacie i szczegóły proste, drobne i przekształca je, ozłacając blaskiem uczucia lub oświetlając księżycowém światłem fantazyi.

Jak gieniusz Mickiewicza z zasobu najprostszych obrazków, najzwyklejszych postaci i sytuacyi wytworzył „Pana Tadeusza“, jak Zaleski w „Rusałkach“ najpospolitsze szczegóły swego dzieciństwa przetworzył w pełną wdzięku i uczucia fantazyą, tak i dla Chopina, mówiąc słowami poety

. . . cały szczęścia wątek
Składa jakaś cudów chwilka,
Jakiś obraz, uczuć kilka
Kilka z młodych lat pamiątek.

Zasobu tego, wytworzonego w młodości w czasie pobytu w kraju, nie zwiększy wiele późniejsze życie. Wrażenia młodych lat są najtrwalsze, wpływy późniejszego otoczenia salonowego i artystycznego nie zatrą pierwotnych obrazów, bo tęsknota będzie je nieustannie odświeżać w wyobraźni. Nie czytując prawie wcale książek, nie będzie podlegać, jak Słowacki, wpływowi obcych kreacyi. Studyowanie Bacha i Mozarta (ulubionych mistrzów Chopina) dostarczy mu tylko zasobu form,

wzbogaci język tonów i uszlachetni styl. Podstawą uwielbienia Chopina dla tych dwu mistrzów jest niewątpliwie pokrewieństwo pojęciowo-obrazowéj treści ich dusz, prostota postaci i obrazów pobudzających ich uczucia. Różni zaś ich jakość i stopień wywoływanych uczuć i stanowisko, jakie względem tych uczuć zajmują.

Ustęp „Dziadów", w którym Gustaw opowiadając szczegóły swego dzieciństwa, odtwarza entuzyazm rycerski wywołany żywością imaginacyi i fantazyi młodzieńczéj [1]), wybornie charakteryzuje zachodzący u Chopina stosunek prostych obrazów, przechowanych z wrażeń młodości, do ich artystycznego przekształcenia w bogate i barwne sceny rycersko-magnackiego życia we wspaniałych polonezach lub czarodziejski świat wierzeń ludowych, podań rycerskich w jaki nas wprowadzają ballady. Nie kusząc się o niezgodne z naturą dźwięku, malarstwo muzyczne, odtwarza on tylko uczuciowe odbicie wywoływanych przez fantazyą obrazów, chwyta najsubtelniejsze drgnienia fal uczucia, upajającego się widzianymi w duszy obrazami.

Brak szczegółów objaśniających nam wewnętrzne życie artysty jest przyczyną, że w jednym tylko utworze możemy wskazać doniosły fakt dziejowy, jako bodziec jego imaginacyi i uczucia. Jestto etiuda *Cis mol* [2]). Protest wzburzonéj do głębi duszy wybuchł tu burzą tonów, malujących z namiętną siłą cierpienie i oburzenie, wywołane nasuwającemi się imaginacyi obrazami.

W większości utworów Chopina stosunek uczucia do bodźca je wywołującego świadczy o czysto kobiecéj naturze jego uczuciowości. Cecha ta odbija się już w upodobaniach artysty, w jego zamiłowaniu do pięknych drobiazgów, któremi lubił przystrajać mieszkanie, w dbałości o własny ubiór i powierzchowność. Uczuciowość kobiecą cechuje zwykle albo wprost odwrotny stosunek między obiektywną wartością przedmiotów a subiektywném wrażeniem, albo też skłonność do unoszenia się jednakim zachwytem dla drobiazgów życia i spraw najpoważniejszych.

Znając Chopina mamy wszelkie prawo domyślać się w wielu jego utworach odbicia takiéj kobiecéj uczuciowości, skarg melancholicznych na drobniutkie przykrości życia, zachwytów nad tęczowemi bańkami piany, omdlewań kokieteryjnych, wybuchów nerwowego roz-

---

[1]) Przedstawiając zabawę studencką w wojnę z Turkami, używa rysów rzeczywistego boju:

> Tu krwawe z chmur pohańskich świecą się księżyce.
> Tam Niemców potrwożonych następują roty, i t. d.

[2]) Napisana w Stutgardzie we wrześniu r. 1831.

drażnienia. Żaden muzyk dotąd nie dorównał Chopinowi w odtworzeniu charakterystycznych stanów uczucia kobiecego i w tém leży tajemnica zachwytu, jaki budzą utwory polskiego artysty w całém świecie niewieścim.

Pod wpływem zarówno fizycznych jak i psychicznych czynników, wrażliwość uczucia przechodzi u Chopina w ostatnich latach jego życia w chorobliwą nadczułość, skutkiem któréj w drganiach fal uczuciowych i w ich liniach zaczną występować gorączkowe przyśpieszania, ostre załamania, omdlenia, odbijające się w niejasnościach, wahaniach i dziwactwach formy.

Czarodziejska potęga gieniuszu artystycznego, kobiéca dobroć miękkiéj duszy, chłopięca wesołość, wykwintna łatwość w stosunkach towarzyskich torują przed nim w życiu drogę łatwą i miłą. Najmniéjsza przeciwność doznana, każda zmiana w warunkach życia, każde położenie wymagające aktu woli, decyzyi, wysiłku, odsłania nam dziecięcą niezaradność i bezsilność artysty zwalającego zwykle na przyjaciół trudy i ciężary, wynikające z materyalnych warunków egzystencyi. Pomimo dość znacznych dochodów z dobrze płatnych lekcyi i kompozycyi (około 20,000 frank. rocznie), artysta przy swéj rozrzutności w wydatkach, hojności w datkach, nieoględności na jutro, znajdzie się przy końcu życia w smutnéj konieczności przyjęcia od jednéj z uwielbiających go uczenic, znacznego zasiłku pieniężnego.

Rzecz naturalna, iż zetknięcie się téj na pół kobiecéj organizacyi duchowéj z kobiétą o męskim umyśle i energii woli, przy ognistym temperamencie, uczyni artystę jéj niewolnikiem, że stosunek jego z George Sand stanie się źródłem licznych przykrości i upokorzeń. Sfera idei filozoficznych, socyalnych, politycznych, dla których zapalał się ten niepospolity umysł kobiécy, była obcą i obojętną Chopinowi. Dysputy wszelkie męczyły go i nudziły. Lekceważenie form w obejściu i rozmowie przez George Sand i jéj otoczenie, trącące ówczesną „cyganeryą“, raziło boleśnie delikatne arystokratyczne uczucia Chopina. Słabość woli nie pozwalała mu opuścić domu kobiéty, która zadowolniwszy jeden z porywów swéj namiętnéj natury i sprzykrzywszy sobie przybraną wobec świata rolę siostry miłosierdzia, pielęgnującéj „chorego“ z macierzyńską troskliwością, pragnęła się uwolnić od porzuconego kochanka, prześladującego ją swą zazdrością i dręczącego kaprysami i wymaganiami.

Nie wielu wielkich artystów może się poszczycić tak liczném gronem wiernych przyjaciół, jakie towarzyszy aż do ostatniego tchnienia gienialnemu naszemu muzykowi. Ukochani uczniowie i przedstawicielki świata arystokratycznego (księżna Marcel. Czartoryska

i Delfina Potocka) otaczają łoże umierającego. Przyszedłszy na świat w tym roku co i Słowacki umiéra też w kilka miesięcy po nim, 16 paźdź. 1849 r., na tę samą piersiową chorobę.

Narodowy i ogólno ludzki artysta, tłómacz uczuć, wywoływanych przez czynniki bardzo różnorodne, przez postacie świata ludowych wierzeń i ludowego życia, śpiewak dusz nerwowych i kobiecych, odtwarzający nowe, subtelne odcienia zmian, wywoływanych w sercach przez zmiany doniosłe w życiu umysłowém i politycznem ludzkości, zajął Chopin pierwszorzędne stanowisko w rozwoju muzyki polskiéj, którą wprowadził w związek z życiem duchowém Europy, tłómacząc światu w ogólno ludzkim języku tonów treść uczuciową duszy polskiéj, wprowadzając do muzyki polskie formy rytmiczne i melodyjne dla wypowiedzenia nowych odcieni ogólno ludzkich uczuć.

Br. Chlebowski.





INSTYNKT U ZWIERZĄT I LUDZI.

W rozmowie potocznéj, zarówno jak i w dziełach naukowych, często spotykamy się z wyrazem instynkt; używamy go zwykle mówiąc o zwierzętach, lecz niekiedy stosujemy i do ludzi. Cóż wyraz ten oznacza? Jak określić, co to jest instynkt?

„Instynkt, powiada Littré, jest rodzajem czynności mózgowéj, która zmusza do wykonania pewnego aktu, nie dając pojęcia o celu i każe posługiwać się zawsze jednakowemi środkami, nie stwarzając nigdy nowych.“

Określenie powyższe zawiera wiele błędów; niech nas to jednak nie dziwi—definicya instynktu należy do najtrudniejszych. Weźmy przedewszystkiém pod uwagę, że instynkt trudno częstokroć odróżnić od rozumu, będącego wynikiem czynności mózgowéj, oraz oznaczyć niepodobna, gdzie kończy się instynkt, a rozum zaczyna.

Z drugiéj strony autorowie używają wyrazu instynkt dla oznaczenia zjawisk nader różnorodnych, posiadających tyle tylko wspólnego, że dostrzegamy je u istot żywych.

Po pierwsze, instynktem nazywają zjawiska, wypływające jedynie z własności protoplazmy komórkowéj, bez współudziału systemu nerwowego, czyli popędy wrodzone materyi białkowéj niezróżniczkowanéj. Objaśnijmy to na przykładach.

Wiemy, iż zwierzęta czynią wybór pokarmu, jedne z nich żywią się mięsem, inne roślinami; wybór ów nie pochodzi z doświadczenia poprzednio nabytego, jest-to popęd wrodzony.

Jeżeli zwierzę posiada pewien stopień rozwoju umysłowego, to zużytkuje tę zdolność, aby zdobyć pożądane pożywienie, użyje swéj siły i przebiegłości, aby zwalczyć przeszkody napotykane, lecz inteligencya jego nie zmieni w niczém popędu pierwotnego.

Wybór pokarmu istnieje także i u roślin, nie zdradzających najmniejszych oznak umysłowości. Znaném jest powszechnie zjawisko, iż na danym gruncie jedne rośliny giną, gdy inne obfity plon wydają, ponieważ na gruncie owym znalazły pierwiastki, odpowiadające własnościom ich protoplazmy.

Weźmy drugi przykład. Zetknięcie się pierwiastków rodzaju męskiego i żeńskiego, i wynikające stąd zapłodnienie istnieje na najniższych szczeblach życia; napotykamy je u najprostszych nawet roślin i u zwierząt, nie mających ani śladu systemu nerwowego. W tych razach różnopłciowe komórki wypadają zwykle z wnętrza zwierzęcia lub rośliny do wody, w któréj jakiś czas żyją, poszukują się wzajemnie, zbliżają ku sobie i nareszcie zlewają z sobą. Jest-to oczywiście zjawisko chemiczne, gdyż następuje połączenie dwóch pierwiastków, pociągniętych pokrewnością protoplazmy. — Tę samą dążność do zlania dwóch odmiennych pierwiastków odnajdujemy i u najwyższych zwierząt, obdarzonych systemem nerwowym i narzędziami zmysłów, czyli posiadających mniejszy lub większy stopień umysłowości.

Zwierzęta owe mają niekiedy organizm wysoce udoskonalony, a wraz z jego budową zmieniają się zewnętrzne warunki zbliżenia płciowego. Inteligencya ich posłuży im do omijania, lub do pokonywania przeszkód, napotykanych przy zadośćuczynieniu ich popędowi, jednakże, pomimo tak licznych komplikacyi wewnętrznych i zewnętrznych, sama natura popędu płciowego pozostała taką, jak u najniższych istot—jestto impuls wrodzony protoplazmie. Lecz pokrewność protoplazmy może objawiać się w znacznie słabszy sposób, może ograniczyć się na zewnętrznem tylko zbliżeniu istot. Do zjawisk wynikających z pokrewności protoplazmy zaliczyć można instynkt, łączący dzieci z matką, rodzeństwo między sobą i wreszcie instynkt społeczny w najprostszéj swéj formie objawiający się u jednokomórkowych istot, jak np. Pierwotek (*Protococcus*), żyjących gromadami, chociaż każda istotka posiada życie swe niezależne.

Przejdźmy teraz do innéj kategoryi zjawisk biologicznych, w objaśnianiu których przyrodnicy popełnili najwięcéj błędów. Mówimy tu o instynktach, wypływających z czynności systemu nerwowego. Poznamy je najlepiéj, posługując się przykładami. Jeżeli weźmiemy żabę lub ptaka z uciętą głową i skórę zwierzęcia drażnić będziemy w sposób dotkliwy, to zobaczymy, że zwierzę wykona szereg ruchów, z których możnaby wywnioskować, iż odczuwa ono ból; tak wszakże nie jest, ruchy jego są tylko odruchami mechanicznemi, wskutek bowiem drażnienia skóry prąd nerwowy przeszedł przez jeden lub więcéj ośrodków rdzenia, nie zostawiając w nich

pamięci. Jeżeli w podobny sposób drażnić będziemy zwierzę żyjące, to wykona ono szereg ruchów w takimże porządku, jak zwierzę nieżywe, lecz zarazem uczuje ból, zachowa o nim pamięć i wykona następnie szereg ruchów, mających na celu uniknięcie drażnienia. Pierwszą kategoryą ruchów, wspólnych obu zwierzętom, nazwiemy ruchami instynktowemi czyli odruchami, są one w obu wypadkach niezmienne. Drugi szereg ruchów nazwiemy rozumowemi (inteligentnemi), ponieważ wpłynęły one z rozumowania, t. j. z pojęć, które powstały z uczuć bolesnych, z pamięci o nich i innych percepcyi połączonych.

Zrozumiemy łatwo, iż ruchy instynktowne są tém wyraźniejsze u zwierzęcia, im mniéj posiada ono pojęć, czyli im niższą jest jego umysłowość, i odwrotnie, im wyżéj stoi jego rozwój umysłowy, tém bardziéj sprawa ruchów staje się skomplikowaną, gdyż ruchy instynktowne mieszają się z wielką ilością ruchów, mających źródło swe w rozumowaniu. Zawikłanie owo dosięga szczytu, gdy badać chcemy ruchy instynktowne w człowieku, którego mózgowie tak znaczną ma przewagę nad mózgowiem najdoskonalszych zwierząt. Zwróćmy się więc do zwierząt niższych, aby badać instynkt w najprostszych jego objawach. Pod tym względem ciekawych bardzo obserwacyi dostarczają nam owady błonkoskrzydłe, pokrewne pszczołom, lecz nie żyjące w społeczeństwach. Pewien gatunek owych błonkoskrzydłych, zwany *Chalicodome*, czyli pszczoła-mularz, buduje z wapna komórkę w kształcie małéj flaszeczki, napełnia ją miodem i pyłkiem kwiatowym, składa w nią jajeczko i szybko pokrywką zamyka komórkę, aby nie dostał się do niéj żaden gość nieproszony [1]). W tém artystyczném budowaniu komórki i napełnianiu jéj zapasami żywności widzimy troskliwość matki o przyszłość swego dziecka, którego, powiedzmy nawiasem, nigdy ona nie ujrzy. Jeżeli komórkę niedokończoną jeszcze nadwerężymy cokolwiek u góry, owad zajęty budowaniem spostrzeże uszkodzenie i naprawi je; lecz zróbmy w skończonéj już komórce szeroki otwór z boku,—pszczoła zajęta zbieraniem miodu, chociaż dobrze widzi uszkodzenie, nie naprawi go jednak, składa miód do komórki w dalszym ciągu, pomimo iż wycieka on szerokim otworem, znosi jajka i odlatuje spokojna.

Oto dwaj mularze budują obok siebie swe komórki, z których jedna ledwo zaczęta, a druga prawie skończona; gdy owady odlecą przemieńmy im komórki i obserwujmy co się stanie. Każda z pszczół wróciwszy do swéj mniemanéj roboty i znalazłszy ją na dawném miej-

---

[1]) Fabre.

scu, buduje w dalszym ciągu; ten mularz, do którego należała poprzednio komórka prawie skończona, napełnia miodem komórkę ledwo rozpoczętą i zamyka ją, chociaż zaciasna jest dla jego przyszłéj poczwarki; drugi mularz buduje jeszcze w dalszym ciągu, nie zwracając uwagi, iż komórka jego stała się już czémś w rodzaju wieży.

Znany embryolog, prof. Fol, badał zwyczaje pewnego kraba z rodziny Maja, którego trzymał w swém akwaryum. Skorupiak ten nosi zwykle na swym grzbiecie cały zbiór roślin zielenic, tak, iż trudno go odróżnić od dna morskiego, na którém się ukrywa. Gdy rośliny rozrosną się tak, iż krępować zaczynają kraba, wyrywa je tedy swemi kleszczami, oczyszcza w zupełności swój grzbiet i znowu przykleja na niém kilka roślinek, które z czasem znów się rozrosną. Zwierzę postępuje w powyższy sposób, dzięki instynktowi samozachowawczemu, w celu ukrycia się przed nieprzyjacielem a jednocześnie aby uśpić czujność swych ofiar. Otóż prof. Fol usunął z akwaryum, w którém krab się znajdował, ślady wszelkiéj roślinności, a natomiast powrzucał do wody kawałki papieru i słomy. Zwierzę najstaranniéj nakleiło sobie na grzbiet kawałki słomy i papieru, chociaż tym sposobem obecność jego w wodzie stała się bardziéj widoczną. Z tych kilku przykładów widzimy, czém jest instynkt — mechanizm cudowny a jednocześnie zupełna głupota. I nie może być inaczéj — pomijając owady społeczne, u innych owadów młode pokolenie przychodzi na świat, gdy stare już wymarło; są to sieroty bez opieki, bez przykładu i tradycyi. Dlatego téż według słów prof. Fola, to czego geniusz nie mógłby odkryć w kilka tygodni, prowadzone instynktem małe zwierzątko wykonywa odrazu dobrze, lecz bez współudziału rozumu. Instynkt jednak nie jest czémś nadprzyrodzoném, przeciwnie, należy do zjawisk naturalnych i jest wytworem systemu nerwowego, którego organizacya nie jest bardziéj cudowną, niż organizacya narzędzi ruchu lub wnętrzności. Nowożytna psychologia nie przypisuje Opatrzności zjawisk instynktownych, a jednocześnie zaznacza, iż wiele ruchów odbywa się mechanicznie.

Wobec tego nasunąć się może pytanie, jakim sposobem owady w tak zdumiewający sposób wyrażają troskliwość swą o przyszłe pokolenia, których wszakże nigdy nie zobaczą: przygotowują im gniazda wygodne i ciepłe i zaopatrują je w żywność, odpowiadającą gustom i apetytowi młodego pokolenia. Na pytanie to znajdujemy odpowiedź w następujących faktach [1]). W naszéj epoce surowa zima jest główną przyczyną téj okoliczności, iż u wielu błonkoskrzydłych dwa po-

[1]) Sciences biologiques, 1890, N. 11.

kolenia nie znają się wzajemnie, gdyż chłody zimowe zabijają rodziców, pozostawiając tylko młode, ukryte w ciepłych schronieniach. Otóż tak srogie zimy nie zawsze panowały na kuli ziemskiéj, rozpoczęły się one dopiéro od epoki trzeciorzędowéj, przedtém wielkiego zimna nie było, nie istniał więc żaden powód, aby owady nie znały swego potomstwa; były one w takichże warunkach, jak inne zwierzęta i instynkty ich rozwinąć się mogły zwyczajnym trybem t. j. dzięki tradycyi, przykładom i naśladownictwu. Nie możemy również twierdzić, aby od epoki węglowéj t. j. od czasu pojawienia się owadów na ziemi, zwyczaje ich nie zmieniły się aż do naszych czasów, i podobne zdanie sprzeciwiałoby się najoczywistszym danym geologicznym. Jeżeli więc pomiędzy dwoma następującemi po sobie pokoleniami rozdział powstał stopniowo, to oczywistém jest, że owady za naszych czasów postępują tak, jak gdyby znały swe pokolenia, zachowały one instynkty, które stopniowo rozwinęły się na drodze nabytych doświadczeń, jeszcze przed nastąpieniem surowéj zimy.

Podobne zapatrywanie się na pochodzenie cudownego instynktu macierzyńskiego u wielu błonkoskrzydłych nabiéra tém większego znaczenia, gdy dodamy, iż instynkt przedstawia w téj grupie owadów wszelkie możliwe stopnie doskonałości, co dało powód Perrier'owi do ułożenia następującego prawa: „Jeżeli zwierzę, należące do pewnéj grupy, posiada instynkt wyjątkowo skomplikowany, podobnym instynktem w stanie mniéj lub więcéj zaczątkowym obdarzoną jest większość zwierząt téjże grupy".

Widzimy więc, że różniczkowanie instynktów najbardziéj zdumiewających, może być wyjaśnione w podobny sposób jak doskonalenie się organizacyi fizycznéj. Instynkt podlega klasyfikacyi i prawu dziedziczności jak całość organizacyi, dostrzegamy bowiem instynkty właściwe wszystkim przedstawicielom danego rodzaju, gatunku lub rodziny. Obok tego mogą istniéć instynkty indywidualne, które wyrobiły się u niektórych tylko osobników i przechodzą na ich potomstwo.

Wnioskujemy z tych danych, że instynkty mogą być wrodzone, t. j. takie, które przeszły drogą dziedziczności, i instynkty nabyte przez doświadczenie osobiste w ciągu życia jednostki a następnie przekazane potomności. Tą ostatnią drogą powstały prawdopodobnie wszystkie instynkty zwierzęce od najprostszych do najdoskonalszych.

Nietylko instynkty mogą być wrodzone, lecz zarówno uczucia i namiętności. Dziecko nowonarodzone należy zapewne do przedmiotów najmniéj pociągających, jednakże matka ubóstwia je, pielęgnuje,

poświęca mu czas swój i siły. Postępuje ona wszakże w ten sposób nietylko przez poczucie obowiązku, ale dlatego głównie, że w pielęgnowaniu dziecięcia znajduje swe szczęście; podobnéj przyjemności doznaje kobiéta niezamężna, całująca namiętnie każde dziecko, a nawet mała dziewczynka, pieszcząca swą lalkę; przyjemność ta wypływa z zadowolenia uczuć instynktownych. Przykładem namiętności instynktownych jest miłość; wypełnia ona znaczną część życia jednostek i narodów, jest przedmiotém niezliczonych zabiegów, intryg, radości i smutków, bodźcem, który popycha do zbrodni i cnoty. Jednakże jak niewiele osób zdaje sobie sprawę z celu miłości, większość bierze środek za cel i często daje dowody niezrównanéj wytrwałości, usuwając przeszkody w zaspokojeniu swéj namiętności. Zarówno ptak wędrowny nie jest świadomy celu, lecz używa całéj swéj inteligencyi, aby zadowolnić swoją chęć odlotu; jeżeli nie pozwolimy mu odlecić, będzie nieszczęśliwy, chociaż byśmy pomyśleli o dostarczeniu mu wygód niezbędnych. Instynkt wrodzony każe działać osobnikowi dla osiągnięcia celu, zwykle niezrozumiałego; zrozumienie ostatecznego celu nie jest potrzebném, a nawet nie jest pożytecznóm dla wypełnienia instynktu. Z wyjątkiem umysłów filozoficznych, ogół bierze za cel sam instynkt, zadowolenie którego nazywa szczęściem, niezadowolenie — nieszczęściem.

Instynkty i ruchy instynktowne, o których dotychczas mówiliśmy, nie mają nic wspólnego z instynktem wybierania pokarmu, rozpowszechnienia gatunku i t. p. Pierwsze powstają bowiem zawsze wskutek podrażnienia systemu nerwowego. Skurcze mięśniowe niezbędne przy chodzeniu, staniu, żuciu, połykaniu, wydzielaniu, okazywaniu radości, gniewu, często przy budowaniu gniazd, są czynnością mechaniczną ośrodków nerwowych, pobudzonych zewnętrznie lub wewnętrznie.

Powiedzieliśmy poprzednio, że ruchy instynktowne są niezmienne, dlatego téż gniazda ptaków danego gatunku posiadają zawsze kształt jednakowy. Dodajmy jednak, że forma i rozmiary ciała ptaka, budowa dzioba i nóg, za pośrednictwem których dokonywa się praca, wpływają na kształt gniazda, a wówczas w pracy mechanicznéj często bierze udział inteligencya. Małe ptaki wróblowate używają do budowy drobnych przedmiotów, jak włosia, siana, gliny i t. p., mogą więc nadać swym gniazdom kształty bardziéj artystyczne; lecz duże ptaki, jak orły i sokoły, budują gniazda z gałęzi i suchych liści i dlatego nie mogą wykończyć takowych równie artystycznie, jak tkacz lub jaskółka. Flaming, wyróżniający się nad podziw długiemi nogami

nadaje swemu gniazdu kształt stożka, na który siada jak na konia, wygrzewając jaja.

Inteligencya przychodzi instynktowi na pomoc głównie wtedy, gdy zwalczać trzeba trudności; wszakże gdy one są zbyt wielkie, praca nie dochodzi wówczas do skutku, co zdarza się zwykle, gdy zwierzę znajduje się w niewoli. Któż nie wie, że ptaki w niewoli najczęściéj nie wiją gniazd i nie znoszą jaj; zanika u nich z czasem jeden z najpotężniejszych instynktów, wydawania potomstwa. Zauważono również, że zwierzęta wstrzymują swą pracę, jeżeli zmienimy bieg faktów, które przykuwały ich uwagę; np. jeżeli w obszernéj nawet klatce zamknąć parę ptaków z gniazdem napełnionem pisklętami, rodzice nietylko nie zajmą się wychowaniem młodych, lecz zdarzały się wypadki, że je pożerały.

Nie należy jednak wnioskować, że zwierzęta, wykonywające na pozór czynności mechaniczne, nie mają czucia, pamięci i zdolności cieniowania tych czynności. Inteligencya pierwotna istnieje u nich, brak im tylko pojęć. Zobaczymy to na przykładzie następującym. Znamy wszyscy ostrygę, jest-to mięczak pozbawiony specyalnych narzędzi zmysłów, posiada tylko dotyk; zwoje mózgowe jego są nadzwyczaj małe; możemy więc wnioskować, iż zwierzę obdarzone jest tylko ruchami instynktowemi, czyli odruchami mechanicznemi. Gdy oderwiemy ostrygę od ławy morskiéj, zamyka ona instynktownie swe skorupy, a chociaż pozostaje na powietrzu, otwiéra je znowu po chwili i ginie uduszona. Jeżeli wczas włożymy ją napowrót do wody morskiéj i następnie kilka razy z rzędu wyciągać ją będziemy z wody, nauczona doświadczeniem ostryga nie otwiera już swych skorup, gdy znajduje się na powietrzu, aż dopóki nie wyczerpie zapasu tlenu zawartego w wodzie między skorupami. Sposób oswajania ostryg z powietrzem zastosowany został w handlu, aby przewozić żywe mięczaki na daleką przestrzeń.

Objawy inteligencyi nie są więc obce czynnościom odruchowym, które zwykle określane bywają wyrazem instynkt. Ta właściwość ciągłego mieszania i kombinowania czynności odruchowych z czynnościami wypływającemi z rozumowania przyczyniła się wielce do zawikłania kwestyi, o któréj mówimy. Dodajmy jeszcze, że dawniéj ludzie nie uznawali przyczyn materyalnych w zjawiskach i z instynktu zrobiono abstrakcyę, jakiś rodzaj duszy zwierzęcéj, odmiennéj naturalnie od ludzkiéj. Pojęcie takie nieokreślone, a przeciwne nauce, dotąd jeszcze bruździ nawet w psychologii przy odróżnianiu instynktu od inteligencyi.

Zwierzęta niższe posiadają proste narządy nerwowe, ułożone

w grupy wzdłuż ciała; w narządach owych istnieje substancya, która pod wpływem prądu, dążącego po nerwach od powierzchni zewnętrznéj do ośrodków nerwowych, dozwala zwierzętom mieć świadomość o tym prądzie, zachować o nim pamięć i popchnąć ów prąd w odwrotnym kierunku, t. j. ku mięśniom. Ruchy ich są zawsze jednakowe, indywidualność zwierzęca może objawiać się tylko szybszemi, słabszemi ruchy, lub téż wstrzymaniem onych.

Lecz w miarę wznoszenia się zwierząt w wyższe szeregi, substancya nerwowa, o któréj mówimy, posuwa się coraz bardziéj ku przedniemu końcowi łańcucha nerwowego lub rdzenia i obiera siedlisko w masie nerwowéj, zwanéj zwojami mózgowemi, umieszczonemi w głowie. Wreszcie u najwyższych zwierząt substancya owa, źródło świadomości, przenosi się do mózgu, z którym połączone są narzędzia zmysłów specyalnych. Jednocześnie formują się nowe komórki między komórkami odbiérającemi wrażenia, a posyłającemi prądy ruchowe;ześrodkowywują one odebrane wrażenia w taki sposób, aby mogły powstawać pojęcia więcéj lub mniéj złożone. Ośrodki rdzeniowe stają się odtąd zależne od mózgu, łączą się z nim za pośrednictwem włókien i tym sposobem wrażenia, jakie ośrodki odbiérają, udzielają się mózgowi i pozostawiają w nim pamięć. Mózg staje się regulatorem ruchów mechanicznych, do których dodaje ruchy własnéj produkcyi.

Nie należy wszakże wnioskować, że czynności mózgowe, zwane rozumnemi, pozostają zawsze takiemi; przeciwnie, mogą one przybierać postać instynktownych, t. j. nierozmyślnych, wskutek nabytego przyzwyczajenia. Przypatrzmy się tylko artystom grającym biegle na instrumentach muzycznych, szczególnie na fortepianie, i zręcznym rzemieślnikom, wykonywającym mechanicznie najdelikatniejsze roboty z myślą o czém innném. Żołnierz wyćwiczony spełnia w mgnieniu oka rozkazy komendanta. W tych wypadkach początkowo umysł pracował usilnie dopóki człowiek nie nabrał potrzebnéj zręczności, następnie praca i ruchy stały się mechanicznemi.

Czynność mózgu znajduje się w zupełnéj zależności od jego organizacyi [1]). Organizacya owa decyduje o zdolnościach, które możnaby nazwać instynktami, podobnie jak odruchy łańcucha nerwowego. Mózg posiada podobnież ruchy, skoordynowane w sposób stały i powstające wskutek specyalnych podrażnień. Czynność mózgu wyróżnia się od czynności łańcucha nerwowego tylko tworzeniem się pojęć, lecz ilość i jakość tych pojęć zależy od ilości i związku pierwiastków nerwowych, w których pojęcia powstają.

---

[1]) „Les Bulletins d'Anthropologie“, styczeń. 1889 r.

W systemie nerwowym wszystko reguluje się organizacyą zarówno w mózgu, jak w najmniejszym zwoju nerwowym, zarówno w maluczkim polipie, jak w wielkim geniuszu.

Nie ulega wątpliwości, że od organizacyi mózgowéj zależą zdolności do muzyki, poezyi, matematyki, do sztuki krasomówczéj; od niéj zależy żywa wyobraźnia, zdolność wydawania sądów, zręczność, podobnie jak organizacya łańcucha nerwowego reguluje czynności zwierząt niższych. Z tego punktu widzenia krasomówczość Gambetty jest tegoż rodzaju, co talent tkacki pająka; krasomówczość jego nie istniałaby, gdyby nie posiadał z lewéj strony tak olbrzymio rozwiniętego trzeciego zawoju czołowego.

Potrzeba koniecznie podrażnień zewnętrznych dla zamanifestowania zdolności umysłowych, tak jak potrzeba podrażnień dla odruchów mechanicznych. Podrażnienia zależą od okoliczności zewnętrznych, jeżeli okoliczności nie sprzyjają, zdolności nie wyjdą na jaw. Zdolność, to powołanie, którą nazywają niekiedy instynktem. Możnaby również powiedzieć, że jedwabnik w pewnych chwilach swego życia ma powołanie zrobić kokon dla ochronienia siebie.

Obok zdolności mieści się to, co nazywają charakterem, wskutek którego pewna klasa zwierzęca, pewien gatunek, rasa, osobnik, są wrażliwe lub apatyczne, żywe lub powolne, łagodne lub złośliwe, czynne lub niedołężne. Te dobre lub złe przymioty zależą również od organizacyi systemu nerwowego, który niezależnie od swych zasadniczych własności, może przedstawiać tysiące zmian w swéj budowie molekularnéj, — stąd taka rozmaitość w charakterach.

Charakter i zdolności cechują nietylko osobniki, ale całe grupy narodów, ponieważ są dziedziczne. Wszakże mogą one zmieniać się, a nawet zupełnie przekształcać w przeciągu pewnego czasu. Historya uczy nas, że zwyczaje i umysłowe produkcye danego narodu zmieniają się często, tak iż nadają charakterystyczną cechę stuleciom. Nie powinniśmy jednak stąd wnioskować, żeby zwyczaje i pojęcia były dziedziczne i przechodziły od przodków na ich potomstwo; organizacya tylko podlega dziedziczności, a wychowanie, przykład, warunki całego otoczenia szerzą zwyczaje i pojęcia od jednego pokolenia do drugiego.

Zebrawszy dane, jakie nowoczesna psychologia porównawcza nam daje, przychodzimy do wniosku, iż niepodobna zakreślić granicy między instynktem a inteligencyą, niepodobna stosować tych dwóch wyrazów wyłącznie do pewnych jakichś czynności systemu nerwowego; instynkt bowiem ściśle łączy się z inteligencyą w rozmaitym

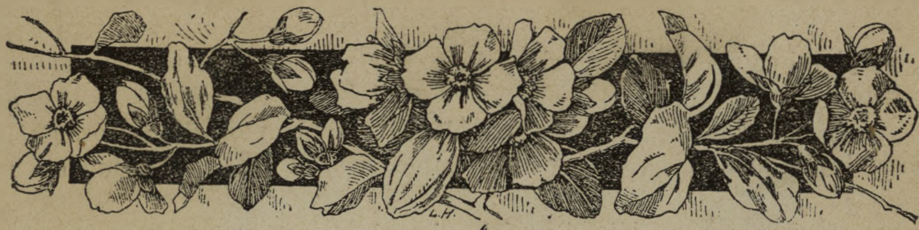
stopniu; prócz tego wiele zjawisk było poprzednio rozumowemi, zanim stały się instynktownemi. Ostryga wykonywa inteligentnie swe ruchy zwane instynktownemi, jak człowiek genialny idzie instynktownie za swém powołaniem, czyli swemi zdolnościami. Lecz w żadnym razie nie ma tu popędu wrodzonego, gdyż niezbędném jest podrażnienie zmysłowe wewnętrzne lub zewnętrzne.

Popędy zaś pierwotne tkwią w protoplazmie nawet niezróżniczkowanéj i objawiają się bez podrażnień zmysłowych; do takich popędów należą: wybór pożywienia, instynkt płciowy, instynkt łączący potomstwo z rodzicami i społeczny; te dwa ostatnie nazywają związkami krwi, tworzą one rodziny i społeczeństwa. Trzymając się logicznego tłómaczenia faktów, tylko te pierwotne popędy protoplazmy powinnyby zachować nazwę instynktów; bylibyśmy wtedy w zgodzie nawet z etymologią wyrazu (*instinctus*, popęd).

Lecz łatwiéj wprowadzić reformę w nauce, niż w języku i dlatego przez długi czas jeszcze ogół będzie instynktem nazywać inteligencyą zwierzęcą.

Dr. M. Stefanowska.





DZIELNA KOBIÉTA.

POWIEŚĆ *).

VII.

Młode małżeństwo zamieszkało w Zalesiu. Potworne plotki, wywołane ucieczką, spotęgowaną do rozmiarów zbrodni, zaczęły zwolna przycichać. Współczucie dla „słodkiego pana“, faworyta starszych dam, a przedmiotu marzeń młodych, stygło. Przyzwyczajano się do jego nieobecności, powoli zapominano o nim.

Aby jednak przebaczyć Maryi, żadna z pań nawet nie pomyślała. Starsze nazwały ją niewdzięcznicą, zbeszczeszczającą własne stare nazwisko i pamięć matki, młodsze waryatką, przekładającą jakiegoś dzikiego nieokrzesanego malarza, nad najdystyngwowańszego w okolicy mężczyznę, najpiękniejszego i najwięcéj ujmującego.

Na głuche wieści o naruszeniu przez Henryka kasy, pupilki odpowiadały:

— Miał prawo, bo to jego była. Czyż mógł przeczuć, że w dziewczynie pokutuje awanturnicza, gwałtowna natura jéj dziadka?...

Niezrozumiałą dla nich miłość Maryi do Adama tłómaczyły jako kaprys samowolnéj natury lub chwilowe zapomnienie.

— Ależ przecie Henryk — szeptały do siebie starsze —robi wrażenie jak gdyby był ukuty ze stali, odlany z bronzu. Malarz podobno chłopak brzydki, szczupły, a jakiż ma być ordynarny.

— Ale młody. Młodość jest wszystkiém — odpowiadały znawczynie.

Zajmowano się nieustannie Zalesiem, wytwarzając coraz to no-

*) Patrz „Ateneum“ za Maj i Czerwiec.

we plotki na rzecz dzikiego chłopaka i zwaryowanéj, namiętnéj młodéj kobiéty.

Spotykano się na drogach. Marya zwykle powoziła czwórką dzielnych koni, obok niéj w amerykanie siedział mąż, za niemi angielka.

Zazdroszczono jéj dzielności, odwagi, nawet zwycięstwa, majątku, zdrowia, lecz nie przyznawano się do tego. W tym samym czasie, Adam otrzymał w Medyolanie złoty medal za portret żony. Prasa fakt ten roztrąbiła. Obraz przewieziono na wystawę do Krakowa, potém do Zalesia. Ustawiono go w salonie. Ciekawość ogólna wzrastała.

W sklepie powiatowego miasteczka Marya spotkała dalekiego swego krewnego, młodziana. Wykwintne formy i beletrystyczne wykształcenie czyniły go pożądanym gościem w każdém dobrém towarzystwie.

— Kuzynka usunęłaś się od świata.

— Żyję na nim — odpowiedziała Marya, wyciągając do uścisku rękę.

— Zamknęłaś się w Zalesiu, jak w niezdobytéj fortecy.

— Niezdobytéj? raczéj przez nikogo nie zdobywanéj.

— Nie wiedzieliśmy. Poślubne wizyty...

— Do mnie należą, prawda. Lecz po awanturach i plotkach, ja powinnam je odbiérać.

Kuzynek pochylił głowę.

— Nie odbieram ich i nie rozpaczam.

— Widzę to. Czy kuzynka pozwoli...

— Zawsze. Siadaj pan ze mną, przyjedziemy do Zalesia na obiad.

— Z rozkoszą, tylko, że...

— Nie masz białego krawata? Nie zapominaj pan, że mąż mój artystą. Gdybym go chciała krępować podobnemi konwenansami, uciekłby.

Kuzynek z wdzięcznością przyjął zaproszenie.

Lody zostały przełamane.

Z początku bliższych i dalszych znajomych wiodła ciekawość, późniéj dobra kuchnia, gościnność, uprzejmość, wykształcenie i szlachetna swoboda młodéj gospodyni, zawsze wielkiéj damy.

Mężowie z samego taktu i przyzwoitości przywieźli swe żony. I odtąd w Zalesiu zbierało się najwykwintniejsze młode towarzystwo.

Rozprawiano o literaturze francuskiéj z zapałem, zachwycając się delikatnemi rysami uczuć i psychologii Bourgeta, sarkazmem Mau-

passanta i wielu innymi. Uprawiano z zamiłowaniem i artyzmem flirt, bawiono się, jak tylko ludzie, przyzwyczajeni całe życie do zabawy i traktujący zabawę jak sztukę, bawić się umieją.

Angielka była w swoim żywiole, w swéj atmosferze; odzyskała równowagę i humor, uwielbiała rozum i dowcip swéj *Mary* a dla młodych dystyngowanych ludzi miała pewien kult. Rozkoszowała się, zapominając przeszłości.

Roman przy gościach nie pokazywał się w salonach. Adam mimowolnie schodził przy nich na drugi plan. Forma i światło były dla niego wszystkiém, nie mógł więc zaciekać się w psychologicznych zagadnieniach, a poświęciwszy młodość ciężkiéj pracy, nie nauczył się bawić w gimnastykę wyrazów, niedopowiedziane słówka, zręczne dwuznaczniki i najprzyjemniejszą rozmowę o wszystkiém i niczém, traktowanie rzeczy wielkich, jako małe, a małych jako wielkie.

Młody artysta, przeświadczony o swéj wyższości, nie wiele sobie robił z gości swéj żony, przyjmował ich z obojętnością mędrca okrywającego się togą powagi.

Marya odczuła w jego powadze niechęć do ludzi z innego świata, chcąc go do nich zbliżyć i z niemi pogodzić, ostentacyjnie w rozmowach o sztuce prosiła męża o radę, rozstrzygnięcie sporu, wydanie wyroku.

Próżne usiłowania; towarzystwo rzadko kiedy mogło zrozumieć jego wywody. Mówił o malarstwie, jako specyalista z zamiłowaniem i drobiazgowością, używając technicznych wyrazów i oryginalnych zwrotów. Zgromadzonych nie obchodziły tajemnice sztuki, nauk nie chcieli, nudził ich.

Jedna Marya oceniała go i rozpromieniona słuchała.

— Wlazłem wśród nich, jak Piłat w *credo* — powtarzał w duchu zniechęcony. Zawadzam im a sam się z nimi męczę — irytują mnie.

Po odjeździe eleganckich gości Adam chcąc się zemścić, zwykle żartował sobie z nich wobec żony i Romana. A że umiał karykaturować ludzi nietylko w rysunku, lecz w ruchach i głosie, podchwytywał słabe ich strony i naśladował wybornie.

Marya się śmiała.

Tym sposobem starał utrzymywać swą wyższość wobec żony. Był jéj tryumfem. Dla niego zdobyła się ona na heroiczne czyny, zrobiła rewolucyę, zwyciężyła. Kochała go jako swoje zwycięstwo.

W innych razach artysta olśniony wytwornością młodych paniczów, otaczających żonę, uciekał obrażony do swéj pracowni, chwytał krédkę i zaczynał gorączkowo rysować plany przyszłych obrazów.

— Upokorzę was, nauczę, zadziwię i wtedy dopiéro zmiażdżę — powtarzał.

Rozdrażnieniem poszarpane nerwy, gniew i upokorzenie mieszczanina nie pozwalały mu zebrać myśli, opanować i skrystalizować fantazyi.

Rzucał krédę, kładł się na sofę i leżąc wpatrywał się przez otwarte okno w przesuwające się po niebie chmury.

— W téj atmosferze pałacu, w sybarytyzmie i wygodach, braku myśli o jutrze i samotności straciłem twórczość, talent, pojęcie formy, zgłupiałem, zidyociałem bez możności wyjścia i ratunku.

Zagłębiał palce w gęste włosy i targał je.

Podczas jednego z tych paroksyzmów, wsunęła się cicho do pracowni Marya, usiadła przy nim na sofie, objęła jego głowę i tuląc ją do swych piersi, szeptała.

— Ja cię rozumiem i oceniam. Ty jesteś dla mnie jedyny, ukochany mój mąż, mój mistrz. Jeżeli cię oni męczą i nużą, powiédz słowo, odsuniemy się od nich, będziemy tylko razem i będzie nam dobrze.

— Po co? ludzie są koniecznie potrzebni. Gdy ich zabraknie, tęsknilibyśmy za nimi. Oni mnie wcale nie nużą, częściéj bawią a zawsze zajmują. Wierzaj mi, ciekawi są.

— Więc czegóż jesteś smutny, zasępiony, ponury. Może... może — zarumieniła się.

— Proszę cię dokończ.

— Nie wiem, lecz czasem przychodzą mi dziwne myśli.

— Śmiało, prędko, odrazu.

— Może nie znosisz méj wesołości, może... może który z tych młodych ludzi nie podoba ci się.

Adam się zerwał gwałtownie.

— Posądzasz mnie o zazdrość. Cóż za potworna myśl. Ja, co zbudowałem w mém sercu dla ciebie ołtarz i modliłbym się do ciebie, gdyby mi nie wolno było całować cię i kochać Maryniu, ty mnie bierzesz za zwyczajnego episyera, lub łyka, krakowskiego faceta lub telegrafistę. Cieszę się, gdy cię widzę ożywioną, zachwycam się twoją wymową, bystrością dowcipu. Ja miałbym cię pozbawiać towarzystwa, które jest twoje, z którém się zżyłaś od dzieciństwa, rozrywek i zabaw koniecznych dla ciebie. Mały w nich biorę udział, lecz lubię słuchać cię i podziwiać. Tamci są często komiczni, lecz ty moja droga, zawsze jesteś sympatyczna, w rozmowie serdeczna i rozumna.

— A mimo to — mówiła pieszczotliwie — jesteś smutny i zgnębiony.

— Mam być wesoły?... Nie mogę wyjść z chaosu natłoczonych myśli, uwydatnić siedzącéj w mózgu idei... Patrz, wskazał ręką pomazane krédką płótna... Niech mnie piorun trzaśnie, czy zamało we mnie natchnienia? Gdy myślę w mózgu kipi i wre, czuję, że stworzę coś nadzwyczajnego, chwytam krédę—chaos!...

Marya wpatrywała się w czarne gzygzaki podobne do ludzi, jak w hieroglify, nic nie rozumiejąc. Ona, co miała być jego natchnieniem, twórczością, wynajdywać dla niego tematy, stała bezradna, nie mogąc się zdobyć na jedno zdanie.

— Ponaznaczanym planom—mówił spokojnie Adam—trzeba zrobić miejsce, oddalenie, ruch, życie, wszystko dobrze umieścić, stworzyć całość, jeden dramat,ześrodkować różnolite uczucia. ...Boże, Boże, głowa mi pęka, a ty we mnie wmawiasz, że ja się gniéwam na poczciwych facetów, którzy cię bawią, są grzeczni, dowcipni, wymuskani.

Marya ujęła jego głowę w swe ręce i pocałowała.

— Jesteś dobry, bardzo dobry. Sprawia mi to przyjemność, że mogę cię kochać i kocham... Cierpliwości, natchnienie spłynie, jak łaska boża.

Wyszła, zamykając za sobą cicho drzwi.

Adam, zostawszy sam, ręce włożył w kieszenie, kontent był z siebie. Dobrze odegrał rolę, nie zdradził przed żoną prawdziwych pobudek gniewu, nie pokazał, że młodzi panicze, mimo że z nich żartował, upokarzali go. Przeciwnie, urósł w jéj oczach, wierzył, że go kocha. Chodził szerokiemi krokami po pokoju, marząc przyjemnie, przestawał zazdrościć wymyzianym facetom, drwił sobie z ich elegancyi i zręczności.

— Czémże oni są, ci uczesani na gładko, w porównaniu ze mną?

Jakby na dowód swéj wielkości, pochwycił krédę i zaczął nią smarować zawzięcie po płótnie.

Przestał, zamyślił się i rzucił krédę na ziemię.

— Nie mam nikogo, sam jak na pustyni, ciągle, zawsze sam ze swemi myślami. Nie mam się przed kim zwierzyć, wygadać, wykłócić. Nie mam przy sobie krytyka-doradcy, a fachowca. Nie ma nikogo, coby razem zapalał się ze mną lub kubły zimnéj wody lał mi na łeb. Czuję brak Knajpkiewicza... Gdyby on tu był.

Pomyślał i zaśmiał się.

— Knajpkiewicz tu, w tym pałacu, chodzący po salonach, palący papiérosy bez munsztuków, rzucający niedopalone ogryzki na podłogę, śmiejący się głośno, zakładający zwykle nogę przy siadaniu pod sie-

bie. A co za boski język u Knajpkiewicza! Tęsknię za tym naszym żargonem... A jaka trzeźwość, zapał do rzeczy prawdziwie godnych podziwu. Cóż to za artysta! Potrzebuję koło siebie artysty, kolegi, gwałtem koniecznie.

Sprowadzić Knajpkiewicza, to byłaby heca, wielka, piramidalna heca... Sprowadzić go i rzucić w pośród tych wymyzianych facetów. Jakby się oni oglądali wzajemnie... Siadł przy biurku i zaczął pisać gwałtownie.

„Kochany Stachu, miły Koko, luba Knajpko!

Jak się masz? Co u was słychać? Jużeście się pewno ściągnęli na zimowe leże? Jak ci idzie robota? Zacząłeś co naprawdę, czy też smarujesz blagę dla fenigów i kufla? Nasz stary pytał się o mnie i pewno się dziwił? Kto zajął moją pracownię? Kätti czy wyszła za mąż? Julek kończy swój obraz? Jest co na nim? Fritz i Peters pewno dalej kaulbachują, filozoficzne idyoty.

Mam do zasmarowania kawał płótna około dwóch metrów w kwadrat. Ale cóż, zagwożdżona moim idyotyzmem myśl nie chce wyjść ze łba. Gdybyś tu był, możebyś ją wypompował, wyciągnął za uszy. Stachu, cóż ty na to wszystko?

Nie leń się i napisz prędko, długo do twego

Adama.

Wszystkich facetów bliskich mego serca uściskaj, facetki wycałuj, „starego“ pozdrów.“

Zaadresował: „Stanisław Kokosiński, artysta-malarz, w Monachium“, zarekomendował, list wysłał umyślnym na pocztę.

Na odpowiedź czekał niecierpliwie.

Przyszła w tydzień.

Na widok listu zarumienił się, pochwycił go pobiegł z nim do pracowni, usiadł dla większej fantazyi na stołku, jak na koniu, rozdarł gwałtownie kopertę i czytać zaczął:

„Kochany Komiku!

Od czasu, jak wlazłeś w skórę szlachcica, żywisz się samemi bekasami i słoniną, zapomniałeś o kolegach... Dopiero gdy cię przypiekło i rady sobie dać nie możesz, wyciągasz ręce, wołasz, płaczesz! A może ty smarujesz aksamity i będziesz chciał w nas wmówić, że to historya? Nie przypuszczam, abyś do reszty zidyociał. Zostaw tę zabawkę starym próchnom.

Podczas wakacyi sprółem się do ostatniego feniga i teraz muszę co miesiąc zasmarować jedno płótno. Jest tu agent z Nowego Jorku, zamówił u mnie trzy *„landschafty“* po sto dolarów. *„Nur grüne und gelbe“* powtarza mi. Utrzymuje, że w tém *grüne und gelbe*, jestem

soczysty. Skonać z tymi facetami. I to są znawcy i mają mieć nosy!...

Pracownia twoja nie zajęta. Kätti trzyma ją dla ciebie. O naiwności! wierzy, że do niéj wrócisz. Dla honoru polskiego powinieneś zapłacić, zadasz szyku niemkom. Widziałem wczoraj tę dziewczynę, przyblakła, lecz jéj z tém dobrze, zawsze u niéj tupet wielki, — oczy podsiniałe dają dobry refleks, świécą fosforem. Wiész, ona jeszcze w tobie zadurzona... Nic nie wié... Mówiła mi, że ślub jéj niedługo.

„Stary" pytał się o ciebie, powiedzieliśmy mu wszystko. Machnął ręką i miał minę, jak gdyby pomyślał: facet ten za rok utyje na słoninie, a za trzy zrobi się z niego stary grzmot.

Przyjechało tu z Krakowa do nas czterech w cylindrach, glansowanych rękawiczkach, uczesani na gładko, pachnący zwietrzałemi perfumami... Wszystko razem, cylindry i perfumy dają pojęcie o rodzaju ich szkoły.

Wyleczą się, gdy im się cylindry połamią, a guldeny wyfruną. U nich robić z siebie małpę, nazywa się dotąd szyk.

Julek pracuje i wściekle jedzie naprzód,—facet ten ma poczucie kolorów i światła danéj chwili. Wszystko u niego w ruchu, — drzewa rosną...

Cóż więcéj? U nas tu szumi, jak w ulu, biéda nas młóci, ale za to życie kipi... Słoniną się nie opychamy, bekasami także nie, — chudzi jak charty, ale za to weseli, jak młode dyabły.

Wiész, z ciebie był niezły komik, póki nie zgłupiałeś na bekasach i truflach.

Kochany idyoto daj pyska

twój

Stach.

Koledzy cię ściskają i całują. Mają cię za pogrzebanego dla sztuki.

— Czyż facet—mówią—wypchany pasztetami, nadziany słoniną, może co innego smarować, prócz soczystych aksamitów?!...

Dorchen, pamiętasz ją, ta ruda z omdlewającém spojrzeniem, z sinkowatą karnacyą ciała, bierze mnie na klapę i zawraca nogę — miłością... Dorchen zakochana, i to we mnie — umrzéć ze śmiechu, lub w pyski się bić.

Smaruj soczysto, potém lakieruj i bądź wielki."

Adam odczytał list dwa razy, miał łzy w oczach ze śmiéchu...

— Dzielny facet—powtarzał—dzielny...

Wspomnienia tylko co minionéj przeszłości tłoczyły mu się nawałnicą do mózgu.

Kochająca Kätti, przyjaciele, ich wesołość, towarzystwo, serdeczna koleżeńskość, humor, rozkosze i udręczenia tworzenia, wzajemna krytyka, gorące dysputy, walki nowych szkół, kawiarnie, uczciwa i wesoła biéda—wesoła pracownia, w któréj tyle dni przemarzył i przepracował... Wszystko razem i po kolei przesuwało się w jego umyśle, stawało w wyobraźni, żywe i urocze.

Kätti blada, w oczach ognie, obwódki sine... Słyszał jéj szept: *„mein Schatz, mein Kind, mein Gott.“*

— Staréj—mówił do siebie—wyszlę pieniądze dziś jeszcze. Zapłacę za cały rok! Jednemu Knajpkiewiczowi, gdy skończy swoje soczyste *„landszafty“*, pozwolę w niéj pracować... Macie mnie za pogrzebanego dla sztuki... Pokażę wam!...

Uczuł raptowną ochotę napicia się piwa, zadzwonił kazał sobie podać.

Wydobywający się kwas węglowy przesycony zapachem chmielu, drażnił jego wyobraźnią, przypominając mu knajpkę i rozognioną własną i kolegów fantazyę.

Pochwycił krédę, rysował gorączkowo. Rozjaśniało mu się w głowie i karton się rozjaśniał. Pracował bez wytchnienia, kreślił, mazał i znowu kreślił, poprawiał, dodawał.

— Mam, mam, cicho, — szeptał; serce mu biło. W pracowni ukazała się raptem Marya, stanęła u portyery — patrzała. Zapadał mrok, złotawy odblask zachodzącego słońca wypełnił pokój. Adam obejrzał się, zobaczył rozpromienioną żonę.

Rzucił krédę, podbiegł do niéj i pochwycił ją w objęcia.

— Maryniu, zaczyna się rozjaśniać w głowie i na płótnie.

— Przeczuwałam, byłam pewna. Natchnienie musi być obudzone.

— Przebudziło się -- prawda. Czuję przebudzenie. W téj jednéj chwili zrobiłem więcéj, aniżeli przez miesiąc, wystając godzinami przed płótnem.

— Cieszę się, jestem dumna tobą—pocałowała go. — Przyszłam cię zabrać, obiad za pięć minut, mamy gości. Wiktorowie, Władzio, Bolesław. Musisz się przebrać koniecznie.

— Przebrać, prawda, muszę się przebrać—spojrzał na obraz. — Patrz, ta postać młodéj dziewczyny wysunięta naprzód, czy ona nie bądzie wyskakiwać z obrazu?

— Nie wiem—odpowiedziała Marya zakłopotana.—Ty temu poradzisz z łatwością. Chodźmy, mój drogi—czekają.

— I znowu brać obrożę białego krawata i glansowane rękawiczki—jeść bekasy i trufle.

— Nie ma mowy o glansowanych rękawiczkach — przerwała mu żona—bekasów i trufli nie będzie.

— Nie będzie? więc cóż?

— Czyż tylko cię samemi bekasami żywię?

— Myślałem!

Roztargniony był, w połowie nieprzytomny.

Marya zaczęła się śmiać; służący szybko go ubiérał.

— To ja muszę prowadzić panią Wiktorową do stołu i siedziéć przy niéj koniecznie?

— Niezbędnie. Przeczuwam, że będziesz nieprzytomny. Zmiłuj się, przynajmniéj z początku rozmawiaj.

— Czemuż ja nie siedzę przy tobie? Dobrze mi przy tobie, jak synowi przy matce. Pod twoją opieką jestem spokojny.

Weszli do salonu i w téj chwili dano znać o zjawieniu się wazy na stole.

Zasiedli, rozmowa toczyła się banalnie, a jednak wesoło, nie bez uroku i żywości.

Poruszano wszystkie kwestye, od powszednich plotek do ostatecznych zagadnień życia ludzkiego. Ponad tém, jak przyjemny zapach, unosił się flirt, rodzaj palonych kadzideł na cześć pań, które zręcznie rozdmuchiwały ogień.

Judyt bawiła się wybornie. Siedział przy niéj trzydziestokilkoletni przystojny mężczyzna o wytwornym układzie, mistrz w flircie i salonowéj rozmowie. Marya panowała przytomnością umysłu, zręcznością i trafnym sądem. Judyt dzieliła swe zachwyty między sąsiada a Maryą. Namiętności nie rozbudzane cichły w niéj i zastygały. Oddawała się cała rozkoszy swobodnego bez trosk życia.

Przypuszczenia Maryi sprawdziły się. Adam zdradzał nieprzytomność. Pochłaniały go kompozycya zaczętego obrazu i odświéżone wrażenia odebranego listu. Wszystko razem krzyżowało się w jego umyśle.

Pani Wiktorowa, uznana piękność, czuła się w obowiązku rzucić kilka pytań nieokrzesanemu chłopcu, który dziwnym a niepojętym dla niéj wypadkiem został mężem jéj krewnéj.

Łaska ta jednak nie została oceniona ze strony Adama: odpowiedział zaledwo kilku wyrazami i to jeszcze dziko.

Zapytany o ostatni obraz Marksa, odparł:

— Za dużo bizmutu—i ani słowa więcéj.

Co to znaczy: za dużo bizmutu? Co jest bizmut? Czy to jest opinia artysty o obrazie, o którym pisze i mówi Europa?

Pani Wiktorowa uśmiechnęła się nieznacznie. Marya zobaczyła uśmiéch i przebaczyła go. Adam w jéj oczach był wielkim, a wielkość ma swoje przywileje i prawa. Rozumiała je... Adam był pięknym i młodym, a piękność i młodość mają prerogatywy w oczach kobiét.

Kochała go, nie raził ją. Miał swój oryginalny wdzięk i sposób bycia—to jéj wystarczało.

Rozciekawiona bizmutem piękność, a rozbawiona nieprzytomnością artysty, zaczęła mu coraz częściéj zadawać pytania. Pomagał jéj mąż i wytworny flircista, siedzący przy Judycie.

— Czego ci idyoci odemnie chcą? — powtarzał w duchu Adam, patrząc na Maryą, jak gdyby szukał u niéj ratunku i obrony.

Zrozumiała spojrzenie i zaczęła żywo z przejęciem opowiadać teorye tworzenia artystycznego dzieła, przytaczając przykład na rozpoczętym obrazie swego męża.

— Myśl twórcza, gdy opanuje artystę, dopóty go dręczy, gnębi, pochłania, póki jéj nie wypowié na papiérze, marmurze lub płótnie. To są przyczyny roztargnień i nieprzytomności artystów. My, nie mając powodów do roztargnień, jesteśmy zawsze przytomni, panami siebie, jednacy, mniéj lub więcéj dowcipni.

Odczuto pocisk, lecz nikt się nie odważył odrzucić go.

Adam podziękował wzrokiem żonie za obronę, zachwycony jéj rozumem.

Dano mu pokój, rozmowa weszła na inne tory. Flirt odzyskał panowanie, jako jedyna salonowa zabawa.

Adam puścił wodze marzeniom... Mimowoli jednak wpadały mu do mózgu oderwane zdania rozmowy...

— Czego ci idyoci chcą od świata, sztuki i ludzi? — powtarzał w duchu.

List przyjaciela rozmarzył go, oddając całego sztuce. Po za nią egzystowali: słodcy i weseli, komiki, facety, razem wzięci — idyoci...

Po obiedzie uwolniony od pańszczyzny, wpadł do swéj pracowni, wpatrując się w płótno oświetlone lampą. Naznaczył parę punktów do rozjaśnienia na jutro i kontent z siebie, gardząc filistrami, chodził rozpromieniony.

Głuchy turkot po wysypanéj żwirem drodze dał znać o rozjechaniu się gości. Za chwilę późniéj do pracowni weszła Marya.

— Uczesani na gładko wyjechali?—spytał.

— I w glansowanych rękawiczkach—dokończyła wesoło.

Adam objął ją w pół i siadając na fotelu, przyciągnął ku sobie.

— Obroniłaś mnie, dali mi pokój... Widzisz, sierota w waszym świecie, potrzebuję matki. Niedołęga, idyota, umiejący tylko zasmarowywać płótna, potrzebuje opiekunki. My mamy jeden tylko zmysł, wzrok, jedno poczucie: harmonię, kształtów w oświetleniu — i nic, nic więcéj... Światło nam wypaliło mózgi, wrażliwość na kształty wzięła resztę—cóż zostało?...

— Natchnienie, artyzm, sława, nieśmiertelność—odpowiedziała Marya, patrząc mu w oczy.

— Maryniu, a gdyby ten artyzm zamarł, odleciał, musiałbym i ja odejść, jako niepotrzebny sprzęt.

— Nie odejdzie—zaprotestowała. — Nareszcie zostałby uczciwy człowiek, dobry mąż...

— Tylu jest na świecie uczciwych niedołęgów.

— Nie mówmy o tém, jesteś dopiéro na początku swéj karyery u wrót sławy.

— W naszym zawodzie początek bywa często końcem.

— Po cóż te przypuszczenia, mój Adasiu. Wy artyści zmieniacie się co chwila. Przed obiadem wierzyłeś w siebie, po obiedzie tracisz wszelką nadzieję. Nie bój się, będziesz wielki i sławny...—odgarnęła włosy z jego czoła i pocałowała.

— Kto i co może przeszkadzać ci piąć się na wyżyny. Twoja wola jest tu rozkazem.

„*Mein Schatz, mein Kind, mein Gott*“ — przesunęło się w umyśle Adama. Zrozumiał różnicę miłości tych dwóch kobiét. Marya kochała go za produkcyą jego mózgu, kochała w nim sumę jego wartości, Kätti żartowała sobie z wszelkich produkcyi, kochała go, bo tak się jéj podobało... Marya nawet nie rozumiała, aby mogła egzystować miłość nie oparta na wartości...

...A jednak egzystuje prawdziwa, jedyna bez pamięci i sądu.

Nazajutrz rano Adam pojechał do miasteczka na pocztę. Matce Kätti wysłał należność przypadającą za cały rok komornego, przyjacielowi do wesołego listu dołączył pareset papierków, radząc mu, aby porzucił soczyste „*landszafty*“, a zabrał się naprawdę do roboty.

Wracając marzył o tém, jakie zrobią wrażenia przesyłki: na Kätti, Knajpkiewiczu i kolegach.

— Zadam im wielkiego szyku, — zdziwią się... Kätti uszczęśliwiona rozpowié wszystkim, że wracam... Piwowar obejmie ją w posiadanie, ale po moim przyjeździe,—rozśmiał się wesoło.

Odświeżony wspomnieniami, zabrał się gorączkowo do pracy. Zaczął obraz podmalowywać, aby nareszcie przekonać się o dobrém rozmieszczeniu swych figur.

Minął tydzień, jak krótki sen. Adam znowu uczuł gwałtowną potrzebę poradzenia się. Nie miał nikogo przed kim mógłby głośno myśléć... Wzrok przyzwyczaja się do błędów, jak do potwornéj mody, nie rażą go, nie widzi ich.

Patrzeli również na obraz Marya, Judyta i Roman i nic powiedziéć nie byli zdolni.

Monotonię życia Adama przerwał list Knajpkiewicza?

„Pycho komików!

Blaty twoje narobiły huku wśród niemek całéj kamienicy, w któréj mieszkam. Pierwsza przyleciała praczka z zakasanemi po łokcie rękawami. Podparła się pod boki, stanęła we drzwiach i ani rusz.

Nie było wyjścia należało ją zepchnąć z posterunku dziesięcioma blatami... Przebacz za nadużycie pierwsze i ostatnie.

Wybiegam na schody, zderzam się z gospodynią, krzyknąłem „*gleich*“ i leciałem na dół jak kula. Wystraszona niemka przylepiła się do ściany, ręce złożyła, powtarzając: „*Sacramentum—heilige Maria.*“ Ja do bramy i na ulicę.

Po obiedzie wyruszyliśmy z *Maximiliankaffe* z damami za miasto w dwadzieścia dorożek. Muzyka, w dwóch dorożkach na przodzie, grała marsza.

Filistry powyłazili ze sklepów upokorzeni, młode filisterki zazdrościły... Szyk był oślepiający, radość gruba, miny bycze. We Frascati wypiliśmy beczkę ponczu z ananasowym sokiem—i nim, ananasie, piliśmy twoje zdrowie...

Tańce trwały do północy.

Po powrocie do miasta został rozbity sklep z pochodniami. Z zapalonemi pomaszerowaliśmy do starego... Wyszedł na ganek w szlafroku i szlafmycy, miałem do niego mowę, kłaniał się i płakał z rozczulenia.

Ostatnią dyskę z twego kapitału dałem stróżowi... Rzadko mu się to zdarza, nie chciał wierzyć i o mało co z wdzięczności nie padł mi do nóg...

Twój Stach.“

Nazajutrz rano Adam znalazł się w pokoju Romana. Rozmawiali długo.

— Jeżeli gwałtownie się uprzesz, Marya nie będzie cię siłą zatrzymywać. Nadto jest rozumną, a powiem prawdę, jeśli dodam, że to kobiéta wielkiéj ambicyi i szlachetnéj dumy.

Adam chodził po pokoju.

— Powiédz sam, czy to będzie miało sens? Ożeniłeś się zaledwo od kilku miesięcy,—pomijając wszystko inne, masz żonę młodą, piękną i uciekasz od niéj! Co powiedzą ludzie—okolica?

— Ludzie—okolica? Jacy ludzie, jaka okolica? Od czasu, jak mieszkasz w pałacu, zrobiłeś się skończonym filistrem. Tych kilku słodko wymownych facetów nazywasz ludźmi?...

— Co nareszcie Marya powié—przerwał mu Roman — a jeszcze gorzéj, co sobie pomyśli?

—- Ona kocha we mnie przedewszystkiém artyzm, sławę, oklaski, uznanie. Ona kocha artystę, a nie człowieka, rozumiész. Jeżeli pragnie miéć artystę, niech go nie trzyma w klatce, na uwięzi...

— Czego ty chcesz? Bój się Boga, czego ty naprawdę chcesz?

— Ja chcę artystycznego powietrza. Tu jest wszystko, zbytek, ale duszno?

— Jakto, nie masz natury?

— Cóż mi nieustannie wyjeżdżasz z naturą. Pejzaż jest dla mnie podkładem obrazu i nic więcéj. Nie masz pojęcia, poczciwy filistrze, co to jest artystyczne powietrze, którém się oddycha i łapie z niego idee...

Zawrócił się, raptownie otworzył drzwi i wyszedł.

— Adam!—wołał za nim Roman.

Nie obejrzał się, nie odpowiedział.

— Zaczyna brykać, nerwy nim szarpią, pragnienie zmiany miejsca pcha go... Tu mu za dobrze, za wygodnie... Cygany wabią do siebie cygana, nie może im się oprzéć... Kupiła sobie kobiéta gagatka...

Załamał ręce...

— Co teraz pocznę, co powiem, jak go wytłómaczę?...

Uczciwy człowiek wstydził się za brata, żal mu było szlachetnéj kobiéty, którą kochał uczuciem pełném podziwu, uczuciem ojca rozkochanego w swém dziecku i sługi rozkochanego w swéj pani.

— Co ja teraz powiem? a powiedziéć muszę, inaczéj sam ucieknie. Te cygany nie mają pojęcia o obowiązkach uczciwego człowieka. Znam ja was... Brak mu atmosfery knajp, blagi, brak cygańskiego żargonu, modelek, kochanek. Pójdę i raz jeszcze przemówię do jego rozsądku.

Zatrzymał się w połowie pokoju.

— Czyż on go ma? Odpowié mi, że jestem na gładko uczesany facet, ciekawy pan, filister, a nareszcie idyota. Niech go piorun trzaśnie z tą nieokiełznaną naturą. Egoista, dla dogodzenia swéj fanta-

zyi gotów porwać najświętsze obowiązki... Brak mu artystycznego powietrza, w którém mógłby łapać, jak muchy idee—głupiec.

Poczciwa, prosta natura Romana oburzała się.

— Nie ma innéj rady, muszę iść do niéj, wstyd wypala mi policzki, lecz iść trzeba.

W godzinę późniéj Marya znalazła się w pracowni Adama.

— Masz ochotę jechać do Monachium?

— Muszę—odpowiedział cicho.

— Tém więcéj, że musisz. I milczałeś dotąd przedemną.

— Nie śmiałem—szepnął.

— Nie masz do mnie zaufania—do swéj żony.

— Ależ mam, tylko bałem się.

— Czego? Jeżeli twoja sztuka wymaga, abyś jechał, czyż mogę cię zatrzymywać... A jeżeli ci się tu nudzi z nami, czyż chciałabym...

— Maryniu—zawołał, a czuć było w jego głosie żal.

Marya wyciągnęła ręce.

— Przebacz, lecz ja zawsze i w każdym wypadku powinnam pierwsza od ciebie dowiadywać się o twych zamiarach. Musi się taka harmonia wytworzyć w naszém pożyciu, abyśmy mogli jedno wobec drugiego myśléć głośno. Ja się w niczém nie ukrywam przed tobą. Nie mam ani jednego pragnienia, abym go nie mogła wypowiedziéć tobie. Mam więc prawo żądać wzajemności.

Adam chciał jéj przerwać, zatrzymała go.

— Czułam od pewnego już czasu zmianę w tobie. Domyślałam się, że potrzebujesz rady twych przyjaciół, krytyki twego mistrza. Wierzę, że towarzystwo kolegów ożywi cię, doda energiii i zapału do pracy, rozwinie natchnienie.

— Maryniu...

— Nie chcę być zawadą na drodze twego talentu, kulą u twych nóg, nie będę ci nigdy przyprawiać ołowianych skrzydeł.

Z za portyery wyjrzał Roman.

— Jutro pojedziesz — mówiła daléj Marya — rozkazy wydane. Odwiozę cię do dworca kolei. Czy jesteś zadowolony ze swéj żony?

— Na kolana, urwisie—zawołał Roman. — Gdybym ja był na miejscu Maryni...

— Kochałbyś go tak, jak kochasz—dokończyła.

— Lecz inaczéjbym go trzymał.

Adam był wzruszony, zgnębiony, a jednocześnie olśniony szlachetnością Maryi.

Nic nie odpowiedział, ujął jéj rękę i pocałował.

— Przynajmniéj powiédz, kiedy wrócisz,—nalegał Roman.

— Przedewszystkiém tego nie wymagam — odpowiedziała za Adama Marya. — Wrócisz, kiedy ci się będzie podobało, kiedy zatęsknisz za nami. Terminu nie oznaczaj...

— Wrócę kiedy obraz będzie na ukończeniu. Nie zmarnuję ani jednego dnia.

— Zgoda, wrócisz kiedy będziesz mógł.

Roman mu pogroził.

— Cyganie—szepnął.

Drzwi się zamknęły,—Adam został sam.

— Czy ja nie jestem łajdakiem — zawołał. — Bo po co tam jadę w gruncie rzeczy... Do cyganeryi, kochanych kolegów, i do — nie wstydź się, powiédz—młodéj, ładnéj, zakochanéj we mnie dziewczyny. Tu mi duszno i ciężko, że rady sobie dać nie mogę, bom cygan i kwita. Ale i artysta, i jak ryba wody, potrzebuję artystycznego powietrza. Co ja tu wysiedzę? Czuję, że niczém nie jestem, tylko artystą, lub idyotą. Mam zostać tu idyotą, wolę tam być człowiekiem. Pragnąć i walczyć. Chcesz mieć ze mnie artystę, będziesz mieć, tylko nie upokarzaj mnie dobrocią i łaskawością królowéj... Czy czasem ona nie oblagowuje siebie saméj tą wielką miłością do mnie—poprawnego egzemplarza Knajpkiewicza.

Mimo całéj czci i sympatyi dla niéj, gdy mi zadługo imponuje, gdy mi swoją nieskazitelnością i wielkością dopiecze do żywego, nie cierpię jéj, bierze mnie ochota dobrze ją zbić.

Kätti mi nie imponuje, ma tyle pojęcia o wyskokach szlachetności, co Knajpkiewicz o historyczném malarstwie... Kätti jest głupia dziewczyna, lecz kocha naprawdę, — Marya jest wielką panią, blagującą miłość.

Różnicę tę czuję przez skórę... Niechże mnie piorun trzaśnie, kiedy dotąd nie mogę być prawdziwie swobodny wobec swéj własnéj żony.

Gdybym ja mógł być naprawdę sobą wobec niéj, szalałaby za mną... Głupcze, gdybyś był sobą, byłbyś prawdziwym Knajpkiewiczem. Oczyby na ciebie wytrzeszczała.

Tak źle, tak niedobrze... Płyń łodzi życia, tam gdzie musisz—kwita. Czyż jestem w stanie ją zmienić?

Zaczął ostrożnie zdejmować z ram płótno rozpoczętego obrazu.

Przywołany stelmach dworski pomagał mu. Walec i skrzynię z przywiezionego portretu Maryi przykrócono i w nią schowano podmalowane płótno.

— Coś słychać, że wielmożny pan jedzie od nas w świat za morze—zaczął stary, przybijając ćwieki do skrzyni.

— Więc cóż?—spytał Adam.

— Ha, cóż nic, tylko ludziom dziwno, od takiego bogactwa, od jaśnie pani młodéj, ślicznéj jak pączek róży— uciekać.

— Wyjechać, to nie znaczy uciekać, rozumiész.

— Rozumiem, tylo stary Mateusz ciągiem wróżą, że wielmożny pan ucieknie i jasną panią samą w smutku zostawi.

— Powiedz staremu Mateuszowi, że jest stary osioł.

— Powiedziałem mu to ze sto razy. Ale cóż, ja swoje, on swoje... A gdzież to będzie wielmożnemu panu lepiéj?... Jasna pani pieści, brat gospodarzy, a wielmożny pan ino baraszkuje sobie, a gdy się znudzi pędzelkiem po płótnie siach - mach... I uciekałby od takiego raju?

Stary czekał na odpowiedź, Adam odwrócony milczał. Nie doczekał się, wziął czapkę, miął ją w rękach i nareszcie:

— Niech będzie pochwalony!—odezwał się.

— Na wieki.

Odszedł.

— Lud — szepnął artysta — przeczuwa mnie, a piekielny ma węch. Jest mi jak w raju... Kapitalne! Posądzam praojca Adama, czy czasem z raju nie wygnały go nudy... Ja jestem wielmożny, a żona moja jasna pani. Chłopi arystokraci, tak samo jak filistrzy... Ja tylko baraszkuję i po płótnie siach - mach... Mają mnie za próżniaka i darmozjada. Czują, że rola moja w tym domu żadna, a ja dodam głupia, nawet nędzna... Być mężem i niczém więcéj—straszne... Ależ głupcze—krzyknął—nie chciałeś być niczém więcéj...

Do pioruna, nie umiałem... Dobrze im tak, niech nie robią z cygana króla.

Wszedł Roman.

— Przynoszę ci pieniądze na drogę. Dwa tysiące guldenów, sądzę, wystarczy.

— Ależ, mój Romanie, nigdy tyle odrazu w życiu nie miałem.

— Zrobili cię królem.

— A ja łapię dwa tysiące i uciekam. To zawsze lepiéj, jak gdybym złapał sto i drapnął. Należę do lepszéj kategoryi.

— Adasiu — zaczął rzewnie Roman. — Jeżeli już musisz się najeść tego artystycznego powietrza,--jedź, nie ma na to rady; lecz wracaj za tydzień, najdaléj za dwa. Młodéj żony nie zostawia się saméj. Gdybyś bawił dłużéj, znaczyłoby, że lekceważysz ją i jéj przywiąza-

nie. Obraziłbyś ją śmiertelnie. Plotki zaledwo zaczynają cichnąć. Adasiu, przecież ty jesteś szlachetny i uczciwy człowiek.

— Maryą, powiedziałem ci dziesięć razy, nie obchodzi — odparł rozdraźniony Adam, — ani moja szlachetność, ani uczciwość, ani moje do niéj przywiązanie. Ją obchodzi mój artyzm, moja sława. Ponieważ je chce mieć, musi znosić następstwa.

— Dziecko jesteś, nie znasz kobiét.

— Być może, ale znam moją rolę.

— Jaką?

— Męża-malarza. Czémże tu jestem?... Mężem-darmozjadem, mężem-niczém. Niechże przynajmniéj będę mężem-artystą. Oto tajemnica i gwałtowna potrzeba mego wyjazdu... Jeżeli jéj nie rozumiész, toś biédny, a ja ci téj kwestyi nie rozjaśnię.

— Rozumiem, ależ należy umiéć pogodzić.

— Ja nie umiem, ty gódź, jeśli chcesz.

— Przeczuwałem to nieszczęście.

— A ja, sądzisz, że nie? Myśl ta budziła mnie w nocy i spać nie dawała. Marya, gdyby miała męża ze swych sfer, gospodarza, obywatela, zakładającego szkoły i ochronki, budującego mosty i drogi, uczciwego człowieka a na zwykłą miarę, byłaby szczęśliwa.

— Ty jéj nie kochasz—zawołał Roman.

— Nie prawda, kocham, lecz lituję się nad nią, że wzięła sobie chłopaka, zapatrzonego w barwy i światła.

— Adam, co ty naprawdę myślisz?

— Wykąpać się w mojém powietrzu, żyć, działać i pracować, jak umiem.

— Żona?

— Poczeka. Nie brak jéj tu zajęcia i rozrywek. Nie umiem być niewolnikiem chociażby takiéj kobiéty, jak Marya. Bekasami i słoniną mnie nie uwięzicie. Bądź zdrów...

Roman, człowiek czynu, nie odznaczał się wymową. Ogłuszony jéj potokiem, chociaż nie przekonany, milczał.

Nazajutrz o oznaczonéj godzinie zajechał powóz. Rzeczy Adama i obraz odeszły rano.

Marya zaprosiła do towarzystwa Judytę, pod pozorem, że byłoby jéj smutno wracać saméj, lecz istotnie dlatego, aby nie być sam na sam z Adamem. Unikała wynurzań z jego strony i tłómaczeń.

Gdy raz zgodziła się na wyjazd, za żadną cenę nie zmieniłaby postanowienia.

— Jeżeli chce, to znaczy: musi i powinien — powtarzała przed samą sobą.

Stanowczość jéj charakteru nie znosiła wahania.

— Powiedziałby, a gorzéj jeszcze, gdyby odczuł, że jestem kulą u jego nóg, zabijam w nim talent, marnuję go dla sztuki.

— Teraz, choćby nie chciał, pojedzie.

Przez drogę prowadzili swobodną rozmowę o Monachium, wybitnych malarzach, profesorach, o szkołach, walkach i o wesołém życiu koleżeńskiém. Adam ożywiony odpowiadał z serdeczną życzliwością na każde zapytanie Maryi.

Zajechali na parę zaledwo minut przed odejściem pociągu.

— Napisz, gdy będziesz miał czas i ochotę — mówiła Marya, wyciągając rękę na pożegnanie.

— Posądzasz mnie, że może mi go zabraknąć?...

— Nie posądzam, tylko proszę, abyś się nie krępował. Pańszczyzna w każdéj formie jest ciężką i nieznośną.

Nie było czasu na odpowiedź. Podała mu czoło do pocałowania, odjechał.

Kobiéty wsiadły do powozu...

— Skończyły się piękne dni Aranjuezu.

— *Mary* co ty mówisz?

— O ile się przyjemniéj śni, o tyle srodzéj jest się przebudzoną... Marzyłam, że będę duchem opiekuńczym talentu młodego człowieka, że będę mu dawać wspaniałe i wielkie idee do obrazów, on tylko przenosiłby je na płótno.

Zbudziłam się z tém przeświadczeniem, że nie mam pojęcia o tajemnicach téj sztuki. Że malarz, aby mógł tworzyć, musi żyć w wielkiém mieście, w artystycznéj atmosferze, wśród swoich kolegów i mistrzów...

Cóżeś my mu dały?! nic... Talent jego zaprzepaszczał się wśród nas — i chcąc go ratować, uciekł. W tém dowód, że to jest artysta. Od młodéj żony, a pochlebiam sobie nie brzydkiéj, nie ucieka się, nie mając w sercu namiętności gwałtownych.

Judyt słuchała téj spowiedzi ze spokojem cierpliwéj powiernicy, powtarzając w myśli.

— Ona go kocha, broni i idealizuje, on za trzy dni będzie w objęciach Kätti.

— I znowu—zaczęła smutno Marya—po tylu wysileniach i walkach zostałyśmy same. O tyle szczęśliwsze, że naprawdę same, pod opieką prawego człowieka. Z brzmienia głosu czuć było, że jest wzruszona i zdenerwowana.

— Judyt — szepnęła — my się już nie rozstaniemy nigdy... Bo

gdybyś i ty uciekła odemnie?... Lecz gdzie?... Gdziebyś mogła uciec?— zamyśliła się.

Judytę przeszły dreszcze.

— Boże uchowaj mnie, abym miała kiedykolwiek od ciebie uciekać.

Objęła Maryę, pocałowała i przytuliła się do niéj z uczuciem niewolnicy.

VIII.

Adam w wagonie odzyskał pewność siebie, dobry humor i tę energię młodości, która bezwzględnie pcha ludzi naprzód. Patrzał przez okno na drogę wiodącą do Zalesia i na powóz zmieniający się w czarny punkcik niknący w niebieskawém przestworzu.

— Siła przeznaczenia rozdziela nas, mnie pędzi na zachód, ją przykuwa do kawałka ziemi... Była obrażona, czułem to po chłodzie pożegnania... Lecz jeżeli inaczéj być nie może... Zobaczymy czy zbudzi się w niéj tęsknota... Wątpię...

Otoczona swoim wymuskanym światem, będzie daléj królować i bawić się do upojenia a w chwilach wolnych gospodarować. Jedno i drugie lubi, tyle co ja sztukę. Dwoje ludzi tak odrębnych złączył dziki los, w tém tkwi cała komika.

Zaśmiał się sucho, zapalił papierosa położył się i marzył. Sam jeden znajdował się w wagonie. Zaczęło mu się robić czegoś żal, i ciężko na sercu.

— Przecież ja ją do pioruna kocham. Jest jednak jakaś wyższa siła ponademną i ta schwyciła mnie całą garścią za łeb, i więzi i ciągnie.

W Krakowie rzeczy zostawił na dworcu, wskoczył do karetki i kazał się wieść do Sukiennic na wystawę. Cały zatopiony w myślach chodził od obrazu do obrazu.

— Ci młodzi ludzie nie mają wytkniętego kierunku, stąpają po omacku, brak im przewodnika, idei, szkoły własnéj... Są tu i monachijczycy, ale odcięci, sami, wyradzają się... Nie brak i świetnych talentów...

Gdyby to wszystko pochwycić, zgromadzić i nieść na szczyty... Roznamiętniał się, wrzało mu pod czaszką. Wypoczęty mózg chłonął w siebie wrażenia z energią, przyśpieszającą bicia pulsów i serca.

Godzina czwarta wybiła, zamykano wystawę, musiał wyjść. Przypomniał sobie, że ma serdecznego kolegę z Monachium, ożenionionego w Krakowie. Wyszukał adres, pobiegł do pracowni. Była

pusta. Na staludze stało samotne płótno, podmalowane na wiejski obrazek.

— Nic więcéj? Gdzież pan?

— W Kałuszu, pojechał do pani, są tam i starsi państwo — odpowiedział stróż.

— Poczciwy Piotruś widocznie złyczał, tak samo, jak jab ym zeszlachciał. Dreszcz go przeszedł. Nie dałem się, Bóg mnie strzegł.

W nocy kuryerem odjechał. W Wiedniu, w tém mieście kokot, bankierów i żołnierzy, nie chciał się zatrzymywać, pomknął daléj, paliło go.

Na granicy zatelegrafował do Knajpkiewicza.

„Jestem kuryerem o 9-éj wieczór“.

„Speek — facet“.

Z daleka, z wyniosłéj płaszyczny niemieckich Aten biła łuna. Adam wychylał się z wagonu, patrzał ciekawie. Rad był wciągać całą piersią artystyczne powietrze...

Pociąg wleciał na stacyę. Na peronie stał Knajpkiewicz z miną zaintrygowaną w okrągłym kapeluszu i aksamitnéj kurtce.

— Stach — krzyknął Adam.

Knajpkiewicz uśmiechnął się zadowolony, podbiegł, przyjaciele rzucili się w objęcia.

— Przeczułem cię przez skórę wypasiony na słoninie smoku. Dobrze żeś przyjechał. Lecz cóż na to brat facet i facetka żona? Wszystkoś rzucił?

— Wszystko!... Myślisz, że bekasami można przykuć, gdy dusza rwie się do raju.

— Do naszego cygańskiego.

— Gdybym miał jedną żywą duszę przy sobie, choćby taki numer jak ty... Dobrzy ludzie, ale co do artyzmu manekiny... Co słychać?

— Twój przyjazd zrobi trochę wrzawy, koledzy pytają się o ciebie, a stary formalnie za tobą tęskni. On wierzy w ciebie.

— Wierzy, nie zdradzę go. Jedźmy.

Wsiedli do dorożki.

Niezwykły ruch i stukot na schodach ludzi niosących rzeczy, zbudziły cały dom. Kätti i jéj matka wyjrzały.

Kätti zobaczywszy Adama, uciekła.

— Wszystko na swojém miejscu — witając się, mówiła matka — Kätti pamiętała. Kätti! *Frau* Schmidt!... Gdzież się podziała? — zwracając się do Adama, dodała dobrotliwie.

— Młoda mężatka wstydzi się swych starych przyjaciół. Głupia, bo jeszcze młoda.

Adam złożył życzenia, wyrażając żal, że nie mógł być na ślubie.

Matka dziękowała, wprowadzając z trzymaną w ręku lampą gości do ich mieszkania.

Z systematycznością niemiecką wszystko znaleźli poukładane. Adam oglądał się dokoła po wielkiéj pracowni.

— Stachu, zdaje mi się, żem był na wycieczce w górach, wracam i jestem... Ja tylko tu mogę pracować, myśléć, tworzyć, żyć...

— A to się rozumie.

— Kätti mężatka.

— Nic nie wiedziałem — odparł Stach.

— Wstydzi się pokazać?

— Zła, żeś się spóźnił.

Stach znacząco uderzył Adama w kark.

— Jest mi tu dobrze, przyjemnie, czuję się na swoich śmieciach. Pali mnie jakiś ogień, radbym dziś jeszcze wziąć się do pracy. Chodźmy przywitać kolegów.

— Dobrze, ale czy nie masz naszego monachijskiego munduru. Zadałbyś szyku.

Adam otworzył szafę. Aksamitna marynarka, kapelusz pilśniowy, czerwony krawat, wszystko odświeżone wisiało w porządku.

— Patrz Knajp, jest co mi potrzeba, Kätti dzielna dziewczyna. W dwie minuty jestem gotów...

Ubierał się szybko.

— Wiész, żeś się nie zmienił. Zostało ci coś jeszcze z szlacheckiéj miny, ale i z niéj wśród nas wyrośniesz.

Adam spojrzał w lustro i rozśmiał się, rad z siebie.

— Czuję się tym samym. Chciałbym, żebyś jak najprędzéj obejrzał moją robotę. Przyjdziesz jutro rano?...

— Palisz się bratku i rwiesz do pracy jak zgłodniały wilk. Dobry znak.

— Tyle zmarnowałem czasu, że aż mnie wstyd.

Cicho wsunęła się do pracowni Kätti. Knajpkiewicz cofnął się na palcach ku drzwiom, wyszedł.

Młodziutka kobietka płacząc, położyła głowę na piersi Adama.

— Czekałam — szepnęła; nowy potok łez oniemił ją.

— *Mein Kind, mein liebes Kind* — powtarzał, tuląc ją Adam.

Zapukano, Kätti odskoczyła.

— Dosyć będziecie mieli czasu na romanse — dał się słyszéć z za drzwi głos Knajpkiewicza. A teraz chodź, albo zostań.

— Do jutra — szepnął Adam.

— Kiedy wrócisz?

— Za parę godzin, do widzenia.

— Do widzenia — odpowiedziała cicho i tajemniczo.

— Łajdak z ciebie — przemówił na schodach Knajpkiewicz.

— Być może; ale byłym większym łajdakiem, gdybym odepchnął brutalnie od siebie kobietę, któréj cała zbrodnia w tém, że mnie kocha.

— To prawda, że ty nie utyjesz na bladze filisterskiéj moralności; dla tego i za to cię lubię.

Przyjaciele ująwszy się pod ręce, wyszli na ulicę. Płonący gaz, tłumnie przechodzący ludzie, wystawy sklepów tak dobrze znane Adamowi, wszystko razem budziło w nim przyjemne wspomnienia. Ożywił się, nabrał wymowy, młodzieńczego zapału; dowcipkował z Knajpkiewiczem i śmiał się głośno.

Tylko co miniona przeszłość wydawała mu się snem, nie zajmował się nią, odczuwał chwilę obecną, zaczynał wierzyć, że zaledwo od wczoraj nie widział kolegów.

Stanęli przed kawiarnią.

— Gdy cię zobaczą, będzie wielka frajda. Prawdziwi nasi, starzy faceci powiem prawdę, okrutnie cię lubią. Wchodźmy, kapelusze z czoła, miny do stu piorunów.

W niskiéj, obszernéj sali, zasłanéj bilardami, w szarawéj atmosferze niebieskawego dymu; uwijała się gromadka młodych ludzi, o oryginalnych wyrazach twarzy i ekscentrycznych ubiorach.

Adam uśmiechnięty szedł za Knajpkiewiczem.

— Koledzy, marnotrawny syn! z tą różnicą, że ów biblijny łajdak wracał do słoniny i upieczonego cielca, a nasz uciekł od słoniny i pieczonych bekasów.

— Hura! Adaś, Adam-facet urwał się z pałacowego łańcucha i do nas przyleciał... Niech żyje! będą z niego ludzie!...

— Dwanaście butelek koniaku, cztery wazy, głowa cukru, kopa cytryn — dał rozkaz Knajpkiewicz.

Rozkaz Knajpkiewicza młodzież i służba przyjęła z zapałem. Kelnerzy witali Adama z radością i wielkim szacunkiem.

— Julek, słyszałem, że ci idzie?

Dwóch najzdolniejszych z młodszéj falangi malarzy uścisnęło się serdecznie.

Za chwilę, na wielkim stole, w czterech wazach, cukier oblany koniakiem palił się niebieskawemi płomykami... Knajpka, mistrz w tego rodzaju zajęciach, dyrygował.

Przy ponczu zapanowały wyborne humory, a rozmowa o czém żeby, jeżeli nie o téj jednéj, jedynéj, rozlała się szeroko.

Adam nurzał się w téj atmosferze dymu, ponczu, wesołych dowcipów, oryginalnych zwrotów. Umysł jego chciwy wrażeń chłonął wszystkie błyski oryginalności kolegów, czując w sobie odradzające się życie i zdrój nowych myśli. Nareszcie oddychał i żył w artystyczném powietrzu.

O północy odprowadzili go koledzy do bramy domu.

Knajpka zaintonował swego utworu pieśń powtarzaną chórém.

Rozbudzone bawarki wyglądały przez okna.

— Ach to ci weseli i przyjemni Polacy żegnają się— opowiadały sobie z odcieniem smutnéj zazdrości.

Adam zniknął w bramie. Macając po dobrze znanych dla siebie schodach, dostał się do pracowni.

Coś zaszeleściało, zapalił zapałkę, z ciemności wynurzyła się Kätti.

— Wracasz tak późno, bałam się...

Zapałka zgasła.

Rano o dziesiątéj zjawił się Knajpkiewicz.

— Pałacowy kundysie wylegujesz się, choć słońca nie ma. Ja od ósméj rano smarowałem swoje „landszafty“, a raczéj dwie krowy, ciele i pędzącą je dziewczynę, jako stafaż na téj żółtawo-soczystéj zieleninie.

Adam otworzył oczy i usiadł na łóżku.

— Śniłem, że jestem u siebie w Zalesiu.

— I cóż?

— Nic, nic, wyspałem się, odpocząłem, czuję się rześki, swobodny... Droga, tyle nowych wrażeń... Dziękuję ci kochana Knajpko za pamięć o mnie.

Zerwał się i zaczął ubiérać.

— Adaś, powiem ci prawdę, chciałem cię widziéć w dzień. No i gnała mnie ciekawość. Radbym pierwszy zobaczyć twoją robotę!

— Myślałem o niéj. Idź do gospodyni poproś o dłutko, młotek i kawę dla mnie. Mam wściekły apetyt.

Knajpkiewicz przyniósł młotek i dłutko, zabrał się gorączkowo do odbijania paki.

Weszła Kätti, świéża, pachnąca, uśmiechnięta szczęściem; cała w perkalikach wyświeżona.

Perkaliki i suknia robiły przyjemny szelest. Szła prosto do pokoiku Adama. Kończył się ubiérać.

Postawiła tackę z kawą, obejrzała się, przysunęła, nadstawiła wilgotne usteczka do pocałunku... Jeszcze raz, jeszcze raz i jeszcze

raz... pogłaskała go pieszczotliwie ręką po twarzy, przeszła do pracowni.

Knajpkiewicz rozbił pakę. Pomagała mu złożyć ramy, wyjąć płótno, rozwinąć je i przybić.

Wszedł Adam, Kätti zabrawszy filiżankę po wypitéj kawie, posyłając mu nieznacznie ręką całusa, wybiegła.

— Nie była ciekawa nawet okiem rzucić na płótno—odezwał się Adam.

— Także chciałeś, niemiecka filisterka.

— Mówisz, że mnie kocha.

— Ależ idyoto, skąd się tu wziąłeś? Nie rozumiész, że właśnie dla tego, że cię kocha, nie patrzy na twe obrazy. Co jéj po obrazach komiku, jeżeli ma ciebie?

Ostatni gwoździk przybił.

— A teraz dajmy pokój wszystkiém niemkom, patrzmy!

Adam utkwił wzrok w twarzy przyjaciela, czekając wyroku. Knajpkiewicz patrzał w obraz. Zbliżał się, oddalał, głową kręcił, mlaskał ustami... Nareszcie włożywszy ręce w kieszenie, odwrócił się do Adama.

— Oblagowałeś mnie.

— W czém?

— Pisząc żeś zgłupiał, tuczony bekasami.

— Bo co, mów prędko.

— Nie udawaj, mój drogi. Kompozycya jest, a z płótna musi być obraz.

— Stachu!

— A kiedyż to ja oblagowywałem przyjaciół? Każdy prawdziwy talent sprawia mi frajdę, jestem nim dumny i cieszę się naprzód upokorzeniem Niemców.

— Nic w nim nie widzisz? Patrzże przecie.

— Zaczekaj, nic mi nie mów, nie chcę patrzéć twemi oczyma. Zostaw mi czas, w ciągu twéj roboty przejrzę i powiem ci co zobaczę. Przecież do pioruna wierzysz w moją szczerość.

— I w przyjaźń — dodał Adam.— A prócz tego wierzę w ciebie, w twój artystyczny zmysł, w poczucie piękna i twoją szlachetną radość z pokonania formy.

— Patrz skąd wziąć model na tę pół nagą dziewczynę?

— Skąd? — znalazłeś się w kropce.

— Kätti nie zechce?

— Bekasy widocznie wydziobały ci mózg. Uszczęśliwiona pokaże ci białość karnacyi swego ciała i jego linie, idyoto. Kätti numer,

rozumiesz? Ta jasna plama na obrazie, te wysunięte na pierwszy plan, przepyszne kształty, wściekłe zrobią wrażenie... A teraz do Julka i do starego. Starego do dryndy, przywieziemy tu. Stary lubi młodość i talent, a każde jego słowo trzeba brać na wagę. Niekoniecznie, abyś go ślepo słuchał, ale w tém co powié, jest rzecz. Do Julka dryndą. Tyś teraz bogacz, a zadawać szyku Niemcom moja słabość... Wiész z naszego Guduli robi się bryndza.

— Taak, szkoda chłopa. Gdy był pod okiem starego, zdawało się, że będzie coś.

— A bez oka starego bryndza. Nie pierwszy on i nie ostatni.

Z wysokości dryndy Knajpkiewicz siedząc obok Adama patrzał z pogardą na przechodzących filistrów, zajętych sprawami i troskami dnia.

— Patrz Adam, jaki ze mnie zakuty łeb, zapomniałem dotąd spytać się ciebie o żonę.

— Pytaj się — odparł Adam.

— Ciekawy z ciebie numer. Pytać się łatwo, ale co? Chyba, że ona cię musi kochać?

— Dla czego?

— Bo przecież inaczéj nie puszczałaby cię z domu i do tego nie dawała mamony. Kobietom potrzebne są w domu łby mężowskie po to, aby mogły na nich kołki ciosać, rozumiész?

— Rozumiem.

— Czy ona naprawdę taka wielka dama, jak ją zrobiłeś na płótnie?

— Naprawdę.

— Może to i lepiéj, niż gdyby była filisterką, o któréj możnaby powiedzieć: numer *gesund* i nic więcéj. Jak ty z nią rozmawiasz?

— Po polsku — odpowiedział Adam spokojnie.

— Myślałem, że po łacinie. Bierzesz mnie na kawał, ale przyjdzie i na mnie koléj.

W pracowni a raczéj kwadratowéj izbie oświeconéj z powały, leżał rozciągnięty na kozetce Julek, trzymając w jednéj ręce paletę, w drugiéj pendzel. Leżał i patrzał nieruchomo w obraz. Na widok wchodzących kolegów zerwał się.

— Adaś tylko bez blag — zawołał.—Komunały nie dla nas.

— Cały wór komunałów zostawiliśmy w dryndzie. Wyjrzyj a przekonasz się — rzekł Knajpkiewicz.

— Julek poprowadził swych gości na dogodne miejsce do patrzenia na obraz.

Adam stał zapatrzony długą chwilę, w końcu wyciągnął rękę do kolegi.

— Tegom się nie spodziewał. Jak długo bawiłeś w Paryżu?

— Cztery miesiące.

— A ja pięć zmarnowałem, opychając się, jak mówi Knajp, słoniną i bekasami. Niech mnie piorun trzaśnie...

Usiadł, łokcie oparł na kolana w dłonie ukrył twarz.

— Adaś, ty wobec mnie będziesz rozpaczał — przemówił wzruszony Julek.

— Będę, nie przez głupią zazdrość, tego nędznego uczucia nie mam w sobie, lecz z żalu nad sobą. Szliśmy razem; ja stanąłem, tyś poszedł daléj.

— Facety, komiki, numery do porządku — odezwał się Knajp.— Adam nie rób z siebie idyoty. To coś stracił, zdobędziesz w miesiąc.

— Przestałeś wierzyć w siebie — poparł Knajpa Julek.

— Przestałem — zawołał Adam—i czuję, że jestem osioł, pacykarz, malarz pokojowy, skończony idyota. Jutro wracam do domu karmić cielęta, strzydz owce i sadzić buraki.

— Jabym ci dał — krzyknął Knajp — od czego zamki, rygle, powrozy.

— I Kätti — dodał żartobliwie Julek. — Ona ma zamki i powrozy.

Knajp odwrócił się i uśmiechał, Adam się zarumienił.

— Proszę was dajcie pokój. Kätti ma męża, ja żonę. Plotki mogą nam obojgu zaszkodzić.

— Damy ci pokój, ale i ty przestań nam blagować wyjazdem.

— Nie zawracaj nam nogi — dodał Knajp.

Julek go objął w ramiona i ściskał.

— Rozpogódź czoło, bo mógłbym przypuścić, że tak cię struło moje powodzenie.

— Tylko żal nad własną niemocą. Patrz — wskazał miejsce na obrazie — tych zwalczających się świateł i téj głębokości, nie potrafię. Czuję łapę techniki francuskiéj na tym obrazie. Nie popadłeś w niewolę ich szkół, ale bierzesz co chcesz.

Rozgadał się Adam, ożywił Julek. Knajp był jako zapałka. Rozprawiali, palili papierosy, chodząc po pracowni.

Co chwila stawali przed obrazem, który ich pobudzał do wyrzucania coraz nowych potoków myśli.

Przeszli na Paryż. Julek unosił się nad pięknością miasta i bogactwem jego galeryi.

W godzinę późniéj przyjaciele znaleźli się na ulicy.

— Zamiast się włóczyć po Neapolach i Wezuwiuszach, nalżało jechać do Paryża. Nie śmiałem tego powiedzieć żonie. Paryż w tym czasie był pusty. Dlaczego nie śmiałem?

— Adam, co tobie, masz minę, jak gdybyś uczuł gwałtowny ból.

— Ależ nie, może dym z papierosów, żywa rozmowa, ciągła zmiana wrażeń.

Raptownie stanął Adam.

— Knajp, pojedziesz ze mną do Paryża.

— Pojadę.

— Jutro.

— Jutro nie. Muszę najprzód skończyć moje soczyste „*landschafty*“, zapłacić długi i mieć troszkę mamony. Nie chcę być na twoim żołdzie. I tobie radzę: nie jedź, póki nie skończysz rozpoczętéj pracy... Polecisz, nowe wpływy, ludzie, kierunki. Płótno rzucisz w kąt, zapomnisz... a szkoda.

Adam się zamyślił.

— Zostań z nami. Koledzy, zaczęta, praca, stary... Powodzenie Julka wbiło ci ćwieka w łeb.

— Myślisz, że zazdrość mną szarpie?

— Daj pokój z zazdrością, zostawmy ją filistrom. Tobą szarpią nerwy, żal straconego czasu i talent, który cię bodzie, aby się wydobyć z czeluści twego mózgu. Każdy z nas to samo przechodzi. Jedyne na to lekarstwo, gwałtowne zabranie się do pracy... Daléj i daléj godzina za godziną, dzień za dniem... Adaś, dosyć téj komiki, chodźmy do starego.

— Dobrze, byle go tylko dziś nie sprowadzać.

— A więc kiedy?

— Za tydzień, za dwa, za miesiąc. Są na mojém płótnie rażące błędy, które pierwéj pościnać muszę.

— A nie mówiłem, że talent szarpie twoje nerwy. Godzina gawędy u Julka i jego obraz, już cię rozbudziły, przejrzałeś. I chcesz uciekać—ujął go pod ramię. — My artyści jesteśmy wszyscy narwani, albo cały świat narwany, a my jedni trzeźwo patrzymy.

— Lepiéj dla nas to drugie.

— I niezawodnie tak jest—dokończył Knajp poważnie.

Stanęli w wielkiéj sieni okazałego budynku.

— Potargaj artystycznie czuprynę, stary nie lubi na gładko uczesanych... Po otrzymaniu przez ciebie medalu, wyglądał przez cały dzień, jak gdyby mu kto oliwą serce wysmarował.

Rozmawiając zniknęli w salach akademii sztuk pięknych.

Nazajutrz o godzinie ósméj rano, Adam już się zabrał do pracy, nakładał świéże farby na paletę, próbował pendzle, ustawił obraz w najlepszém świetle i aby odrazu wyrzucić, co mu się nagromadziło w mózgu, zaczął gorączkowo malować...

— Impresyonistą być i malować wszystko jednym kolorem niepodobna, mnie koloryście. Zresztą, nie chcę być niczyim niewolnikiem, tylko sobą. Dlatego nie chcę starego i jego wpływu. Niech pochwali lub zgani, byle nie radził...

Ostateczności w sztuce, to waryactwo. Lecz świetlane plamy i te walki świateł, układające się do harmonii... to mi imponuje. Ja je wydobędę... U Julka są zawyraźne, widać robotę — ja je złagodzę, złączę, stworzę przepyszną harmonię...

Weszła Kätti.

— Już, *mein Kind*, przy pracy?... Postawiła tackę, przybiegła, ujęła go za głowę, wspięła się na palce i pocałowała.

Adam pociągnął ją ku sobie.

— Kätti, mam do ciebie prośbę.

— Mów, a ja tymczasem będę się bawić twemi włosami. Zanurzyła palce swych białych, tłuściutkich rąk w jego falującéj czuprynie.

— Spojrzyj na obraz.

— Widziałam go wczoraj.

— Tą dziewczyną na pierwszym planie będziesz ty.

— *Heilige Maria*—chcesz mnie rozbiérać i moje ciało malować.

Zarumienioną twarzyczkę przytuliła do jego piersi.

— I nie będziesz się wstydził?...

— Nie, będę się zachwycał.

— A ja?

— I ty również, moje dziecko. Pokazać ciało, które Bóg tak pięknem stworzył, czyż to grzéch?

— Matka?

— Mam nadzieję, że się zgodzi. Zresztą, jesteś już dziś panią swéj woli.

— Mój mąż nużby tu raptem wszedł i zastukał. Zanimbym się ubrała, wysadziłby drzwi i gotowy skandal. On jest milczący, spokojny, dobry, ale jak wpadnie w złość—ho, ho!...

— Widziałaś go złym?

— Nie, kocha mnie, a nawet troszkę się boi. Bardzo nieśmiały. Ale jego podwładni mówią dużo o jego gniewie—strach...

— Kochasz go?...

— Niewdzięczny, pytasz się? Czyż to można dwóch kochać?

— Czasami. Kiedyż tu przychodzi?

— W sobotę i zostaje przez niedzielę. I znowu ukryła twarz w ramiona Adama.

— A więc mamy całe pięć dni dla siebie.

— Niekiedy wpada i w inne dni na chwilę.

— Przychodząc tu, bierz kapelusz i okrycie. Matka powié, żeś w mieście.

— Późniéj będzie nam swobodniéj. Od Nowego roku weźmiemy ten sam browar, w którym pracuje, w dzierżawę. Mieszkanie śliczne, ogród, kwiaty, cztery krowy.

— Będziesz panią, gospodynią i szczęśliwą.

— Tak się zdaje, ale ty musisz u nas zamieszkać. Jest pokój na górze, jedyny na pracownię.

— Dobrze, ale ta dziewczyna na pierwszym planie musi być tak piękną, jak Kätti i musi miéć jéj śliczne ciało.

Spojrzała na pomalowaną na obrazie.

— Wstydzę się i boję.

— Zmusisz mnie do szukania modelki. Czy tylko znajdę taką, jak pragnę.

— Nie, nie — zawołała żywo. — Żeby te zepsute i niemoralne dziewczyny...

Zastukano do drzwi.

— *Frau* Schmidt.

— Jestem,—matko, chodź. Zerwała się.

Weszła uśmiechnięta, dobroduszna, okrągła kobiécina.

— Pan Adam chce, abym pozowała do téj na obrazie. Wstydzę się, ale znowu, żeby sprowadzać do naszéj kamienicy modelki z ulicy, to także wstyd.

— Wstyd—poświadczyła matka—i drogo kosztuje.

Patrzały obie na płótno.

— Za dużo nagości — mówiła matka. — Jabym się sama wstydziła. Ale żeby to można po kawałku?... Pan przecież wszystkiego odrazu nie będziesz malował.

— Po kawałku będzie mi śmieléj—rzekła Kätti.

— Nie ma takiego wstydu—dodała poważnie matka.

— Zgoda, po kawałku—zawołał rozpromieniony Adam.

— Wszyscy pokazujemy potrosze swoje nagie kawałki. Będzie więc moralnie i przyzwoicie.

— Te nędznice nie będą kalać swym oddechem naszéj kamienicy.

— Po kawałku—powtarzał uszczęśliwiony Adam.

Uściskał matkę, pocałował w czoło Kätti—wybiegł.

Knajpkiewicz malował zawzięcie swoje soczyste „*landschafty*“ — wpadł do niego Adam.

— Stach, po kawałku, rozumiész, co to znaczy po kawałku?!... Kätti pozuje i będzie pokazywać swe ciało po kawałku. Tak postanowiła jéj matka, aby się stało zadość moralności.

— Kapitalne...

— Jak również, aby modelki nie kalały swym oddechem kamienicy...

— Wyborne!

— I nareszcie dla oszczędności. Ach ta boska oszczędność poczciwéj *Mutter*—aż tu mnie zagnała.

— A tyś dowodził, że filistrzy nie mają swéj filozofii i swéj moralności.

— Nie wiész, po co tu przyszedłem?!—Spojrzał na obraz. — Stachu, te twoje soczyste „*landschafty*“ wcale dobre rzeczy.

— Zawracasz.

— Ależ nie, ty się oskarżasz i żartujesz z siebie. Amerykanin, płacąc za nie po sto dolarów, dobry robi interes. Oni mają nosy. Cóż to za ton wyborny. A te świetlano-złotawe plamy!...

— Czyś po to tu przyszedł, aby mnie brać na klapę?

Knajpkiewicz nie lubił, gdy chwalono jego prace, których sam nie traktował seryo, jako rzeczy sztuki.

— Nie chcesz, chodźmy na miasto. Znalazłem się głupio — nie kupiłem dotąd Kätti ślubnego prezentu.

— Oszczędność *Mutterki* otrzeźwiła cię.

— Obudziła i pali mnie pod stopami.

— Po kawałku! — ależ to pycha, prawdziwa bawarska, filisterska, a przytém podmalowana oszczędnością... Komiku, ty się jednak sprujesz na jakie sto blatów, bo jeżeli szyk, to szyk.

— Naturalnie, szyk przedewszystkiém...

Kupili złoty zégarek z łańcuszkiem dla Kätti, a dla matki cukiernicę srebrną z pozłacanemi szczypczykami do cukru.

Dla większego efektu kupione rzeczy odesłali.

— Dajmy im czas ochłonąć. W pierwszym impecie mogłyby ci do nóg paść—zdecydował Knajpkiewicz.

Adama utajona siła popychała gwałtownie do pracy, — śpieszył się do domu. Przyjaciel go odprowadził.

— Adam, mówisz, że te soczyste „*landschafty*“ są niezłe?

— Bardzo dobre, nie cierpię blagi w rzeczach sztuki. A nie chciałeś słuchać?...

— Bo widzisz człek nie chce być komikiem, ale słowo uznania z ust przyjaciela czasem robi dobrze. Przyjdę o zmroku, — powłóczymy się po mieście.

Na górze nie zauważono powrotu Adama. Zaproszone przyjaciółki oglądały prezenta, chwaląc głośno, zazdroszcząc pocichu. Odważniejsze ważyły w rękach cukiernicę dla przekonania się, ile na nią przetopiono marek.

Kätti przechodząc zajrzała do pracowni. Adam z paletą w ręku i pendzlami wpatrywał się w obraz. Wpadła do swego pokoju, zabrała kapelusz, płaszczyk i ciepłą chustkę, przywołała matkę, szepnęła jéj do ucha,—matka ją pogłaskała.

— Tylko po kawałku—prosiła.

— *Natürlich* — odpowiedziała i ostrożnie przemknęła się do pracowni.

— *Kind* — zawołała wesoło — jestem. Zégarek przepyszny. On, ani nikt w kamienicy nie dowié się, że to od ciebie. Cukiernica... no?... Mama mi ją daruje, ale późniéj. Poczeka jeszcze. Dziękuję ci—uścisnęła go z uczuciem serdecznéj wdzięczności.

— Zaczynamy—choćby godzinę pracy przed obiadem.

— Nawet dwie. Jeżeli mi będzie zimno, mam ciepłą chustkę. Zaczekaj, rozbiorę się w twoim pokoju i przyjdę. Czy boso?

— Koniecznie.

Adam ustawił w odpowiedniém świetle pakę okrył ją dywanem—czekał.

— Już, ale się wstydzę.

— Okryj się chustką i śmiało.

Weszła w koszuli zasłonięta chustką.

Postawił ją na pace, upozował i powoli zaczął odkrywać. Najprzód ramię i jedną pierś.

— Co za karnacya marmuru biało-niebieskawego ciała. Te zaokrąglenia ramion, ta pierś Dyany... i to wszystko dla jakiegoś piwowara.

— Widzisz, widzisz—szeptała Kätti, wzdychając.

Pod wpływem uniesień Adama zapomniała o warunkach matki. Artysta pochwycił pendzle, gorączkowo malował, zapominając o całym świecie. Widział tylko marmur ciała, linie, karnacye. Pracował z zapałem młodości. Spragniony chciał się skąpać w sile wrażeń i wydobywanych na jaw głębiach swego talentu...

Niemeczka dumna, przenosiła wzrok z artysty na obraz, patrząc na odtwarzaną piękność swego ciała. Machinalnie odsunął chustkę, nie broniła się, czuła, że Adam patrzał na nią tylko wzrokiem artysty.

Po godzinie pracy, zmęczony i wyczerpany szepnął:

— Dosyć.

Kätti zasłoniła się szybko chustką, zeskoczyła z paki i zniknęła, aby się znowu ukazać w płaszczyku i kapeluszu o wielkiém rondzie, w którym uroczo wyglądała. Adam ją pociągnął ku sobie.

— *Kind* — szepnęła, przysuwając usta do jego ucha— dziś wróć wcześniéj niż wtedy...—Zarumieniona pobiegła do drzwi, odchyliła je, popatrzała przez szparę, wyszła na palcach...

Adąm się zerwał, stanął przed obrazem, patrzał i uśmiechał się rad z siebie.

— Może ja nie zmarnowałem czasu, tylko odpocząłem. Idzie nieźle. Co powiedzą stary i Julek? co powie Marya?...

Pierwszy raz od przyjazdu wymówił głośno jéj imię w nadziei, że i ona wyda o jego pracy swój sąd.

— Czy nie jestem łajdakiem i nie zdradzam własnéj żony? — zadał sobie pytanie.

Szlachetna, dobra, łagodna, uprzedzająca moje myśli i pragnienia, co mi złego zrobiła? Otoczyła mnie zbytkiem i najtkliwszą sympatyą, a ja nędznik uciekłem od niéj, do ładnéj lecz głupiéj, pospolitéj niemki, która oszukuje swego męża z naiwnością dziecka.

Kätti i Marya, co za przepaść między temi kobietami. Samém ich zestawieniem ubliżam méj żonie. Nie, nie, ja nie uciekłem. Czuję miłość dla Maryi w głębiach mego serca, uciekłem dla téj, którą więcéj jeszcze kocham, dla téj, która jest potrzebą mego życia, méj istności... Niemka stanęła na méj drodze i wyciągnęła do mnie ramiona, podobne do Danay Tycyana, a ja nie mam sił oprzéć się, nie mam sił walczyć i w tém cała nędza moja.

...Muszę ten stosunek zerwać, uciec stąd. Lecz skąd wezmę modelkę?... Kätti jedyna do tego obrazu na całe Monachium? Za tydzień, dwa najdaléj, skończę, wtedy drapnę, przysięgam. Tymczasem będę jéj unikał, późno do domu wracał.

Gdybym tak naprzykład nie poznawszy Maryi, ożenił się z Kätti?... Co jabym z nią robił? Cobym wogóle na świecie robił? Siadywał nocami w knajpie, pił bawara i grubo się śmiał. A w dzień?... W dzień malowałbym soczyste „*landszafty*“ po sto papierków sztuka, potém i po pięćdziesiąt.

Teraz dopiéro pojmuję co zrobiła dla mnie Marya. Ale szlachetność i królewskość jéj drażni takiego, jak ja cygana, upokarza go. Dlatego rzucam się w objęcia pierwszéj lepszéj ładnéj niemki, obsypując ją prezentami za pieniądze méj żony.

Mimo to wszystko nie czuję wielkich wyrzutów sumienia. Lgnę

do ciała niemeczki. Maryę kocham, o zdradzie w tych warunkach nie ma mowy...

Poszedł na obiad do restauracyi, w której schodzili się prawie wszyscy artyści.

Gdy rozmowa toczyła się o sztuce, brał w niéj żywy udział, porywała go, roznamiętniał się. Gdy schodziła na niziny powszedniości i trywialności, budziła w nim niesmak, nawet wstręt, milczał.

Czuł różnicę towarzystwa w Zalesiu od tych ludzi, zaczynała się w nim wytwarzać reakcya, zmieniająca się w tęsknotę za tém wszystkiém, co zostawił.

Powrócił do domu rozdrażniony i smutny; chwycił pióro z zamiarem napisania długiego listu do Maryi. Chciał w nim wyrazić całą potęgę swych dla niéj uczuć miłości, tęsknoty, wdzięczności, lecz nie mógł, nie umiał. Darł to co napisał, wygadywał na siebie, że jest idyotą, nic nie pomogło.

„Droga Maryo! Kocham cię, tęsknię i wściekle pracuję. „Wściekle“ wymazał, jako wyraz trywialny, zastąpił go „potężnie“. List raz jeszcze przepisał, podpisując się:

„Twój wierny Adam“.

Co tu więcéj pisać? Czyż można coś więcéj wyrazić nad to, co się w tych dwóch słowach mieści? Kocham i tęsknię. Nie potrafię rozléwać strug atramentu pokropionych łzami... Tę sztukę zostawiam kolegom od pióra.

Pochwycił pendzle, paletę i daléj malował bez wytchnienia.

Pulsa mu biły na skroniach, na twarzy dwa wypieczone rumieńce zakwitły, oczy nabrały blasku. Co parę chwil przestawał, chodził po pracowni, rozmawiał ze sobą, wracał do obrazu, patrzał i znowu malował.

— Chodzić utartemi drogami niewielka sztuka. Wydobyć nowe efekta i właśnie przez realizm i podpatrzenie natury rozlać potoki żywéj realistycznéj poezyi... Boże, Boże wspieraj mnie!... Maryo może nie będziesz żałować żeś została żoną cygana. Gdyby tylko wydobyć się z tych trudności! Czuję co i jak potrzeba, lecz czy podołam? Serce się raduje, a w mózgu dyabły szyderstwa śmieją się z głupca.

Zamilkł, wytężył wzrok, skupił myśli do jednego ogniska, pracował.

Z trzaskiem i hałasem wpadł Knajpkiewicz.

Adam położył palec na usta, aby milczał, podbiegł do niego, wziął go za rękę podprowadził do obrazu, pokazał.

— Pozowała Katti?

— Tak, ale patrz na to oświetlenie, na to łamanie się dwóch świateł, harmonię.

Stach rozwarł oczy, Adam niespokojny zapierając oddech, czekał wyroku.

Po długiéj chwili Knajp zawołał:

— Adaś, daj pyska!

— Cóż?

— Ja cię kupuję.

— Czy się uda?

— Przecie noszę łeb nie od parady, a ślepia nie od tego, aby tylko na filistrów patrzały.

— Przed starym ani słowa.

— Gęby na kłódki, i sza.

— Zwyciężę?

— Musisz, albo prosto do Inu i *adie meine Damen*.

— Stach!

Rzucili się w objęcia i znowu wrócili do obrazu.

— Kätti co za model, pycha?!

— Mówię ci ciało marmur, robota Fidiasz.

— Czasem w tém filisterstwie rodzą się boginie z cielęcemi mózgami. To ramię, jego okrągłość, miękkość i wynurzająca się pierś! Długo było „po kawałku“?

— Pięć minut... Ona sama jest zachwycona pięknością swego ciała.

— W szarawém półcieniu kończącego się dnia, jeszcze lepiéj wychodzi.

— Stach, masz czas? Pojedziemy do rogatek i piechotą za miasto. Potrzebuję ciszy, przestrzeni, zielonych pól, wycia wichru i wielkiego kawała nieba... Jutro może być śnieg.

— Tęsknisz za wsią.

— Zaczynam mój drogi.

— I za bekasami?

— Bekasy mnie nie skaptowały i mam nadzieję nie skaptują. Potrzebuję w téj chwili uszu mego przyjaciela, jego cierpliwości a w końcu wymowy. Chodźmy żywo. Rodzące się idee wypełniają nasze serca rozkoszną radością, póki nie przyjdzie zwątpienie, strach przed własném zuchwalstwem i niemoc.

— Kujmy więc żelazo póki gorące.

Po nużącéj przechadzce wieczór przepędzili w gronie kolegów przy bilardzie i głośnych dysputach. Adam wśród wesołéj zabawy

często spoglądał na zegarek. O jedenastéj, na pół nieświadomie wziął kapelusz i niepostrzeżony wyszedł.

Gorąca krew wrzała w nim, śpieszył się.

— A gdyby tak w téj chwili jak mnie Kätti, Marya czekała na swego pięknego kuzynka, który do niéj od dawna oczy zawraca?

Stanął jak wryty.

— Odwet byłby sprawiedliwy... Głupcze, idąc do kochanki rzucasz na imię żony obelgę... Nadto jest ona dumną i nadto szlachetną, panią siebie. Wolałaby śmierć, niż upadek. Po upadku dalsze jéj istnienie dla niéj saméj byłoby niemożliwe... A ty?... ty?...

Zadzwonił nerwowo do kamienicy w któréj mieszkał.

(*D. n.*) *Sewer.*





ARGENTYNA.

Rejistro nacional de la República Argentina. Publicacion oficial (Buenos Aires 1879 i nast.). — M. A. Calvet L'immigration européenne, le commerce et l'agriculture à La Plata. Atlas (Paris 1886—1888). — L'agriculture et l'élevage dans la Republique Argentine. (Paris 1889). — H. D. Hoskold. Mémoire général et spécial sur les mines de la R. A. (Buenos-Aires 1889). — Catalogue spécial officiel de l'exposition de la R. A. (Lille 1889). — P. Agote. Démonstration de la dette publique, des banques, des impôts de la R. A. (Buenos-Aires 1889). — B. Lehmann. Die Rechtsverhältnisse der Fremden in Argentinien (Buenos Aires 1889). — Alexis Peyret. Une visite aux colonies de la R. A. (Paris 1889).

Dano mi dokumenty powyższe i wyspowiadać się z wrażeń kazano. Jeśli wrażenia te, wyczytane przygodnie, a z obcéj mi dziedziny, głośno sformułować się odważam, czynię to dla dwóch względów. Przedewszystkiém, w sprawach naglących życia społecznego, każdy osobnik przeciętny może i winien mieć opinią własną. Gdy zaś w dodatku sprawa jest niejasna, mało dostępna, i dlatego mianowicie niebezpieczna, żadna informacya nie wydaje się zbyteczną, a najmniej taka, która się staje ostrzeżeniem. — Tak właśnie rzecz się ma z wychodźtwem do Argentyny.

I.

Niezwykłe położenie wewnętrzne Argentyny dzisiejszéj wymaga kilku słów przedwstępnych wyjaśnienia. Czytelnik europejski, który weźmie do ręki „*Rejistro nacional*“ rzplitéj, znajdzie go zgoła niepodobnym do zbioru praw i rozporządzeń normalnego państwa nowożytnego, tyle tu aktów powstańczych, proskrypcyj, gróżb i niespodzianek. Na niezmierzonych, posiadanych przez siebie przestrzeniach nie

potrafili zmieścić się zgodnie nieliczni, lecz wrzący i kłótliwi południowcy, nie zdolni do kooperacyi rozważnéj wychodźców angielskich. Po kolei odrywają się od związku federacyjnego republiki Paraguay i Uruguay. W pozostałych czternastu stanach tworzą się dwa wielkie stronnictwa unitaryanów i federalistów, zwalczające się nawzajem. Nazw tych nie należy sobie po europejsku tłómaczyć. Unitaryanie to przeważnie żywioł napływowy, ruchliwi, handlujący z Europą mieszkańcy Buenos-Aires. Świadomi nieco europejskiego życia i pojęć politycznych, pragną oni ściągnąć mocniéj luźne węzły federacyi, lecz zarazem zastrzegają dla siebie samodzielność nieograniczoną i w żaden sposób dozwolić nie chcą, aby rząd związkowy zasiadał w ich murach — opór, niepojęty zarówno ze względu na pożytek miasta, jak i ze stanowiska zasad centralistycznych stronnictwa. Federaliści znowu, to rodzaj dumnéj, ciemnéj, fanatycznéj arystokracyi prowincyonalnéj, potomkowie dawnych zdobywców hiszpańskich, mieszańcy indyjscy, zamieszkali w głębi kraju, odcięci od reszty świata, właściciele olbrzymich posiadłości bezludnych, nienawidzący odleglejszych swych braci, lecz nadewszystko a społem nienawidzący obcych dorobkiewiczów z Buenos-Aires. Domagają się oni przedewszystkiém bezwarunkowéj niezależności każdego stanu, z Buenos-Aires zaś chcą przemocą uczynić posłuszną swym rozkazom stolicę związku. Żadne z tych stronnictw zbytniéj nie budzi sympatyi; przecie unitaryanie powołać się mogą na zasługi położone podczas wojny o niepodległość oraz na szereg zdolnych i bezinteresownych przywódców, kiedy na polityce federalistycznéj wycisnęła fatalne piętno dyktatura Rosasa (1829—52). Gdy nareszcie (1862) rząd związkowy przeniesiono do Buenos-Aires, rozdwojenie zostało złagodzone nieco, lecz nie usunięte bynajmniéj. Pogardliwe przezwiska *gauchos i porteños* zastąpiły dawne nazwy federalistów i unitaryanów; tamci 1870, 71, 73 r. ci w 1874 i 1880 podnoszą zbrojne powstania przeciw rządowi konstytucyjnemu. W r. 1880 obrany zostaje prezydentem gen. don Julio Roca, z federalistycznéj prowincyi Tucumanu. „On to zainaugurował nadużycie kredytu, dał pobudkę do szaleństw spekulacyjnych, zaprowadził kurs przymusowy, by utrzymać sztuczny dobrobyt i pozory bogactwa,“ powiada o nim dawny jego towarzysz broni, bezstronny obserwator francuski [1]). Był przynajmniéj osobiście uczciwości nieposzlakowanéj. Następny prezydent, szwagier poprzedniego, dr. Miguel Juarez Celman (od paźdz. 1886), rodem z Córdoby, ogniska ultra-federalizmu, w ciągu czteroletnich rządów zdążył znisz-

[1]) Alfred Ebelot „La révolution de Buenos-Aires“ w „Revue des deux mondes“ z 1 grudnia 1890 T. CII. 626.

czyć kraj do szczętu, sam zaś zebrał majątek osobisty do trzystu mil. fr. Stronnicy prezydenta, t. zw. „partya autonomiczna narodowa,“ a na ich czele brat Celmana, Marcos Juarez, gubernator Córdoby, typ panka argentyńskiego, gospodarowali jak w kraju zdobytym. Uczciwa opozycya skupiła się w potężnéj „Unii obywatelskiéj“ pod przewodnictwem d-ra. Leandra Alem'a — w Argentynie kędy okiem rzucić, pełno doktorów prawa. Jak wiadomo, w lipcu r. z. wybuchło nareszcie sprzysiężenie wojskowe Campos'a — ze zwykłą w Argentynie ekstrawagancyą, na odwachu, gdzie tenże don Manuel Campos, podejrzany o knowania buntownicze, trzymany był pod strażą. Przez trzy dni trwała walka uliczna, i więcéj kosztowała ofiar, niż rewolucya paryska, w któréj równo sześćdziesiątą rocznicę była podjęta. Powstańcy zwyciężyli na wszystkich punktach, lecz nagle na rozkaz junty rewolucyjnéj złożyli broń i poddali się rządowi; mimo to Celman po kilku dniach zmuszony był ustąpić. Między stronami wojującemi doszedł do skutku tajny, niewyjaśniony dotychczas kompromis: dr. don Carlos Pellegrini, czystéj krwi *porteño* — z ojca sabaudczyka i matki angielki — mianowany prezydentem, dr. Vicente Lopez ministrem finansów, gen. Roca — wojny. Wzburzenie umysłów trwa jednak daléj podziśdzień i lada chwila oczekiwana jest kontrrewolucya usuniętych od steru celmanistów. W stolicy znowu ministra Rocę traktują otwarcie jako nieprzyjaciela, 21 lutego r. b., jakiś młodzian strzelał do niego na ulicy w Buenos-Aires i ranił go lekko. Odkryto sprzysiężenie, mające na celu wymordowanie wybitniejszych członków obecnego rządu, wskutek czego pod koniec lutego r. b. ogłoszony został stan oblężenia w stolicy [1]).

„Oczywiście wybuch obecny, pisał korespondent „*Times'ów*“ nazajutrz po rewolucyi, jest jednak czémś więcéj, niż odnowieniem walki między Buenos-Aires a stanami. Jestto wybuch naturalny, zwrócony przeciw zgrai awanturników politycznych, pochodzących wprawdzie z prowincyi, lecz których sprzedajność bezczelna, bez względu na pochodzenie, czyniła nieprzyjaciółmi każdego rządu cywilizowanego.“ Trudno w kilku słowach dać pojęcie o nadużyciach rządów celmanowych. Koleje państwowe *Central Norte* i *Andino* sprzedano za bezcen speculantom zagranicznym; roboty kanalizacyjne w Buenos-Aires od-

---

[1]) Niechaj niektóre te szczegóły dadzą czytelnikowi przybliżone pojęcie o anormalnych stosunkach politycznych w Argentynie. Prawnicy rej wodzą w tym kraju, z nich to wyłącznie składała się ostatnia junta rewolucyjna. Bliższe dane o wypadkach lipcowych r. z. przez świadków naocznych w „The Weekly Times“ № 708— 712 (lipiec, sierpień 1890) i w powołanym art. „Revue d. d. m.“

dano firmie angielskiéj na rujnujących dla miasta warunkach, za co prezydent Celman wziął *pourboire* 200 tys. funtów [1]). Lecz „przepaść istotną, która pochłonęła majątek narodowy,“ stanowiło prawo o „bankach wolnych,“ uchwalone przez kongres podług projektu b. ministra finansów d-ra. don Venceslao Pacheco. Na zasadzie tego prawa każda prowincya może założyć bank emisyjny o dowolnym kapitale obrotowym, za złożeniem do banku narodowego wyższéj nieco sumy w złocie; skarb pokrywał depozyt tytułami 5% renty i wypuszczał bilety bankowe do wysokości 90% zdeponowanego złota. Lecz złota w kraju nie było. Zamożniejsze prowincye zaciągnęły pożyczki w Europie; inne poprostu wypożyczały potrzebne kapitały w banku narodowym, któremu następnie składały je z powrotem w postaci depozytu; prowincya Córdoba i tę nawet formalność pominęła i wbrew tekstowi prawa zdeponowała zwyczajne przekazy długoterminowe. „Ani jeden z nowopowstałych banków nie posiadał własnego kapitału.“ Jednocześnie w tych obiecujących instytucyach otwarto kredyty nieograniczone gubernatorom prowincyi, ministrom, deputowanym; obecnie jeszcze jednemu tylko bankowi w Santa-Fé pięć osób pozostało dłużnych przeszło 80 mil. fr. — Innego rodzaju klęską narodową stał się bank hypoteczny prowincyi Buenos-Aires, o którym wypadnie jeszcze wspomnieć poniżéj. Staraniem dyrektora tego banku d-ra. M. Paz'a uchwalono 1887 r. prawo o „centrach rolniczych;“ od téj chwili emisya listów zastawnych („cedul“) przybrała szalone rozmiary, serye przebiegły kolejno cały niemal alfabet, wydawano pożyczki przewyższające, pięćkroć wartość dóbr hypotecznych i 1200 wystawionych na subhastę majątków sprzedać nie zdołano; mimo wyraźnego zakazu przerażonego kongresu, wypuszczono od grudnia 1889 do lipca 1890 r. za 350 mil. fr. nowych walorów. W końcu roku zeszłego były w obiegu ceduły banku hypotecznego na sumę nominalną blisko dwóch miliardów franków, z których przeszło połowa znajduje się w posiadaniu giełd europejskich. Dodając do tego dług narodowego banku hypotecznego,

---

[1]) Rząd poprzedni szeroko rozgłaszał o wzroście niezwykłym eksportu argentyńskiego w ostatnich kilku latach, co wszakże, jak okazuje się obecnie, polegało na szczególném „nieporozumieniu.“ Podług ogłoszonego w lutym r. b. urzędowego sprawozdania narodowego biura statystycznego, przywóz do Argentyny w ciągu 1890 r. wynosił 149,1 mil. dolarów, wywóz tylko 105,6 mil. dol. w złocie. Jestto pierwsze sprawozdanie urzędowe, które zasługuje na tę nazwę, w poprzednich bowiem — rzecz nie do wiary, lecz niezbicie stwierdzona przez nowego ministra finansów d-ra. V. Lopez'a, — podawano stale przywóz w złocie, wywóz zaś obliczano w asygnatach, i żadnéj nie czyniąc wzmianki o różnowartości „dolarów“ w tych dwóch pozycyach, wykazywano w bilansie prostém odejmowaniem przewyżkę eksportu. Zaś ażio złota wynosi w téj chwili w Argentynie *360*%.

również w połowie ulokowany zagranicą, i dług państwowy zewnętrzny, otrzymuje się roczny bilans zagraniczny Argentyny w sumie 150 mil. fr. [1]). — Jestto wielka otwarta rana, z którój wysączyć się musi najlepsza krew i siły rzplitéj. — Zatkać tę ranę ma emigracya.

II.

Jeszcze w czasie wojny o niepodległość, rząd rewolucyjny ofiarował kolonistom europejskim bezpłatnie grunta pod uprawę i zapewnił wolność handlu i przemysłu. Obowiązująca konstytucya rzplitéj we wstępnym już tytule uwzględnia obcokrajowców, w dalszéj treści wprost nakłada na władzę wykonawczą, jako też na kongres, obowiązek popierania emigracyi [2]). Sprawą tą zajęto się gorliwie od 1869 r., kiedy ustanowioną została *Comision central de immigracion*, a z jéj ramienia powstały liczne podkomisye prowincyonalne; odtąd sypią się dekrety, mianujące ajentów emigracyjnych we wszystkich krajach Europy [3]). Początkowo agitowano wyłącznie na południu, w Hiszpanii, Włoszech, Francyi; agitacyę urzędową w krajach północnych Europy podjęto dopiero w 1873 r. mianowaniem agentów emigracyjnych w Szkocyi,

---

[1]) Najsilniéj zaangażowana Anglia (przez firmę Baring'ów), poczém Francya na przeszło miliard fr. — Podług układu z d. 3 marca r. b., zawartego między komitetem ratunkowym wierzycieli angielskich pod prezydencyą lorda Rothschilda a rządem argentyńskim, procenty od wszystkich pożyczek państwowych Argentyny (z wyjątkiem pożyczki 1886 r.) przez trzy lata nie będą wypłacane w monecie brzęczącéj, lecz w bonach wypuszczanych po 6% *al pari*, płatnych w terminach od 5 do 30 lat, hypotekowanych na dochodach celnych. Przez cały ten przeciąg czasu nie wolno rzplitéj zaciągać nowych pożyczek. Jednocześnie zobowiązuje się rząd argentyński corocznie wycofać z obiegu przynajmniéj na 15 mil. pes. banknotów.— Układ ten, równający się częściowemu bankructwu, wymaga jeszcze zatwierdzenia kongresu; tymczasem w d. 20 marca r. b. prowincya Buenos-Aires zawiesiła wypłatę kuponów od wszelkich swych pożyczek. — Wszystkie razem dochody państwowe Argentyny wyniosły 1889 r. 60 mil. pes.

[2]) *Constitucion reformada de la Nacion Arg.* z 1 września 1860 r. Konstytucya ma na celu „asegurar los beneficios de la libertad para nosotros, para nuestra posteridad y para todos los hombres del mundo que quieran habitar en el suelo arg.“ — Art. 25 „El gobierno federal fomentará la immigracion europea y no podrá restringir, limitar ni gravar con impuesto alguno la entrada en el territorio arg. de los estrangeros.“ — Art. 67 ust. 16: kongres obowiązany „proveer lo conducente á la prosperidad del pais.. y promoviendo la immigracion.. la importacion de capitales extrangeros— niesłyszana to nigdy funkcya ciała prawodawczego,

[3]) Zręcznie korzystają z każdéj nadarzonéj sposobności. Dekretem z 4-go kwiet. 1873 r. przeniesiono agencyę emigracyjną z Włoch do Alzacyi i Lotaryngii: „Considerando... que esta agencia será por ahora mas ùtil en las provincias que perdió la Francia en la ùltima guerra“.

Danii, Szwecyi, następnie w Hamburgu [1]. W r. 1888 pojawił się w Warszawie pierwszy konsul argentyński, niejaki E., i jął otwarcie werbować emigrantów. Był to zwyczajny *chevalier d'industrie*, działający przeważnie na własną rękę i pożytek; sprawą zajęła się policya a zarazem konsul generalny argentyński w Hamburgu, któremu E. nasyłał ogołoconych ze wszystkiego wychodźców, i już po kilku miesiącach postarał się o jego odwołanie.

W r. 1889 zaplątany w kłopotach domowych rząd celmanowski, skwapliwie skorzystał z wystawy powszechnéj w Paryżu, by zareklamować światu swój kraj i usługi. Komisya oddziału argentyńskiego na wystawie zarządziła umyślnie w październiku 1888 r. powszechny „spis rolniczy“ we wszystkich stanach Konfederacyi. Pierwszy to spis tego rodzaju w Argentynie, a przytem zbyt wyraźne miał tendencye, aby na nim w zupełności można było polegać; ze wszelkiemi więc zastrzeżeniami podaję niektóre dane, wyjęte ze sprawozdania urzędowego.

Zaraz na wstępie uderzają pochwały, oddawane „najbogatszym“ trzem prowincyom na północy położonym (Jujny, Salta, Tucuman), dokąd rzadko dotychczas zabłąkała się fala wychodźców. Jak się następnie okazuje z samego sprawozdania, przedstawiają te prowincye w zachodniéj połowie „rozległą przestrzeń nieurodzajną, stanowiącą pod wszystkiemi względami dalszy ciąg pustyni Atacama.“ W części wschodniéj znajdować się mają źródła nafty i lasy „mało jeszcze eksploatowane dla braku środków transportu,“ oraz grunta zdatne pod uprawę. Ziemię w tych błogosławionych krainach nabyć można po cenie 0,1 piastra, t. j. około dziesięciu kop., za hektar. Liczne zalety posiadać ma t. zw. *gobernacion del Chaco* na półn.-wschodzie, „kraj w ogólności nader urodzajny, choć posiada klimat nieco gorący;“ tutaj na rozległych terytoryach narodowych, najchętniéj umieszcza rząd kolonistów. Wszakże ogromne te obszary samemu rządowi znane są w nieznacznéj tylko części z wypraw wojennych przeciw indyanom, którzy wprawdzie, jak uspakajająco zapewnia sprawozdanie, „są złodzieje raczéj niż wojownicy.“ Cena ziemi przeciętna podana na 0,93 piastra za hektar w r. 1888; podług zaś Calvet'a, który osobiście zwiedził te okolice, wynosiła przy sprzedażach dokonanych w ciągu 1887 r. blisko 2 p. [2]. Albo więc dane tych panów są niedokładne,

---

[1] „Considerando que.. es ahora conveniente atraer la emigracion del Norte per medio de agentes que popularicen conocimientos sobre el clima templado, la feracidad de la tierra, la facilidad de adquirirla, ...la elevacion de los salarios y la baratura de la vida“ Dekret z 1 maja 1873.

[2] *Agr. et él.* 79. — *Mission* pl. 12.

albo cena ziemi spadła do połowy — może na skutek krwawych najazdów „nieszkodliwych“ indyan w r. 1887 o czém wspomina p. Calvet. Dodać należy, że podług dołączonéj mapy graficznéj, gęstość zaludnienia w *Gran Chaco*, jak zresztą w trzech czwartych Argentyny, wyraża się przez „mniéj niż jeden mieszkaniec na 10 kilometrów kwadr.“— W prowincyi Buenos-Aires, jak głoszą sprawozdawcy językiem reklam publicznych, „własność podwaja się sama, bez żadnéj pracy człowieka, w przeciągu lat trzech;“ dowiadujemy się atoli, że przy braku zupełnym lasów, trapią tu rolnika naprzemian długotrwałe posuchy i ulewy gwałtowne; różnice temperatury w ciągu jednego dnia wynoszą często 20° Cels. Cena ziemi niezmiernie bywa rozmaita w téj prowincyi: od kilku piastrów za hektar dochodzi do półpięta tys. piastrów. Wogóle rozmaitość taka, często dowolność cen, uderza zarówno w innych prowincyach i stanowi groźne niebezpieczeństwo dla obcego nabywcy, nieświadomego anormalnych stosunków miejscowych. W ułożonéj przez sprawozdawców tabeli, obok deklarowanéj przez właściciela ceny ziemi znajduje się cena osięgnięta ze sprzedaży, i często przewyższająca pierwszą w czwórnasób, często znów na tyleż od tamtéj niższa. W dziewięciu prowincyach istotna cena sprzedażna wcale nie jest podana, w innych brak deklaracyj. Na tak kruchych podstawach sprawozdawca p. Latzina, dyrektor argentyńskiego biura statystycznego, pozwolił sobie obliczyć rzeczywistą „wartość własności ziemskiéj rzplitéj w r. 1888,“ którą ocenia — *excusez du peu* — na przeszło 15 miliardów fr. — Wobec projektów fantastycznych o wyprawianiu proletaryatu wiejskiego na zarobek czasowy za ocean, nie będzie od rzeczy na tém miejscu wiadomość o płacy zarobkowej w Argentynie. Płaca przeciętna za robociznę w polu wynosi, bez utrzymania, 15 pesos miesięcznie dla robotnika, 6 pes. dla robotnicy; odpowiada to nominalnie płacy dziennéj po 1 rs. 20 kop. i 48 kop., co wszakże przy dokonywaniu wypłat w pieniądzach papierowych, redukuje się do mniéj niż połowy. Robotnikom, godzonym z utrzymaniem, strąca się około jednéj trzeciéj zarobku. Koszta utrzymania względnie do zaroku najwyższe w prowincyi Buenos-Aires, najniższe w Jujny. Płaca zarobkowa w prowincyi Buenos-Aires (najwyższa) wynosi 20—40 p. miesięcznie; w Entre-Rios i Santa-Fé, skąd brak dokładnych danych, zarobki trzymają się na tym samym prawie poziomie. [1]).

Mniéj jeszcze zaufania, niż sprawozdanie rolnicze, budzi rzecz o bogactwach kopalnianych Argentyny, również przeznaczona na wy-

---

[1]) Ceny żywności niezmiernie już wysokie, wciąż jeszcze idą w górę. Obecnie (w końcu marca 1891) kosztuje w Buenos-Aires funt chleba 42 kop., cukru 56 kop., mięsa na rosół 28 kop., litr spirytusu 1 rs. 70 kop.

stawę paryską i zaopatrzona nagłówkiem „*officiel.*“ Autor, anglik p. Hoskold, dyrektor departamentu kopalni argentyńskich, w sposób wcale nieurzędowy usiłuje działać na wyobraźnię czytelnika. Opowiada więc o zatraconych skarbach indyan pierwotnych, którym znane były „obfite pokłady złota, srebra i miedzi na saméj powierzchni ziemi lub na nieznacznéj głębokości;“ o jezuitach, którzy sekret umieli wydobyć od indyan; o „starożytnych spisach kopalni jezuickich,“ gdzie niestety brak ścisłych wskazówek, o miejscowości i nieoszacowanych planach sytuacyjnych, „zamkniętych w butelce wmurowanéj w ścianę klasztoru pojezuickiego w Cerro Negro.“ Powtarza chętnie zasłyszane baśnie oraz opowieści wyczytane u najmniéj wiarogodnych podróżników włoskich i francuskich XVIII w. — Nie jest jednak w stanie ukryć smutnego położenia górnictwa argentyńskiego. Cała praca widocznie ma na celu ściągnięcie kolonistów i kapitałów do bezludnych zachodnich krańców prowincyj Jujny i Salta. [1]).

Wyjątkowe znaczenie żywiołu cudzoziemskiego dla Argentyny w ostatnich trzydziestu latach, wywołało wyjątkowe stosunki prawne. Argentyna — jak i inne państwa południowo-amerykańskie — nie umie strawić swych immigrantów, jak to czyniły i czynią Stany Zjednoczone A. Półn. Ogromna większość wychodźców podziśdzień odmawia naturalizacyi i w obecnéj chwili czwarta część ludności argentyńskiéj składa się z obcokrajowców. Przystosowało się do tego prawo.

Konstytucya argentyńska, wyraźnie zwalniając cudzoziemca od obowiązku naturalizacyi, obdarza go wszystkiemi prawami, jakie przysługują krajowcom [2]). Posiada on ten jeszcze przywilej, że nie ciążą go podatki nadzwyczajne ani służba wojskowa. Może trudnić się czémkolwiek zechce (nawet adwokaturą przy wszystkich instancyach), może pełnić bez ograniczenia obowiązki opiekuna, kuratora i t. p., pozbawio-

---

[1]) Nie przepomnieli też delegaci argentyńscy na wystawie par. prezentować dorobku duchowego swego kraju. Sprowadzili i na pierwsze miejsce w katalogu wystawowym wysunęli wszystkie dzieła wydane ostatnio w Argentynie — przeważnie przez doktorów prawa — a nawet, w sposób dosyć naiwny, wypracowania studenckie z dwóch uniwersytetów narodowych w Buenos-Aires i Córdobie.— Dla sprawy oświaty istotnie w ostatnich czasach poczyniono tam dużo, więcéj nawet, niż było potrzeba. Kraj ubogi i mało zaludniony posiadał (1883 r.) na papierze 1783 szkoły niższe utrzymywane przez państwo, rzecz prosta, nędznie uposażone, t. r. w prowincyi Santiago del Estero z 66 takich szkół zamknięto 54 dla braku uczących się i funduszów. Ob. *Censo escolar nacional levant. bajo la supcrint. de a Comis. nac. de Educ.* (Buenos-Aires 1885) I. 365, II. 34, 35.

[2]) Art. 20.— Konstytucya nie odwołuje, lecz zupełnie przemilcza treść prawa z 4 wrzes. 1812 r., gdzie obiecano imigrantom „dar terreno sufficiente, les auxiliar para sus primeros establecimientos rurales“ i t. p.

ny jest jedynie praw czysto politycznych. Po dwuletnim pobycie w Argentynie i dojściu lat 18 wieku, naturalizować się może przez zwykłe podanie na ręce sędziego federalnego, następnie jeszcze przez lat dziesięć zwolniony jest od służby wojskowéj. Szczegół ważny, ze względu na stosunki spadkowe: dzieci zrodzone w Argentynie, choćby z obojga rodziców cudzoziemców, uważane są z prawa za obywateli argentyńskich.

Od 1 kwietnia 1889 r. zaprowadzone zostało w Argentynie małżeństwo cywilne. Cudzoziemcy, stawający przed urzędnikiem stanu cywilnego, winni złożyć świadectwo władzy z poprzedniego miejsca stałego pobytu, że nie zostają w stanie małżeńskim [1]). Wszakże między katolikami i nadal rozwód w zasadzie niedopuszczalny. — Z prawa cywilnego argentyńskiego wyjmuję jeszcze kilka przepisów, odstępujących od pojęć tutejszych. Akcya o unieważnienie zobowiązań z powodu podstępu, błędu, gwałtu — wypadek przy kolonizacyi pospolity — przedawnia się już po upływie lat dwóch, o unieważnienie kupna z powodu obciążeń, ukrytych przed nabywcą, — po sześciu miesiącach. Pełnoletność następuje po dojściu 22 lat wieku. Dochodzenie ojcowstwa wyraźnie jest dozwolone przez prawo. Przysposobienia prawo argentyńskie nie zna. Spadek beztestamentowy po zmarłym w Argentynie cudzoziemcu, podlega bez wyjątku tamecznemu prawu spadkowemu. Małżonek przystępuje do spadku w równych częściach ze zstępnymi, wyłącza zaś zupełnie krewnych pobocznych (nawet braci i siostry). Dzieci naturalne również wyłączają krewnych pobocznych. Opieczętowanie spadku po cudzoziemcu odbywać się ma właściwie na żądanie odnośnego konsula, który, zawiadomiony o zejściu przez władze argentyńskie, winien wskazać sędziemu miejscowemu kuratora spadku. W praktyce jednak, ponieważ koloniści znajdują się zazwyczaj w miejscowościach odległych, a zwłaszcza względem poddanych ruskich, przy braku zupełnym przedstawicieli konsularnych, zawiadomienie konsula o zejściu nigdy się prawie nie zdarza i masa spadkowa w wielu wypadkach, dla niewylegitymowania się spadkobierców, prze-

---

[1]) Wychodźcy z Królestwa P. — świadectwo wójta, burmistrza, lub cyrkułu, legalizowane do konsulatu ruskiego w Buenos-Aires. Jestto rzecz kosztowna i trudna, jeśli nie niemożliwa: nie przypuszczam, aby urzędy miejscowe zechciały udzielać takich świadectw wychodźcom, którzy opuścili kraj nielegalnie — a czego prawo arg. nie przewiduje. Gdy zaś, podług tegoż prawa „*sobre matrimonio civil*“ z 2 listop. 1888 r., księża pod karą więzienia od 3 mies. do roku, nie mogą dawać ślubu, przed złożeniem aktu zawarcia małżeństwa przed urzędnikiem cywilnym, nie widzę sposobu, jak dziewczęta i chłopaki, wędrujący z Królestwa za ocean, potrafią pobrać się po chrześciańsku w Argentynie.

chodzi do skarbu argentyńskiego [1]). — Sędziowie pokoju, z którymi najwięcéj ma do czynienia kolonista, sądzą sprawy do wysokości 800 pes. (1500 rs.); mianowani są przez gubernatorów prowincyi, nie posiadają wykształcenia prawnego. Postępowanie sądowe nader jest rozmaite, w każdéj prowincyi inne, wszędzie zaś oparte na formalistycznych zasadach starohiszpańskich, a więc kosztowne i uciążliwe. „Wypada podnieść z naciskiem, powiada p. Lehmann, długoletni konsul niemiecki w Buenos-Aires, że wycgzekwowanie pretensyi drobniejszych zazwyczaj żadnych nie ma widoków w Argentynie, i nawet spraw takich obrońcy nie przyjmują wcale [2]).

III.

Wychodźtwo do Argentyny w ostatniém dziesięcioleciu poczyniło nadzwyczajne postępy. 1880 r. przybyło do portów argentyńskich 40 tysięcy emigrantów, 1887 — 137 tys., 1888 — 181 tys., 1889 — 289 tys. Ogółem przybyło w tym okresie przeszło milion wychodźców europejskich; włosi stanowili w tym kontyngensie około 70 proc., hiszpanie przeszło 10 proc., francuzi 8 proc., inne narodowości razem 12 pr. — W r. 1887 znajdowało się w Argentynie 600 tys. cudzoziemców: 280 tys. włochów, 150 tys. francuzów, 100 tys. hiszpanów, 40 tys. anglików, 20 tys. niemców; odtąd liczba ta podwoiła się conajmniéj, z nieznaczną zmianą stosunku procentowego na korzyść niemców, anglików i słowian. W obecnéj chwili zajmuje Argentyna, po Stanach Zjednoczonych A. P., pierwsze miejsce pod względem imigracyi [3]).

Wychodźcy, przybywający do Argentyny w zamiarze zagospodarowania się na roli, mają aż cztery drogi do wyboru. Mogą skorzystać bezpośrednio z kolonizacyi, podjętéj przez rząd federalny na t. zw. terytoryach narodowych, lub przez poszczególne rządy prowincyonalne na posiadłościach każdéj prowincyi; mogą zwrócić się do przedsiębiorców prywatnych, którym rząd federalny lub prowincyonalny ustępuje

[1]) Lehmann *Rechtsverh.* 67. 68.

[2]) Tamże 140.—Postępowanie karne trzyma się zasad średniowiecznych śledztwa tajemnego; pojedyńczy sędzia w licznych wypadkach mocen jest wyrzec karę śmierci, wykonywaną przez rozstrzelanie. Od 1 marca 1887 r. obowiązuje w całéj Arg. powszechny kodeks karny.

[3]) Dane te podług *The Statesman's Year-book* (1890) 314. — Rezultat taki wymaga znacznych poświęceń od skarbu arg.: 1887 r. koszta wyłożone na emigracyę wyniosły 450 tys. pes. Ob. *El dr. Celman en el primer año de su gobierno*, 49 i nast. (Buenos-Aires 1887): obecnie po doliczeniu kosztów bezpłatnego przewozu, wzrosły niesłychanie.

dla rozkolonizowania znaczne obszary, stanowiące własność publiczną; mogą wreszcie nabywać grunta od większych właścicieli ziemskich, parcelujących swoje dobra na własną rękę lub też pod kierunkiem właściwego rządu prowincyonalnego. — Istne jak widzimy, *embarras de richesse.*

Pierwsze próby kolonizacyjne podejmowane były przez prywatnych przedsiębiorców europejskich. Pouczające losy najznaczniejszego tego rodzaju przedsięwzięcia domu handlowego szwajcarskiego Beck i Hercog z Bazylei (1857), niekompromitujące już, bo odległe, opowiada z wielką szczerością p. Peyret, argentyński inspektor rządowy kolonii. Rząd szwajcarski zażądał był uprzednio od przedsiębiorców, ludzi bardzo majętnych, złożenia w Szwajcaryi znacznéj kaucyi w gotowiźnie; trudno więc wątpić o ich zainteresowaniu się sprawą, która z tém wszystkiem wzięła obrót opłakany. Po sprowadzeniu kolonistów do Corrientes, gdzie zakupiona była przez Beck'a od rządu prowincyi odpowiednia przestrzeń zdatna pod uprawę, tenże rząd prowincyonalny pod dowolnemi pozorami akt kupna unieważnił, stawiając Beck'a i emigrantów w położeniu rozpaczliwém. Prezydent ówczesny konfederacyi, gen. Urquiza, korzystając z téj sytuacyi, ofiaruje Beck'owi prywatne swoje posiadłości w Entre-Rios, położone w błotnistych nizinach nad rzeką Gualéguay, na co ten zmuszony jest przystać. Po ciężkiéj przeprawie, — nie było naówczas w tych okolicach żadnych środków komunikacyi — dociągają wycieńczeni wychodźcy do nowego miejsca przeznaczenia; tutaj przez trzy tygodnie leżą w bagniskach pod gołém niebem, wyczekując dopełnienia pomiarów, aż w końcu przybyły geometra rządowy oświadcza, że wobec zupełnéj nieprzydatności ziemi dla celów kolonizacyjnych, oraz ze względu na nieuniknione zalewy od strony rzeki, nie może przyjąć na siebie odpowiedzialności wykonania w tych warunkach pomiaru. — Kolonistów ponownie przenoszą do odległych o dwa dni drogi innych posiadłości Urquizy, gdzie nareszcie pozwalają im osiąść. Taka między nimi była nędza, że nowonarodzoną dziewczynkę karmiono mlekiem suki [1]). Jeśli zważymy, że cała powyższa opowieść mieści się w dziele urzędnika w czynnéj służbie argentyńskiéj, książce gorąco zachęcającéj do emigracyi, że wychodźcami w tym wypadku opiekował się rząd ich rodzinny, że przedsiębiorstwem całém kierowała poważna firma handlowa, zaś grunta dostarczone były przez instytucyę rządową i prezydenta rzplitéj, — oczywiście budzi się powątpiewanie o powodzeniu usiłowań kolonizacyjnych, przedsiębranych w mniéj pomyślnych warunkach.

---

[1]) Peyret *Une visite*, 7, 8.

W istocie nie były te usiłowania szczęśliwe. Koloniści rozpierzchali się w nędzy, przedsiębiorcy bankrutowali. W takiém położeniu opinia publiczna i prasa argentyńska zażądała samodzielnego zajęcia się rządu tą sprawą. „Uwydatniono, powiada p. Peyret, że kolonizacya jest interesem samego państwa, państwo zatém winno ponosić wszelkie ofiary, jakich ona wymaga; że w ostateczności nic państwo nie ma do stracenia, gdyż koloniści raz sprowadzeni pozostają w kraju, stają się wytwórcami i ponoszą podatki; że każdy kolonista przedstawia gotowy kapitał, gdyż wyraża znaczną sumę pieniędzy i czasu(?); że nawet nadużycia administracyi państwowéj nie zasługują tu na żadną uwagę, lub mają znaczenie drugorzędne, w porównaniu z doniosłemi wynikami kolonizacyi. Z takich dwuznacznych pobudek uchwalone zostało „prawo narodowe o kolonizacyi“ (1876), na którego zasadach odbywa się podziśdzień kolonizacya federalna „Terytorya narodowe“ podzielone zostały na sekcye, zawierające po czterysta działów 100 hektarowych. W każdéj takiéj sekcyi (*partido*) cztery działy zachowane zostają na potrzeby wspólne, dalsze sto działów rozdane bezpłatnie między pierwszych kolonistów. Ci koloniści założyciele mogą otrzymywać od rządu zaliczki pieniężne do wysokości 1000 pesos, które spłacają w pięciu ratach corocznych, poczynając od piątego roku po przyznaniu pożyczki. Pozostałe grunta sprzedają się z wolnéj ręki, w stosunku 2 pes. 6 centawów (nominalnie około 4 rs.) za hektar, z terminem spłaty dziesięcioletnim, biegnącym od początku drugiego roku po nabyciu. Nie wolno odstąpić jednemu nabywcy więcéj nad 400 hektarów, ani też mniéj niż 25 hekt. — Każdy kolonista zobowiązany jest przynajmniéj przez pierwsze dwa lata zrzędu uprawiać swoje grunta. Kolonista przy wprowadzeniu w posiadanie otrzymuje zwyczajne świadectwo tymczasowe; uregulowanie tytułu własności następuje dopiero „po wywiązaniu się jego ze wszystkich przyjętych na siebie obowiązków“ — wyrażenie dosyć ogólnikowe i niejasne.

Na takich podstawach założono liczne kolonie na terytoryach narodowych w Chaco, Entre-Rios, Rio-Negro i Patagonii, lecz prawie wszędzie z ujemnym skutkiem. Osady, wykreślane w pięknych konfiguracyach symetrycznych, najczęściéj okazywały się nieużytkami; obiecywane wsparcia pieniężne nie mogły być wydawane kolonistom dla braku funduszów skarbowych. Jak otwarcie wyznaje p. Peyret, „dopuszczono się ciękich nadużyć przy administrowaniu témi koloniami [1]). Największe jeszcze względnie widoki powodzenia mają kolonie w Entre-Rios, na półn.-wschód od Buenos-Aires. W sprawozdaniu posel-

[1]) Tamże 354, 15.

stwa angielskiego w Argentynie z lipca 1890 r. polecaną jest uwadze wychodźców kolonia Jerna w prowincyi Entre-Rios, gdzie ministeryum spraw zagr. ofiarowało sto posiadłości, po 100 hektarów każda, dla osadników angielskich, po cenie 57 pes. (naówczas około 40 rs.) za hektar; koloniści winni „być dobrych obyczajów i stanu rolniczego“ i posiadać na własność ruchomości i narzędzia rolnicze wartości 500 pes.— „Przecie emigranci angielscy, zauważyły z tego powodu londyńskie „Times,“ nie zechcą chyba chwili obecnéj uznać za stosowną na wyprawy do Argentyny.“ [1]). Co się tyczy Patagonii, p. Nestorowicz, który w 1889 r. zwiedził te niegościnne okolice, maluje je w nader czarnych kolorach [2]). Ostatecznie kolonizacyę „federalną“ uważać można za zupełnie chybioną.

Spróbował rząd narodowy zwrócić się do pośrednictwa osób i kompanii prywatnych. Przedsiębiorca otrzymuje od rządu na warunkach nader dogodnych grunta na jedną kolonię, z podziałem jak wyżéj; zobowiązuje się natomiast osiedlić w tém miejscu przynajmniéj 140 rodzin w przeciągu dwóch lat, wydzielić bezpłatnie, lub sprzedać każdéj rodzinie niemniéj, niż 50 hektarów, w pierwszym roku udzielać osadnikom, w miarę ich potrzeb, zasiłki w gotowiźnie, lub w naturze po cenie kosztu, spłacalne w pięciu corocznych ratach (od początku trzeciego roku), z procentem 10% rocznie. Przedsiębiorcy kolonizacyjnemu przysługuje prawo bezpłatnego przewiezienia osadników od miejsca wylądowania do kolonii. Obowiązany jest złożyć do skarbu kaucyę 4000 piastrów. Towarzystwa kolonizacyjne działają na tych samych warunkach, mogą jednak otrzymać obszary podwójne, na których winny osiedlić 240 rodzin w przeciągu lat czterech od daty zawarcia z rządem umowy; składają kaucyę 10,000 pias. — Wszystkie te kolonie zwolnione są na lat dziesięć od podatków; narzędzia rolnicze, zasiewy, broń, sprzęty domowe, przywiezione przez osadników, nie ponoszą opłat celnych.

I tutaj wyniki praktyczne zawiodły. Kolonie wlokły żywot nietrwały, znikały często po kilku latach lub pogrążały się w bezrządzie. Wada zasadnicza polega tu, jak przy bezpośredniéj kolonizacyi federalnéj, na zupełnéj dowolności przy obraniu miejsca na osady. Nie jest to zaś szczegół przypadkowy, lecz wypływający owszem z intencyi prawodawcy, by zaludnić pogranicza opustoszałe lub przez indyan zajęte, oraz z małéj wartości dóbr narodowych. Daléj widoczną się staje nawet w jednostronném przedstawieniu urzędowém, na którém tutaj zmuszony jestem poprzestać, brak wszelkiéj kontroli państwowéj. Za-

---

[1]) *Week. Times*, Nr. 710. [2]) „W Braz. i Arg.“ 36 i nast.

rządowi kolonii, podług litery prawa, przysługuje dozór naczelny nad przedsiębiorstwami kolonizacyjnemi, lecz dozór taki jest prostém złudzeniem wobec opieszałości i zepsucia władz argentyńskich od alkaldy do prezydenta włącznie. Sama już wysokość kaucyi dziwnie wydaje się niewystarczającą przy wielkiéj rozmaitości cen ziemi, osiąganych przez spekulantów kolonizacyjnych; zaś podług ustalonéj praktyki nie składają jéj w gotowiźnie, lecz w papierach, w formie zabezpieczenia hypotecznego, a nawet w postaci zwyczajnego poręczenia.

O wiele skuteczniejszą, przynajmniéj na ilość biorąc, okazała się inicyatywa rządów prowincyonalnych. Początek dała tu prowincya Santa-Fé (1856 r.), gdzie w 1889 r. było 192 kolonii na przestrzeni przeszło 2½ mil. hektarów; drugie miejsce zajmuje Entre-Rios, gdzie w tym samym czasie istniało 50 kolonii; trzecie Córdoba z 40 nowopowstałemi osadami, z których zajmują niektóre po 50 tys. hektarów. W jakim stanie znajdowały się te olbrzymie kolonie, to inna sprawa. P. Peyret, jakkolwiek skłonny z natury widzieć rzeczy w najlepszém świetle, nie może zataić wszystkich szczegółów ujemnych. Najczęściéj i w tym wypadku kolonizacyą nie zajmował się sam rząd prowincyonalny, lecz pośrednicy i spekulanci prywatni, z zachowaniem mniejszych jeszcze ostrożności, niż przy kolonizacyi federalnéj. P. Peyret opowiada ciekawe dzieje typowego przedsięwzięcia tego rodzaju. Niejaki Edward Galles, człowiek bez żadnych kwalifikacyi ani środków majątkowych, ma sobie powierzone (1880 r.) przez rząd prowincyi Entre-Rios zasiedlenie miejscowości Rocamora. Awanturnik sprowadza kilkadziesiąt rodzin z Europy, zdziera z nich po 220 f. szt., zabiera, pod pozorem sporządzenia aktu notaryalnego, wszystkie tytuły własności tymczasowe, które następnie spienięża powtórnie w Buenos-Aires, i ulatnia się. Rząd akty nabywcze unieważnia, osadnicy rozpierzchają się i giną, a wątpliwą dla nich pociechę stanowić może doniesienie p. Peyret'a, jakoby Galles 1883 r. zamordowany został w Buenos-Aires przez jednego z oszukanych [1]. — Nadmierna rozległość tych osad również przyczyniła się do ich upadku: tak np. jedna kolonia Monigotes w prowincyi Santa-Fé zajmuje przeszło 200 tys. hektarów; oczywiście wielu jest osadników pozornych, których spekulanci kolonizacyjni sprowadzają jedynie w celu uczynienia zadość literze umowy z rządem, by nie utracić praw do pozyskanych obszarów. — Nawet w bardzo różowo zabarwioném sprawozdaniu wspominanego tylokrotnie p. Peyreta,

[1] Peyret. 75. — W podobny sposób upadła 1886 r. kolonia Aquino w okręgu Chaco, opuszczona przez kompanię Vescovo C-ie z Buenos-Aires. — (Ob. tamże, 249, 250).

tylko niewielkie względnie osady przedstawiają się zupełnie zadawalniająco, zaś do takich skierować emigracyę nie leży bynajmniéj w interesie większości założycieli-spekulantów.

Za przykładem wymienionych prowincyi poszły ostatnie z kolei stany prowincyi Buenos-Aires, uchwalając 25 listop. 1887 r. prawo o „centrach rolniczych,“ które miało zawrzeć w sobie udoskonalenie wszystkich dotychczasowych w tym względzie przepisów. W miejscowościach, położonych za obrębem promienia stu kilom. od miasta Buenos-Aires, urządzone zostają obok przystanków kolei żelaznych t. zw. „centry rolnicze,“ bądź z posiadłości osób prywatnych, przystępujących dobrowolnie, bądź też drogą wywłaszczenia. — W tym ostatnim wypadku, staraniem „Biura rolniczego,“ kierującego całém przedsięwzięciem, odbywa się sprzedaż wywłaszczonych gruntów z licytacyi publicznéj, w działach od 20 do 100 hektarów; największa przestrzeń nabyta przez osadnika wynosić może 300 hekt. Nabywcy otrzymują tymczasowy tytuł własności, zaopatrzony podpisem dyrektora biura rolniczego, i w przeciągu dni dziesięciu wprowadzeni zostają w posiadanie. Zobowiązani są uprawiać przynajmniéj połowę nabytéj przestrzeni przez trzy lata z rzędu, pod groźbą powrotu do skarbu gruntów, po tym terminie odłogiem leżących. Korzystają dla transportu swoich płodów rolnych z ustępstwa 25% od zwykłych taryf kolejowych [1]), lecz dopiéro po dopełnieniu uciążliwych dosyć formalności i sprawdzeniu każdorazowém ilości i przeznaczenia transportu przez biuro rolnicze. Przez pierwsze trzy lata nie opłacają żadnych podatków bezpośrednich. Mogą otrzymywać z biura prowincyonalnego kredyt ze spłatą w dziesięciu ratach rocznych, o czém zresztą bardzo niejasno wyraża się art. 25, który wysokość pożyczki i procentu zupełnie do uznania banku pozostawia. Wszelkie akty nabywcze wolne są od stempla.

Ważniejsze bezporównania, istotną treść prawa stanowiące, choć zostawione dyskretnie na koniec, są przepisy o dobrowolném przystąpieniu właścicieli ziemskich do „centrów rolniczych.“ Każdy taki właściciel, po złożeniu w biurze rolniczém swego tytułu własności planu i deklaracyi szacunku, upoważniony zostaje do kolonizacyi na własną rękę, z prawem zaciągnięcia natychmiast pożyczki w banku hypotecznym prowincyi Buenos-Aires, do wysokości trzech czwartych szacunku, w listach zastawnych tego banku. Osadnik przy nabyciu

---

[1]) Właściwie tylko na kolejach państwowych, których pozostało niewiele. Ustępstwo podobne na kolejach prywatnych postawione jest w zależności od układu z rządem.

posiadłości, przyjmuje ustosunkowany do przestrzeni dług hypoteczny a różnicę względnie do ceny nabywczéj płaci właścicielowi gotowizną. Przepisanie tytułu własności na osobników następuje, jak wyżéj, po upływie lat trzech, pod warunkiem uprawiania przynajmniéj ich połowy. Osadnikom przysługują te same przywileje, jak wyżéj.

Z mocy tego prawa w przeciągu jednego tylko 1888 r. powstało w prowincyi Buenos-Aires przeszło dwieście „centrów rolniczych,“ których liczba w następnych latach się podwoiła. Są one szczególnie interesujące z tego jeszcze względu, że tutaj mianowicie umieszczani są w ostatnich czasach wychodźcy z państwa ruskiego [1]). Oto jak brzmi opinia o tych osadach p. Ébelot'a, doskonale obznajmionego ze stosunkami miejscowemi. „Jakkolwiek procent i amortyzacya długu hypotecznego stanowi ciężkie brzemię dla osadnika, nie byłoby przecie niepodobieństwem, aby rodzina pracowita, wspierana w początkach, zdołała w tych warunkach oczyścić z długu swą posiadłość i dojść do dobrobytu. Jest to wszakże wyjątek. Prawie zawsze przedstawione (przez właścicieli ziemskich) projekty miały na celu wyłącznie wydobycie od banku grubszéj sumy, którą śpieszono się użyć na cele postronne. Jest rzeczą godną uwagi, wiele obecnie istnieje bagnisk nieużytków, które na papierze figurują jako znajdujące się pod uprawą. Ludzie zabiegliwi wyszukiwali pozornego kontrahenta, któremu za wynagrodzeniem ustępowali swoje zobowiązania, a na którego następnie spadała odpowiedzialność za dług. Spadała ona właściwie na ziemię, lecz ta niestety oszacowana była dziesięćkroć po nad wartość istotną“ [2]). Tak np. ze świeżego procesu, wytoczonego właścicielom, skolonizowanych dóbr Corbina, okazało się, że te dobra, nabyte za 140

---

[1]) Tak 1888 r. do kolonii Sauz corto, należącéj do p. Casey'a sprowadzono „sto rodzin ruskich“ na następujących warunkach. Cena — 25 piastrów za hektar, ze spłatą sześcioletnią; od nieuiszczonych w terminie rat biegnie 10% rocznie, a zarazem od téj chwili — jak również w wypadku zaciągnięcia przez osadnika pożyczki, w gotowiźnie lub naturze, od zarządu kolonii, — „uczestniczy zarząd w sprzedaży wszelkich produktów osadnika, pobierając 3% tytułem komisowego i gwarancyi, choć w żadnym wypadku nie uskuteczni sprzedaży, bez zasięgnięcia, porady (? „*sans consulter*“) zainteresowanego kolonisty“. Jest to innemi słowy, poprostu sekwestr, wykonywany przez przedsiębiorcę. Osadnik obowiązany jest uprawiać w pierwszym roku dziesiątą część swych gruntów, w następnym jedną piątą, w trzecim trzy dziesiąte, w czwartym i piątym — resztę. — Koszta aktu kupna ponosi nabywca. W razie uchybienia któremukolwiek z powyższych warunków, następuje unieważnienie umowy nabywczéj. — Na sąsiednich koloniach domu Tornquist C-ie z Buenos-Aires, również osiedlono w ostatnich latach rodziny przybyłe z Rosyi.

[2]) *Revue des deux mondes* l. c. 633.

tys. pes., uzyskały pożyczkę bankową blisko dwóch milionów pes. Przy takich warunkach, rzecz prosta, nie mogło być mowy o normalnym rozwoju osadnictwa.

Rozczarowania, jakie spotykają wychodźców europejskich w Argentynie, znajdują wyraz w niedwuznacznym ruchu zwrotnym, — emigracyi z Argentyny do krajów sąsiednich, a nawet z powrotem do Europy. Wynosiła ona dawniéj 9 do 14 tys. przeciętnie; 1875 r. opuściło tę ziemię obiecaną 21 tys. osób, 1880 r. — 25 tys. [1]. — Jeden jeszcze szczegół statystyczny na zakończenie. Z pośród wszystkich krajów pozaeuropejskich, w Argentynie dostrzegać się daje najwyższy stosunek procentowy samobójstw — 18,9 corocznie na każde 100 tys. mieszkańców; ustępuje ona pod tym względem jednéj tylko Danii i Niemcom. „Zjawisko takie bynajmniéj dziwić nie może w kraju, gdzie bardzo jeszcze daleko do urzeczywistnienia nadziei, jakie sprowadzają tutaj emigracyę europejską.“ [2]).

* * *

Argentyna dzisiejsza potrzebuje do życia trzech kolejno warunków: ładu, kapitałów, siły roboczéj. — Pierwszego dotychczas nie widać, drugiego dać jéj nie możemy, trzeciego zatém nie powinniśmy.

Z obecnego odmętu stosunków argentyńskich wypłynąć może, nie bez znacznego wysiłku, masowa, zorganizowana wewnętrznie, mająca punkt oparcia u rządów właściwych emigracya wielkich narodów europejskich. — Sztuczna i dorywcza polska, rzucona na łaskę losu, bez żadnych gwarancyi i opieki, wszelkie ma szanse zatonięcia.

W końcu pytanie ogólne, które winno było być najpierwszém: czy lud polski posiada zdolności kolonizacyjne? Osobiście sądzę, że nie, — lecz z założeń prawie wyłącznie historycznych, niepewnych i niedostatecznych. — Zaś w téj kwestyi należy się głos przedewszystkiem ziemianinowi i znawcy ludu.

Szymon Askenazy.



---

[1]) *Stat. year-book* l. c. — *Meyer's Conv. Lexik. IV, Aufl.*, T. I. (1888) p. 792.

[2]) Louis Bougier w *Gr. Encyclopédie* T. III (1889) p. 859.



METAFIZYKA WIEDZY PRZYRODNICZÉJ.

Zadaniem wiedzy ścisłéj jest poznanie związku, w jakim się nam ukazują zjawiska przyrody. Związek ten wykrywa się przy pomocy percepcyi zmysłowéj metodycznéj, t. j. doświadczenia, oraz indukcyi; pierwsza daje pojedyńcze cegiełki, z których druga buduje gmach wiedzy; pierwsza zbiéra materyał w postaci sądów szczegółowych, druga ten materyał ujmuje w twierdzenia ogólne. Nauka logiki wyróżnia dwojakie zastosowanie indukcyi: indukcyą zupełną nazywamy twierdzenie ogólne, obejmujące tylko znane wypadki szczegółowe; tak gdy spostrzeżenia nad pojedyńczemi planetami układu słonecznego wykazują, iż planety te obiegają wokoło słońca w jednakowym kierunku, twierdzenie orzekające: „wszystkie znane planety układu słonecznego, mają jednakowy kierunek w biegu naokoło słońca“ jest indukcyą zupełną. Pewność tego twierdzenia nie nasuwa żadnéj wątpliwości, nie przesądza ono bowiem nic o planetach nieznanych, ale zarazem i nie rozszerza zakresu wiedzy naszéj. Niemniéj przeto, ujmując w niewielu wyrazach, to, co stanowi wynik długich poszukiwań, indukcya zupełna ułatwia znakomicie oryentowanie się wśród niezliczonéj niekiedy mnogości faktów.

Przeciwnie, indukcya niezupełna wnioskuje od znanych wypadków ku nieznanym; na podstawie kilku zbadanych zjawisk twierdzi o wszystkich podobnych. Pewność takiéj indukcyi nie może być oczywiście tak niezaprzeczoną, jak pewność indukcyi zupełnéj; w wielu jednak wypadkach posługuje się nią wiedza z największém zaufaniem. Tak chemik, zbadawszy jeden kawałek jakiegokolwiek ciała, twierdzi bez wahania, iż każdy inny kawałek tegoż ciała, gdziekolwiek się znajdzie, wykaże też same własności, co i zbadany. Na czém polega to przeświadczenie, wykaże się niżéj, tu zaznaczamy

tylko, iż pewność twierdzeń indukcyi niezupełnéj nie jest oczywistą, że stanowi ona przeto zagadnienie, które rozwiązać należy. Łatwo jednak dojrzéć, że właśnie indukcya niezupełna stanowi najpotężniejszy środek rozszerzenia zakresu wiedzy. Jakoż istotnie nią się przeważnie posługują wszystkie umiejętności doświadczalne.

Zdobyte przez spostrzeganie, a w twierdzenia ogólne ujęte założenia stanowią t. zw. prawa przyrody. Prawa te, orzekając związek, w jakim się nam ukazują zjawiska, stanowią cel ostateczny wiedzy. Nie zatrzymuje się jednak ona na tym punkcie i zatrzymać się nie może. Jakkolwiek bowiem ujęcie niezliczonych faktów w nieliczne stosunkowo twierdzenia ogólne, ułatwia znakomicie oryentowanie się wśród zdobytego przez spostrzeżenie materyału, nadając mu formę zgodną z wymaganiami umysłowości naszéj, sama jednak abstrakcyjność praw ogólnych stanowi już pewną przeszkodę w ich użyciu; umysł bowiem z trudnością operuje za pomocą pojęć ogólnych, i to tém trudniéj, im są one ogólniéjsze, im więcéj są oderwane. Jeśli niezdolność umysłu naszego do objęcia jednocześnie znacznéj ilości faktów szczegółowych sprawia, iż szukamy dla nich wyrażenia abstrakcyjnego, streszczającego te fakta w twierdzeniu ogólném, to trudność obchodzenia się z pojęciami abstrakcyjnemi zmusza nas do szukania takiego naocznego przedstawienia tych twierdzeń, któreby nie czyniło ujmy ich ogólności. W ten sposób powstaje hypoteza [1]).

Przykład najlepiéj to wyjaśni.

Badając ilościowe stosunki, w których się łączą pierwiastki, wykryli chemicy, że stosunki te są stałe i ulegają prawom bardzo prostym. Jeśli np. dwa pierwiastki tworzą, łącząc się z sobą, kilka związków rozmaitych, to ilość jednego z nich w związkach po sobie następujących będzie podwójną, potrójną i t. d. téj, jaka była w związku początkowym. Taż sama znów ilość pierwszego, jaka przypadała na określoną ilość drugiego, lub wielokrotna téj ilości, łączy się z taką ilością trzeciego, z jaką łączy się odpowiadająca jéj ilość drugiego w związku z tym trzecim.

Stosuje się to prawo do wszystkich pierwiastków i w formie abstrakcyjnéj nazywa się prawem równoważników. Dalton unaocznił

---

[1]) Nie rozróżniamy tu hypotezy od teoryi; jakkolwiek bowiem ważną jest różnica między jedną a drugą w zakresie ściśle naukowym, zaznaczając mniejsze lub większe uznanie, jakiém się cieszy domysł ze strony ludzi wiedzy, ze stanowiska filozoficznego jest ona tylko ilościową. Biorąc rzeczy historycznie, widzimy, że każda hypoteza, posiadająca zaród trwałości, staje się z czasem teoryą; każda teorya, gdy zasób wiedzy faktycznéj ją przerasta, staje się „przesądem, tamującym dalszy postęp umiejętności.“

to prawo za pomocą hypotezy atomistycznéj: przypuszczając, że pierwiastki złożone są z atomów o stałéj wadze, otrzymujemy obraz zupełnie naoczny tego abstrakcyjnego prawa: atom jednego może łączyć się z jednym, dwoma, trzema lub więcéj atomami drugiego, a ilości połączonych ciał nie mogą być inne, tylko takie, jakich prawo wymaga. Prawo równoważników wynika z téj hypotezy, jako proste następstwo. Na miejsce formułki abstrakcyjnéj, mało przemawiającéj do umysłu, stawiamy wyobrażenia zupełnie przedmiotowe i zmysłowe, obejmujące jednak wszystkie fakta szczegółowe z równą łatwością, jak i forma abstrakcyjna.

Hypoteza jest więc budową idealną a naoczną, z któréj dają się wyprowadzić drogą dedukcyi wszystkie fakta szczegółowe, a zatém i prawa ogólne, dotyczące pewnego szeregu zjawisk. Jest-to fikcya, zawierająca „w możności“ (*in potentia*) owe zjawiska, które z niéj mogą być tak prosto i łatwo wydobyte drogą wnioskowania, jak np. sumy, różnice iloczyny lub ilorazy z maszyny arytmetycznéj przez nastawienie odpowiednich liczb i znaków.

Za pomocą téj fikcyi osiągamy cel podwójny: 1) mamy do czynienia z wyobrażeniami przedmiotowemi i naocznemi; 2) z tych wyobrażeń wydobyć możemy wszystko, co było zawarte w twierdzeniach ogólnych. Dlatego powiadamy, że hypoteza wyjaśnia fakta; czyni ona istotnie jasnemi przez naoczność to, co w twierdzeniach ogólnych zaciemnione było przez abstrakcyjność. Jest ona symbolem zmysłowym, unaoczniającym stosunki abstrakcyjne [1]).

W powstawaniu więc każdéj hypotezy naukowéj rozróżniać winniśmy dwa stopnie: 1) przejście od faktów szczegółowych do abstrakcyjnie sformułowanego prawa lub pojęcia; 2) przejście od tego abstrakcyjnego prawa do pewnego, zupełnie dowolnego wyobrażenia naocznego, które owe prawo, a zatém i ujęte w niém fakta szczegółowe, w sobie zawiera jako następstwo nieuniknione, przez prostą dedukcyą dające się wyprowadzić.

---

[1]) Pogląd na istotę hypotezy, zgodny z wypowiedzianym tutaj, znajdujemy u Wundt'a („Teorya poznania“, str. 169 polsk. przekładu). „Hypoteza wyłącznie ku temu służy, aby przy jéj pomocy wywieść logiczny związek faktów i o ile hypoteza więcéj nad to czyni, o tyle przekracza granice swego prawa.“ Toż samo wyraża Mach (którego sąd przytaczamy tu, jako sąd fizyka), gdy powiada o atomach: „Diesen Mitteln verbleibt ihre Werthschätzung für ihren besondern beschränkten Zweck. Sie bleiben ökonomische Symbolisirungen der Welt der Erfahrung. Man wird aber von ihnen, wie von den Symbolen der Algebra nicht mehr erwarten, als man in dieselben hineingelegt hat.“ (Beiträge zur Analyse der Empfindung. Jena, 1886, str. 142).

Stosownie do tego rozróżniamy dwojaką czynność umysłową w tworzeniu hypotez: analizę i syntezę.

Pierwsza polega na rozczłonkowaniu skomplikowanych zjawisk spostrzeżenia i wyszukaniu cech wspólnych pośród różnorodności tych zjawisk; zjawisko całkowite zostaje rozłożone na pierwiastki swoje i niektóre z tych pierwiastków, czyli zjawisk elementarnych, utożsamiają się z podobnemiż pierwiastkami innego zjawiska.

Po dokonaniu téj czynności następuje inna, twórcza, czyli syntetyczna: wymyślenie koncepcyi, którąby dawała wspólną podstawę dla odnalezionych jednostajnych składników. Twórczość ta, jeśli się różni z wielu względów [1]) od twórczości poetyckiéj, ma jednak z nią wspólną cechę: dowolności w pewnych granicach.

Ponieważ nie idzie tu o bogactwo, lub piękność wytworu wyobraźni, jak w twórczości poetyckiéj, więc najczęściéj sama twórczość naukowa ogranicza się do nagięcia, zapożyczonéj skądkolwiekbądź koncepcyi wymaganiom hypotezy. Ta czynność więc najczęściéj jest podrzędną w tworzeniu hypotez, kiedy przeciwnie w analizie, (a mianowicie w ujęciu istotnych cech podobieństwa) wynurza się niekiedy cała potęga geniuszu naukowego, który zawsze jest przeważnie indukcyjny.

Jako jeden z najświetniejszych przykładów, gdzie praca analizy zawierała szczególne trudności, przytoczymy tu genialny pomysł Newtona. Utożsamienie obiegu ciał niebieskich ze spadaniem jabłka lub kamienia na ziemię jest myślą, która i dziś, gdy już gotową podaje się umysłowi, niezbyt łatwo przezeń się przyswaja. Aby myśl tę powziąć, należało najsamprzód dostrzedz w ruchu po linii krzywéj składową, skierowaną wzdłuż promienia wodzącego; należało daléj odważyć się na przypuszczenie, że taż sama przyczyna, która powoduje spadanie ciał na powierzchni ziemi, oddziaływać może na odległości milionów mil i utożsamić ją z ową składową ruchu planet i rozpowszechnić na wszystkie ciała. Obliczenie wielkości téj składowéj i porównanie jéj z przyśpieszeniem na powierzchni ziemi, oraz nadanie prawu formy ścisłéj, stanowiły już dzieło geniuszu matematycznego, a twórczość ograniczyła się do podstawienia wyobrażenia, które mogło być zapożyczone z pospolitego spostrzeżenia przyciągania np. żelaza przez magnes.

Wiadomo, że Newton wypowiedział hypotezę swoję w formie

---

[1]) Różnica głównie polega na tém, że twórczość poetycka kształtuje według wymagań uczucia, podczas gdy naukowa podporządkowana jego wymaganiom myśli.

warunkowéj, mianowicie, że ciała niebieskie oddziaływają na się tak jak gdyby się przyciągały według pewnych stosunków matematycznych. Jest-to jedyna forma ścisła każdéj hypotezy.

Istotnie, gdybyśmy nawet na razie nie mogli pomyśléć żadnéj innéj koncepcyi, któraby „wyjaśniała“ poznane fakta, to możność takowéj nie jest jeszcze usuniętą, a więc przyjęcie danéj nie jest koniecznością logiczną i przyjmujemy ją wprost dlatego, że jest wystarczającą, i na razie nie potrzebujemy szukać innéj; potrzeba ta jednak może nastąpić z postępem wiedzy, t. j. z pomnożeniem faktów szczegółowych, mających związek z przedmiotem danym. W takich razach zwykle zaczyna się od tego, że hypotezę początkową modyfikują, uzupełniając różnemi dodatkami, które wreszcie czynią ją tak zawiłą i niedogodną do manipulacyi naukowych, że badacze zostają zmuszeni zastąpić ją przez inną, lepiéj odpowiadającą nowym wymaganiom wiedzy. Za przykład takich przejść służyć może newtonowska hypoteza promieniowania światła; mniéj więcéj w podobném położeniu znajduje się dziś i cała teorya atomistyczna.

Zauważmy przytém, że gdyby w jakikolwiekbądź sposób zostało dowiedzione, że żadna inna koncepcya oprócz téj, którą przyjęliśmy, nie jest możliwa, mielibyśmy tylko do czynienia z koniecznością logiczną [1]); „prawdziwość“ takiéj koncepcyi nie stanęłaby jeszcze przez to na równi z „prawdziwością“ spostrzeżenia zmysłowego.

Dowolność budowy w hypotezie nie ujmuje bynajmniéj nic z jéj znaczenia naukowego, gdyż w oczach badacza ścisłego ma ona zawsze tylko znaczenie budowy pomocniczéj i tak uważana stanowi część wiedzy ścisłéj. W oczach uczonego jest ona zawsze tylko rusztowaniem czasowém, które się usuwa, gdy potrzeba minie; możemy ją określić również jako rzut zjawiska na widnokrąg umysłowy.

---

[1]) Matematycy wprawdzie przyjmują podobny sposób dowodzenia, jako zupełnie ścisły. Tak np. dowodzenie równości wszystkich kątów prostych polega w geometryi na dowodzeniu, że żaden z nich nie może być ani większym, ani mniejszym od innego. Uwydatnia się w tém różnica pomiędzy matematyką, jako nauką formalną i apryoryczną, a przyrodoznawstwem, które jest doświadczalne i zmysłowe, t. j. treść swoją bierze z „materyału“ spostrzeżenia zmysłowego. Cały gmach matematycznéj wiedzy składa się tylko z konieczności logicznych i tylko takie mają doniosłość w matematyce, gdy wyobrażenia zmysłowe, jakkolwiek matematyka posługuje się niemi ciągle, jako konstrukcyami pomocniczemi, nie mają nigdy znaczenia dowodu matematycznego. Gdybyśmy narysowali jak możemy najdokładniéj kilka, lub kilka tysięcy kątów prostych i, mierząc je, znaleźli, że są sobie równe, nie wystarczałoby to wcale za dowód matematyczny. Przeciwnie, w przyrodoznawstwie za „prawdę“ uważamy to, co jest zgodne z postrzeganiem zmysłowém, gdyż na tém ostatniém polega właśnie doświadczenie.

Zestawiając to, cośmy tu o hypotezie powiedzieli z zaznaczoném na początku zagadnieniem wiedzy, wnosimy, że hypotezy i teorye nie stanowią w niéj celu, lecz tylko środek, ułatwiający osiągnięcie tego celu, którym jest, jak już wspominaliśmy, poznanie praw przyrody. Hypotezy ułatwiają lub czynią możliwém przejście od praw szczegółowych ku twierdzeniom coraz ogólniejszym; dają możność ujęcia coraz większych zakresów faktów w nieliczne twierdzenia ogólne. Rzec można, że fakta stanowią materyał, hypoteza—narzędzie, któremi się posługuje wiedza dla osiągnięcia celu swego — poznania praw, t. j. związku koniecznego zjawisk przyrodniczych.

Naoczność jednak i przedmiotowość koncepcyi hypotetycznéj nasuwa z łatwością chęć nadania jéj innego znaczenia, niż to, jakie jéj wiedza zakreśla. Umysł, nie wyćwiczony w szkole metodycznéj wiedzy, chętnie widzi w koncepcyach tych rzeczywisty obraz świata; zdaje się mu, że wiedza odkrywa ten obraz z osłon, w jakie go owija niedoskonałość zmysłów naszych; że właśnie te pomysły, które stanowią w rzeczywistości przechodzące i nietrwałe narzędzia poznania, są najważniejszą i istotną zdobyczą wiedzy. Sztuczne rusztowania, przez myśl naszą dla ułatwienia badania wystawione, stają się wtedy istotą rzeczy, prawdą bezwzględną, rzeczą w sobie. Atom np., wymyślony na to, aby uzmysłowić stosunki ilościowe związków chemicznych, staje się rzeczą w sobie, rzeczywistą formą elementarną wszechświata; symbol zmienia się w byt. Nadając znaczenie takie hypotezom naukowym, przerzucamy się od razu z dziedziny wiedzy ścisłéj w dziedzinę metafizyki; w ten sposób, t. j. przez niekrytyczne rozszerzenie granic zastosowania hypotezy, powstaje metafizyka wiedzy przyrodniczéj, czyli doktryna o istocie rzeczy z punktu widzenia przyrodoznawstwa powzięta.

Przekroczenie to granic poznania naukowego, przez które idealne i dowolne koncepcye pomocnicze wiedzy stają się podstawą poglądu na świat, dokonywa się najczęściéj nie przez badaczy, a najmniéj przez twórców hypotezy, lecz przeważnie przez ludzi, posiadających t. zw. „wykształcenie przyrodnicze“, t. j. takich, którzy z całéj wiedzy przyswoili sobie tylko owe uogólnienia i hypotezy w stanie gotowym, a bardzo rzadko mają jasne pojęcie o ciężkiéj pracy, jaką się te hypotezy wytwarzały. Wprawdzie skoro raz taki kierunek myśli wytworzy się w społeczeństwie i stanie się atmosferą duchową czasu, zdarza się, że i poważniejsi badacze ulegają mimowolnie skłonności do nadawania rzeczywistości wytworom wyobraźni własnéj; ale pierwszy krok w tym kierunku robią zwykle nie uczeni z fachu.

Dążność ta jest zresztą bardzo naturalna, a zgodna z usposo-

bieniem ludzkiém, które nie zadawalnia się względną prawdą i szuka wszędzie poznania bezwzględnego. Podobnie, jak myt, w wyobraźni ludu przekształca się w prawdę historyczną, z dodaniem niekiedy fantastycznéj chronologii, przemienia się hypoteza naukowa w metafizykę, przy pomocy całkiem dowolnych już uzupełnień, które mają na celu zastosowanie do szerszego zakresu zjawisk hypotezy, w nauce zawsze tylko na pewien ograniczony zakres pomyślanéj.

Niejeden skłonny będzie widziéć w tém rozróżnieniu pomiędzy teoryami a metafizyką przyrodoznawstwa „subtelność metafizyczną“, nie mającą żadnego znaczenia dla rzeczywistych stosunków prawdopodobieństwa domysłów naukowych. Wszak nawet w tak ścisłéj gałęzi wiedzy, jak geometrya, mamy pewniki niedowiedzione i nie dające się dowieść, co jednak nie przeszkadza, aby wszystkie wnioski, na tych pewnikach osnute, zgadzały się z prawdą! Cóż nas obchodzić może, że jakieś prawidła logiki szkolnéj zostały pominięte, jeśli doświadczenie na każdym kroku stwierdza prawdziwość teoryi? jeśli możemy przepowiadać z największą dokładnością wypadki rzeczywiste? Gdy wreszcie nie wszystkie teorye odznaczają się taką ścisłością, jeśli niektóre z nich posiadają tylko pewien stopień prawdopodobieństwa, czyliż nie lepiéj wziąć za podstawę poglądu na świat wyobrażenia, posiadające pewne prawdopodobieństwo naukowe, niż jakiekolwiekbądź mniéj ścisłe domysły?

Takie zarzuty, które można niekiedy spotkać w dziełach niby to filozoficznych, świadczą o zupełném nierozumieniu zagadnienia.

Wartość naukowa hypotezy nie ma nic do czynienia z jéj prawdziwością i, jak się pokaże niżéj, zgodność doświadczenia z przewidzeniem teoryi również mało świadczy o prawdziwości teoryi, jak poprawność wniosków matematycznych, wysnutych przy pomocy ilości urojonych, o rzeczywistości tych ilości.

Gdyby daléj jedynym błędem logicznym w omówioném przeistoczeniu teoryi na „prawdę“ było uważanie za pewne tego, co jest tylko prawdopodobne, nie wiele mielibyśmy do zarzucenia przeciw temu; matematycy często biorą za jedność ułamki mało różniące się od jedności i czy mamy uważać prawdopodobność — $^{9}/_{10}$ czy $^{99999}/_{100000}$, czy też jakąś większą za taką, którą bez błędu można przyrównać jedności, zależy to jedynie od warunków zadania, a w naszém zaś zależałoby od stopnia możliwego wogóle w danym wypadku prawdopodobieństwa.

Wreszcie zadania, którym odpowiadać powinna metafizyka, są zgoła inne, niż zadania teoryi naukowych w szczegółowym zakresie poznania, jakiém jest przyrodoznawstwo.

Ażeby te założenia wyświetlić na przykładzie, a wykazać zarazem, o ile pojęcia naukowe mogą mieć wartość metafizyczną, t. j. w jakim stopniu mogą przedstawiać prawdę bezwzględną, sprobujmy poddać analizie te sprawy umysłowe, przy pomocy których wytwarza się jedno z zasadniczych pojęć przyrodoznawstwa — pojęcie materyi, oraz hypoteza, w którą się wciela owe pojęcie — hypoteza atomistyczna.

Bardzo wiele książek elementarnych, traktujących o historyi naturalnéj, fizyce lub chemii, zaczyna się od takiego założenia: „wszystko, co poznajemy w przyrodzie, jest ciałem lub zjawiskiem“; zamilcza się jednak przytém, jakie to są organa, za pomocą których poznajemy ciała?

Odpowiedzieć na to pytanie byłoby bardzo trudno; istotnie, wiemy np. że zapomocą oka ujmujemy zjawiska świetlne, za pomocą ucha — zjawiska dźwięku i t. d.; każdy z organów zmysłów naszych jest zastosowany do ujęcia pewnéj grupy zjawisk; ale którym z nich poznajemy ciała? Może dotykiem? Wyobrażenia dotykowe skłonniśmy najbardziéj materyalizować i, gdy widzimy coś, a chcemy się przekonać, że wzrok nas nie łudzi, uciekamy się zwykle do tego zmysłu. To, czegośmy dotknęli, staje się w oczach naszych „ciałem“ niewątpliwém, gdy tymczasem wrażenie wzrokowe może być i „widmem“ lub cieniem. Bliższy rozbiór wykazuje jednak, że i dotyk nie daje nam wiadomości bezpośrednich o ciałach, tylko o pewnych zjawiskach: ciśnienie, ciepło, chropawość lub gładkość powierzchni są to zjawiska, z których wnosić chyba możemy o ciele.

W jaki sposób powstaje ten wniosek? dlaczego z taką koniecznością nasuwa się nam pojęcie ciała w każdym szeregu zjawisk? Prosta analiza psychologiczna wyobrażenia wykazuje, że po za wrażeniami pojedyńczych zmysłów, po za zjawiskami, nic nie zostaje w przedmiotach naszego poznania; dla czegoż, przeciwnie, skłonniśmy widzieć w zjawiskach tylko coś przechodzącego, pewne odmiany czegoś, co uważamy za główną istotę, za podścielisko tych zjawisk?

Jest-to wynikiem właściwości umysłu naszego, że szukamy jedności wśród rozmaitości wrażeń, trwałości wśród przebiegu zjawisk. Gromady wyobrażeń łączymy w pewnym porządku w pojęciu rzeczy wytwarzamy pojęcie substancyi, jako owo trwałe i jedno wśród zmienności i mnogości odbywających się w niéj zjawisk; jako rusztowanie, na którém zawieszamy pojedyńcze własności rzeczy.

Pojęcie więc substancyi (a przeto i materyi) jest tylko jednością syntetyczną naszych wrażeń.

Utworzenie tego pojęcia jest niezależne od świadomości i woli naszéj, jest koniecznym warunkiem poznania, nieuniknioną formą tego poznania. Świat poznajemy przy pomocy kategoryi substancyi. Nie znaczy to, iżbyśmy posiadali to pojęcie wprzód nim przystąpimy do poznania świata zewnętrznego [1]); przeciwnie w wyrobionéj, formie pojęcie substancyi powstaje dopiéro jako wynik analizy naukowéj; ale w każdém spostrzeganiu naszém znajdują się pierwiastki tego pojęcia ujmując gromadę wyobrażeń jako rzecz, wnosimy do poznania te pierwiastki; materyalizujemy z konieczności wszelkie poznanie zmysłowe [2]).

Myślenie nieumiejętne ogranicza się do tego pierwszego kroku w utworzeniu pojęcia substancyi, kroku nieświadomego. Przyjmuje ono, że świat składa się z rzeczy i na tém kończy. Lecz analiza naukowa poddaje starannemu badaniu owe rzeczy: wydziela z nich przytém wszystko, co stanowi rzeczywistą treść wrażenia, t. j. barwę, formę i t. d., pozostawiając owo podścielisko, które nazywa substancyą, czyli, o ile mowa o świecie zewnętrznym, materyą. To cośmy wprowadzali nieznacznie i nieświadomie do każdego spostrzeżenia szczegółowego, zostało teraz drogą badania umiejętnego doprowadzone do pojęcia ogólnego; materyalność pojedyńczych wrażeń stała się źródłem pojęcia materyi. Wydzielone przy tém zostały wszystkie cechy przypadkowe i zmienne; zostały tylko ogólne i powszechne: rozciągłość, nieprzenikliwość i t. d.

W tym właśnie względzie wyróżnia się pogląd umiejętny od myślenia potocznego i o ile idzie nam o pojęcie materyi jako pojęcie na-

---

[1]) Nie możemy przyznać słuszności zarzutom Wundta przeciw poglądom na substancyą, jako pojęcie, regulujące poznanie zmysłowe (Teor. Pozn. str. 180—181, również 184). Polegają one widocznie na nieporozumieniu. Widzimy okiem wprzód nim poznamy jego budowę; tak samo poznajemy świat zewnętrzny przy pomocy kategoryi substancyi, wprzód nim utworzymy sobie ściśle naukowe pojęcie substancyi. Również i próbę przeciwstawienia „rzeczy“, jako pojęcia potocznego, „substancyi“, t. j. pojęciu naukowemu, uważamy za niepomyślną. Rzecz albo jest niejasno pojętą substancyą, albo prostym zlepkiem wrażeń, t. j. niczém. Że rzecz jest tylko nieokreślonem i mglistém pojęciem substancyi, wynika z niemożliwości określenia ścisłego tego pojęcia, którą sam autor przyznaje (str. 185).

[2]) Dzieci materyalizują nawet takie wyrażenia, jak cień, płomień i t. d., toż samo czynili starożytni względem firmamentu. Z tych przykładów łatwo widzieć, jakie przeważne znaczenie ma zmysł dotyku w materyalizacyi wyobrażeń, bo tylko brak wrażeń dotykowych pobudza nas do uważania tych wyobrażeń za niematerya lne.

ukowe, jako abstrakcyą, ułatwiającą operacye myślenia, o tyle różnica ta jest zupełnie wystarczająca: doświadczenie, od którego zaczyna się i na którém kończy się wszelkie poznanie w zakresie umiejętności doświadczalnych, jest zmysłowe; występuje zawsze w tych formach i z temi cechami, jakie właściwe są każdemu poznaniu zmysłowemu; należy więc i w najbardziéj abstrakcyjnych pojęciach wiedzy doświadczalnéj te formy zachować, aby przejście od nich do wypadków szczegółowych nie było zbyt trudne. Ale skoro pojęciu temu (wszystko jedno w jakąkolwiek postać je wcielimy, t. j. jakąkolwiek hypotezę o istocie materyi przyjmiemy) nadajemy byt rzeczywisty po za umysłowością naszą, czynimy z pojęcia naukowego pojęcie metafizyczne. Dopóki materya była tylko pojęciem naukowém, t. j. podstawą do hypotezy naukowéj, nie potrzebowaliśmy pytać się, czy istnieje ona w rzeczywistości; szło nam jedynie o to: czy jest to pojęcie dogodne i czy odpowiada wymaganiom umiejętności? jeśli tak, przyjmowaliśmy je; jeśli nie, zmienialiśmy odpowiednio do potrzeb chwili. Lecz skoro staje się ono pojęciem metafizycznêm, na pierwszy plan występuje zapytanie: czy istnieje odpowiedni temu pojęciu przedmiot? czy jest ono prawdą lub fikcyą?

Różne więc są wymagania, jakim poddajemy téż same pojęcia, stosownie do znaczenia, które im nadać mamy i jeśli pojęcie materyi zwycięsko wyszło z prób badania umiejętnego, nie wystarcza to jeszcze, aby mogło już zająć odpowiednie stanowisko w metafizyce, czyli stać się podstawą poglądu na świat.

Możemy już teraz odpowiedzieć, że téj drugiéj próby nie wytrzymuje. Widzieliśmy, że pierwiastki, z których pojęcie owo powstało, stanowiły przez nas wprowadzony cement, za pomocą którego zlepialiśmy w jedno, wrażenia pojedyńczych zmysłów; odrzucając przy analizie umiejętnéj tych zlepków to, co stanowiło treść wrażeń (formę, barwę, twardość lub miękkość i t. d.), wyrugowalibyśmy z pojęcia naszego wszystko, co miało jakikolwiek, chociaż pośredni związek z rzeczywistością, po za nami istniejącą; pozostał sam cement przez nas włożony. Innemi słowy, analiza umiejętna, o ile doprowadzona jest do pojęć najogólniejszych zasadniczych i podstawowych w wiedzy ścisłéj, wykrywa tylko pierwiastki podmiotowe poznania, tylko to, co umysłowość nasza poprzednio i nieświadomie włożyła w doświadczenie. Jesteśmy w tém podobni do lunatyka, któryby w stanie nieświadomym zagrzebał skarb, a późniéj drogą mozolnych poszukiwań odnalazł go na nowo; ale nadając tym pojęciom byt rzeczywisty, postępujemy tak, jak postąpiłby ów lunatyk, gdyby mniemał, że nowy skarb odkrył. Pojęcia więc naukowe, o ile są uważane ze stanowiska

metafizycznego, mają wartość jedynie dla teoryi poznania i nie dają one nam wiedzy o świecie, lecz tylko o formach, w których umysłowość nasza ten świat poznaje. Nie prawa rządzące światem odkrywa umiejętność doświadczalna, lecz prawa poznania naszego. Właściwość ta najogólniejszych i najwięcéj abstrakcyjnych wyników wiedzy, którą odkrywamy, analizując ujęcie zmysłowe, występuje jeszcze wyraźniéj przy badaniu podstaw, na których spoczywa indukcya.

Widzieliśmy, że głównem narzędziem wiedzy jest indukcya niedoskonała, t. j. wnioskowanie o nieznaném na podstawie tego, co wiemy. Ale skąd płynie to przekonanie nasze, że jeśli zjawisko *A* wywołało raz zjawisko *B*, to i zawsze po *A* nastąpić musi *B?* Jest to główne zagadnienie, dotyczące metody indukcyjnéj. Wiara ta wypływa oczywiście z przeświadczenia, że ten sam zbieg przyczyn powoduje zawsze te same następstwa. Przeświadczenie to, jak wykazał A. Naville [1]), jest wynikiem zasady tożsamości; w pojęciu bowiem przyczyny tkwi, że pociąga ona za sobą pewne skutki, a tożsamość przyczyn znaczy tyleż, co tożsamość skutków. Jednak bezwzględnéj tożsamości nie widzimy nigdzie; sama już bowiem różnica miejsca i czasu usuwa zupełną jednostajność warunków. Jeśli więc twierdzimy, że reakcya chemiczna, która dziś zaszła, da się jutro powtórzyć; że jednakowo nastąpi w Warszawie i w Londynie, to znaczy, że czas i przestrzeń nie są przyczynami w znaczeniu fizycznem. Substancya, nad którą robimy doświadczenie, również nie jest tą samą: cząsteczki siarki i tlenu, które dziś się łączą, nie są te same, jakie jutro do badania weźmiemy. Jeśli więc twierdzimy, że połączenie nastąpi w ten sam sposób, twierdzenie to opiéramy na przeświadczeniu, iż pomiędzy substancyami, które poddajemy badaniu, znajdują się substancye zupełnie identyczne. Ostatecznie wszelkie czynności indukcyjne w wiedzy przyrodniczéj polegają na ukrytém przypuszczeniu, że wszechświat składa się z rozmaitych połączeń pierwiastków jednakowych, że substancya pierwotna jest jedna.

Porównajmy teraz to założenie z twierdzeniami, które wiedza współczesna podaje jako wynik badań doświadczalnych t. j. percepcyi zmysłowéj, połączonéj z indukcyą metodyczną. Stallo wyliczając założenia, które mogą być uważane za najogólniejsze wyniki wiedzy fizycznéj współczesnéj, umieszcza między niemi twierdzenie, że elementarne pierwiastki mas są jednakowe [2]). Istotnie nikt z fizyków

---

[1]) Remarques sur l'induction dans les sciences physiques. Revue philosophique, 1890. I.

[2]) Theories and concepts of modern physics. R. II: „The elementary units of masses are absolutly equal“.

nie zaprzeczy, że ten jest wniosek, do którego prowadzi wiedza dzisiejsza i że jeśli nie może być jeszcze uważany jako fakt, to przynajmniéj jako przedmiot wiary każdego fizyka i chemika; że do tego podąża wiedza współczesna, jako do wyniku ostatecznego poszukiwań swoich. Na tém przeświadczeniu polegała hypoteza Prousta który przypuszczał, że wszystkie pierwiastki chemiczne, utworzone są z atomów wodoru, i szukał potwierdzenia tego przypuszczenia w ciężarach atomowych pierwiastków; stąd płyną nowsze teorye Lockyera, wysnute na podstawie analizy widmowéj. Samo zresztą pojęcie materyi jest niczém innem, jak pojęciem substancyi jednostajnéj i pierwotnéj. Założenie więc, które było podstawą indukcyi, któreśmy do zjawisk świata wnieśli, stosując do nich tę metodę, wypływa teraz jako przynależność tego świata. Znowu odkrywamy w wyniku to, cośmy sami nieświadomie wprowadzili do czynności umysłowéj.

Zastanówmy się teraz przez chwilę nad właściwą hypotezą; jest to właśnie jak widzieliśmy ogniwo, przez które badanie naukowe staje się źródłem pojęć metafizycznych. Przez indukcyą zdobywamy prawa ogólne, stosunki abstrakcyjne, którym niełatwo nadać byt; wymagania metodyczne wiedzy pobudzają nas, jak widzieliśmy, do wytworzenia koncepcyi zmysłowéj, wcielającéj owe stosunki; koncepcya taka jest hypotezą naukową. Formy językowe (sądy bezwarunkowe, używane dla skrócenia zamiast warunkowych), oraz zmysłowość tych koncepcyi przyczyniają się szczególniéj do nadania im w myśli naszéj bytu rzeczywistego.

Pojęcie abstrakcyjne materyi, wynik analizy wyobrażeń zmysłowych, uzmysławia wiedza współczesna przy pomocy hypotezy atomistycznéj. Hypotezę tę odziedziczyła po starożytnéj filozofii greckiéj [1]); pierwsza więc myśl rozdrobienia rzeczy na cząstki, powstała wtedy, gdy zasób wiedzy był jeszcze bardzo szczupły. Sprobujmy zdać sobie sprawę z tych czynności umysłowych, które do owéj hypotezy doprowadzić mogły.

Pierwszą rozmaitością, najbardziéj uderzającą w rzeczach, jest rozmaitość kształtów zewnętrznych; najsamprzód więc powstać musiała potrzeba „wyjaśnienia“ téj rozmaitości, t. j. stworzenia koncepcyi, którаby jedność wśród téj rozmaitości wprowadziła. Myśl zasadniczą téj koncepcyi łatwo nasunąć mogło spostrzeżenie codzienne, że np. z jednostajnych ziarek piasku dają się wylepić kształty rozmaite; lub też wyprowadzenie rozmaitych form gmachów a nawet łuków i ko-

---

[1]) Por. Hist. filoz. materyal. A. Lange'go. T. I. Szczeg. rozdziały o Demokrycie, Epikurze i Gassendim. Nie ulega wątpliwości, że poglądy współczesne są odziedziczone od Epikura, filozofią którego odnowił Gassendi.

puł zjednostajnych i zupełnie niepodobnych kształtem do tych utworów cegieł. Skoro ta pierwsza myśl powstała, starano się do niéj przystosować i inne spostrzeżenia: rozmaite własności ciał tłómaczono kształtem składających je atomów; przenoszono różnice widoczne ciał na niewidzialne atomy, a przytém wygrywało się i to, że różnic było mniéj. Myśl zupełnéj jednostajności atomów nie mogła powstać w owych czasach: sposób myślenia był jeszcze zbyt materyalistyczny, aby szukać różnicy własności ciał w czém inném jak w materyalnéj różnicy atomów.

Ale oprócz „atomów i próżni“ należało wprowadzić do ciał jeszcze inne substancye materyalne, które były zmateryalizowanemi wrażeniami zmysłów pojedyńczych: ciała były przesiąknięte subtelnemi płynami: cieplikowym, świetlnym, późniéj jeszcze elektrycznym. Hypoteza stawała się zbyt skomplikowaną, zwłaszcza, że cząsteczkom świetlnym wypadło nadawać bieguny, siły przyciągające i odpychające i t. d. Pojawia się więc na miejsce dawnéj myśl nowa: uważać światło, jako zjawisko, jako stan pewnéj substancyi. Zagadkowość zjawiska przenosi się z dziedziny fizyki do psychologii. W jaki sposób powstają w nas wrażenia świetlne przy oddziaływaniu na siatkówkę fal eteru? Dziś, wiedząc o energii właściwéj nerwów, możemy odpowiedzieć: w ten sam sposób jak i każde inne podrażnienie siatkówki wywołuje światło, tylko ponieważ organ wzroku przystosowany jest najlepiéj do swego bodźca specyficznego, więc wrażenia przezeń wywołane posiadają największą dokładność. Nie rozwiązuje to wprawdzie zagadnienia, ale toruje drogę hypotezom fizycznym. Istotnie, raz przeniosłszy zagadnienie rozmaitości wrażeń do dziedziny psychologii, nie potrzebujemy się krępować różnorodnością tych wrażeń, wprowadzając jedność w pojęciach o czynnikach fizycznych im odpowiadających.

Dźwięk, światło, ciepło możemy uważać jako ruch atomów materyi lub eteru. Odzieramy więc materyę z większéj części właściwości, jakie posiada w wyobrażeniach zmysłowych, przyznając przez to, że właściwości te same w nią wprowadziliśmy; lecz część tych podmiotowych pierwiastków powinniśmy zostawić. Gdybyśmy odjęli wszystko, co z wrażenia pochodzi, rozwiałoby się i samo pojęcie materyi. Zostawiamy więc to, co najuporczywiéj powtarza się we wszystkich wrażeniach codziennego życia, t. j. niektóre pierwiastki wrażeń dotykowych i wzrokowych. Atomy są twarde; atomy mają jakiś kształt choćby najprostszy. Prócz tego atomy znajdują się w przestrzeni i odbywają ruchy w czasie: tych form zasadniczych ujęcia zmysłowego nie możemy się pozbyć w żadném wyobrażeniu.

Atom więc jest zubożałym zlepkiem pierwiastków podmiotowych wrażenia; metafizyka przyrodnicza czyni zeń rzecz samą w sobie, nadając mu byt rzeczywisty po za wyobrażeniami naszemi.

Jednocześnie ze zubożeniem tego zasadniczego pierwiastku świata zewnętrznego następuje wzbogacenie w rozmaite własności istoty poznającéj. To, co odjęliśmy materyi, nadajemy podmiotowi, istocie poznającéj. Dla starożytnych świat był złożony a duch prosty. Obrazy świata zewnętrznego wchodziły do umysłu przez organa zmysłowe, tak jak światło do pokoju przez okno. Dziś świat wyobrażamy sobie prostym [1]), ale tém mniéj zrozumiałym, tém bardziéj zagadkowym wydaje się nam umysł poznający.

Dla czego tak się dzieje? Dla tego, że metodyczne cele poznania tego wymagają; dlatego, że doświadczenie wykazało skuteczność takiéj drogi. Po długich błąkaniach i macaniach, ludzkość wstąpiła

---

[1]) Ob. Stallo l. c. „pierwotne jednostki masy są zupełnie proste". Niejednokrotnie zwracano uwagę na zgodność wyników spekulacyjnych, dotyczących pojęcia materyi, z temi, do jakich doprowadza wiedza doświadczalna. Zasadnicze twierdzenie empiryczne nieznikomości materyi było niejednokrotnie podawane jako pewnik apryoryczny; znajdujemy je już u filozofów starożytnych. Najwyraźniéj sformułowane jest u Kanta (Kritik der reinen Vern. Ks. II, Dz. II, R. 3, § 3. „Analogie doświadczenia" A. 1-sza anal.). Dzieci, które materyalizują cień i płomień, dziwią się, że przedmioty te znikają; wynurzają obawę, że przy częstem użyciu maszyny elektrycznéj, wyczerpie się zapas jéj iskier (niestwarzalność materyi, zastosowana do materyalizowanego wyobrażenia iskry) [Por. Mach. l. c. str. 158. uw. 87]. Pewnik więc ten znajdujemy już w nieukształconym umyśle; wytwarza się on istotnie równolegle z utworzeniem pojęcia substancyi.

Wundt przytacza trzy twierdzenia dotyczące materyi, które spekulacya filozoficzna i doświadczenie wykryły niezależnie od siebie (Teor. poznania. Str. 284. „Pewniki substancyi"). Pierwsze dotyczy prostoty pierwiastków substancyi; drugie wygłoszone jest w sposób następujący: „Wszelkie substancye są samodzielne i tylko przez działania swe ująć się dają". Poznajemy w tém 3-cią „analogię doświadczenia" Kanta (l. c. C. 3-cia anal.). 3-ci pewnik substancyi u Wundta omawia jéj niespożytość.

Z pierwszym pewnikiem w najściślejszym zostaje związku założenie jednostajności pierwiastków substancyi; wszystko bowiem, co jest proste, jest jednostajne: tylko złożone może być rozmaitém. Widzieliśmy zaś, że to założenie jednostajności substancyi pierwotnéj jest podstawą, na któréj spoczywa indukcya; co do dwóch innych, to samo ich wykrycie drogą spekulacyi i możność udowodnienia (por. dowody u Kanta) świadczy o ich apryorycznym charakterze. Zgodność doświadczenia i spekulacyi polega właśnie na tém, że drogą badania naukowego wykrywamy apryoryczne pierwiastki, któreśmy przez samą metodę badania wprowadzili, a które przeto mogą być wykryte i przez analizę owéj metody. Tak samo chemik może wykryć w ciele badaném pierwiastki, które sam wprowadził, używając nierozważnie do analizy nieczystych odczynników.

na drogę badań doświadczalnych i indukcyjnych, a szybkie postępy przekonały ją, że ta droga jest dobra. Trzyma się więc jéj i słusznie; ale pomyślność badań w szczupłym zakresie przyrodoznawstwa z łatwością obudziła mniemanie, że ta droga jest drogą poznania prawdy, przytém prawdy bezwzględnéj; że ta metoda nietylko wykrywa nam rzeczywistą istotę świata, ale może i powinna być zastosowana w całym zakresie poznania.

Widzieliśmy, że takie zastosowanie wiedzy nie jest poprawne; że hypotezy i teorye naukowe zupełnie innym wymaganiom odpowiadać powinny, niż metafizyczne; że prawda nie jest ich celem. Hypoteza naukowa może być dobrą, nie będąc prawdziwą.

Bardzo rozpowszechnioném jest mniemanie, jakoby najlepszym dowodem prawdziwości hypotezy było przewidzenie faktu przy jéj pomocy. Jakoż istotnie takie przewidzenia należą do prawdziwych tryumfów wiedzy. Tak Leverier mógł nietylko przewidzieć istnienie Neptuna, ale nawet wytknąć punkt na niebie, gdzie o pewnéj godzinie być musiał i gdzie go istotnie dostrzeżono. Tak téż przewidziane było załamanie stożkowe światła na podstawie hypotezy wibracyjnéj. Ale przepowiednie te świadczą tylko o naukowéj dobroci hypotezy; wykazują, że hypoteza doskonale uogólnia i ogniskuje wszystkie znane fakta, bo nawet i nieznane daje możność przewidzieć; widzieliśmy już, że ta dobroć nie ma nic do czynienia z prawdziwością. Fakt, przewidziany przez hypotezę, był oczywiście w związku z temi, które posłużyły za podstawę do owéj hypotezy, lecz związku tego nie mogliśmy dostrzedz bez pomocy hypotezy. Tak samo, aby dowieść jakiegoś twierdzenia geometrycznego, powinniśmy nieraz zakreślić cały aparat linii rozmaitych; ale czyż dowiedzione twierdzenie przestanie być prawdziwém, skoro te linie zetrzemy? lub czy zgodność twierdzenia w ten sposób wyprowadzonego z doświadczeniem świadczy o rzeczywistém istnieniu wszystkich linii pomocniczych, które uczyniły dla nas możliwém dostrzeżenie zawartego w twierdzeniu stosunku?

Hypotezy przemijają; stosunki faktyczne zostają. Skoro hypoteza ziściła swe przeznaczenie historyczne, może być odrzucona i przez inną zastąpiona; a jeśli umysł trzyma się jéj z nałogu, staje się ona „przesądem, tamującym rozwój wiedzy“ [1]). Ale fakta, przewidziane

[1]) Co do cudzysłowu przy tém wyrażeniu, por. A. Lange „Hist. filoz. mater.“, t II, str. 168—169, gdzie wyjaśnia się doskonale niehistoryczność poglądu, jakoby przestarzały pogląd mógł przeszkadzać rozwojowi nowéj teoryi. Przyznać jednak należy, że uporczywość, z którą się niekiedy trzymają hypotezy przeżytéj, polega naczęściéj na przeobrażeniu jéj w myśli zwolenników w metafizyczną prawdę; to znaczy, że ludzie nietylko posługiwali się hypotezą, ale i uwierzyli w nią.

przez odrzuconą już hypotezę, zostają trwałą zdobyczą wiedzy [1]. Tak w geometryi możemy użyć zamiast zawiłego sposobu — dowodzenia prostszego; zamiast jednéj konstrukcyi pomocniczéj—innéj. Każda z nich będzie „dobrą“, jeśli prowadzi do wniosków, zgodnych z intuicyą zmysłową, a ta jest najlepszą, która prowadzi drogą najkrótszą.

Wspominaliśmy o tém, że droga doświadczenia i indukcyi wykazała w praktyce wyższość swoję nad wszelkiemi innemi, w zastosowaniu do wiedzy ścisłéj; że najwięcéj się przyczyniła do postępu téj wiedzy. Na czém jednak polega ten postęp, jeśli wiedza nie odkrywa nam rzeczywistéj istoty wszechrzeczy, jeśli nie daje nam poznania prawdy? Czy cały ten gmach sztuczny, mozolnemi trudami pokoleń wydźwigniony, nie jest w takim razie czczą igraszką wyobraźni?

Zadaniem wiedzy nie jest poznanie rzeczywistych i bezwzględnych stosunków rzeczy, lecz porządku wyobrażeń naszych, stosunku zjawisk, jako przedmiotów poznania. Zostając w tych granicach, wiedza doskonale odpowiada przeznaczeniu swemu; przekraczając je wydaje metafizykę ubogą i jałową.

Wiedza czyni zadość wymaganiom dwojakim: najprzód, przez poznanie porządku zjawisk daje ona możność opanowania tych zjawisk; jest to zastosowanie praktyczne umiejętności. Łatwo dojrzéć, że zastosowanie to zupełnie nie jest zależne od jakichkolwiek poglądów metafizycznych: stosunek nasz do świata zewnętrznego sprowadza się ostatecznie do wrażeń z tego świata, i jeśli możemy, porządek tych wrażeń regulować według woli i potrzeb naszych, to mało nas obcho-

---

[1]) Mówiąc o porzuconéj dziś hypotezie, uważającéj cieplik, jako substancyę nieważką, powiada Hirn:

„W ręku Laplace'a, Fourriera, Poissona, Carnota hypoteza ta dała wyniki doskonałe, których większa część stała się trwałą zdobyczą wiedzy pod osłoną, stwierdzających je faktów“ („Théorie mécanique de la Chaleur“, 1862, p. 473). Przypominamy tu, że cykl Carnota, stanowiący podstawę termodynamiki dzisiejszéj, został wysunuty przy pomocy téj hypotezy, dziś już powszechnie zarzuconéj; o nim powiada jeden z wybitnych fizyków współczesnych (Tait w swojéj „Teoryi ciepła“, str. 55 przekładu niemieckiego). „Żadna może idea fizyczna nie przyczyniła się tyle do uproszczenia wiedzy, żadna nie doprowadziła do przewidzeń tak pięknych i nowych (a które zostały później stwierdzone przez doświadczenie), jak idea Carnota „sprawy kołowéj“, oraz późniéjsza „sprawy kołowéj odwracalnéj.“ Daléj zaś wspominając, że Carnot uważał cieplik jako substancyą, oświadcza ten autor (str. 60 tegoż wyd.): „Wiemy obecnie, że wyobrażenie to o istocie ciepła jest błędne, jednak wnioski Carnota nie tracą przez to bynajmniéj na wartości; potrzebujemy tylko zmienić kilka wyrazów, ażeby uczynić je zgodnemi z współczesną wiedzą.“

dzi, co po za temi wrażeniami zostaje, skoro ta pozostałość nie daje się ani poznać, ani odczuć.

Idealista Berkeley mógł powiedzieć, że trapi go wyobrażenie gorączki; jeśli przy tém wiedział, że wyobrażenie to następuje zawsze po innem wyobrażeniu—przeziębienia, to powinien był wywnioskować, że aby uniknąć przykrego wyobrażenia gorączki, należy wystrzegać się poprzedzającego i pociągającego je za sobą wyobrażenia przeziębienia; że jeśli wyobrażenie zażycia pewnego lekarstwa konieczne jest dla usunięcia tego przykrego wyobrażenia, to powinien wywołać wyobrażenie zażytego lekarstwa. W postępowaniu swojém więc zachowałby się tak samo, jak i realista. W całéj budowie umiejętnéj idzie tylko o to, aby ostatnie wyniki, wyrażone w terminach ujęcia zmysłowego, zgadzały się z tém ujęciem, t. j. przewidzenie naukowe zgodne było z doświadczeniem. Cały aparat hypotez pomocniczych może być zupełnie urojony. Tak samo w matematyce, możemy dowolnie wprowadzać ilości urojone do rachunku, byleby je usunąć z wyniku ostatecznego, który powinien, aby mógł być zastosowany, zawierać tylko ilości rzeczywiste.

Lecz oprócz władzy, jaką nam daje wiedza nad zjawiskami świata, żądamy od niéj, aby nam dała poznanie tego świata; nie jest wiedza i w tym względzie bezowocną. Wyobrażenia są zlepkiem jakichś nieznanych oddziaływań zewnętrznych z podmiotowemi pierwiastkami zmysłów i umysłu naszego. Poznanie porządku wyobrażeń przyczynia się do coraz dokładniejszego odróżnienia tych pierwiastków podmiotowych, do ich wydzielenia z wrażeń; tworzymy w ten sposób teoryą poznania, a światło stąd wydobyte może się przyczynić i do wyświetlenia rzeczy po za nami będących.

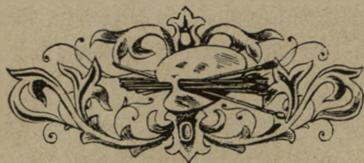
Wystawmy sobie spostrzegacza zupełnie nieznającego otaczającego go świata, np. ciemnego od urodzenia, któremu przywrócono wzrok, zamkniętego w oświetlonym z wewnątrz pokoju; po za murami panuje mrok i tylko jedna szyba szklana otwiéra mu widok na zewnątrz. Przyglądając się szybie, zauważy on, że jest-to jedyny punkt, w którym, jak mu się zdaje, widzi coś zachodzącego nazewnątrz murów jego celi: widzi on postać ludzką, poruszającą się, widzi przestrzeń ograniczoną, rozmaite przedmioty w téj przestrzeni, przedmioty, których dotknąć nie może, skąd wnosi, że są one umieszczone za szybą. W pierwszéj chwili uznaje je za przedmioty świata zewnętrznego; bardziéj przyglądając się im bliżéj, poznaje jednak między niemi rzeczy z otoczenia swego, w ruchach postaci widzi odzwierciedlenie ruchów swoich; przychodzi wkrótce do wniosku, iż to, co uważał za świat zewnętrzny, jest tylko odbiciem jego celi. Czy

poznanie to nie byłoby krokiem znacznym w takiém położeniu? Wprawdzie przekonałoby go, że nic nie wié po za światem swéj celi, ale nauczyłoby go czegoś o odbiciu przedmiotów w źwierciedlanéj szybie; a czy dalsze próby nie mogłyby go doprowadzić do myśli, że zgaszenie światła wewnątrz celi pozwoli mu dojrzéć mgliste i niejasne zarysy przyrody otaczającéj mury.

Postęp teoryi poznania i filozofii zostaje w ścisłym związku z postępem wiedzy przyrodniczéj; ale zdobycze wiedzy nie mogą wprost wejść jako pewniki do metafizyki; powinny one uledz przetopieniu w ogniu krytyki filozoficznéj, która odrzuca domieszki, zostawiając tylko czyste złoto prawdy.

Metafizyka przyrodnicza jest nietylko najmniéj „prawdziwą“ z wszelkich możliwych metafizyk, ale i najmniéj praktyczną. Zadaniem filozofii jest stworzenie poglądu na świat, któryby, zbliżając się jak najwięcéj do prawdy, stanowił zarazem podstawę dla wniosków i sądów w najrozmaitszych dziedzinach ducha; któryby ogniskował i do jedności doprowadzał całe nasze poznanie. Metafizyka przyrodnicza nie nadaje się do takiego na świat poglądu; kończy się jéj rola tam, gdzie zaczyna się pierwszy brzask świadomości; żadnego zjawiska psychologicznego nie potrafi ona wytłómaczyć; dla sztuki, moralności i religii zostaje bezowocną.

W. M. Kozłowski.





Z POEMATU

„KRÓLEWSKA PIEŚŃ“.

. . . .

...Dwadzieścia lat już minęło od czasu,
Jak groźny napad, trąb wojennych gwarem,
Wstrząsnął puszcz głębią. Stało pośród lasu,
W wieńcu zielonych lip, nad wąskim jarem,
Domostwo duże, omszone, — szałasu
Miałoby wygląd, gdyby nie obszarem
Tak wielkie było; otaczał je w okół,
Z sosnowych berwion w słup ciętych, częstokół.

Wrota otwarte, z wrót wiodła ścieżyna
Do widniejącéj z daleka pasieki.
Znać było pilną rękę hospodyna —
Podwórze czyste, widać, że opieki
Nie brak domostwu — biały dym z komina
Z łóz plecionego snuł się, gwar daleki
Mówił, że ludno w tém dworzysku było —
I kwiecia dużo i pszczół się roiło.

Przed dworem pięknie usypane grządki
Wiły się wężem kwiatów: tu stokrocie
Snuły haft zgrabny, tam zielone prątki
Ruty z barwinkiem — a daléj, na płocie
Szeroka wstęga płótna, pewnie prządki
Praca zimowa, wisiała w pozłocie
Letniego słońca, które ze sklepienia
Niebios wezwano do pracy bielenia.

Dworzec był duży, w zrąb kładzione kłody
    Nad tyn go wzniosły; dach z lipowéj kory
Przed deszczem chronił i wichrów niezgody,
    Bo na nim sterczał nie jeden głaz spory,
Trzymając dachu nakrycie. Nurt wody
    Dzwonił u brzegów ubranych w kolory
Mchów kędzierzawych — w oddali szumiała
Puszcza i cichą pieśń szelestów grała.

Wewnątrz domostwo miało trzy izbice —
    Sień dużą w środku, na lewo komorę
Czeladną, w prawo dwie wielkie świetlice,
    Gdzie na policach stały dzbany spore
I misy; z desek sosnowych stawnice,
    Zamiast szyb szklanych, tworzyły zaporę
Od wichrów: przez te okienka sosnowe
Słońce rzucało blaski purpurowe.

Była to izba dla gości, ze stołem
    Dębowym, z ławą szeroką u ściany; —
Z pogodném zawsze tu gospodarz czołem
    Witał przybyłych i biorąc gliniany
Dzban miodu, naprzód płyn rozlewał kołem
    Bogom w cześć — późniéj nadpijał podany
Napój i do rąk gościowi oddawał,
Czém radość swoją i przyjaźń wyznawał.

Tu na kominie płonął ogień duży,
    Tutaj się snuła długa nić wrzeciona,
Tu hospodyna, gdy wracał z podróży
    Witały dzieci i tuliła żona;
Tu w czas posępny, kiedy wichry burzy
    Grały, dziewiczém kołem otoczona,
Stara Jagurda, przy szmerze ulewy,
Dawała hasło do pieśni... I śpiewy

Brzmiały w świetlicy, i nieraz ulewa,
    W dal gdzieś pociągnie za lasy i góry —
I rozhojdane uciszą się drzewa,
    Wieczorne padną cienie na lazury,
Zamrze szmer wszelki — tylko dom ten śpiéwa,
    Snując białawe, długie dymu sznury —
I ziemia uśnie, noc spłynie — nie wcześniéj
Przygaśnie ogień i umilkną pieśnie.

Dawniéj swéj żonie wtórował Wysz stary,
Całował córek usta koralowe —
Dzisiaj mu dziéwki leją miód do czary,
Łamią kołacze — on odwraca głowę.
Drży pieśń w świetlicy, dziewczęce brzmią gwary,
U niego zawsze oblicze surowe —
Słucha... drgnie nagle i zblednie jak chusta,
Że zmilknąć muszą rozśpiewane usta.

Co mu?... czy zajrzał twarz krwawą upiora? —
Rzućcie czar-ziele, straszne widmo zginie! —
O!... lat dwadzieścia!... Nie! było to wczora —
Czas dla pamięci latami nie płynie:
Miał syna — syna całował z wieczora,
Nazajutrz płakał siérota po synie — —
Są wróżby, czary nie na takie bole...
Napadli Niemcy i wzięli pacholę.

Nie! — poszło samo!... Żaden okrzyk trwogi
Z piersi chłopięcéj w niebo nie uderzył,
Nie zabrzmiał żaden jęk — poświadczcie bogi!...
Gdy gwałt napadu echem się rozszerzył,
On z kolan ojca porwał się na nogi,
Ściągnął brwi tylko i oczy rozszerzył,
Białemi zgrzytnął ząbkami i mężny
Pobiegł ku wrotom, gdzie stał mąż orężny.

Pobiegł — nie wrócił... Snadź postać rycerza
Miała w swych oczach zabójczą moc węża,
Co, choć piorunem nie grzmi, lecz uderza
Siłą piorunu i strachem zwycięża.
Czy oczy dziecka olśniła pancerza
Blacha złocista, czy połysk oręża?
Czy go na miejscu przykuła moc wzroku,
Że nie szedł naprzód, ani cofnął kroku?

Snadź czar podziałał. Zrazu Leszek mały
Chwycił toporek i jak ryś się rzucił,
Że dobyć miecza musiał wróg zuchwały —
Wtém stanął chwiejny, jak gdyby się cucił
Ze snu... Wróg w dłoni trzymał długi, biały
Miecz obosieczny — on oczu nie zwrócił
Od tego miecza; słyszał krzyk rodzica
Za sobą straszny — nie odwrócił lica.

Patrzał jak w obraz. Jasny włos chłopięcia
W promieniach słońca lśnił i drżał na wietrze...
Była to jakaś chwila przedsięwzięcia
Czynu strasznego. Ramiona w powietrze
Wyciągnął, jakby chciał runąć w objęcia — —
Wysz biegł — był pewny, że dziecię się zetrze
Z olbrzymem — Leszek czuł ojca za sobą:
— „Niemcze! — zawołał -- bierz mię... idę z tobą!...

„Za długi miecz ten, co mi olśnił oczy,
Za złotą zbroję, co pierś twoją kryje —
Ja pójdę z tobą, niewolnik ochoczy,
I wezmę ciasną obrożę na szyję.
Ty mię nauczysz, jak się miecz ten toczy,
Z którego błyska piorun i grom bije,
I wylatuje śmierć nieunikniona...“
— To rzekł — i skoczył Niemcowi w ramiona.

Wysz już dobiegał, lecz słysząc te słowa
Syna — zachwiał się i stał nieprzytomny — —
Wkoło pożarów łuna purpurowa,
Wrzask mordu — a on... syn jego, niepomny
Krwi swojéj... zdrajca! w niemiecki się chowa
Płaszcz?! Ryknął z bólu — porwał głaz ogromny,
Wzniósł w górę — silne ramiona w tył zsunął,
Cisnął... okropny krzyk wydał — i runął.

Głaz, świszcząc, przeszył powietrze, lecz minął
Pacholę z Niemcem wraz uciekające.
Koń leciał szybko, głuchy tętent płynął
Wzdłuż puszczy — krwawo zachodziło słońce.
Leszek niemieckim płaszczem się owinął,
Do stali czoło przytulił gorące,
Twarz miał czerwoną od szalonéj jazdy,
Oczy paliły się jak świtu gwiazdy.

Wysz do dom wrócił. Ślad krwawéj gościny
Zostawił w chacie niemiecki opryszek.
Stokroć szczęśliwsze, pod cieniem jedliny,
U wrót domostwa było gniazdo liszek!
— „Gdzie Lech? — pytała matka — gdzie jedyny
Syn mój?“ — wołała.—„Tato! gdzie braciszek?“
Siostry pytały... Ubiegła godzina
Długa, nim wyrzekł: — „Matko!... nie masz syna!“

I od téj chwili nie wspomniał o Lechu —
A już dobiegał lat drugi dziesiątek — —
Z czoła się pozbył pogody, z ust śmiechu,
Jak zbył się wszystkich o dziecku pamiątek.
Pierś świata w każdym wiosennym oddechu
Szukała życia — Wyszowy zakątek
Radościom więcéj wrót swych nie otwiéra:
Szczęście tam wchodzi, gdzie pamięć umiéra!

Nieraz Jagurda żałością dotknięta,
Widząc wciąż smutek na mężowskiém czole,
Wiodła ku niemu dwie córki-bliźnięta,
By je utulił, jak tulił pacholę —
I wyciągały dzieweczki rączęta,
Niosąc mu kwiaty leśne i kąkole.
Kwiaty przyjmował, brał dłonie dziecięce,
Ale widziano, że posępniał więcéj.

Nie dziw! — Władyką był on tego ludu,
Tych Polan siadłych w nadgoplańskiéj ziemi;
Z nimi się wprzęgał w ciężkie jarzmo trudu,
Dzielił cierpienia i radości z niemi.
Gdy w czyjémś sercu wzrosło ziarno brudu,
Zły siew plon wydał — słowy ojcowskiemi
Umiał zawodu gorycze osłodzić,
Zbrodnię ukarać i cnotę nagrodzić.

Czy dziéwka czyja za mąż się wydaje,
Czy trwoga siądzie w sercu tłumnéj rzeszy —
Przed chatą Wysza wnet gromada staje,
Niech błogosławi i niechaj pocieszy;
Gdy wróg najedzie nadgoplańskie kraje,
Na jego rozkaz wnet drużyna śpieszy
W łatwych przeprawach bić pale do rzeki,
Zwalać kamienie i rąbać zasieki.

To berło władcze ród Wyszów w swéj dłoni
Trzymał od wieków spadkobierczém prawem —
Lech... był ostatnim. Lecz gdzie się on chroni?
Czy dziś w tém sercu zniemczoném, plugawém,
Pamięć swéj ziemi dawném echem dzwoni?...
Czy jutro może nie stanie on krwawém
Widmem na czele niemieckich szeregów,
By miecz swój zatknąć u goplańskich brzegów?...

— „O bogi! bogi!... czemuż w onéj chwili
Dnia pamiętnego nie pękło mi serce?
Srom pierś rozsadza i czoło wstyd chyli,
Wirują myśli w bezładnéj roztercze — —
Wyszowie! takiéj chwiliście dożyli,
By pamięć o was dano poniewierce
Ludom?... Z woliż to waszéj, bogi! padło?“ —
Tak wołał w duchu — i czoło mu bladło.

Lecz nikt tych cierpień nie znał okrom matki;
Wysz o ucieczce syna nie powiadał — —
W dłoni swéj władzy zatrzymał ostatki,
Sercami ziemian niepodzielnie władał.
Przed chatą jego stawały gromadki
Zwaśnionych, smutnych — on pod dębem siadał,
Słuchał skarg, żalów — i wracała rada,
Skrzepiona słowem ojcowskiém, gromada.

Lecz ośmdziesięciu lat już Wysz dobiegał —
Na progu chaty stała śmierć. — On wiedział,
Że nad wiek więcéj smutek mu dolegał,
Że się coś na téj ziemi już zasiedział,
I choć miał jeszcze sił dosyć — spostrzegał
Cichy chód Mary... A więc zapowiedział
Starszyźnie, by doń przybyła niezwłocznie
Na obiór pana, bo on — w grobie spocznie.

A było w onych czasach we zwyczaju,
Gdy szerszą ludność wzywano do rady,
Co rozrzucona po lesistym kraju,
Nie stanowiła zbyt ścisłéj gromady,
Stawiając chaty u brzegów ruczaju,
Lub rzek — gdzie lepiéj było dla osady...
Było w zwyczaju słać wieści w te strony
Przez stos ognisty, nocą zapalony.

Za dworem Wysza wznosiło się wzgórze
Z wysokim stosem jodeł gałęzistych.
Owóż w noc jedną, na mrocznym lazurze,
Błysnęło kilka języków ognistych —
Płomię strzeliło, na płynącéj chmurze
Zawisło w kształcie kilku kropel krwistych — —
I tak wzdłuż nieba szło milczące hasło,
Płonęło długo i nieprędko zgasło.

Lud znał je dobrze. Smutku, czy pociechy
Było to znamię błyskające w dali?...
Na bliskich wzgórzach zapalono wiechy —
Już jedna, druga, już trzecia się pali...
Biegła wieść szybko od strzechy do strzechy,
Snuł się pas krwawy, niby sznur korali,
Szedł w cztery strony świata — a więc łatwo
Odgadli, że Wysz chce rozmawiać z dziatwą.

Znają te ognie, co tak jasno płoną
I tak milcząco płyną po błękicie — —
— „Hospodyn wzywa!... młot mój podaj, żono!
Dobądź z komory odświętne okrycie;
A nie płacz, stara!... Jeżeli sądzono
Z Niemcem się bawić — no, to co?... Dam życie
Za lasy nasze i za nasze bogi!“—
Tak mówiąc, chat swych opuszczali progi.

I zadziwiło ich milczenie borów,
Przejęły trwogą łez żywiczne sople —
Na rozłożystych konarach jaworów
Dostrzegli duże, ale krwawe krople —
I bałamutne były sny znachorów,
I niespokojne dreszcze fal na Gople — —
Śpiesz się drużyno! słońce w mgłach się nurza,
Z Zachodu płynie pełna gromów burza.

. . . .

Znanym od dawna a utartym szlakiem
Szły zbrojne pułki książęcia Gerona.
Połabską ziemię nakrył swym szyszakiem,
Jak polip długie wyciągnął ramiona,
Gotowy zdławić za najmniejszym znakiem
Życia, najlżejszym oddechem jéj łona —
I — party najprzód żądzami bujnemi,
Miecz swój skierować ku Lechitów ziemi.

Już od dwudziestu lat na jego dworcu
Krył się, porwany niegdyś, syn Wyszowy.
On przed nim światła nie ukrywał w korcu,
Tłómaczył piękność pragiermańskiéj mowy,
I oczy dziecka w niemieckim proporcu
Widziały Boga, i dziś — duch Lechowy
Z tych złotych kajdan już się nie wyśliźnie,
Ani o dawnéj zamarzy ojczyźnie.

Jakby sierocą nagradzając dolę,
    Przyroda wszystkie złożyła nań wdzięki —
Nikt nie dorównał mu w rycerskiém kole
    Pięknością lica, ani siłą ręki;
Jakąś królewską dumę miał na czole,
    A w słowach jego drgały czasem dźwięki
Gromom podobne i miały moc tonu
Władczych rozkazów, które biją z tronu.

Zrazu był smutny, niby cień mogilny,
    Który życiowéj nie odbył pokuty.
Późniéj mu w piersi zbudził się duch silny
    I myśli jego spotężniały rzuty...
Podobny orłom miał wzrok i słuch pilny,
    I miecz u boku własną dłonią kuty:
Młot jęczał, dzwonił, zgrzytał — skry pryskały,
Ale miecz wyszedł długi — ostry — biały.

W szczodre łask dary dziś Gero był hojny —
    Lech o ojczyźnie dawnéj nie wspominał;
Niemieckim mieczem i pancerzem zbrojny
    Z dumą rycerski pas w biodrach przypinał...
I pióropuszem szeleszczący, strojny
    Nieraz zwycięskie czoło swe uginał
Przed córą księcia, która, drżąc jak listek,
Dawała wieńce, dałaby świat wszystek.

A tyle czaru w jéj spojrzeniu było,
    I taką jasną patrzyła źrenicą,
Że się coś w oczach Leszkowych zamgliło,
    Coś pod żelazną stuknęło zbroicą
Z siłą ogromną, jakby uderzyło
    Sto serc zbudzonych nagłą błyskawicą —
I sam nie dostrzegł, jak niewieście sidła
Zmęczyły ducha i podcięły skrzydła.

I zamiast śpieszyć w gwarne igrzysk szranki,
    Lub myśli dawne w czyn zamienić krwawy,
On wolał u nóg przemarzyć kochanki,
    Błękitnym oczom posyłać wzrok łzawy,
Słodkie wieczory mieć i złote ranki...
    I pożegnanie dał duchowi sławy,
Anioły zemsty odegnał od siebie,
A sam utonął w jasném szczęścia niebie.

I czuł, że łamał się mu duch na poły
I coś się w sercu waliło z łoskotem —
To wspomnień jasne pierzchały anioły
Z jakimś szelestem wichrowym i grzmotem,
Ciskając myśli zagasłe popioły.
I nieraz, trwożny owych mar odlotem,
Gdy w sercu burza rozgrzmiała szalona,
Chciał biedz... i padał w kochanki ramiona.

O Lecha książę się nie bał!... lecz kraje,
Które przygniatał dłoni swéj ciężarem
Sen mu spędzały. Czasem duch powstaje
Z mogilnych prochów dźwignion wspomnień czarem—
Czasami hukiem przeciągłym znać daje
O mocy własnéj i trwoży pożarem...
Geron odczuwał życia tego ruchy —
Skrępował dłonie — wolne były duchy.

A więc zamierzył młota uderzeniem
Stłumić ostatni dech drgający w łonie,
I wojsk krociowych rozlać się strumieniem
Od nurtów Łaby, aż po Gopła tonie —
Stać się piorunem, wichrem i płomieniem,
Burzą potopu, która wszystko chłonie...
Więc, wysłał gońce z hetmańskim rozkazem:
— „Na Wschód!"... Lech wiedział—i miał iść z nim razem.

I nie zadrżało mu serce, gdy groźne:
—„Na Wschód!" posłyszał... i na jego czole
Przestrach nie usiadł ani poty mroźne,
Gdy pierwsze pułki stanęły w półkole
I pierwsze pieśni zabrzmiały obożne...
Huknęły bębny — hufce wyszły w pole — —
On tonął w jasnéj błękitów pogodzie,
Zapomniał o czémś, co tam jest — na Wschodzie!

Piękna Brunhilda, krwi książęcéj córa,
Tkała dla Leszka pas dzierzgany złotem —
Do hełmu pawie przyczepiła pióra,
Skuła je gwiazdą brylantów — a potém
Twarz jéj oblała młodéj krwi purpura,
I serce w piersi zabiło z łoskotem,
Gdy hełm unosząc ku młodzieńca skroni
Miękki włos Leszka uczuła w swéj dłoni.

— „Wracaj!“ — szepnęła, dzwoniąc mu nad uchem
Błagalną prośbą, cichym płaczem drżąca—
I jakimś miękkim a lubieżnym ruchem
Na pierś mu padła, jasna, jak miesiąca
Promień, — być chciała jego myślą, duchem
I tak biedz przed nim niby arfa brzmiąca
I wołać — sama, jak echo — daleka:
— „Brunhilda kocha! Brunhilda cię czeka!...“

I słów tych szeptem i dźwięków pieszczotą,
Nektaru kroplą w serce mu się wsączyć—
W pamięci jego utkwić strzałą złotą,
Sny wspólne w jeden, długi sen połączyć,
I być pragnieniem jego i tęsknotą,
I w pół urwaną pieśnią, którą skończyć—
Choćby na straży stała myśl ostrożna—
Na ustach tylko, w splotach ramion można.

— „Wracaj!“ — szeptała — „pozna serce moje
Dzień, w którym srebrném zadzwonisz strzemieniem,
Ja wyjdę pierwsza na spotkanie twoje
Z puharem wina i złotym pierścieniem...
Szyszak ci zdejmę z czoła, pas i zbroję,
Pierś twoją miękkiém otoczę ramieniem;
I czarów pełne sny ciebie owiną,
Gdy będziesz usta całował — pił wino!

„Dziś miłość nasza, jak słowik — ukryta
W cienistych gajach, pośród róż się chroni;
Lecz cię Brunhilda uściskiem powita,
I serce moje pokażesz na dłoni
Rycerzom wszystkim. — „Co to?“ ojciec spyta—
I wiem, że gniewem pryśnie, w ząb zadzwoni—
Ale ja z tobą wyjdę na krużganek
I powiem: oto mój mąż, mój kochanek!

„Niech cię nie trwożą książęcia zamysły,
Ani wysłane z ziem dalekich swaty—
Ja ciebie kocham!...“ Tu w oczach łzy błysły
I płomienniejsze stały się szkarłaty
Ust — podniesione ramiona zawisły
W powietrzu — dłonią chwyciła kraj szaty
I oczom Leszka, świecąc piersią białą...
— „Aaa!... zawołała drżąc, masz!... bierz mnie całą!“

Rycerz się zachwiał... krwi jasna purpura
Oblała lica uśmiechem promienne...
Nagle, nad czołem mu stanęła chmura,
Budząc wspomnienia jakieś, myśli senne—
A potém — bladość nadeszła ponura,
A potém — jakieś milczenie kamienne,
Okropne... Skronie Brunhildy krwią biły,
Płonęła ogniem — on miał chłód mogiły.

— „Co tobie? rzekła, zbielałemi usty
Chłonąc dech w siebie i powietrze srebrne—
A twarz jéj była podobną do chusty,
Którą jéj codzień podają służebne,
Blada, bez życia... Nagle łez upusty
Pękły — czasami takie łzy potrzebne,
Jak zwiędłym trawom rosa, różom deszcze—
Płacząc krzyknęła w głos: „Czy kochasz jeszcze?“

Było to rankiem, ledwo przed świtaniem,
Stali w altanie otoczonéj winem.
Brunhildy pierś się podnosiła łkaniem,
Płacz ten powieki malował karminem—
Wołała przez łzy: — „My się nie rozstaniem,
Ja cię zatrzymam choć rozpaczy czynem—
Zali koniecznie ma być chlubą męża
Nad miłość przenieść dziki zgrzyt oręża?

„Smutek twéj twarzy i posępne lice
Mówią, jak ciężka chwila to rozstania—
— Nie!... ja gniotącą zdejmę ci przyłbicę,
Co brzydkim cieniem czoło twe osłania...
Zostaniesz—prawda?... Patrz mi wprost w źrenice
Owém spojrzeniem dawnego kochania—
Żegnać się z tobą, to żegnać z nadzieją...
Zostań ty!... oni niech idą — krew leją!“

Lech drgnął... „Niech idą—krew leją!“ z warg drżących
Wypadły słowa z jakiémś brzmieniem głuchem—
I widać było z jego ust drgających,
Z rozwartych oczu, że uniósł się duchem
Daleko mocą jakichś uczuć wrzących.
Wtém, jakby ciężkim ktoś trącił łańcuchem,
Powietrze jękiem przeciągłym zadrżało...
Lecz wstrząsł się—pobladł... w ustach krwi nie stało:

. . . .

Skoczył pomiędzy drzew gęste szpalery
I zniknął, złotym pancerzem słoneczny.
Brunhildy stała się twarz bielszéj cery,
Trzęsły się nogi pod nią, ból serdeczny
Pierś chwytał... Gasły blaski, cichły szmery,
Przed nią świat kołem w jakiś wir taneczny
Poszedł... Brunhilda krzyknęła okropnie,
Chciała z altany zbiedz — umknęły stopnie...

Padła.—Dwór jeszcze spał... Powolnym ruchem
Na baszcie żółta chorągiew się chwiała.
Koło wrót brzęknął żelaznym łańcuchem
Niedźwiedź—pęt kleszcze wlazły mu do ciała,
Grzbiet miał zsiekany niemieckim obuchem,
Bo nieraz bestya ciężkie więzy rwała,
Pragnąc na szerszy świat wybiedz za szaniec...
Był to słowiańskich puszcz niegdyś mieszkaniec.

. . . .

Raz, Geron, w chwili dobrego humoru,
Dworzanom swoim, chcąc dać widowisko,
Przykuł skazańca do boku potworu,
Gdy ten wył z głodu. Tłum cały, mrowisko
Istne obległo zasiek — w oknach dworu
Niewiasty stały. Zwierz postąpił blisko—
Wąchał—łeb podniósł—mruknął... i powoli
U nóg legł.......

Od téj to chwili zawarli przymierze,
Łącząc się z sobą w jakiś bratni związek—

. . . .

Człek miał: „Mszczuj“ imię—niedźwiedź zwał się „Maro.“

Jeden im barłog służył za posłanie
I w jednéj misie pokarm podawano.
Dziwiło Niemców to dziwne zbratanie
Człeka z niedźwiedziem, któr_ ·w każde rano,
Gdy wiatr chłodniejszy wionie niespodzianie,
Lub ścięte mrozem rzek powierzchnie staną,
W zimową zamieć, albo dżdżyste lato
Otulał Mszczuja swą piersią kosmatą.

Nieraz, dzień cały, uściskiem złączeni,
Mruczeli mową sobie zrozumiałą—
. . . .
O cichéj jezior głębi, łąk przestrzeni,
Gdzie złote słońce strugi ciepła lało,
Szczęście do cichéj wchodziło zagrody,
Brzęczały roje pszczelne, pachły miody.
. . . .
Zamek spał. Dniało... umykał cień szary,
Wiatr plątał srebrne obłoków kokardy—
Na wałach straże snuły się jak mary,
U boków miecze, w ręku halabardy
Błyszczą. — I Geron śpi — w oknach kotary
Spuszczone dotąd—widać ma sen twardy—
Na ścianach wiszą zdobycze wojenne:
Ostre topory i młoty kamienne.

Leżał na miękkiém łożu w swéj komorze,
A tęczowemi barwy sny mu błysły:
Ostrz jego miecza, jak pług dobry orze
Słowiańskie ziemie—krwią skiby wytrysły—
Już Gopłu ciasną nałożył obrożę,
Niemieckie konie poi w nurtach Wisły...
Nagle drgnął—senne rozszerzył powieki...
Krzyk go obudził... silny, choć daleki.

Skoczył, miecz porwał i pośpiesznym krokiem
Ku wrotom dążył przez ciche dziedzińce.
W tém coś mruknęło... Książę trwożném okiem
Spojrzał—na twarz mu wystąpiły sińce...
To Mszczuj się zbliżył i zmierzył go wzrokiem
Strasznym. Takiemi oczyma odyńce
Patrzą i samém mordują spojrzeniem—
Mszczuj mówił—Maro wtórował mruczeniem.

—„Co ci, Geronie?... czego pryskasz pianą
Jak dzik, gdy wściekłéj psiarni się ogania?
Jakie cię licho podniosło tak rano
Z jedwabistego twojego posłania?...
Mszczuj wié—i powié, choć ci włosy staną
Dębem... Za turem to krzyknęła łania,
Głos jéj poznałeś i wybiegłeś z murów...
Tur uciekł... Wróci!... tylko z stadem turów!

—„Zbladłeś, mój książę!... skronie ci się pylą
Trumiennném próchnem. Dziś może w podziękę
Twe pańskie usta ku mnie się nachylą,
I pocałunek złożą mi na rękę.—
Tur mój już wolny—był tutaj, przed chwilą—
A!... zapłaciłem ci męką za mękę—
Tur mój daleko już, a twoja łania
Goni go krzykiem, na wiatr pierś odsłania.

„Śpiesz! niechaj swatów powraca drużyna,
Za wrota dumném przeprowadź ją okiem—
Dziewczyną może już nie jest dziewczyna,
Pogodném ciebie nie powita wzrokiem.“
Gero drgnął strasznie—twarz stała się sina,
Nabrzmiała wpadłym nagle krwi potokiem—
Powiódł źrenicą od bólu zakrzepłą,
Skoczył—Mszczuj jęknął... uczuł ból i ciepło!

Raz był potężny i siadł plamą białą
Na licu zbitém... Mszczuj wrzasnął i runął—
Wtém od pioruna powietrze zadrgało:
To ryknął Maro — duży łeb wysunął,
Olbrzymie swoje rozkołysał ciało,
Rzucił się z siłą niezmierną, krwią plunął...
Z charkotem rwane łańcuchy zabrzękły,
Zgrzytnęły z gwizdem przeciągłym—i pękły.

Zabrzmiał krzyk straszny.—Na wołanie pana
Zbiegły się czaty z zamkowego wzgórza—
Wtém, jakaś rzecz się stała niesłycha,
W otwarte wrota uderzyła burza...
To Maro pędził... — z warg bryzgała piana,
Krew białe głazy walała podwórza,
Strzępy łańcuchów dzwoniły w granity—
Dopadł wrót—wałów... daléj—świat odkryty!

Nie prędzéj iskra piorunu uderza,
Migają pręgi błyskawic, grom bije—
Maro znikł.—W krwawéj, strasznéj paszczy zwierza
Wił się Mszczuj. Objął niedźwiedzia za szyję,
Pęd wiatru dławił go, więc pierś rozszerza,
W kudłach potworu zbolałą twarz kryje...
Zwierz pędził—nagle wstrzymał się i pomny
Swobody dawnéj, wydał ryk ogromny.

Odpowiedziała grzmotem puszcza dzika...
To echo!... poznał, głos ten lasów, Maro—
Żywiczny zapach sosen w pierś mu wnika,
Zapach puszcz!... Łowców, gdy wejdą w tę szarą
Głąb, strach ogarnia; tur trwożny umyka,
Potężny nawet żubr pada ofiarą,
Gdy bytność jego król tych kniéj wyśledzi:
To władztwo Mara, groźny kraj niedźwiedzi.

Płynące wonie chwytał piersią całą...
Ułożył Mszczuja i węszył dokoła.
Mszczuj się nie ruszał—zwierzęciu się zdało,
Że nie żył... Zląkł się—nos przytknął do czoła,
Potrącił łapą... Mszczuj podniósł omdlałą
Powiekę—spojrzał... Zapachły mu zioła
Leśne — powietrze tchnęło tym zapachem...
Był z Marem, w lesie, pod zielonym dachem

Puszczy . . . .

—„Módl się, Geronie! szepnął — niechaj święci
Bronią cię w chwili, gdy przed tobą stanę—
Módl się, bym w onym dniu był bez pamięci
I ciało moje było w proch rozwiane.—
Pilnuj, bym grobu nie zerwał pieczęci,
Bo trumnę rzucę i oblicze znane
Pokażę tobie — i schwycą cię dreszcze,
Że upiór powstał i pamięta jeszcze!“

Na zamku księcia tymczasem, jak w roju
Wrzało — rycerskie kupią się zastępy—
Geron w rynsztunku pełnym, pysznym stroju,
Grzmiał rozkazami. Słowa — krwawe sępy
Z ust mu leciały; drżał od niepokoju
I wstydu — wściekły. — Łoskot kopyt tępy
Dudnił w dziedzińcu, wojska się tłoczyły
Na bruku dworca — bębny alarm biły.

—„Halt!“—krzyknął gromko.—Wąż zbroic ruchomy
Milczącym nagle, groźnym stanął wałem—
Gero w dłoń trzepnął... Swéj siły świadomy
Ludy wolności widział martwém ciałem
U nóg swych. Nowe więc zapalał gromy
I nowych zwycięstw uniesiony szałem:

—„Śmierć!“ wołał głośno—i przed niemym szykiem
Zbroic, tarcz—pędził z tym śmierci okrzykiem.

W tém koń się żachnął... Z ogrodowéj bramy
Z czołem zmarszczoném i suchą powieką
Wyszła Brunhilda. — Jakieś duże plamy
Rumieńców ciemnych barwiły twarz lekko—
Łez już nie było — snadź zerwane tamy
Ujście im dały, a Lech był daleko—
W ściemnionych oczach drżała tylko chmura
Piorunów pełna — to Gerona córa!

Spokojnym głosem, ale takiéj siły,
Że książę nie mógł zrozumiéć od razu,
Bo mu się zdało, że w nim młoty biły,
Gdy hart twardemu nadają żelazu...
—„Geronie! rzekła — dziś swaty przybyły—
Gotowam — czekam twojego rozkazu;
Lecz w dniu weselnym przyniesiesz mi w darze
Miecz Lecha — lepiéj, krew jego w puharze!

„Tak! ja kochałam!... on cisnął mi w oczy
Wzgardę nieludzką i umknął niegodnie.
. . . . Syczał język smoczy
I miłość moją za grzéch miał i zbrodnię.—
Geronie! póty nie utnę warkoczy
I nie odetchnę tą piersią swobodnie,
Niewieścim czépkiem głowy nie nakryję,
Póki nie powiész mi: — już Lech nie żyje!

„Lecz śpiesz! nie gnany tur łatwo uciecze
I z lasów swoich groźny łeb wysunie—
Nim równe naszym on wyostrzy miecze,
Niech nawałnica naszych gromów runie!—
A!... myśl mam lepszą!—krew prędzéj pociecze,
Zanim spostrzeżesz błysk pierwszy w piorunie—
Tak! dzisiaj zemsty, nie godów, godzina,
A cóż mi niesie ta swatów drużyna?

„Perły z mórz głębi?... oczu mych głębiny
Drogocenniejsze miały pereł ziarna...
Precz poszły wszystkie!... Barw jasne tkaniny
Niosą mi?... Kiedy przedemną noc czarna—

Nie! w podarunku niech mi złożą czyny
Jak krew czerwone — ja jestem ofiarna:
Bogate wiano i siebie dam — męże!
Temu — kto Lecha swym mieczem dosięże!...

„Kto z was?“—„Ja!“—zabrzmiał głos silny Hermana—
Mój koń brat wichrów i miecz z kutéj stali...
Nie dla twojego pogonię ja wiana,
Lecz dla palących twoich ust korali.
Brunhildo! czekaj do drugiego rana,
Złote się jeszcze słońce nie zapali,
Jak róg mój zagrzmi — odezwą się echa,
I do stóp twoich rzucę głowę Lecha.“

Z drżących Brunhildy ust słowo wypadło
Krwawe: „Zamorduj...“ Odwróciła czoło
I poszła z twarzą okropnie pobladłą.
Książę uderzył w róg... Rycerskie koło
W strojnym stanęło szeregu — i padło
Z woli Gerona, który z niewesołą
Twarzą Brunhildy słów słuchał, że o nią
Herman ma tylko walczyć — iść z pogonią.

Rycerz pochodził z prastarego rodu,
Widzian był chętnie na cesarskim dworze,
Do stóp mu biegły tryumfy od młodu,
I krwi książęcéj on dorównać może.
Młody był, piękny — iście syn Zachodu,
I nieraz krwawe już uścielał łoże,
Kiedy wyruszał z Geronem na boje,
W pogańskie ziemie wiodąc roty swoje.

Z zamku wyleciał Herman pędem strzały,
A książę wydał pośpieszne rozkazy,
By z grodów wszystkich pułki się ściągały,
A miecze były ostre i bez skazy.
Skinął... W powietrzu proporce zadrżały,
Ruszyły konie, skry sypnęły głazy.
Książę do komnat wrócił — był spokojny
O swe tryumfy i dobry los wojny.

Pustkowiem lasów, przez bagien obszary
Pośpieszał Leszek do ojczystéj ziemi...

W ślad za nim jakiś sunął się cień szary,
Zabiegał drogę ścieżkami krętemi...
Pod jeźdźcem rumak był ogromnéj miary,
A jeździec hełm miał na głowie, pawiemi
Pióry ubrany — przy boku miecz dzwonił...
—„Hop!“—na rumaka wołał i w trop gonił.

W lasach za Łabą był zdrój świętéj wody,
Który się w duże rozléwał jezioro.
Ożywcze wieją z głębin jego chłody,
Gdy niebo ludziom łask użycza sporo;
Lecz gdy grom wojny ma wstrząsnąć narody,
Fale się mącą, krwawe szaty biorą...
Lech konia wstrzymał nad źródłem i spojrzał
W głąb: ciemne plamy, jak krople krwi — dojrzał [1]).

Wieczór się zbliżał... Przez konary buków
Czerwony słońca promień się przedzierał...
W górze gdzieś brzmiała smutna gędźba kruków,
Zmierzchy się słały gęste — dzień umiérał,
Powietrze było pełne dzikich huków:
Nocnego ptastwa to sejm się otwierał
Nad powalonéj staréj sosny zrębem — —
Wtém koń się Lecha wstrzymał, stanął dębem.

—„Hola!“—Lech krzyknął—„Stój!“—zabrzmiał głos drugi.
I konia Leszka chwycił za wędzidła — —
Lech szybkim ruchem wydobył miecz długi,
I już ugodzić miał nim w pierś straszydła,
Gdy w tém księżyca padły srebrne smugi...
Poznał Hermana—„Co to?“—spytał.—„Sidła!“—
Odrzekł napastnik—i zanim Lech zoczył
Zdradę—Herman miecz wyrwał i w bok skoczył.

Lech nie drgnął; tylko, spokojnie jak dziecko,
Gdy mu piastunka zabawkę odbierze...
—„Czyś zbój?“ zapytał—wszak sztuką zdradziecką
Podobni tobie nie walczą rycerze?
Czyż nocny napad jest cnotą niemiecką?...
Nie! chybaś zbłądził w lasach, goniąc zwierze.

---

[1]) Thietmar, I, 3,

Znałem cię dobrze i twój miecz, choć krwawy,
Wolny był zawsze od plam i niesławy!

„Kto cię tu nasłał?“—Herman milczał długo,
W sumieniu własném cichą walkę zwodził.
Dumne mu biło serce pod kolczugą,
W bezbronną dotąd pierś jeszcze nie godził
I chuci podłych nie był nigdy sługą...
Wyszeptał:—„Geron!“... Lech czuł, że nie zwodził—
Blask mętny strzelił mu z oczu szafirów,
Lecz rzekł spokojnie:—„Cóż to? nie miał zbirów?“

—„Walcz!“—krzyknął Herman—niech zetrą się miecze
W rycerskim boju nie podłéj pogoni —
Mniejsza! krew czyja strumieniem pociecze
Albo czyj pierwszy miecz wyleci z dłoni —
Zwiedziem bój pyszny... i krawy — nie przeczę!
Lecz wiedz z kim walczysz!... gdy tępo zadzwoni
Oręż w twém ręku, albo pryśnie zbroja —
Życie ci wezmę, a Brunhilda — moja!“

Zerwali konie... Gruchnęły pociski,
Miecze się splotły w jakiś ruch wężowy —
Szczęk tylko słychać, widać tylko błyski
I pod hełmami pochylone głowy,
I jakiś głuchy świst i skier wytryski,
I zgrzyt i cięcia ostre i podkowy
Końskiéj brzęk głuchy... Nagle piorun błysnął...
Zabrzmiał krzyk krótki — niemiecki miecz prysnął.

—„Dość!—krzyknął Herman—przegrałem! Ty w drogę—
A niechaj bogi cię ojczyste chronią...
Na dwór Gerona ja wracać nie mogę
Z pękniętym mieczem i rozprutą dłonią.
Złamałem dzisiaj rycerską ostrogę,
A po raz drugi już nie sięgać po nią —
Srom by mię zabił, gdyby tam spytano:
„Gdzie siła twoja i Brunhildy wiano?“

Leszek, Hermana dłoń zatrzymał w swojéj,
I w jego oczy spojrzał wzrokiem jasnym:
—„Jedź ze mną—szepnął—do ojczyzny mojéj—
Dom moich ojców będzie twoim własnym.

Zechcesz—odejdziesz; nikt krzyw woli twojéj
Nie będzie u nas — dwór nasz nie jest ciasnym,
Zresztą tam poznasz jeden dziw nieznany:
Że gdy gość wchodzi, to rosną wszerz ściany.

„Za mną, Hermanie!... Sam ciebie zawiodę,
Kędy śpiewają pieśń goplane fale...
Mam ojca, matkę, dwie siostrzyczki młode —
Ach! jak to dawno!... może dotąd żale
Płyną... i klątwy!... Nie! ja im dowiodę,
Że serce Lecha niezmienione wcale,
Że w duszy mojéj jest jeszcze zakątek
Miłości dawnéj i dawnych pamiątek.

. . . .

Umilkł — lecz echa ze snu rozbudzone
Brzmiały odgłosem serdecznego śpiewu —
I biegły szmery... precz! w daleką stronę,
Dzwonił las senny, drżał każdy liść krzewu,
Łkało powietrze.—Herman stał—zasłonę
Z chmur miał na czole, ale wyraz gniewu
Ust mu nie ruszył — w duchu wiódł tajemną
Walkę, gdy Lech go pytał: „Jedziesz ze mną?“

—„Tak!“—odrzekł krótko. Wjechali w dolinę,
Sobie i koniom szukając noclegu —
Lekki dech wiatru roztrącał mgły sine,
Konie zarżały, widząc ruczaj w biegu
Chłodny a lśniący, bo księżyc w głębinę
Patrzał; mchy miękkie słały się u brzegu —
Rycerze zsiedli i zrzuciwszy brzemię
Żelaznych zbroic — runęli na ziemię.

Sen... spokój... cisza!... wiatr tylko w przegonie
Zwieszone trąca liście nad ich czołem —
Świécą ros perły, płyną kwiatów wonie,
Księżyc jaśniejszém roztacza się kołem...
Skubiące trawę parskną czasem konie,
Zadzwoni głośniéj ruczaj, płynąc dołem,
A czasem musną o czoła rycerzy
Lekkie, pierzchliwe skrzydła nietoperzy.

(*D. n.*) *Kazimierz Gliński.*



PSEUDO-OSTRORÓG.

Ciszę panującą w kwestyi Ostrorogowéj, —téj nazwy bowiem godzien jest zbiór rozpraw spisanych w krótkim przeciągu czasu, a poświęconych jednéj i téj saméj pracy humanisty-polityka z XV wieku— ciszę, zapowiadającą niejakie wyczerpanie (domyślać się godzi tylko doraźne) czy przedmiotu, czy werwy badaczy, przerwał artykuł „Przeglądu Katolickiego“ Nr. 46 z 14 listopada 1889 r. I przerwał w sposób niespodziany a ciekawy.

Pióro nie nowicyusza literackiego, pióro nie chciwe zabłyśnięcia oryginalnością tezy, choć rzeczywiście taką postawiło, wypowiedziało w rzeczonym artykule zdanie, że... Ostroróg memoryału, znanego pod jego nazwą nie napisał, że to jest dzieło pseudo-Ostroroga, w początkach XVI wieku, podszywającego się pod to głośne w XV... i XIX wieku imię; że to jest dzieło sekciarza protestanckiego, który swą napaść na spółczesnych ukrył pod maską nieboszczyka. Ukrył... wcale niezręcznie, bo koźlą nogę potępieńca i rogi heretyka zdradził niepasującemi do XV w. frazeologii i faktami!

Wyczerpująca krytyka (Ateneum, maj 1890) nietylko okazała omylność podobnego zdemaskowania, ale nadto, zbogaciła naszą wiedzę o ruchu umysłowym z XVI wieku jednym rysem, dotąd brakującym, a mianowicie stosunkiem myślicieli tego czasu do pracy istotnéj Ostroroga.

Cała praca sz. krytyka tak umiejętnie i wyczerpująco, a wytwornie zbija „zamach na Ostroroga“, że dopełnianie lub rozwijanie byłoby zupełnie zbytecznem... gdyby nie ten sam § 14 memoryału Ostroroga, który stał się źródłem tak zamachu jak i obrony. Źle nawet wyraziliśmy się. Nie chodzi tu o dopełnianie lub rozwijanie uwag surowego obrońcy twórczości Ostroroga. Jestto raczéj incydentalne zastrzeżenie, które w toku rozpraw o Ostrorogu, między jego komen-

tatorami a negatorami zawiązanych, czyni jedna frakcya ostrorogistów w jednym punkcie obrony drugiéj frakcyi, by przyznając słuszność duchowi i celowi obrony, nie była posądzona o zaparcie się własnych specyalnych poglądów na materyał obrony.

Mówiąc inaczéj, zgadzamy się na wykład prof. Pawińskiego § 14 memoryału Ostroroga (ustęp III, str. 213 do 218 Aten. II), o ile interpretacya tego paragrafu stwierdza piętnastowieczność wyrażonych tam poglądów. Wszakże uczony krytyk we wstępie swéj rozprawy, rozwijając barwnie, naukowo i z dobrém *grano salis* zwięzły obraz dotychczasowych badań nad Ostrorogiem, sam zaznaczył istnienie w łonie ostrorogistów kilka grup, że tak powiem chronologicznych (str. 202—205). Słusznie zaznaczył, że spór tych frakcyi czy grup w obecnym stanie badań nie mógł być jeszcze załatwiony zgodnie. Jednym bowiem chodzi o cofnięcie czasu powstania memoryału do 1477 r., drugim terminem odpowiednim zdaje się być 1455 lub 1456; trzeci zaś, zająwszy pośrednie stanowisko, radziby narodziny wspólnie omawianego i cenionego dzieła oznaczyć na lata 1459, 1462, 1464. Otóż każda z tych frakcyi na korzyść swego zapatrywania się, odpowiednio wyjaśnia różne ustępy memoryałów, pozbawiona będąc inostronnych wskazówek. W obronie zaś Ostroroga był użyty przez prof. Pawińskiego tekst § 14 w taki sposób, że zadawalniając ogólną wiarę ostrorogistów w istnienie literata-Ostroroga, przecie zadrasnął (*irritabile genus... historicorum*) specyalną ich wiarę w czas objawienia się téj działalności literackiéj.

Jakto! — wołają „tysiąco-czterechset-siedmdziesiąt-siódemkiści“ (*sit venia verbo*). Prof. Pawiński, jako tysiąco-czterysto-pięćdziesiątopiętnik, na mocy § 14 zabiéra nam nielitościwie nasz termin wypracowania memoryału? Nie, protestujemy.

O mały włos, gdyby to było w sejmie, anty-ostrorogiści wśród swarów o datę memoryału Ostroroga, mogliby istnienie jego autora puścić na *turnum* i... dzięki chwilowéj nieprzytomności zwolenników, gwoli kwestyi podrzędnéj, otrzymać zwycięstwo i przegłosować: *comme quoi Ostrorogue n'a jamais existé.*

Na szczęście, Rzym ocalony; zastrzeżenie, czy tam poprawka, zupełnie wedle modły parlamentarnéj, została w porę zrobiona do głosu prof. Pawińskiego. Pobiwszy wspólnemi i zgodnemi siłami przeciwników, możemy już po bratersku, gdy minęło niebezpieczeństwo, swarzyć się — na papierze i przelewać... atrament w kwestyi, czy 1454—55, czy 1477 pisał Ostroróg swój memoryał. Dowody? W wykładzie § 14, do którego już pora przystąpić.

Paragraf rzeczony mówi w dość ostrym tonie o zdzierstwach odpustowych (*de extorsione indulgenciarum*). Wykład tak zamachu, jak krytyki obrończéj, zdaje się powodować przekonaniem, że Ostroróg treść swego paragrafu osnuł na konkretnych, spółczesnych sobie wypadkach.

Wyszedłszy z tego słusznego założenia, autorzy obu prac tu wymienionych, szukają wydarzeń, mogących słowa tekstu najlepiéj, najplastyczniéj ilustrować. W toku jednak tych poszukiwań, sfera chronologiczna tych życiowych ilustracyi nieznacznie zwężała się. Nastąpiło to zarówno naturalnie, jak niepostrzeżenie. Przypuszczamy, że pod wpływem bardzo uzasadnionéj myśli, iż paragraf wzmiankowany (14) został w jednym ciągu, jakby jednym rozmachem pióra napisany, i że zawiera tylko przedmiot jeden, wzmiankowany już w nagłówku, tę jedność, że tak powiemy, subiektywną twórczą paragrafu, zidentyfikowali z nieistniejącą jednością szczegółowych faktów, na których oparł owe uogólnienie, i wylał w skończonym ustępie literackim Ostroróg.

W każdym razie, prof. Pawiński (str. 215) i zarzuty autora „zamachu“ i własną replikę w wzmiankowany sposób motywuje: „W całém tém nieporozumieniu, które dało pohop autorowi artykułu do wykazania mniemanego anachronizmu, chodzi najprzód o jubileusz, a następnie o użycie odpustowych pieniędzy na niewiedzieć jaki kościół, jak wspomina Ostroróg“.

Mybyśmy wierniéj trzymali się tekstu Ostroroga, i znalazłszy tam *pluralis*: *bullae quae iubilei dicuntur*, szukalibyśmy nie jednego jubileuszu, jako źródła gniewu i protestu Ostroroga. Nie ulega kwestyi, że on zło uogólnił, że na zasadzie ogólnych praw myślenia, z pojedyńczych doświadczeń, z szczegółowych wrażeń wytworzył sobie pojęcie o jubileuszu. Wszelako nie idzie zatém, by cechy tego zła, które karci w § 14, objawiły się w całéj pełni i dokładności na jednym jubileuszu. Właśnie z odnoszenia wszystkich znamion w toku tego § rozrzuconych do jednego, jedynego zdarzenia, dopuszczamy się błędu, dopuszczamy się ścieśnienia chronologicznego, które niepozwala dość bezstronnie rozpatrzéć się w spółczesnym Ostrorogowéj pracy materyale.

„Przegl. Kat.“ widzi tylko *bulle* dotyczące zbierania funduszu na budowę Św. Piotra z jubileuszu. Prof. Pawiński odszukał w Długoszu jubileusz 1451 r. ogłoszony, między innemi „i na naprawę kościołów w Rzymie“. Sądził, że znalazł się „na tropie myśli, którą kierował się Ostroróg“. W każdym razie obalił zamach „Przegl.

Kat.“ oparty na znajomości tylko bul 1502—1512 r., głoszących odpust za fundusze na budowę kościoła (ś. Piotra) w Rzymie.

Wszakże nie poprzestając na téj jednéj cesze, zgodnie z „Prz. Kat.“, sz. krytyk zalicza do cech poszukiwanego przez siebie jubileuszu, który ściągnął krytykę Ostroroga w § 14, dalsze wyrażenie tegoż paragrafu, że jubileusz na budowę jakiegoś kościoła (w Rzymie) był ogłoszony w terminie niewłaściwym, zbyt przyśpieszonym, dowolnym (*quoties sibi*, *i. e. pontifici romano*, *videbitur*), i znajduje na to poważne dowody. Następnie dodaje cechę trzecią onego jubileuszu, że był ogłoszony pomimo woli króla i panów (*rege*, *proceribus invitis*).

Z kolei sz. krytyk przypuszcza, że „Ostroróg rozminął się poniekąd z prawdą“ w swych zarzutach, przeciw jubileuszowi 1451 r., późniejszą zgodę króla i panów przemilczając, przez co „w swém stronniczém zapatrywaniu na stosunek stolicy papieskiéj do Polski pod względem ofiar pieniężnych“, „wysunął się naprzód tak“, że aż za daleko, bo do fałszu.

Wreszcie szuka zgody prof. Pawiński między tekstem Długosza (o jubileuszu r. 1451), jeszcze w dalszych wyrazach § 41 — u pierwszego jest *ad ecclesias Urbis reficiendas* u Ostroroga (*Viva Dei templa spoliantur dolose ut mortua reficiantur*). „To samo wyrażenie spotykamy więc u Ostroroga (co w bulli 1451 r.) *ut reficiantur*.“

W ten sposób wszystkie niemal wyrażenia § 14 odniosłszy do jednego jubileuszu 1451 r., następnie sz. krytyk w szczęśliwie odnalezionym liście podobno z r. 1456 odnajduje ślad jubileuszu, który zdaje się był ogłoszony 1454—1455 r., więc w epoce niewłaściwéj, bez zgody króla i panów, istotnéj, a którego celem mogło być odbudowanie jakiegoś kościoła w Rzymie; na wzór jubileuszu w Anglii, ogłoszonego za Mikołaja V-go *pro reparacione S. Pauli*. Właśnie ta analogia w owym liście jest cytowaną i przez to uzupełnia szereg dowodów i cech wybranych z § 14 na określenie jubileuszu, krytykowanego przez Ostroroga, i ustalenie jego daty (już nie 1451, ale 1454—55).

Uznając całą misterność argumentacyi sz. profesora, ośmielimy się, jako tysiąco-czterysto-siedmdziesięcio-siódemczyk, całą tę wodę jego dowodów na nasz młyn sprowadzić, to jest skorzystać z jego odkryć, zdobyczy i udowodnień celem okazania... że Ostroróg miał na myśli w § 14 wypadki, opóźniające czas napisania memoryału do późniejszéj, po r. 1470, doby.

Punktem wyjścia dla nas jest przywrócenie § 14 ram chronologicznych, jakie istotnie (naszém zdaniem) przez skombinowanie cech różnych jubileuszowych w jedną niby charakterystykę, się należą. Inaczéj mówiąc, każdy z rysów wskazanych przez wspominane tu

rozprawy lub przez Ostroroga w § 14, rozbierzemy jako objaw oddzielny, samodzielny.

Widzieliśmy się do tego upoważnieni przez liczbę mnogą § 14 *bullas nescio quas quae jubilaei dicuntur.*

„I to nie jest bez obłudy (mówi Ostroróg), że papież, kiedy mu się podoba, nawet mimowoli króla i panów, nie wiedzieć jakie bulle, zwane jubileuszowemi, zwykł do kraju nasyłać dla wydrwienia pieniędzy, pod pozorem odpuszczenia grzechów, chociaż Bóg przez proroka powiedział: Synu, podaj mi serce twoje. Nie rzekł zaś: daj pieniędzy.“

W tych gryzących słowach zawarł Ostroróg krytykę dogmatyczno-finansowéj strony jubileuszowéj.

Sądząc z układania zdania, najważniejszą częścią téj filipiki czy papistyki, jest określenie, co to jest bulla jakaś, jubileuszem zwana (odpust grzechów za pieniądze) i druzgocząca odpowiedź... Ta odpowiedź starczy za całe tomy: *praebe cor non pecuniam.* W niéj tkwi cały herezyarcha.

Nie o to wszakże chodzi.

Obojętne jest tutaj dla nas, czy Ostroróg złośliwie pominął rozporządzenie synodalne b-pa Nankera z 1320 r., w którém właśnie wystąpiono przeciw „wymaganiu opłaty lub jéj obietnicy za udzielanie jakichkolwiekbądź sakramentów kościelnych“, dodając: *gratis accepistis, gratis date*, jako zasadę działania, i zastrzegając, że *ex post facto* mogą brać z podzięką *que vobis sponte a fidelibus offeruntur* [1]). Obojętne jest téż, czy reformator piętnastowieczny miał przed oczyma rozporządzenie arcybiskupa gnieźnieńskiego Jarosława z 1354 r. [2]), w którém dla wytłómaczenia pierwszéj tranzakcyi, ten arcybiskup pisze, że rozważył słowa prawa: „kto ołtarzowi służy, musi żyć z ołtarza“ (*Qui altari servit, vivere debeat de altari*) i drugie: „kto do ciężaru jest obrany, nie może odmawiać zapłaty“ (*qui ad onus eligitur, repelli non debeat a mercede*). Mając zaś to rozporządzenie, czy jednostronnie go nie ocenił?!

Inaczéj mówiąc, nie chodzi tutaj o kwestyą, czy Ostroróg miał prawo i możność krytykowania zasady dogmatycznéj i finansowéj jubileuszów. Zaznaczamy tylko fakt, sądząc z stosunku ilościowego wyrazów na to użytych w zdaniu cytowaném, że te to zasady, jako teolog przedewszystkiém, potępił cytatą słów proroka, i że przedewszystkiém Ostrorogowi o to potępienie chodziło. Dwa zdania wtrącone *quoties*

---

1) „Starod. Pam. Pr. Pol.“, IV, str. 11.

2) „Kod. Wielkopolski“, N. 1322, III, str. 31.

sibi videbitur, kiedy zechce, *etiam rege, proceribus invitis*, lubo ważną treść i warunki zawierają, już z tytułu swego określającego, że tak powiem nawiasowego, nie mogą stanowić równoważnika głównéj myśli.

Człowiek, który w § 13 napisał: „dwór rzymski nie bierze owcy bez runa“ (*Curia romana, ut vulgo dicitur, non petit ovem sine lana*), który w § 8 nagania annaty, jako zabór znacznych sum przez Rzym, „pod pozorem pobożności i fałszywéj wiary“ (*sub specie pietatis falsaeque religionis*): nie może być posądzony o to, żeby nawet warunkowo przystawał na eksport pieniędzy krajowych, pod pozorem zysków duchowych, w odpustach. Można jedynie przypuszczać, że Ostroróg w § 14 takiéj użył formy stylowéj, jak w § 1, kiedy uważa za niezłe odwiedzanie i składanie życzeń nowemu papieżowi, dawanie mu przestróg i zachęty, by sprawiedliwie i świątobliwie kościołem Chrystusa rządził, wyznanie, że król z królestwem uznaje się za katolików.

Wszakże, po téj częściowéj koncesyi, będącéj zbiorem ukrytych szpilek, zaraz Ostroróg dodaje: Nie uważam za rozsądne (*rationabiles*) zapewnianie go o powszechném swojém posłuszeństwie... król bowiem polski nikogo wyższego prócz Boga nad sobą nie uznaje.

Podobnego przyzwolenia mamy przykład w § 9, w którym za rzecz najsłuszniejszą uważa pobór (raczéj „wydzieranie“ *estorquere*), zarządzany przez papieża „z innych narodów“ pod pozorem obrony wiary Chrystusowéj. Zaraz jednak po tém ubliżającém w formie ustępstwie, Ostroróg stawia szorstką negacyą, z faktów walk z Tatarami, Turkami, Moskalami i Wołochami dobytą, a raczéj wezwanie „sprawiedliwe“ (*aequum est*), by papieże raczéj się zrzekli poboru annat na rzecz skarbu kraju, będącego obrońcą Szląska, Moraw, Czech i prawie całych Niemiec (por. § 8).

Te podstępne ustępstwa, gotujące tém gwałtowniejszy odpór, tłómaczą nam i racyą składniową zdania, § 14 poczynającego. Ostroróg potępia wogóle jubileusz, jako teolog, jako polityk, jako finansista. W głównem zdaniu wypowiedział to, jako zasadę.

Przychodzą teraz zastosowania praktyczne, wzięte z życia, z minionéj co przeszłości.

Quoties sibi videbitur — oto jeden z zarzutów oczywiście stronników jubileuszu... z musu. Nie śmieją się oni uchylić od téj finansowéj i dogmatycznéj uciążliwości; nie mają Ostrorogowéj odwagi, czy zuchwalstwa, powiedzieć śmiało: słowo kościoła przeciwi się tu słowu papieża. Natomiast szukają dróg pobocznych, wykrętu; na ogłaszanie jubileuszu, jak to wyjaśnił prof. Pawiński, istniał pewien peryod lat, który nadużyciem coraz się skracał. Przeciw normie działała tu wła-

snowola papieży. Daty jubileuszów od 1300 r. idą w takiém przyśpieszoném tempie: 1300 i 1350 (zamiast w 100 lat), później peryod jest lat 33, następuje jubileusz 1390, 1423 i — 1450, zamiast 1456 roku. W Polsce jubileusz przypadł „1451 r.“ za zgodą króla i panów, choć nie w terminie. W wyczerpujących słowach prof. Pawiński okazał, jak właśnie ten jubileusz 1451 r. miał piętno nielegalności (wskazane w § 14 przez Ostroroga) w chronologii. Dowolność *quoties sibi videbitur* jest tu widoczną.

Pamiętajmy jednak, że przyśpieszanie jubileuszów nie kończy się w 1451 r. Sz. krytyk odkrył jeszcze jubileusz 1454—1455 r. (pomijamy cechę *etiam rege*, *proceribus invitis* na ten raz), chybiający normalnego terminu. Znany daléj czysto polski jubileusz, nieznoszący jednak pielgrzymki do Rzymu i Komposteli z 1472 r. [1]) i cytowany przez wydawców na objaśnienie tego § 14, jubileusz z 1475 r.

Wszystkie te jubileusze usprawiedliwiają uwagę Ostroroga *quoties sibi videbitur*.

W téj uwadze zawarł on odpowiedź uboczną dla przeciwników jubiieuszów, którzy nie istotę jubileuszu, lecz obejście terminu potępiali: na sposób § 1 i 9. Powiadacie, że jubileusz nie chronologiczny jest zły? Mojém zdaniem, on jest zły w każdéj chwili, zły w porze, zły bez pory. On jest zawsze dowolny.

Taki to zarzut na poparcie ogólnéj tezy, wyciągać się zdaje Ostroróg z delikatnego zarzutu legalistów jubileuszowych.

Obok tego jednak, legaliści polityczni, statyści, zarzucili, że mniejsza o jubileusz. Jest-to kwestya religii. Niech sobie ogłasza go papież, kiedy i na jaki chce cel. To jego wydział. Wszakże, niech na to zasięga *placetu* rządowego, woli króli i panów.

Autorowi memoryału, któremu wedle § 7 obiór biskupa przez króla wydaje się ratunkiem przed większém złem, choćby za rzecz godną pochwały uważał, „gdyby panowie biskupi i całe duchowieństwo istotnie tyle byli duchownymi, ile być się mienią“, żeby „żadna władza świecka nie mieszała się w wybory duchowieństwa“, — taki *placet* jubileuszowy musiałby być po myśli. Spór o biskupstwo krakowskie 1460—1463 r., był rozstrzygnięty właśnie w myśl tego postulatu Ostrorogowego (§ 7), w najbliższych czasach jego memoryału. Może nawet go wyprzedził i dał podstawę téj teoretycznej formule.

Odkryty przez prof. Pawińskiego jubileusz z 1454 — 1455 r., miał właśnie tę cechę *etiam rege*, *proceribus invitis*, zastrzeżoną przez

[1]) Theiner, „Monum. Pol.“, I, N. 212.

§ 14, a potwierdzoną ubocznie przez § 7. I tu sądząc z zasadniczéj negacyi Ostroroga, brak tego placetowego warunku, użyty z 1454—55 r. jest dlatego tylko wytknięty, by dać do zrozumienia zwolennikom *placetu:*

Wprawdzie jestem zwolennikiem wpływu króla na obiór biskupów, *eo ipso* mógłbym być skłonny do takiego wpływu króla i panów na ogłoszenie jubileuszu. Atoli nawet, gdyby i ten wpływ był zapewniony zawsze, nie zgadzam się na jubileusz. Brak *placetu* zaostrza tylko stopień winy, ale jéj istoty nie stanowi. Sam jubileusz jest złem.

W takim razie, nie można twierdzić, by memoryał był pisany koniecznie 1454—1455 r., bo przyśpieszanie terminów jubileuszowych na téj dacie nie skończyło się. Nie wystarcza téż istnienie drugiéj cechy: brak *placetów*, by tą datą określić chronologię memoryału.

Jest bowiem trzecia cecha jubileuszu, na którą Ostroróg nastaje, a któréj dotąd nie spostrzegliśmy w y ł ą c z n i e tylko w jubileuszu 1455—1456 r. Powiada z kolei Ostroróg: „Zmyśla papież, że gotowizna tak zebrana ma być obracana na budowę niewiedzieć jakiegoś kościoła...“ (*pro fabrica basilicae cujus nescio*). Jubileusze 1451 i 1454—55 mają zarówno wzmianki o odbudowie kościołów lub kościoła.

Niech nam jednak wolno będzie zauważyć, że 1472 r. papież wydał bullę tak się poczynającą: „W liczbie różnych sposobów ubłagania Bożéj wielkości za wielce pobożne i cenne uważając przychodzenie w pomoc budowli kościołów datkami, chętnie przyjmujemy te śluby, przez które kościoły w swych murach i budowlach mogą dźwigać się i odświéżać, potrzeb ich i społeczności chrześciańskiéj i zbawienie dusz chrześciańskich wyjednywa się.“

W dalszym ciągu mowa jest o udzielaniu odpustów tym, którzy udają się do kościoła metropolitalnego lwowskiego (*inter scismaticos in Rusia situate*), potrzebującego reparacyi, a funduszy nie mającego. Kto odbędzie warunki pokuty i złoży wedle zamożności koszty utrzymania siebie z rodziną za dni 10, 7 lub 5 na rzecz restauracyi téj katedry, uzyska odpust. Plenipotencyą do tego jubileuszu miejscowego dostaje poborca śtopietrza, proboszcz łęczycki, Andrzej Roża z Borzyszewa, oficyał lwowski, późniejszy arcybiskup lwowski.

Nie wiemy, czy ten jubileusz przyszedł do skutku, czy zaszło na niego *placet* rządu. Nie ulega téż kwestyi, że nie jest-to jubileusz wszechświatowy, rzymski; owszem, zaznaczono wyraźnie w bulli, że on nie usuwa i nie znosi pielgrzymek zamorskich do Rzymu i Hiszpanii. Możemy jednak dodać, że memoryał Ostroroga w § 14, potępiając od-

pust na budowę jakiegoś kościoła ogłoszony, nie wlicza go w kategoryą jubileuszy potępionych wogóle, z ich zasady. Jest-to osobny dział, finansowy także, ale z odrębnym celem budowlanym. Może zastanowić, czemu Ostroróg téj trzeciéj cechy *pro fabrica ecclesiae*, nie dodał do *quoties sibi videbitur* i do *etiam rege, proceribus invitis.*

Szukając powodów tego wyodrębnienia *pro fabrica ecclesiae*, choć z powyższego (jubileusze 1451, 1454/55) ten szczegół już zdawał się być włączony w motywa nagany jubileuszów wogóle, musimy uznać, że w celach budowlanych dotychczasowych jubileuszów nie musiało być znamion specyalnych, na wyłączną uwagę zasługujących. Owa osobno zganiona *fabrica basilicae nescio cujus*, snać nowym szczegółem poruszała żółć Ostroroga.

Najbliższym powodem, popartym przez bullę miejscowego we Lwowie jubileuszu 1472 r., byłaby reparacya katedry tamtejszéj, więc ruskiéj krajowéj, nie rzymskiéj.

Gdyby rzeczywiście tak było, to nagana takiego nawet polskiego jubileuszu na polską katedrę, stanowiłaby usprawiedliwioną logicznie w niéj odrębności cząstkę § 14. Tylko taka specyalna okoliczność dozwalała naganę specyalnie ferować. Jest-to nawet i wtedy rzeczywiście zasadowe, bezwzględne.

Przeciw takiemu jednak wymotywowaniu przez jubileusz 1472 roku we Lwowie zdania: *Fingitque pontifex romanus*, zdają się mówić następujące zaraz słowa, wyjaśniające racyą nagany jubileuszu, nawet takiego.

Zbiory owe nie idą na reparacyą katedry (dajmy na to we Lwowie): „tymczasem skarby te idą, co jest pewném, na potrzeby prywatne krewnych i powinowatych, na dwór (*familiae quoque gratia*), na wyżywienie koni, że nie powiem na co gorszego.“ *Privati affinium et cognotorum usus* zdają się piętnować rzymski jedynie nepotyzm. Spostrzegamy jednak, że gdy nowy kolektor papieski, Uryel Górka, rozpoczął swe prace poborcze, zaszły między nim a jego poprzednikiem, Andrzejem Różą, pewne frykcye.

Oto r. 1476 tłómaczy się Górka papieżowi, czemu policzył sobie w tym roku po florenie strawnego za dzień każdy, „gdyż tego roku miałem dużo pracy, jeżdżąc osobiście z moim poprzednikiem w rozmaite miejsca i spierając się o rachunki za pobór pieniędzy dla kamery papieskiéj, których dotąd nie mam“ [1]). W drugiém miejscu [2]) tłómaczy się tenże Górka, że „resztę przywłaszczył sobie (*rapuit*) ksiądz Róża, a gdy wyklął plebanów, nalegali arcybiskup gnieźnieński, bi-

---

[1]) Theiner, I, str. 185, N. 224. [2]) Tamże, str. 183—184.

skupi i prałaci o odwołanie klątwy. Byli bowiem plebani w nędzy a Róża maczał w tém ręce (*ipsius Rosae collusionem*). Po różnych tedy nieprzyjemnościach, widząc ich złośliwość (*protervia*) zniósł Górka klątwę (*absolvi*) i akcyą, wraz z innymi przeciw Róży wstrzymałem (*et actio simul cum aliis contra Rossam cessit*).

Wiadomo téż jest, że Róża poparty przez króla, zakładając lekkomyślną apelacyą, nie pozwalał Urielowi zbierać składek i ledwo 1475 dopuścił go do funkcyi poborcy papieskiego w cząstce p-tu krakowskiego i kawałkach innych powiatów [1]).

O ile Róża do tych zysków nieprawych dopuszczał swego stryjca herbowego, Gruszczyńskiego, nie wiemy. W każdym razie czterowiersze o obu napisane przez Janickiego, pewną zgodność charakteru wskazują. O Gruszczyńskim pisze on „lubieżny, burzliwy, miękki, wylany na wszystko“.

O Róży zaś:

Tyle lat przeżyła jedna, zawsze w kwieciu Róża
Będąc wciąż wiośniana, nigdy godna śmierci łoża.
Łysa wprawdzie, wszakże każdéj duszy miła,
Która pląsy, kości, rozkosz polubiła.

Gruszczyński umarł przy kuflu (*dum bibit ad sacras*) śpiewając gwiazdom hymny (*cantat nocte lucernas*). Być może, że krewniak Róża zasilał go w tym razie gotowizną, boć tradycya rodowa obowiązuje. Niedarmoć Zawisza z Kurozwęk był Rożycem jak oni, koniarz wielki. A i na stolicy lwowskiéj Grzegorz z Sanoka różycową zostawił tradycyą. Są to hypotezy tylko... wszakże dobre są i one, gdzie brak wyraźnych faktów, z datą, miejscem, nazwą.

Te hypotezy dają jaką taką racyę bytu dygresyi, skąd inąd nieloicznéj Ostroroga. One mają téż zaletę, że w słowach buli 1472, chwalącéj budowę kościołów i jéj egzekucyi przez Różę, nie znajdujemy wyrażonéj, ale téż za to zasadową tożsamość z naganą Ostroroga: *Viva interim Dei templa spoliantur dolose ut mortua reficiantur.*

Żywe kościoły Boga łupią podstępnie, by martwe odbudowywać.

Wzmianka o udawaniu się miejscowych nawet duchownych, na wiarę tych bredni (*nugae*) w charakterze kaznodziei, spowiedników i komisarzy, celem powiększenia dochodów, zdaje się mieć także podstawę w buli 1472, która upoważnia Różę do nominacyi spowiedników.

Frazes *simplici enim plebicula spoliata, luxibus et ventri indulgent*, także w „Róż rwanie“ godzi.

Nie mamy wskazówek, czy Ostroróg i jubileusz r. 1475, w na-

---

[1]) Str. 183.

ganę chronologiczną wchodzący, potępiał jeszcze z innych pobudek specyalnych. Jubileusz był wielce uczęszczany. Zakłócie chrześciańskiego niemowlęcia przez żydów w Trydencie skandalicznie jego datę rozsławiło. Dwu nawet winowajców, Jakób rabin tamtejszy osiadł w Lublinie, a Jakób Ochman w Hrubieszowie (Długosz, XIII, 636). Wybrali się téż i Stefan z Irzędzy, chorąży przemyski (Helcel, II, Nr. 4145), jakotéż Paweł z Cisawy, kleryk grecki z kijowskiego (Theiner, II, 221) do Rzymu, na ów jubileusz, ostatni dowodząc ciekawych wpływów religijnych w tak odgległych stronach.

Dziwny traf mieć chce, że wszystkie te wypadki ściągają się do mniéj więcéj ukrainnych okolic. Hrubieszów, Przemyśl, Kijów, nie mówiąc już o Lublinie, to prawie ta sama prowincya, szeroko pojęta, co Lwów ze swą katedrą restaurowaną. Cała ta ziemia to w organizmie owoczesnéj Rzplitéj cząstka postponowana, uszczuplana w dogodnościach opieki i pomocy, niby sierota. Czyż można przypuszczać, by i dla téj separatycznéj niechęci do Rusi czerwonéj, Ostroróg wielkopolski potępiał jubileusz, gdy jednemu zdarzyło się być poświęconym lwowskiéj katedrze, a na drugi jechał specyalnie przez Rzym faworyzowany greczyn?

Domysł taki stoi już na granicy scholastycznego zaciekania się. Jestto już zacietrzewienie się *à la* Lombroso.

Ratując tedy ewentualną swą... genialność, zauważymy już tylko w zakończeniu, że *bulla* jubileuszowa dla lwowskiéj katedry z 1472 może nie jest obojętnym przyczynkiem przy komentowaniu § 14, wychodząc z zasady, że w nim odbiły się najrozmaitsze szczegóły z ogólnie potępionéj przez Ostroroga kwestyi jubileuszowéj.

Illenidus





TEGOCZESNA SOCYOLOGIA.

Prace socyologiczne Juliusza Lipperta.

I.

Przyglądając się naukowéj działalności Lipperta, nie wiemy zaprawdę, co bardziéj podziwiać, czy olbrzymią jego pracowitość, o któréj damy jakie takie pojęcie, wzmiankując, iż dzieła wydane w ostatnich 10-ciu latach wynoszą blisko 250 arkuszy druku, lubo są pisane na podstawie materyału z pierwszéj ręki [1]), czy też niezwyczajną erudycyą w zakresie wiedzy o człowieku i społeczeństwie, pociągającą czasami być może powierzchowne, lecz w każdym razie tak pełne objęcie dziejów kultury, jak nikt prawie dotychczas tego nie uczynił. Zresztą poglądy Lipperta nie wnoszą żadnego większego przewrotu do nauki i rzadko kiedy stawiają nowe jakieś uogólnienie. W sferze, w któréj najwięcéj zrobił i którą zajmuje się z szczególném upodobaniem — w zakresie rozwoju kultów religijnych, rozrabia on jedynie ideę animizmu w postaci Spencerowskiéj. Ktoś uprzedził go zwykle w wypowiedzeniu każdego poglądu zasadniczego i sam on po większéj części tylko szczegółowiéj i drobiazgowiéj prze-

---

[1]) „Der Seelencult in seinen Beziehungen zur althebraischen Religion“, 1880. — „Die Religionen der europäischen Kulturvölker in ihrem geschichtlichen Ursprung“, 1881.—„Christenthum, Volksglaube u. Volksbrauch“, 1882. — „Allgemeine Geschichte des Priestenthums“, 1883—1884. — „Geschichte der Familie“, 1885.—„Kulturgeschichte des Menschheit“, 1887. — Nadto istnieje mnóstwo prac, rozpraw i rozprawek popularyzacyjnych, wydawanych w „Wissenschaft der Gegenwart“ i przez niemiecki związek oświaty ludowéj w Pradze. Są tam prace nawet geologiczne i geograficzne.

prowadza myśl obcą, usiłując pogodzić ją z innemi lub poprzéć większym zasobem faktów. Z tego powodu nazwano Lipperta popularyzatorem. Jest w tém wiele prawdy, w gruncie jednak rzeczy, jest on czémś więcéj, bo pracownikiem na polu dziejów kultury, usiłującym zastosować lub pogłębić poglądy naukowe, zdobyte przez poprzedników, do poszczególnych grup ludzkości. Dobrze to uwidoczniło się w jego pracach o rozwoju religii. Spencer postawił teoryę sobowtorów dla wytłómaczenia wierzeń, obrzędów i podań religijnych u wszystkich szczepów rodu ludzkiego. Filozof angieski stara się udowodnić, iż człowiek pierwotny, wobec niedoskonałości ówczesnéj mowy i niskiego poziomu umysłowego, dla wyjaśnienia widziadeł sennych mógł znaleść jedno tylko tłómaczenie, mianowicie przyjąć, iż jestestwo ludzkie składa się z dwóch istot, których łączne istnienie wywołuje samoświadomość, rozdzielone—bezwładność, czasową lub wieczną, stosownie do długości rozłączenia. Część subtelniejsza, duch, utożsamiona np. z cieniem, już z tchem, wychodząc czasowo z części materyalniejszéj—ciała, niby sprowadza senność. Widziadła senne—to przygody doznane przez nią w wędrówkach. „Duch“ ów posiada wszystkie pożądliwości ciała, wymaga jadła, usług. W tém wierzeniu tkwi źródło obrzędów pogrzebowych i ofiar zmarłemu, a zarazem niby wszystkich systematów i kultów religijnych. „Zasady socyologii“ Spencera w przeważnéj części są poświęcone właśnie wykazaniu, jak w ciągu wieków z owych „duchów“ zradzają się bóstwa, z ich dziejów—podania i myty; jak grobowce wyrastają na ołtarze i świątynie; przedmioty, składane na mogiły zmieniają się — w ofiary i całopalenia, czynność składania w służbę kapłańską. Atoli socyolog angielski poprzestał jedynie na zaznaczeniu ogólném takiéj ewolucyi, i nie wdaje się w szczegółowy rozbiór, jak odbywała się ona wśród oddzielnych szczepów rodu ludzkiego. Usiłuje on dowieść, że takie, a nie inne jest źródło religii; ale daléj nie szedł w swych badaniach. Kultu ludów historycznych nie rozbiéra i poprzestaje na wzmiance, iż i one wywiązały się podobną drogą. Tymczasem na gruncie, przygotowanym przez myśliciela angielskiego, Lippert wznosi już studya drobiazgowsze. „Kult duchów w stosunku do religii starohebrajskiéj“, po wyłożeniu rodowodu kultów i religii wogóle z czci duchów, stara się wykazać, iż religia starohebrajska nie jest żadnym wyjątkiem od ogólnéj zasady. Autor zaznacza, jak pierwszy rozdział „Genezy“, opisujący pobyt Adama w raju, jest jedynie odźwierciedleniem stosunków społecznych, właściwych bytowi patryarchalnemu; opierając się na lingwistyce, udowadnia, iż sama nazwa bóstwa wskazuje na pochodzenie z czci przodków (*Jahwe* = pan, gospodarz). W kulcie

obrzędowym świątyni jerozolimskiéj widzi on jedynie rozwój dalszy pieczy względem zmarłego, w saméj świątyni—ogniwo wyrosłe z kurhanu mogilnego, w całopaleniach—zmienione ofiary nadgrobne. Wreszcie zwraca się do udowodnienia, że obowiązki religijne, wymagane przez Jahwe, są tylko żądaniami, które stawia zmarły żyjącym. W inném dziele, „Religie cywilizowanych ludów Europy“, to samo, co zrobił względem kultu starohebrajskiego, powtarza dla religii pogańskiéj Europy. Przed czytelnikiem przesuwają się wierzenia Litwinów, Słowian, Germanów, Greków i Latynów. „Chrześciaństwo a wierzenia ludowe“ stanowi uzupełnienie powyższych rozpraw. Widzimy tutaj, jak wśród religii, opartéj na czynniku „przedmiotowym“, wykonywaniu obowiązków obrzędowych, powstaje „odkupienie“, polegające na zmyciu obiektywnych ciężarów kultu i zastąpieniu ich przez skruchę wewnętrzną.

W tém to spoczywa posłannictwo dziejowe budyzmu i chrześciaństwa. W wymienionéj pracy autor kreśli dzieje pierwotnego chrześciaństwa i prądy, które złożyły się na jego poczęcie, walkę obrzędów z czystością wewnętrzną i skruchą; przedstawia, jak w miarę nawracania się ludów, coraz mniéj czujących brzemię kultu obiektywnego, pierwotna nauka chrześciańska „poganizuje się“, t. j. pochłania pierwiastki przedmiotowe. Udowadnia to za pomocą różnych obrzędów, które lubo stanowią teraz część religii chrześciańskiéj, są jednak zabytkiem pogańszczyzny. Wreszcie usiłuje związać wszystkie przesądy i zwyczaje ludowe Niemców w spójnie ukształtowaną całość, wykazując ich pochodzenie z kultu starogermańskiego.

Widzimy z powyższego przedstawienia, że prace Lipperta, jakkolwiek wychodzą często z założeń, wystawionych przez kogo innego, zwracają się wszakże ku zupełnie nieopracowanym przedmiotom. Zresztą, mówiąc o względnie małéj w niektórych razach oryginalności Lipperta, nie powinniśmy jeszcze zapominać o jednem. „Dzieje kultury“, przynajmniéj w niektórych dziedzinach, zbliżają się coraz bardziéj do stanu, w którym znajdują się nauki wyżéj posunięte — wyłonienia twierdzeń, nieulegających wątpliwości. W zakresie studyów nad religiami teorya sobowtorów przedstawia właśnie jedną z takich prawd ustalonych. Błąd Spencera i Lipperta polega na tém, że widzą oni w niéj jedyne i wyłączne źródło wierzeń i obrzędów religijnych, kiedy tymczasem jest ono tylko jednym bardzo ważnym pierwiastkiem. Należy téż wspomnieć, że uczony niemiecki dodał do teoryi spencerowskiéj kilka rysów znamiennych. Przedewszystkiém sformułował jasno kwestyę metody. Dotychczasowi badacze zwracali się zwykle w kierunku podań mitologicznych, ufając, iż w ten

sposób uda się im wyśledzić genezę religii wraz z jéj ewolucyą (Max Müller). Spencer zajął inne stanowisko, ale go nie sformułował. Dopiéro Lippert podał to jasno. Jego zdaniem, mitologia stanowi tylko produkt ćwiczenia się wyobraźni ludzkiéj lub próbę godzenia sprzeczności, które ukazują się w podaniach staroczesnych, wskutek rozwoju społecznego. Spojrzmy na Egipt starożytny. Historyczne mocarstwo z nad Nilu powstało ze zjednoczenia mnóstwa drobnych ustrojów autonomicznych, z których każdy posiadał własny kult wyrosły z czci przodków. W ten sposób w kilku takich społecznościach czczono Ozyrysa, t. j. „opiekuna zmarłych“, którą to czynność spełniał legendowy pra-przodek odnośnéj grupy, pochowany na jéj terytoryum. Po zjednoczeniu tych autonomicznych organizmów, owi Ozyrysi lokalni zleli się w jedną postać, — ogólnie narodową, lubo jednocześnie każda okolica zachowała podania, że to bóstwo jest pogrzebane w jéj granicach. Jak pogodzić teraz tę sprzeczność, że ta sama osoba jest pochowana w kilku miejscach? Wyobraźnia wysnuwa odpowiednie tłómaczenie. Ozyrys został porąbany przez wrogów. Lecz jakich? Naturalnie, odpowiedź jest prosta, istnieją bowiem plemiona wrogie czcicielom Ozyrysa, i Tyfonowi, bóstwu opiekuńczemu jakiéjś z tych grup społecznych, przypisano czyn porąbania i t. d. Właśnie takie uzupełnianie, wyjaśnianie i godzenie sprzeczności, wywiązywanych przez rozwój społeczny w starodawnych podaniach, czyli, jak wyraża się Lippert, taka „substrukcya“ stanowi cechę sfery mitologicznéj. A zatém szukać w niéj klucza do początków religii niepodobna; po wielowiekowych wyjaśnieniach np. mit o Ozyrysie przyjąć może postać taką, że zgodniejszy będzie z tłómaczeniem, iż przedstawia jedynie w szacie mitologicznéj opowieść o fakcie przyrodniczym: dorocznym wylewie Nilu. Daleko więcéj po temu nadają się już obrządki kultowe, bo stanowią najbardziéj zachowawczą dziedzinę i nawet wśród wydoskonalonych systemów religijnych przechowują zwyczaje najpierwotniejsze. Ta też strona kultu staje się dla Lipperta niewyczerpaną studnią faktów dla poznania przeszłości religijnéj. Zresztą, niemiecki historyk kultury jeszcze w innym kierunku rozszerzył teoryę animistyczną. Spencerowi chodziło jedynie o wyszukanie najpierwotniejszego i zasadniczego źródła wierzeń religijnych, Lippertowi zaś głównie o wytłómaczenie rozwoju poszczególnych religii historycznych. Pierwszy usiłował dowieść, iż w podstawie wszystkich wierzeń spoczywa ta sama przyczyna; tymczasem ostatni zwrócił swoją uwagę na wytłómaczenie różnic w procesach rozwojowych, mimo że z tych samych powstały one pierwiastków. Lecz gdzież szukać wytłómaczenia tego, jeśli nie w historyczno-by-

towych warunkach, przez które odpowiednia grupa społeczna przechodziła? W ten sposób stajemy wobec łączności organicznéj pomiędzy objawami ewolucyi religijnéj, a całokształtem rozwoju społecznego. A więc, kiedy badacz angielski widział w religii przedewszystkiém zjawisko psychiczne i rozpatrywał jedynie z téj strony, Lippert przedstawia je natomiast jako społeczne i na téj zasadzie buduje teoryę organizmów ideo-społecznych: „przymierzy kultowych.“ Kult wymaga stróżów i wykonawców.

W „Dziejach kapłaństwa“ Lippert usiłuje skreślić organiczny związek pomiędzy różnemi dziedzinami życia społecznego, a urządzeniami kapłańskiemi.

Ten sam związek pomiędzy różnemi zjawiskami społecznemi występuje przed nami i w „Dziejach rodziny.“ Ale czy to w poszczególnych dziejach religii, lub powszechnych kapłaństwa i rodziny, autor kreśli przedewszystkiém jakąś jedną stronę życia ludzkości i tylko ogólnikowo wskazuje na zależność pomiędzy nią, a innemi sferami.

Dopiéro w ostatniém swém dziele, olbrzymich rozmiarów, daje on całokształt „Dziejów kultury ludzkiéj w organiczném ukształtowaniu.“ Znajdujemy tu ewolucyę wszelkiéj działalności ludzkiéj, zarówno w zakresie techniki i źródeł utrzymania, jak myśli i form społecznych—we wzajemném powiązaniu i oddziaływaniu. W pracy téj streszczono lub rozwinięto wszystkie zasadnicze poglądy, do których badacz niemiecki doszedł w swych studyach. Jest-to poniekąd zestawienie wszystkich uprzednich prac, z dodaniem wzajemnéj zależności zjawisk życia społecznego. Z tego powodu, mówiąc o poglądach Lipperta, będziemy głównie uwzględniali to ostatnie wymienione dzieło.

Zanim przejdziemy do przedstawienia wątku wywodów Lipperta, musimy rzec jeszcze słów kilka, jak badacz ten patrzy na zadanie historyka kultury. Dzieje kultury, to historya wysiłków, za pomocą których ludzkość z nędznego bytu pierwotnego doszła do stanu obecnego. Nici téj pracy biegną jednocześnie, tysiąckrotnie się plączą w różnych stosunkach i przedstawienie całego powikłania przewyższa siły człowieka. Trzeba przeto wydzielić tylko niektóre zasadnicze, postępowe, czynne, inne zaś pozostawić bez rozpatrzenia. W ten sposób dzieje kultury ludzkiéj zostają w rozumieniu Lipperta sprowadzone do dziejów ludzkiego postępu i jego sprężyn.

II.

Sprężyny działalności kulturowéj są nad wyraz różnorodne, lecz mimo to można sprowadzić wszystkie, zdaniem Lipperta, do jednéj zasadniczéj — p i e c z y o b y t (*Lebensfürsorge*). Jéj rozciągłość jest bardzo niejednakowa, zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. Już to bowiem ogranicza się tylko do chwili bieżącéj i własnéj osoby, już znowu obejmuje ludne koła i zabiega w dalekie czasy. Właśnie z powodu téj rozciągłości Lippert usiłuje zrobić z niéj skalę do oceniania postępów kultury, które będą tém znaczniejsze, im piecza o byt kłopocze się o dalsze czasy i o liczniejsze grona. Np. kultura dzikiéj ludzkości odznacza się szczupłością pieczy o byt, która w tym okresie jest sprowadzona tylko do własnéj osoby i plemienia, oraz jedynie do chwili bieżącéj. Dziki jest-to dziecko, już dobre, to znowu złe, wesołe lub smutne, stosownie do podrażnienia, nie zdolne oprzéć się popędowi chwili. Tacy buszmani nie czynią zasobów na dzień następny; jeżeli mają dużo pokarmu jedzą, póki sił stanie, potém śpią w bezczynności, aż póki głód nie zmusi ich do pomyślenia o nowém pożywieniu. Również i społeczna piecza o byt u pierwotnego człowieka porusza się w ciasnych granicach, gdyż nie wybiega po za nieliczną hordę, najwyżéj z kilkuset głów; wszystko, co znajduje się po za tém, uchodzi za wrogie. Nawet i wśród hordy odmawia się opieki starcom niedołężnym, obłożnie chorym, słabym niemowlętom—porzuca się ich na ustroniu, zostawiając co najwyżéj drobną ilość pokarmu. Postęp społeczny polega na wzrastaniu pieczy o byt przestrzeniowo, jak i we względzie czasu, i wywołuje odpowiednie stany duchowe u człowieka. Uczucia stają się rozleglejszemi, odruchy wskutek ukazania się powściągów, np. wstydu, przewidywania i in., mniéj gwałtownemi i rzadszemi.

Pod wpływem jakich czynników rozwijała się piecza o byt i jaką rolę w téj sprawie odgrywała świadomość ludzka? Są to dla Lipperta zagadnienia, równoważne z wyśledzeniem sprężyn postępu kultury.

Zaczniemy od ostatniego pytania: udziału świadomości ludzkiéj w sprawie rozwojowéj, biorąc pojedyńczy przykład wynalazku ognia. Czy człowiek odkrył własności ognia i sposoby jego krzesania świadomie, t. j. z celem z góry powziętym. Otóż różne dane pozwalają mniemać, że nasz przodek, jeśli doszedł kiedyś do tego odkrycia, to dlatego, że sama przyroda dostarczyła mu wskazówek w tym kierunku. Lecz ogień w przyrodzie istnieje tylko pod postacią potoków gorejącéj

lawy i pożaru od piorunu. Zjawiska te raczéj odstraszały człowieka, aniżeli wykazywały dobroczynność ognia. Należy przypuścić, że człowiek zapoznał się z korzyściami tego zjawiska podczas błąkań po nieostygłém jeszcze spalenisku, lub wskutek rozgrzebywania ostygłéj, ale ciepłéj jeszcze w głębszych warstwach lawy. Odkrył wtedy dobroczynne skutki ciepła i w ten sposób znalazł, czego nie szukał. Gdy już spostrzeżono to, rzecz prosta, że z czasem usiłowano dowolnie wywoływać odpowiednie stosunki przez naśladowanie przebiegów przyrody. Doświadczenie wskazywało, iż ciepło ukazuje się np. ze spalenia się materyałów roślinnych, i człowiekowi, dla otrzymania ciepła pozostawała jedna droga—podtrzymywanie pożaru na drobną, a nieszkodliwą skalę. Mnóstwo faktów z przeszłości nawet historycznéj, lub teraźniejszości dzikiéj, wskazuje, iż pierwiastkowo użytkowano z ognia tylko w ten sposób, że nie dawano zagasnąć płomieniowi, ciągle dorzucając materyał. Dopiéro po długich wiekach takiego uciążliwego utrzymywania ogniska, zauważono własność niektórych ciał (gąbczastych) przechowywania zarzewia w postaci kilku tlejących iskier, bez konieczności podtrzymywania wielkiego ogniska. Ale wszystkie te sposoby były tylko korzystaniem ze wskazówek świata zewnętrznego. W dalszym ciągu zauważono inne jeszcze objawy—np. że iskra, padając na suchą trawę, roznieca pożar, że gorejące gałęzie ulegają nagrzewaniu. Podobne iskry widziano przy ociosywaniu narzędzi krzemiennych, podnoszenie temperatury przy tarciu kawałka drzewa o inny. To mogło naprowadzić na myśl sztucznego wykrzesywania ognia. Słowem, w długowiekowym rozwoju ognia człowiek odgrywa rolę poniekąd bierną. Był on zawsze jedynie wrażliwym odbiorcą wskazówek przyrody i cała jego działalność sprowadzała się do zrozumienia i skorzystania z nich. Wynalazek sam przychodził częściami do niego, na podkładzie z określonych wiadomości technicznych. Przykład ten daje nam pojęcie o sposobie, w jaki Lippert kreśli dzieje rozwoju technicznego pierwotnéj ludzkości, a zarazem wyjaśnienie jednolitości jego wśród niezależnych szczepów—jednolitości, wynikającéj z jedności wszędzie saméj przyrody i jéj wskazówek. Podobnież z rzeczowego źródła, mianowicie z pewnéj rozmaitości wskazówek przyrody i otoczenia materyalnego pochodzi to zjawisko, że nie wszystkie grupy ludzkości przebiegają tą samą ściśle drogą dziejową w zakresie pierwotnéj techniki. W jednych okolicach otoczenie np. zaprzęgło człowieka do rolnictwa już na wczesnym szczeblu, wówczas gdy gdzieindziéj poprowadziło go do hodowli bydła i pasterstwa. Nawet w rozwoju uczuć społecznych, świadomość ludzka odgrywała rolę drugorzędną, człowiek bowiem z swemi

popędami, zwłaszcza powściągowemi, jest doskonałém zwierciadłem i zarazem dzieckiem warunków zewnętrznych. Rozpatrzymy naprzykład rodowód wstydliwości cielesnéj. Wielu sądzi, że jest wrodzona naturze ludzkiéj, wyprowadzając z niéj nasze przykrycie ciała. W rzeczywistości, jest to odwrócenie istotnego porządku do góry nogami. Człowiek pierwotny lubi w wygórowanym stopniu wszelkie ozdabianie ciała: maluje ciało, ozdabia je muszlami. Nie mogąc zawieszać ozdób w każdéj okolicy ciała, począł nosić przepaski — dla przyczepiania przedmiotów i świecidełek. Jedném z takich miejsc były biodra. Australczycy np. noszą jeszcze dzisiaj wąski pasek dokoła bioder — dla zawieszania przedmiotów. Cóż on ma wspólnego z odzieżą i wstydliwością? Za przepaskę wtykano trawę, późniéj tkaniny, aż wreszcie powstało z czasem dolne ubranie. Tradycya uświęca zwyczaj i potępia wykraczającego. W miarę wzrotu tego przyodziewku u człowieka ukazuje się nieznane uczucie—wstydu, kiedy wypadało wyjść bez przykrycia. Lecz powody tego uczucia nie przedstawiają nic wspólnego z tegoczesną wstydliwością. Były one tego samego rodzaju, jak u Arabki gotowéj raczéj pokazać się nago, lecz z okrytą twarzą, lub u Filipińczyka, oblewającego się wstydem, kiedy wypadnie mu zdjąć calowéj szerokości sznurek przez biodra, lub wreszcie jak u europejczyka, gdy znajdzie się w towarzystwie bez rękawiczki. Człowiek zatém wykazuje wstyd tylko wtedy, jeżeli wypadnie mu obnażyć tą część ciała, którą przywykł ukrywać; uczucie samo wynikło wskutek nastania zwyczaju odzieży, co zjawiło się znowu pod wpływem innych czynników. Co więcéj, nietylko rozwój uczuć, lecz nawet instytucyi i zjawisk społecznych w zakresie pierwotnéj hordy podążałby, zdaniem Lipperta, w ścisłéj zależności od postępu technicznego.

Rozbierzmy np. znaczenie w téj mierze ognia, poczynając od jego wpływów pedagogicznych. Teraźniejszy człowiek dziki jest wciąż na łasce zmiennych pożądań, odruchowość zaś taka musiała być znaczniejszą na zaraniu ludzkości. Pra-człowiek był włóczęgą w całém słowa znaczeniu, niezdolnym do skupienia uwagi w jakimś kierunku i zajęcia się czémś przez dłuższy czas. O świadomém przerobieniu tego charakteru nie mogło być mowy; trzeba było, aby jakiś podmiotowy czynnik, tak pożyteczny dla człowieka, iż ten zaprzągłby się w systematyczną działalność, ukazał się i podjął to zadanie. Ogień odegrał właśnie taką rolę. Pierwotne zarzewie można było utrzymywać wyłącznie nieustającém podsycaniem. Włóczęga, dotychczas bez żadnego stale przyświecającego mu zadania, wkłada się do systema-

tycznéj służby — pierwszéj w dziejach. Daleko znaczniejszemi były wpływy ognia w zakresie stosunków płciowych i rodzicielskich. Zdaniem Lipperta (pogląd dość wątpliwy!) obie płcie przebywały pierwotnie zosobna, schodząc się tylko w określone pory roku w następstwie pobudki czysto fizyologicznéj. Nic nie łączyło ich z sobą po za tym czasowym celem. Staranie około dziecka leżało zupełnie na kobiecie, która karmiła je, aż do czasu, gdy zdołało już wyżywić się samo o własnych siłach; często porzucała je na pastwę losu, nie mogąc poradzić temu obowiązkowi. Wynalezienie ognia zmieniło warunki.

Przedewszystkiém ukazała się solidarność pomiędzy pewną grupą osób, wraz z podziałem pracy, przedtém nieznana. Ktoś zajął się doglądaniem ogniska, ktoś dostarczaniem żywności. Do pierwszéj powinności nadawała się zwłaszcza kobiéta, która wskutek swych fizyologicznych właściwości, wynikających z macierzyństwa, była mniéj zdolną do ruchliwego trybu życia. Tak się téż stało. Na nią spadło czuwanie nad ogniskiem, na mężczyznę zaś dostarczania zwierzyny. A zatém ukazuje się teraz pomiędzy płciami przedmiotowe spoidło, łączące je po za okresem peryodycznie działającego popędu płciowego i pozwalające na powstanie wyższych psychicznych pobudek zbliżenia. W ciągu dalszym pierwotne dzieciobójstwo doznaje téż ograniczenia. Zamiast porzucania niemowlęcia gdzieś w lesie poczęto zostawiać je przy ognisku. Nadto ogień, umożliwiając z czasem zgotowanie pożywienia roślinnego, pozwolił na wcześniejsze odstawienie od piersi i w ten sposób zmniejszał brzemię, spoczywające na matce. Odkrycie ognia wywarło podobnie dobroczynny skutek na postępowanie względem starców. Z chwilą, gdy człowiek niedołężniał, stawał się jedynie zawadą dla drobnéj pierwotnéj hordy. Rzucano go téż gdzieś po drodze, jak to widzimy w gromadach zwierzęcych. Lecz z koniecznością ciągłego podsycania zarzewia stosunki w téj mierze ulegają zmianie, starzec bowiem bezsilny mógł jeszcze dozorować ogniska i być pożyteczny dla innych. Zamiast więc porzucania go na na jakiém pustkowiu, zostawiano go przy obozowisku. Niemniéj ważne następstwa wywołało odkrycie ognia w zakresie, stosunków międzyplemiennych. Dzisiejsze dzikie społeczeństwa, to drobne zaledwie z kilkuset głów grona, oddzielone od siebie zwyczajami, językiem, nienawiścią, obawą. Nic ich nie zbliża, wszystko raczéj dzieli. Można mniemać, że w zaraniu ludzkości stosunki te występowały jeszcze w ostrzejszéj formie. Dla rzucenia pomostu pomiędzy wrogiemi prahordami, trzeba było ukazania się przedmiotowych bodźców, które, silniejsze nad subiektywne niedowierzania i nienawiści, zbliżyłyby do siebie dziedzicznych wrogów w imię interesu wzaje-

mnego. Ogień spełnił to zadanie. Wyobraźmy sobie, że wskutek jakichkolwiek przyczyn zgasło u pewnéj hordy to źródło dobroczynne ciepła, światła i obrony przeciw dzikim zwierzętom. Człowiek nie umié go wykrzesać, a źródło naturalne, z którego możnaby je otrzymać jest w téj chwili nieobecne. Pozostaje jedynie pożyczyć zarzewia od szczęśliwych sąsiadów. Za tą hypotezą powstania przyjacielskich stosunków międzyplemiennych przemawia np. nietykalność spartańskich „nosicieie ognia“ podczas bitwy. Słowem ogień wywarł mnóstwo najróżnorodniejszych wpływów społecznych. Pra-przodek nasz poskramiał przy niém swoją pierwotną odruchowość i skłonności do włóczęgi, ćwiczył wolę i pracowitość. Ognisko téż zbliżyło na stałe obie płcie i wytworzyło między niemi sojusz, w celu wychowywania potomstwa, oraz dostarczyło pobudki do pierwszego podziału pracy, zmniejszyło pierwotne dzieciobójstwo i starcobójstwo, złamało podmiotowe nienawiści na drodze do międzyhordowego zbliżenia, i t. d. W podobny sposób możnaby zbadać znaczenie społeczne innych zdobyczy technicznych np. oswojenia zwierząt, uprawy drzew i roślin, gotowania pokarmów. Każdy postęp techniczny wywoływał odpowiednie skutki społeczne, jeden — mniejsze, drugi — większe; te zaś drobne wpływy prowadziły, wzięte pospołu, do rozszerzenia uczuć społecznych na coraz dalsze, a ludniejsze koła i do coraz dalszego przewidywania przyszłości, czyli innemi słowy wzmagały przestrzeniowo i w czasie pieczę o byt.

Cały tom pierwszy „Dziejów kultury“ poświęcono właśnie wpływom społecznym ze strony różnych zdobyczy technicznych. Zdaniem Lipperta, zarówno rozwój urządzeń społecznych, jako i stanów podmiotowych, kroczył wciąż w następstwie powstawania szczególnych warunków rzeczowych.

W miarę wzmagania się rusztowania rzeczowego w społeczeństwie, każda nowa zdobycz techniczna wywiéra wpływ coraz mniejszy, niknie on bowiem zatracony w mnóstwie innych. Słowem, społeczny rozwój przypominałby poniekąd rzekę, płynącą w zależności od układu warunków topograficznych.

Człowiek, pojedyńczy atom potoku dziejowego, w swych pojęciach i urządzeniach społecznych byłby tylko bierném narzędziem stosunków rzeczowych, wiązałby je i usprawiedliwiał za pomocą wyrobu swego umysłowego, a otoczywszy tą ideologiczną atmosferą, przeszkadzałby nieraz dalszemu rozwojowi. Zresztą Lippert przeprowadza swoje zapatrywanie konsekwentnie dla niższych szczebli kultury, dla wyższych wyznaje jawnie lub milcząco trudność dokonania odpowiedniego rozbioru. Sądzimy, że przyczyną tego jest małe wniknięcie

autora w czynniki, rządzące ewolucyą własności i w znaczenie téj instytucyi na rozwój cywilizowanéj ludzkości.

III.

W pierwszém popularném opracowaniu „Dziejów kultury“, Lippert przypisał rodzinie pierwszorzędną rolę kształtowniczą w ewolucyi społecznéj. W Chinach lub Japonii widział on zwykłą komórkę rodzinną, która drogą naturalną rozrosła się w państwa olbrzymich rozmiarów; inne znów ustroje rozpatrywał jako nagromadzenie prostych komórek rodzinnych. W pracach późniejszych przyznaje rodzinie już mniejsze, lecz zawsze wielkie znaczenie. Instytucya ta przedstawia wciąż dla niego klucz do zrozumienia rozwoju polityczno-państwowego.

Pod wpływem jakich czynników podąża zatém rozwój rodzinny?

Pierwotne stosunki między płciami były luźne, zbliżały się one bowiem tylko pod wpływem bodźców fizyologicznych i rozchodziły się z ich ustaniem. Słowem, Lippert wychodzi ze stanu zupełnego rozproszenia indywidualnego, pogląd dość nieprawdopodobny wobec tego, że ssaki roślinożerne, takie jak małpy, żyją, jeśli już nie w gromadach często kilkuset głów, to przynajmniéj w gronach rodzinnych. Idźmy jednak za wątkiem myśli naszego socyologa. Na zaraniu dziejów ludzkości nie było czynników, które działałyby w kierunku zadzierzgania nieustających węzłów towarzyskich. I dopóki cała praca zarobkowa ograniczała się do zbierania poczwarek, jagód i t. d., obie płcie występują zupełnie względem siebie równoprawne. Postać rzeczy ulega zmianie z wzrostem doświadczenia, które nauczyło człowieka pielęgnować ogień. Podział pracy wkrada się pomiędzy płcie. Macierzyństwo kobiéty i wolność mężczyzny od wychowywania potomstwa, być może sprowadziły już wcześniéj zróżniczkowanie pomiędzy płciami w zakresie zarobkowania. Ogień nietylko że utrwaliłby, lecz nawet wzmocnił taki stan rzeczy. Dozorowanie ogniska dostaje się kobiecie, jako zajęcie najodpowiedniejsze w danéj epoce jéj właściwościom fizyologicznym, z czasem zaś budowanie namiotów i hodowlą roślin. Mężczyzna tymczasem przywłaszcza sobie myśliwstwo. Tradycya uświęca ten podział zatrudnień, który ukazał się drogą naturalną. Dwa odrębne gospodarstwa powstają obok siebie, jedno męskie, drugie żeńskie, jako dalszy wyraz pierwotnéj samodzielności osobniczéj u każdéj płci, a ich zlewanie się powolne w jedność gospodarczą stanowi w gruncie rzeczy istotną zawartość dziejów rodziny. Ślady téj pierwotnéj dwoistości znajdujemy jeszcze na stosunkowo

posuniętym szczeblu kultury. Na wyspach Fidżi obie płcie mieszkają i nocują oddzielnie; wszyscy mężczyźni żonaci i w stanie kawalerskim, sypiają w jednym dużym domu gminnym, kobiéty zaś przebywają w osobnych chatkach. Obie płcie spożywają pokarmy odmienne i z osobna, np. spożywanie mięsa ludzkiego jest dozwolone jedynie mężczyznom. W téj dwoistości gospodarczéj tkwi téż źródło innego zjawiska — ścisłego przestrzegania zajęć, przynależnych każdéj płci, wśród niższych okresów kultury. U Grenlandczyków np. wszystko co tylko znajduje się w chacie, czy pochodzi z pracy kobiecéj czy męzkiéj, jest w wyłączném posiadaniu kobiety, która rozporządza tutaj samodzielnie, aż do głodzenia mężczyzny. Obowiązkiem tego ostatniego jest upolowanie zwierzyny (wodnéj); zrobiwszy to, spoczywa bezczynnie, pozostawiając kobiecie nawet wydobycie jéj na ląd. Kobiéty gotują, wyprawiają skóry, odzież i obuwie, budują i poprawiają chatę, „nawet kiedy noszą głazy, pod ciężarem których trzeszczy w plecach i podówczas mężczyźni przypatrują się spokojnie“. Słowem podział pracy jest tutaj ściśle przeprowadzony i skrupulatnie przestrzegany. Toż samo widzimy wszędzie w pierwotném społeczeństwie. Wzajemne położenie płci wśród rodziny, zależy w tym okresie przedewszystkiém od tego, jak ustosunkowały się zarobki kobiét i mężczyzn. U Balondów, plemienia, które nie przechodząc pasterstwa doszło do rolnictwa, gospodarstwo niewieście (t. j. uprawa roślin) swoją wydajnością przyćmiło dorywczy zarobek mężczyzny z polowania. Odpowiednio temu na czele całego gospodarstwa stoi stara matrona matka grona mieszkających przy niéj kobiét. Mężczyzna zawiéra z nią umowę, że będzie dostarczał np. drzewa na opał, córki zaś domu w zamian winny być mu żonami, dawać miejsce przy ognisku i dostarczać pożywienia; dzieci są naturalnie własnością matek i noszą ich nazwę rodzinną. Natomiast u ludów pasterskich, gdzie dorobek mężczyzny, trzody, jest jedyném źródłem utrzymania, kobiecie zaś przypadło tylko gospodarzyć nad dostarczanemi jéj zapasami, znaczenie płci żeńskiéj zeszło do nader niskiego poziomu i rozpłynęło się w wszechwładztwie ojca lub męża-patryarchy. W ten sposób, zdaniem Lipperta, wzajemne prawa kobiéty lub mężczyzny w rodzinie, nie zależą od wysokości szczebla kultury, na którym dane społeczeństwo stoi, ale przedewszystkiém i jedynie od ustosunkowania się wydajności, właściwéj źródłom utrzymania, które zostały zdobyte w rozwoju dziejowo-technicznym i są uprawiane przez każdą płeć.

Znając w ogólnym zarysie od czego zależy stanowisko płci w rodzinie, możemy rozejrzyć formy dziejowe téj instytucyi i oddziaływanie jéj na układ polityczny społeczeństwa.

Zarodek związku rodzinnego spoczywa nie w stosunku mężczyzny do kobiety t. j. nie w związkn małżeńskim, lecz w stosunku matki do dzieci, zgodnie z koniecznością dla matki karmienia dziecka własnemi piersiami, większą u pra-człowieka, bo ciągnącą się aż do zupełnego uzdolnienia potomstwa do samodzielnego zarobku. Społeczeństwo pierwotne w ten sposób powstawało ze skupienia potomstwa około matki. Zresztą tak samo jak u stad zwierzęcych, samice z dziećmi były tutaj czasowo wykluczane z gromady. Lecz nawet i bez tego przypuszczenia, wynalazek ognia i wzrastający w pierwotnéj hordzie podział pracy między płciami, musiały przyczynić się z czasem do stworzenia podwójnéj organizacyi, jednéj kobieco-dziecięcéj, mniéj ruchliwéj, rozpadającéj się na oddzielne grupy, każda około swéj matki, drugiéj męskiéj, gromadzącéj mężczyzn z rozmaitych grup w celach wojennych. Widzimy to we wspomnianym przykładzie wziętym u Fidżyjczyków. Dziecko należało zawsze do matki; to zresztą pochodziło jeszcze i stąd, że związek z matką był namacalniejszy, aniżeli z ojcem, który też dla dziecka jest w pojęciach pierwotnych osobą obcą. Fizyologiczny fakt wspólności krwi dziecka a matki był tu tak wymownym, że zmusił pra-człowieka do przyznania jedynie pokrewieństw w linii macierzystéj.

Ale krew jednaka płynie w każdém dziecku, ta okoliczność staje się podstawą bezwzględnéj równouprawnienia wszystkich potomków do plemiennego ognia, plemiennéj wody i plemiennych kobiét. Są to rzeczy wspólne jednako wszystkim i zbiorowo posiadane przez wszystkich. Logika pierwotna wysnuwa z czasem jeszcze dalsze wnioski. Wszak krew płynąca w dziecku i wnuku, lubo jednakowa jakościowo, jest różna ilościowo. Wnuk posiady dwa razy mniéj krwi babki, niż syn jéj. Dzięki temu, pokazuje się dalsze zróżniczkowanie pojęcia o pokrewieństwie wśród pierwotnéj hordy — według pokoleń, oraz ograniczenie wspólności użycia tylko do owego zakresu. Kobiéta plemienna jest wspólną, już nie dla wszystkich mężczyzn, lecz tylko dla tych, którzy są z tego samego pokolenia. Naturalnie, to zróżniczkowanie zjawia się w następstwie już dłuższego rozwoju. Inne znowu powstaje w miarę wzrastania wiedzy i techniki. Odkąd poszukiwanie pokarmu przestało być sprawą odruchowego zbierania, lecz kierować się jęło doświadczeniem, horda rozpada się na wiedzących i nieuków — zwykle starców i młodzież, stąd téż pierwsze godności należą do starszego wieku, o czém świadczą nazwy gerontów, senatorów, starostów, aldermanów.

Tak przedstawia się cała zdobycz dziejowa ludzkości w zakresie układu społecznego, dokonana w pierwszym okresie. Stosunek matki

do dziecka jest tutaj kanwą, która wytkaną zostaje w coraz bardziéj złożone desenie. Horda jest tylko rozrosłą grupą macierzystą z zróżniczkowaniem według wieku, wroga wszystkim innym i obcująca tylko w swém łonie (między innemi wynika stąd endogamia małżeńska). Z takiéj hordy rozwiną się z czasem wszelkie możliwe instytucye społeczne, podobnie jak z pałki i kamienia — wszystkie narzędzia i oręże. Lecz co winna począć ona, kiedy zacznie wzrastać w ludność i kiedy, dzięki znacznéj liczbie i rozproszeniu, subiektywne spoidło tradycyi okaże się niewystarczającém? Rzecz widoczna, że takie społeczeństwo macierzyste nie posiada dostatecznéj siły organizacyjnéj do utrzymania tych wzrastających pierwiastków w solidarném skupieniu, nigdy téż nie wybiega ono po za nieznaczną liczbę członków i rozszerza się jedynie drogą naturalnego przyrostu, usiłując w kulcie i znakach przymierza kultowego (patrz niżéj) znaleść brakujący cement społeczny. Aby społeczeństwo stało się ludném i obszerném, trzeba zgoła innych bodźców, takich, jakie są właściwe ojcowskiemu prawu. Zresztą pomiędzy pierwotną hordą a zorganizowaniem społeczeństwa na podstawie męsko-ojcowskiéj, horda macierzysta przebiega cały szereg faz kolejnych. Idą one w kierunku od pierwotnéj endogamii ku egzogamii. Dotychczas przynajmniéj oglądaliśmy drobną a jednolitą jeszcze hordę, któréj członkowie trzymają się pospołu, o jedyném zróżniczkowaniu na pokolenia, według wieku. Lecz jeżeli pierwotne grono wzrasta w ludność, same warunki zarobkowania zmuszają je do rozpadnięcia. Z każdego pokolenia wydzielają się mniejsze a spójniejsze grupy bratersko-siostrzane (swoiste), uprawiające spólnictwo małżeńskie, lecz mimo rozdzielenia, łączność i solidarność nie zostają zerwane (coś podobnego zdarzało się i wcześniéj, w braku jednak rozwiniętéj tradycyi, pamięć o wydzieleniu zacierała się wkrótce). Zamiast wrogiéj a wyodrębnionéj hordy, widzimy teraz pewną ich ilość sprzymierzoną w plemię. Wskutek odmiennych warunków bytu, oddzielne takie grupy cieszą się bardzo rozmaitym stopniem zamożności. Dzięki nieustającéj łączności, niektóre osoby (mężczyźni), z jednéj grupy przechodzą do drugiéj, wstępując w istniejące tutaj spólnictwo małżeńskie. Wychylanie się to po za szczupłą grupę macierzystą, głównie porywało jednostki energiczniejsze a bardziéj awanturnicze, które usiłowały naturalnie wejść wskład grupy żyjącéj w dogodniejszych warunkach. W ten sposób pewne grupy przyciągały wszystkie żywotniejsze siły z pośród innych swego plemienia; obcujące zaś jedynie wewnątrz siebie zostawały pozbawione tego przyrostu energii i, co za tém idzie, przedstawiały mniejszą zdolność do wytrwania w walce o byt. Z czasem, pierwotna prahorda rozpadnie się na pewną ilość pomniejszych, wzajemnie związa-

nych pamięcią o wspólném pochodzeniu od téj saméj pra-matki, z których każda zaprzestała związków małżeńskich wewnątrz siebie, lecz zawiéra je z osobami z jakiejś innéj grupy. Ukazuje się organizacya egzogamiczna, a przebieg dziejowy, wskutek którego powstała, jest jednocześnie szczególnym doborem antropologicznym, polegającym na skupieniu natur energiczniejszych a zatraceniu biernych. Już dzięki temu, plemię, rozpadające się na hordy egzogamiczne, jest bardziéj uzdolnione do odbywania dalszego postępu. Organizacya ta znajduje dla siebie najwyższy wyraz w ustroju rodowym, takim, jak go Morgan odmalował u Irokezów, lecz jednocześnie jest to ostateczna forma, do któréj dochodzi społeczeństwo macierzyste i to tylko po to, aby w téj postaci wykazać całą swoją bezsilność postępowo-organizacyjną. Kobiéta bowiem, wskutek swych właściwości fizyologicznych, jest nieudolna do poszukiwania zemsty krwawéj i czynności wojennéj-ochronnéj i winna oprzéć się na żywiole męskim, a to tém silniéj, im ustrój staje się ludniejszy. Poszukuje ona pomocy naprzód u brata, tego „ojca“ staroczesnego ustroju. Jeżeli zróżniczkowanie zajęć, właściwych płciom bardziéj wzrośnie, opieka ta przeradza się w zwierzchnictwo, znajdując już gotowy, ustrój władzy w istniejącéj oddawna organizacyi wojenno-myśliwskiéj mężczyzn, opierającéj się zgodnie z swemi zadaniami na pewnym despotyzmie — na tém, co Grecy zwali „tyranią“. U czerwonoskórych widzimy jeszcze tę tyranię męsko-wojenną i tę opiekę cywilną brata, jak działają odrębnie od siebie. Pierwotna prahorda zamieniła się tutaj w plemię, złożone z pewnéj ilości egzogamicznych rodów macierzystych. Na czele rodu stoi zarząd cywilny: *sachem*, który jest tylko dalszém ogniwem „ojca-brata“ pierwotnéj drobnéj grupy swoistéj, lecz jednocześnie obok niego wznosi się jeszcze władza wojenna, kierująca podczas wypraw i niezależna od poprzedniéj. Lecz w ukazaniu się tych władz męskich: cywilnéj i wojennéj, spoczywa śmierć dla prawa macierzystego. Mężczyzna wykazuje odrazu zdolności do prowadzenia rozwoju społeczno-organizacyjnego drogą odmienną niż dotychczasowa naturalnego przyrostu. Jakoż znajduje on w przymusie i gwałcie środki do zjednoczenia grup wrogich i przełamania w ten sposób wzajemnych nienawiści, międzyplemiennych, a pierwsze kroki w tym kierunku idą w zależności od sprężyn ekonomicznych. Mężczyzna oswaja bydlę i rozpoczyna hodowlę zwierząt. Kobiéta przeciwstawia temu zarobek rolniczy, który jéj się przeniewierza z zastosowaniem do uprawy gruntów siły zwierzęcéj. Zresztą w miarę rozwoju technicznego, zamożność pewnego koła zależy od liczebności sił roboczych. Kobiéta zaspakaja tę potrzebę jedynie własną płodnością, mężczyzna zaś znajduje pręd-

szy i skuteczniejszy środek zaradczy — przez porwanie obcoplemieńców i przemianę ich w niewolników. Wśród jeńców znajdują się branki, z których czyni on nałożnice, i stosunek swój do tych kobiét opiéra na gwałcie i sile, a te wzory wciskają się i w łono rodziny, złożonéj z równoprawnych plemieńców. W następstwie tego rozwoju kobiéta i dzieci stają się własnością mężczyzny, powstaje rodzina patryarchalna i prawo ojcowskie, t. j. pokrewieństwo dziecka z ojcem. W ten sposób rodzina ojcowsko-mężowska wyrasta z warunków ekonomicznych, jako organizacya gospodarcza, co przewybornie uwidocznia pierwotna „familia“ rzymska. „Ojciec“ jest tutaj przedewszystkiem przedstawicielem gospodarstwa i kierownikiem sił roboczych potomstwa.

Rozwój rodziny ojcowskiéj a społeczeństwa obszernego, zdobywczego, opartego na administracy terytoryów, podążają wzajemnie, wzajemnie wspierając się i targając ustroje, złożone z kół rodowych, a spoczywające na prawie macierzystem. W tym przebiegu kolejne fazy rodziny ojcowskiéj odgrywają nieznaczną lub raczéj nie odgrywają żadnéj roli w kształtowaniu dalszém ustroju politycznego; znaczenie posiada sama władza ojcowska, lecz nie sposób jéj wykonywania. Weźmy np. rodzinę monogamiczną. Jéj ukazanie odbywa się pod wpływem najrozmaitszych czynników. Z jednéj strony działa tutaj jeszcze tradycya dwoistości pierwotnego gospodarstwa, wraz z odmiennością praw posiadanych przez żonę współplemienną a przez niewolnicę. W tych warunkach tkwi źródło istnienia „pierwszéj żony. Daléj dołączają się czynniki ekonomiczne np. nędza warstw niższych, wywołująca z konieczności jednożeństwo i t. d. Rodzina monogamiczna, gdy już została ukształtowana i uświęcona, zmienia pojęcia moralno-małżeńskie, prawa spadkowe, lecz na tém szczupłém oddziaływaniu ogranicza się jéj rola społeczna. A tymczasem jéj poprzedniczka, patryarchalna, stanowi zalążek, z którego wywiązuje się nowoczesne społeczeństwo terytoryalne t. j. państwo. Włączanie obcych plemion siłą oręża, jest właśnie najpotężniejszym środkiem do stworzenia państwa w rękach patryarchatu. Zresztą pewną, chociaż nieznaczną rolę odgrywa inna przyczyna: porywanie kobiét, które jak to uwidocznia starodawne podanie rzymskie, przyczynia się do powstania przymierzy pomiędzy wrogiemi plemionami dla pokojowéj wymiany kobiét. Słowem oparcie społeczeństwa na podstawie mężowsko-ojcowskiéj wyprowadza ludzkość z pierwotnego okresu — drobnych komunistycznych hord i zmusza do oparcia stosunków już nie na osobowém pokrewieństwie, lecz na żywiole rzeczowym—terytoryalném rozsiedleniu. Ale wsiąknięcie obcych żywiołów zmusza, prócz spotęgo-

wania władz przymusowych (władzy wojenno-despotycznéj) jeszcze do wysnucia innych węzłów natury podmiotowéj. Społeczeństwo znajduje je w dawno istniejącém spoidle — w kulcie. Już Strabon uznał tę prawdę: „Tłumu niewiast i wszelkiego pospólstwa niepodobna filozofowi prowadzić w imię rozumu... Do tego potrzeba jeszcze obawy bogów, chociaż są oni tylko legendą. Albowiem starodawna nauka o bogach jest tylko baśnią. Jednakże założyciele państw poszukują w niéj pomocy. Jest to postrach na łatwowiernych“.

IV.

W ten sposób dotarliśmy do rozpatrzenia innéj, pierwszorzędnego znaczenia nici dziejowéj: rozwoju kultu. Lippert jest krańcowym wyznawcą teoryi animistycznéj w jéj najjednostronniejszéj postaci. Z tego źródła wyprowadza on wierzenia religijne i przedmioty kultu, wreszcie same obrzędy. Nie wdajemy się w drobiazgowe przedstawianie jego wywodów w téj mierze, jakkolwiek mogłyby one być nader zajmującemi (np. rozwój fetyszyzmu, zamiana pierwotnego ludożerstwa w ofiary i zwyczaje krwawe, np. obrzezanie, przekłuwanie ucha i t. d.). Leżą one na uboczu, kiedy tymczasem nas obchodzi jedynie związek pomiędzy religią a ustrojem społecznym.

Pierwotny kult opiéra się na przyznawaniu sobowtórowi potrzeb i pożądań ludzkich z jednéj, potężniejszych środków szkodzenia lub pomagania z drugiéj strony. Był on w początku nawskroś natury zapobiegawczéj, dbał bowiem przedewszystkiém o usunięcie żyjących od zetknięcia się z „duchem“ zmarłego i wejścia z nim w zatarg. Żyjący porzucali miejsce, gdzie jeden z towarzyszów umarł, pozostawiając przy nieboszczyku wszystkie jego przedmioty i przenosili się gdzieindziéj. Tém samém wyrzekali się wszelkich korzyści z danéj miejscowości i marnotrawili wyłożoną pracę. Naturalnie, takie opuszczanie pewnéj miejscowości lub osady było możliwe jedynie póki zasoby rzeczowe są jeszcze nieliczne i małocenne. Dobre dla Hotentotów, staje się ono niewykonalném dla rolników. Dopiéro kiedy podobne zapobieżenie jest nie do uskutecznienia, kult przybiéra inny charakter—czci pozytywnéj. Dawne praktyki zapobiegawcze, polegające na powstrzymaniu się, utrzymane są w postaci postów, świątkowań i t. d., i dają się sprowadzić ostatecznie do niewspółzawodniczenia ze zmarłym w pewne dni, w zabieraniu niektórych pokarmów, lub w zarobkowaniu na pewném polu. Lecz w innych sferach świat żyjący wchodzi w kompromisy ze światem zmarłych. Pozostawienie zmarłemu wszystkich jego bogactw i zupełne wyrzeczenie się użytkowania

z nich, jest na pewnym szczeblu rozwoju czynem zbyt uciążliwym, szkodliwym dalszemu postępowi. Żyjący zatrzymują więc mienie zmarłego, uprawiają jego pola i polują na jego gruntach, składając mu za to pewną daninę. Niekiedy świat żyjący w ten sposób, dostaje się w istną niewolę u nadprzyrodzonego. Coś podobnego widzimy np. w dziejach średniowiecznéj Europy: umierający wydziedziczali całkowicie, lub częściowo własnych spadkobierców i oddawali majątki klasztorom w zamian za troskę o zbawienie swéj duszy, tak iż dzieci ich musiały pracować na klasztor, a pośrednio na duszę ojców. W Egipcie taki bieg rzeczy doprowadził do tego, że zmarli dosłownie wysysali wszystkie soki z żyjących. Rozwój społeczny doprowadza do téj niewoli jeszcze inną drogą. Człowiek na niższych szczeblach kultury, dla wyjaśnienia zjawisk przyrody, znajduje zawsze gotowe tłómaczenie: to duchy są sprawcami; należy je przebłagać, aby nie szkodziły, a przebłaganie to zostaje ukształtowane według wzorów żyjących. Duch (t. j. sobowtór) ma ludzkie potrzeby i właśnie należy je zaspokoić pozytywnie, aby uzyskać pomoc. Ukazują się daniny-ofiary, pochlebstwo-modlitwy i t. d. W miarę, jak człowiek rozszerza swe wiadomości i panowanie nad przyrodą, musi wynajdować coraz więcéj duchów dla wyjaśnienia coraz nowych zjawisk. Kult rozszerza się, z nim brzemię ofiar. Uciążliwość tego stanu zrozumiéć łatwo, jeżeli zechcemy uprzytomnić sobie znaczenie saméj ofiary w kulcie pierwotnym. Według braminizmu jedynie ofiara umożliwia istnienie świata: „Rzucona w ogień ofiara idzie do ducha, duch z tego wyrabia deszcz, z deszczu rodzi się pokarm, z pokarmu stworzenie“. W ten sposób pod wpływem różnych czynników przedmiotowa strona w kulcie starodawnym, t. j. modlitwy, ofiary, posty, zostaje wysunięta na plan pierwszy. Tak np. kult w Jeruzalem, to olbrzymie gospodarstwo z codziennemi ucztami, regularném zabijaniem bydląt i pieczeniem chleba na cześć Jahwy. Lecz jakiż posiada charakter piecza o zmarłym? Czy wymaga ona od żyjących wewnętrznéj czystości, doskonałości? Bynajmniéj! Ona żąda tylko jednego, mianowicie, ażeby troszczono się o zaspokojenie potrzeb sobowtóra, łaknień, popędów, t. j. uwzględnia tylko stronę przedmiotową. Piętno to pozostaje i na dalszych ogniwach, które wyłoniły się z tego stanu pierwotnego. Starożytne systemy religijne kładą zgodnie z tém nacisk jedynie na przedmiotowych obowiązkach kultu, tém rozwinięciu obowiązków względem zmarłego.

W przytoczoném tylko co znaczeniu ofiary u wyznawców braminizmu, widzimy, że nie wewnętrzna doskonałość człowieka, lecz spełnia-

nie podmiotowych czynów zapewnia istnienie światu! Podobną rolę odgrywają posty, świętowanie sabbatów, modlitwy. Słowem, duch systemów religijnych, bezpośrednio pochodzących z kultu zmarłych, polegał na przedmiotowych oznakach czci,—nic nadto. Ta przedmiotowa religia nic nie ma do czynienia z moralnością, jakkolwiek wielu stawia obie te sfery w przyczynowym związku. Mniemanie to jest niesłuszne, gdyż zasady moralne są wytworem postępującéj pieczy o byt, religia zaś rozpościera dopiéro późniéj nad niemi swą opiekę boską. Świadczy o tém przewybornie walka pomiędzy nowemi żądaniami moralnemi, wysnuwanemi przez nieustającą ewolucyę społeczną pieczy o byt, a staroczesnemi, bronionemi przez religię, jak to niebawem zobaczymy. I właśnie z protestem przeciw takiemu przedmiotowemu duchowi religii, takiéj rzeczowéj skali dla ludzkiéj prawości, występuje chrześciaństwo i buddyzm. Jest-to cecha wyróżniająca je stanowczo od wszelkich religii. Zamiast dawnego probierza, będącego owocem rodowodu systemów religijnych, obie te religie wysuwają inny — „wewnętrzną doskonałość“. Nie ofiary, nie modlitwy, posty i inne przedmiotowe uczynki stanowią o prawości i zbawieniu, lecz osiągnięcie „Nirwany“ (t. j. zerwanie wszelkich pęt cielesnych z ducha) u buddystów i „wiara“ w nauce najgłówniejszego mistrza chrześciaństwa apostoła Pawła. Naturalnie przewrót nie był radykalny, ani téż wieczny; wyrzucona przedmiotowość znowu się niebawem ukazała i usunęła podmiotowość na plan drugi. Cóżkolwiekbądź jednak, brzemię przedmiotowych obowiązków zostało złamane na długo. Lecz rozpatrywany przedmiot nie był dziełem przypadku; przeciwnie, znajduje się w ścisłym związku z rozwojem zasobów rzeczowo-materyalnych. Albowiem tylko nadmierne ofiary na rzecz tego majątku rzeczowego, możliwe przy jego znacznym rozwoju, mogły być uczute jako istotne brzemię i wywołać potrzebę oparcia religii na podkładzie podmiotowym. Zresztą nietylko ten, lecz wszelki rozwój religii kroczył w najściślejszéj zależności od warunków materyalnych i ukształtowania społecznego. Mitologiczna strona jest każdorazowo odźwierciadlaniem społeczności ziemskiéj. Za dawnego prawa macierzystego kobiéta zajmuje pierwszorzędne miejsce w hierarchii boskiéj, a wraz z nią siły rozrodcze i macierz-ziemia. Jeżeli wziąć systemy religijne Greków, takie stanowisko kobiét widoczne jest w najdawniejszych mitach. Wśród ustroju patryarchalnego ta rola dostaje się rodzicowi-mężczyznie i siłom zapładniającym. Albo weźmy ewolucyę téj hierarchii. Świat zaziemski składa się pierwotnie z nieprzeliczonego mnóstwa duchów równoprawnych, tak samo, jak pierwotni

plemieńcy są wszyscy równi. W miarę różniczkowania na ziemi, podobne zmiany podążają i w świecie zaziemskim. Bóstwa rodowe grup zwycięskich wysuwają się naprzód i wchłaniają w siebie inne pokrewnéj natury, jak to widzieliśmy już na przykładzie Ozyrysa. Rozwój społeczny, odbywający się na ziemi, jednocześnie zagarnia i świat bogów.

W dotychczasowém przedstawieniu poglądy religijne stanowią nić kulturową w dziejach ludzkości, plączącą się wciąż z innemi, lecz jeszcze nie przedstawia owego cementu, który umożliwił społeczeństwo terytoryalne i szersze rodowe. Wypada się przyjrzéć teraz téj okoliczności. Lippert wysnuwa nader zresztą zręczną teoryę t. zw. „*Kultbundu*“—przymierza kultowego. Pierwotne społeczeństwo opierało się na podścielisku fizyologiczném — jedności krwi. Ówczesny ustrój nie wychodził po za granice naturalnego przyrostu i przy nieco zwiększonéj ludności, kiedy pokrewieństwo między oddzielnemi jednostkami poczęło podlegać zapomnieniu, wymagał stworzenia pewnych przedmiotowych dowodów. Jakoż rozwój społeczny wyłania wtedy odpowiednią instytucyę. Warunki życia pierwotnego czyniły człowieka ludożercą i dzieciobójcą. Z technicznym postępem zwyczaje te stawały się bezużyteczne i nawet uciążliwe, lecz zniesienie ich napotkało przeszkody w kulcie, który żądał ofiar ludzkich. Ukazują się kompromisy kultowe, jako następstwo walki pomiędzy ukazującą się nową moralnością, a dawnym przedmiotowym układem kultu. Zamiast ludzi przynosi się w ofierze zwierzęta, to znowu postaci ludzkie, przygotowane z chleba na krwi i t. d. Między środkami zamiany, użytemi w zakresie dzieciobójstwa kultowego, należy wyznaczyć pierwsze miejsce obrzędom krwawienia nowonarodzonych niemowląt, jako równoznacznikom dawnego zwyczaju ofiarowywania dziecka (który powstał z pierwotnego porzucania). Podobnie po czyjéjś śmierci człowiek pierwotny zadaje sobie rany i troszczy się, aby te oznaki żalu nie zaniknęły na dowód, że spełnił obowiązek. Krwawienia te są niby wykupem przynależnéj bóstwu ofiary ludzkiéj, znakiem posłuszeństwa i obietnicą spełniania obowiązków kultu, w biegu rozwoju stają się dowodem zawarcia przymierza z bogami. Naturalnie, wobec naiwnych poglądów, właściwych pierwotnemu człowiekowi, dbano bardzo, aby ten znak przelanéj krwi i zawartego sojuszu nie zaginął, lecz istniał przez całe życie i dla świata boskiego stanowił niezmyte świadectwo spełnionych zobowiązań! W ten sposób powstaje spotykany wszędzie wśród dzikiéj i barbarzyńskiéj ludzkości zwyczaj, iż każde plemię posiada wyrznięte lub wytatuowane na ciele szczególne znaki

plemienne, utrwalone za pomocą barwników, blizn, kawałków drzewa, włożonych w przekłute miejsca i t. d. Obrzezanie Hebrajczyków było téż znakiem podobnego przymierza. Obrzęd tego znakowania znakomicie umożliwił powstanie szerszych, ludniejszych ustrojów społecznych, zwłaszcza odkąd oparcie organizacyi społecznéj na rodzinie patryarchalnéj pozwoliło drogą przymusu wcielać obcoplemieńców. I znowu można tutaj powołać się na dzieje hebrajskie, np. jeżeli kogoś obcego przyjmowano do grona dzieci Izraela, musiał on przedewszystkiém poddać się obrzezaniu. Przelanie krwi wprowadzało go do przymierza z Jahwą i równouprawniało z plemieńcami, znak zaś był dowodem zawartego przymierza. W ten sposób po zerwaniu z spoidłem podmiotowém macierzystego społeczeństwa, ludzkość znalazła w kulcie inne ideowo-religijne, uprzedmiotowane w odpowiednim symbolu krwawym na ciele, a cechą najgłówniejszą sojuszu kultowego był pokój i solidarność pomiędzy osobami, będącemi w przymierzu z tym samym bogiem. Rola np. przymierza chrześciańskiego w średniowiecznéj Europie jest olbrzymia. Religia służy tu za cement uspołeczniający. Jest-to najważniejsza jéj rola dziejowa. Z drugiéj strony religia poczyna być sankcyą istniejącego porządku i zabezpieczać go od zmiany. Notujemy tylko te fakty, nie wdając się w drobiazgowe wykazywanie.

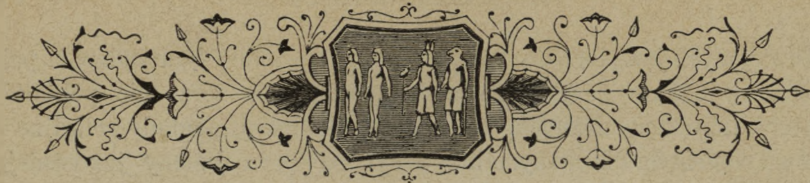
V.

Naturalnie, wobec ogromu studyów Lippertowskich mogliśmy skreślić jedynie najbardziéj zasadniczą osnowę poglądów uczonego niemieckiego. Jest-to gmach, którego zbudowano jedynie mury, tymczasem gdy nic więcéj nie zrobiono ani na zewnątrz, ni téż w wnętrzu. W ten sposób pozostawiliśmy na uboczu całe ustępy ważne, np. dzieje kapłaństwa, władzy politycznéj, obrzędów, nawet religii. Skreślona osnowa jest nietylko najważniejszą, lecz jednocześnie najoryginalniejszą cząstką zdobyczy, którą nauka zawdzięcza Lippertowi. Streścimy jéj zawartość w kilku słowach. Ustrój społeczny, którego postępy mierzyć można wzrastaniem przestrzeniowém i w czasie pieczy o byt, rozwija się w zależności od postępów rzeczowo-technicznych (źródeł zarobkowania, narzędzi pracy i t. d.). Lecz rola człowieka w tym całym postępie, technicznym i społecznym, jest natury biernéj. Nie znaczy to bynajmniéj, aby człowiek nie pracował swoim umysłem przy rozwiązywaniu zadań cywilizacyjnych, nie czynił wynalazków technicznych, nie doskonalił swojego społeczeństwa, lecz znaczy to jedynie, że te wszystkie czynności czerpią wzory dla swojéj działalności

z istniejących już pierwiastków, że pojęcia prawne i urządzenia polityczne są jedynie zorganizowaniem powstałych uprzednio pokładów materyalno-ekonomicznych, że prawdy moralne i poglądy religijne są znowu cementem dla utrzymania w syntezie pewnéj sumy już istniejących żywiołów. Takie wtórne pochodzenie idei społecznych, oraz taka „bierność“ istoty ludzkiéj nie oznacza równie jeszcze, aby pierwsze, kiedy rzecz się ukaże, nie były ważnym pierwiastkiem dalszego rozwoju, ta ostatnia zaś—piastunką całéj pracy i działalności cywilizacyjnéj.

Lud. Krz.





WSPÓŁCZESNE DZIENNIKARSTWO
W ANGLII.

F. Knight Hunt: The fourth estate, contributions towards history of Newspaper. London. 1856. — Alex. Andrews: History of British journalism till 1855. London. 1859. — James Grant: Newspaper Press, its origin, progress a present position. London. 1872. — Henry Sampson: History of Advertising. London. 1874. — John Bull (pseud.): The Daily Telegraph, the Standard, the Times. London. 1878. — Charles Peabody: English Journalism a. the Men who made it. London. 1882. — J. Hatton. Journalistei London. London. 1882. — Mason Jackson: Pictorial Press; London. 1885. — H. R. Fox Bourne: English Newspapers, chapters to the History of Jurnalism. London. 1887.

Swobody polityczne Anglii, upadek monarchii z bożéj łaski i zastąpienie jéj przez parlamentarną, oraz cały szereg reform będących następstwem tego radykalnego przewrotu, datują się od rewolucyi XVII-go stulecia. Ucieczka Jakóba II i wstąpieniem na tron Wilhelma Orańskiego, były czémś więcéj niż zmianą dynastyi: były narodzinami nowoczesnéj cywilizacyi. W zwojach jéj togi przekradła się także niedostrzeżona z początku i lekceważona swoboda prasy. Do jakiéj wznieść się miała potęgi i jakie wywrzéć następstwa na cały polityczno-społeczny ustrój Wielkiéj Brytanii, nawet najbystrzejszy umysł nie mógł wtedy przewidzieć.

Łatwo zrozumiéć, dla czego ani *Bill of Rights* ani *Act of Settlement* nie czynią żadnéj wzmianki o prasie. Oligarchia, co w dobrze zrozumianym interesie własnym wysunęła była wówczas na pierwszy plan prawa ludu, nie troszczyła się bynajmniéj o piśmiennictwo peryodyczne: był to mikroskopowy drobiazg bez najmniejszego znaczenia. Obecnie, wobec rozwielmożnienia prasy, antykwaryusze wyszukują jéj antenatów i kréślą genealogiczne drzewo: Nathaniel Butter,

Marchmont Nedham i Roger l'Estrange, zostali nam po tyle razy opisani szczegółowo, że wznieśli się do typowych indywidualności; dla współczesnych jednak, a przedewszystkiém dla przywódzców rewolucyi 1688 r., byli to kramarze, sprzedający świstki brudnéj bibuły, nic więcéj. Nie było potrzeby zabezpieczać uroczyście prawa tym pigmejom służące.

Od nas pobieżna im się także należy tylko wzmianka. Jedyną formą, w jakiéj nowiny o wypadkach dworskich i o zdarzeniach powszechnego interesu dostawały się w zaraniu naszych czasów do wiadomości wyższych warstw towarzyskich, były listy prywatne ze stolicy. Listy te przestały niebawem nosić cechę osobistą i stały się okólnikami, przechodzącemi z rąk do rąk. Nathaniel Butter, pamfleciarz, i żyjący w sferze księgarzy londyńskich, wpadł był na myśl drukowania tych okólników i umieszczania tam cotygodniowo wiadomostek, nadchodzących ze stałego lądu. Tak powstały w 1641 r. *Weekly news*. Prześladowania izby gwiaździstéj utrudniały mu wielce to wydawnictwo. Przeglądając w bibliotece *British Muzeum* egzemplarze tego pierwszego peryodycznego organu angielskiego, pojąć trudno, że nad takiemi niewinnemi, bezbarwnemi świstkami, pastwiła się cenzura.

Za czasów protektoratu Cromwella, rozbudzona opinia i walczące z sobą stronnictwa polityczne, wywołały wielką liczbę dzienniczków efemerycznych, noszących zazwyczaj nazwę Merkurych. Jedyną wybitniejszą postacią dziennikarską wówczas był Marchmont Nedham: był on wydawcą pisma *Mercurius politicus*, i rzec można urzędowym dziennikarzem Cromwella. Gwiazda jego zagasła w epoce restauracyi Karola II, a wystąpił wtedy na widownię inny zapaśnik, Roger l'Estrange, pierwsza, typowa osobistość w téj dziedzinie.

Roger l'Entrange, szlachcic z dobrego gniazda, pełen rycerskiego animuszu, był zapalczywym stronnikiem prawowitego monarchy i w obronie jego znosił wygnanie i więzienie. Ale nie trzeba zapominać, że gdy się rząd Cromwella ustalił, rzutka, burzliwa i ambitna jego natura nie mogła znieść podrzędnego stanowiska; pogodził się z Protektorem, a to samo dziarskie, świetne pióro, co go było obrzucało błotem, wysławiało potém jego wielkość. Pierwszy chronologicznie z prawdziwych dziennikarzy angielskich, miał on więcéj talentu literackiego, aniżeli godności charakteru: był przedajny. Samo się przez się rozumié, że za powrotem Karola II stał się znowu gorącym sprzymierzeńcem monarchii, która okazała się dlań wielce łaskawą. Jako wydawca dziennika *Intelligence*, jako inspektor drukarni i pras, był on niby osią, około któréj się obracało całe dziennikarstwo w przededniu

rewolucyi i monopolizował je nieledwie. Jakiekolwiek są ujemne strony jego charakteru, należy przyznać, że dzięki swemu urzędowemu stanowisku członka parlamentu i dygnitarza z jednéj strony, a istotnemu talentowi literackiemu i przedsiębiorczemu duchowi z drugiéj, rozszerzył on w krótkim przeciągu czasu zakres i ramy dziennika, który pod jego egidą zaczyna rozbiérać sprawy krajowe tendencyjnie, ale krytycznie, i nie jest już podobny do swego poprzednika, Nath. Buttera. Istotnie surowemi dla sir Rogera l'Estrange okazały się rządy nowe, porewolucyjne, ci tryumfujący whigowie, których był sprzymierzeńcem. Nędza, wygnanie i śmierć w więzieniu: oto koniec tego burzliwego i długiego zawodu.

W pierwszych zaraz kilku latach panowania Wilhelma III, pojawia się wielka liczba dzienników, ale większa ich część znika niebawem. W r. 1693 r. wydany został *Licensing act*, który nadał wprawdzie istniejącym dziennikom byt prawny, ale wszechwładny parlament okazał się surowszym dla nich, aniżeli rządy uprzednie, zabraniając im ogłaszać sprawozdań z posiedzeń obu izb. Najwybitniejsze osobistości świata literackiego i politycznego pisują wówczas do dzienników i wydają takowe, ale wszystkie mniéj więcéj są prześladowane przez parlament. Najpamiętniejszą jest walka, jaką z prześladowcami swymi staczał genialny Daniel Foe, autor „Robinsona Crusoe“, który po za murami więzienia, albo nawet w jego wnętrzu wydawał swe pismo *Review of the Affairs of State*. Do téj saméj epoki należą także dzienniki, wydawane przez słynnego Ryszarda Steele; naprzód *Tattler*, a potém ów europejskiéj sławy *Spectator*, którego gwiazdą był Addison. Rozgłos tego pisma, które po upływie blisko dwóch wieków, należy obecnie do klejnotów klasycznéj literatury angielskiéj, był taki, że niektóre numera sprzedawały się w 20,000 egzemplarzy. Wiele z dzienników, które wychodziły dotychczas, pojawiały się tylko raz lub dwa na tydzień: w pierwszych latach panowania królowéj Anny, dzięki ciekawości, wywołanéj przez wojnę o dziedziczenie Hiszpanii, zaczęły pojawiać się codziennie. Im więcéj wzrastała ich liczba i wpływ się ustalał, tém cięższa się stawała walka parlamentu z tym stugłowym przeciwnikiem. Dopiął jednak wkrótce swego celu, nałożywszy w 1712 r. na dzienniki podatek jednego lub dwóch penny, stosownie do formatu, na każdy egzemplarz, a 12 penny za każde ogłoszenie handlowe. Ten *Stamp Act*, który, z małemi zmianami dotrwał aż do naszych czasów bez mała, był stosem ofiarnym, na którym zginęła jednym zamachem większa część dzienników ówczesnych.

Ale, gdy z biegem czasu, osobistości polityczne, wpływowe, chciały pozyskać sobie popularność, zrozumiały niebawem, że skuteczniej-

szém byłoby pozyskać sobie poparcie dzienników, aniżeli je prześladować. Stanowczą rolę pod tym względem odegrał pierwszy wielki *comoner*, sir Robert Walpole, który w czasie swoich 23-letnich rządów, bronił dziennikarstwo i dziennikarzy przed tyranią parlamentu i który dla utrwalenia swych związków z prasą, nie wahał się zasilać jéj funduszami skarbowemi. Gdy Walpole upadł, komisya tajna, prowadząca śledztwo nad jego polityką, wykryła, że w przeciągu dziesięciu lat (od 1731—1741) wydał na subwencye dla dzienników nie mniéj jak 50,077 funtów szterlingów. Pokaźna to sumka i pokazuje, że dziennikarze pierwszéj połowy zeszłego stulecia umieli kłaść cenę na swoje współpracownictwo! Służyli jednak gorliwie za pobieraną płacę i przyczynili się nie mało do wzniesienia sławy wielu mężów politycznych owéj epoki. Najdaléj w stronniczym swym ferworze posunął się słynny dr. Samuel Johnson, który się przyznał, że on to fabrykował owe mowy Pitta'a, które uchodziły za arcydzieła wymowy parlamentarnéj.

Powoli i stopniowo rozwija się prasa angielska w ciągu XVIII wieku i publiczność nie szuka już w nich tylko suchych nowin o wypadkach, ale wyrozumowanych opinii i sądów. Każdy, kto w sprawach publicznych bierze najmniejszy udział, czyta dzienniki i przesyła do nich swe uwagi i zdania o kwestyach stojących na porządku dziennym. *The Public Advertiser*, najpoczytniejszy organ prasy w drugiéj połowie XVIII wieku, jest dokładném zwierciadłem społeczeństwa angielskiego. Do dziennika tego pisywał ów tajemniczy Junius, którego prawdziwa osobistość, po upływie stu lat i niezliczonych poszukiwań, nie została jeszcze odkrytą: prawdopodobnie był to sir Philip Francis. Gdy się odczytuje te groźne filipiki, pełne najsurowszych zarzutów i napaści osobistych, skierowanych na króla i jego ministrów, łatwo można zrozumiéć, że publiczność, a przynajmniéj cały obóz whigów, lgnęły do tego energicznego pisarza-trybuna. Najwięcéj zyskał na tém tajemniczém współpracownictwie *Public Advertiser*: wskutek listów Juniusza, co się tam pojawiły od 1765 do 1771 roku, liczba egzemplarzy odbijanych wzrosła od 2,000 do 3,200 dziennie. A pomyślność ta prasy nie ograniczała się do tego jednego pisma: uczestniczyły w niéj i inne. Najlepszym dowodem téj wzrastającéj siły dziennikarstwa jest dochód pobierany zeń przez skarb. Chociaż w ciągu panowania Jerzego III, parlament dwukrotnie podwyższa opłatę stempla, mimo tego i liczba dzienników i ich format wzrastają bez ustanku. W ciągu 23 lat, t. j. od 1753 do 1775 r. dochód skarbowy ze stempla dziennikarskiego podniósł się z 7,411,757 do

12,680,000 funtów szt. a liczba odbijanych egzemplarzy podwoiła się prawie, gdyż zamiast 23,673 wynosiła już wtedy 41,615.

Przy końcu XVIII wieku, gdy rewolucya francuska rozpaliła pożar, przy którym rozpalały się namiętności i wyobraźnie w całéj Europie, prasa angielska trzymana była na uwięzi przez wielkiego Pitta'a. Naprzód w 1792 r. przeprowadził on przez parlament *Libel Act*, który poddawał wydawców dzienników i dziennikarzy sądom za oszczerstwa i potwarze, następnie w 1797 r. opłata od dzienników podniesiona została z 2 do 3 pensów, a w 1798 r. wydano przepisy, określające format, podpisy, sposób sprzedaży i t. d., nakoniec w 1804 r. podniesiono o pół penny opłatę stemplową. Percival, lord Liverpool, Canning, idą tą samą drogą i staczają z prasą walki na ostre: w epoce pomiędzy 1808 a 1811 r. procesów o potwarz wytoczono dziennikom aż 42. Zakupywało nieraz ministeryum jaki dziennik z całém jego urządzeniem, tłoczniami, listą prenumeratorów i t. d. i w ciągu 24 godzin wprowadziwszy nową redakcyę, zmieniało organ opozycyi na wysoce konstytucyjny. Ale wszystkie te środki prawne i bezprawne nie odnosiły pożądanego skutku i gdy Jerzy III po 60-letnich, rządach zstępował do grobu, w 1820 r., liczba dzienników wcale nie była mniejsza, owszém, potroiła się w ciągu jego panowania, a rozchodziła się już bez mała w liczbie 30,000,000 egzemplarzy. W czasie tych walk politycznych i społecznych prasa stawała energicznie i wytrwale jako organ opinii narodowéj i coraz jaśniéj wyrabiało się przekonanie wśród narodu, że nic jéj swobody krępować nie powinno. Sheridan, w jednéj ze swych pamiętnych mów parlamentarnych, powiedział w 1810 r. te wymowne słowa: „Dajcie mi swobodę prasy a ja zostawię ministrowi przedajną izbę lordów, służalczą i przekupną izbę gmin, cały wpływ, jaki mu dostarcza nominacya urzędników, całą władzę dławienia oporu i kupowania uległości; ze swobodą prasy pójdę na jego spotkanie, zadam ciosy całéj téj silnéj machinie, którą wytworzył, zedrę ze swéj wysokości przedajność i zepsucie i zagrzebię je pod ruinami nadużyć, które miała chronić!“

Opinia Sheridana stała się nietylko opinią społeczeństwa, ale jego dogmatem. Swoboda prasy wyszła tryumfująco z długich zapasów z oligarchią, i gdy wraz z biegiem naszego stulecia mnożyły się reformy w duchu postępowym i demokratycznym, i ona zdobyła sobie stanowisko niezłomne, niezdobyte. Znajdujemy ją obecnie najpierwszą potęgą społeczną i państwową.

Zanim przejdziemy do szczegółowéj charakterystyki pierwszorzędnych jéj dzisiejszych organów, zakończyć wypada treściwy obraz powyższy historycznego rozwoju prasy angielskiéj wymienieniem

ostatnich reform prawodawczych w tym dziale. Jest ich niewiele. Jednėm z następstw bilu reformy 1835 r. było przeprowadzenie za liberalnego ministeryum lorda Melbourne w r. 1836 bilu fiskalnego, który zniżył opłatę stempla z 4-ch pensów na jeden. Skarb nietylko na tėj zmniejszonėj opłacie nie stracił, ale dzięki większéj ilości dzienników zyskał niespodziewane sumy: w r. 1836-ym 4-pensowa opłata stemplowa dawała skarbowi 39,423,000 funtów; w 10 lat późniéj, w 1846 r., opłata jedno-pensowa wynosiła już 83,074,638 funtów. Nowa i ostateczna reforma miała miejsce dopiéro w r. 1855 za ministeryum Palmerstona, gdy sir George Cornewall Lewis przedłożył bil, znoszący wszelką opłatę stemplową od dzienników. W przewidywaniach ministeryalnych ewentualna strata dochodu rocznego 400,000 f. szt. mogła być choć w połowie pokryta opłatą pocztową od powiększonėj liczby dzienników. Nakoniec w r. 1861-ym zniesioną została ostatnia z zapór rozwoju prasy: podatek od papiéru. Obecnie żadna cenzura, żadne ograniczenie prawne lub fiskalne nie stoją już na drodze dziennikarstwu angielskiemu. Za dobre i za złe swe strony całą odpowiedzialność nieść ono powinno i może, a odpowiedzialność to nieraz ciężka. Będąc przedsiębiorstwami prywatnemi, spekulacyami jednostek, sprzedają dzienniki nowiny, i traktując je jako towar, podrabiają, fałszują i nakręcają stosownie do upodobań swéj klienteli. Ale długie a wytrawne doświadczenie w najlepszéj ze szkół, w szkole wolności, nauczyło społeczeństwo rozróżniać pomiędzy organami prasy te, co mają rzetelną wartość, od tych, co błyszczą chwilowo pozorną. Chociaż przy zachowawczym nastroju Wielkiéj Brytanii i przy olbrzymich kapitałach, jakich wymaga założenie nowego dziennika, znajdujemy się prawie zawsze wobec tych samych organów prasy, mimo tego fizyognomia ich się zmienia i nieraz duch nowy kołacze w starodawnych instytucyach. Niepodobieństwem jest, kreśląc obraz życia dziennikarskiego, rościć pretensye do matematycznéj dokładności: zmieniają się tam warunki bytu, jak się zmienia gra obłoków. Pochlebiamy sobie jednak, że w charakterystyce ważniejszych organów prasy uda się nam pochwycić rysy wybitne, zasadnicze.

II.

Cały ruch dziennikarski Londynuześrodkowuje się prawie na jednéj ulicy i na skwerach, dziedzińcach i zaułkach do niéj należących. Ulica ta jest *Fleet-street*, która rozpoczyna się od gmachu sądowego (*Law Court*), a kończy się, pod inną wprawdzie nazwą, około rotundy katedry Ś-go Pawła. Jest-to, rzec można, mózgownica sto-

licy i państwa. W bezpośredniém sąsiedztwie, na skwerze i na ulicy Pater-noster, są wszyscy wydawcy-księgarze, tak że powinowactwo rodzinne pomiędzy książką a dziennikiem ujawnia się nawet w topograficznéj łączności. Historya Fleet-street pisana już była nieraz i nie ma umysłowéj wielkości, nie ma wybitnéj osobistości świata piśmienniczego, któraby z tą miejscowością nie była spojona ścisłemi węzłami. Cień Shakespeara zdaje się tu błąkać jeszcze, a restauracye i piwiarnie, gdzie się zbiérali tacy ludzie, jak Swift, Addison, Steele, sir Richard Coverley, słynna tawerna „Pod Kogutem“ (*Cock Tavern*), gdzie nieśmiertelny dr. Johnson zgromadzał około siebie co wieczór areopag literacki, i setki innych domów, gospód, o zawsze świeżych tradycyach, nadają jéj charakter odmienny, aniżeli innych, pospolitych ulic Londynu, kupczących i kramarskich. Fizyognomia jéj uderza nawet nie wtajemniczego: na każdym domu, na każdém piętrze są szyldy i napisy z tytułami pism peryodycznych i dzienników. Niektóre mają swe pałace i gmachy własne, inne mieszczą się w ciasnych mieszkankach, nieraz pod strychem, albo w suterenach. Wszystkie uważają za użyteczne zbliżać się do współtowarzyszy i rywalów, i oddychać tą samą atmosferą, co oni.

Po gorączkowym całodziennym wysiłku uspokaja się w wieczornych godzinach londyńska *city*, a na tych ulicach i zaułkach, gdzie sięześrodkowuje handlowy i pieniężny ruch wszechświata, gdzie wrzało życie fantastyczne, naprężone, gdzie całe siły człowieka natężone były do jednego tylko celu: obrotu korzystnego pieniędzy, na tych ulicach jest wówczas pusto, głucho, ponuro; odpływ fali ludzkiéj jest również zadziwiający, jak jéj napływ. W tych właśnie godzinach budzi się dopiéro do życia Fleet-street. W ciągu dnia ulica ta do innych podobna, ale wieczorem i w nocy aż do 3-éj lub 4-éj z rana, rozlega się tam jęk tysiąca tłoczni, a wśród łuny gazu, wśród odgłosu pojazdów, wśród pędzących telegrafistów z depeszami, listonoszów, kuryerów, reporterów, robi ona wrażenie jakiéjś piekielnéj czeluści. Nie o minuty, ale o sekundy czasu to chodzi, a gdy o pierwszych godzinach brzasku pędzą na dworce dróg żelaznych wozy ładowne wilgotnemi jeszcze dziennikami w pośpiechu, ażeby nie stracić umyślnych pociągów, co je po całéj Anglii rozwożą, ma się przed sobą okaz téj spotęgowanéj, naprężonéj, całonocnéj pracy. Przy śniadaniu, gdy rodzina angielska otwiéra ów dziennik większy od obrusa, co stół ich zaściela, i gdy znajduje w nim depesze telegraficzne z najoddaleńszych krańców świata, rozprawy parlamentu, co się zaledwie skończyły, wiadomości handlowe, giełdowe, ceny towarów, rezultaty z wyścigów, sprawozdania z meetingów, informacye z zagranicy nietylko o ważnych kwe-

styach, ale o drobiazgach, anegdoty, skandale, wiadomostki brukowe i t. d., jedném słowem, całą tę mozajkę, z któréj się składa życie cywilizowanego świata, na myśl jéj nie przychodzi zazwyczaj, jakim wysiłkiem pracy i jak potężną organizacyą te ścieśnione łamy dziennika potrafiły dokonać tak najdzwyczajnego dzieła i jak się dzieje, że co rano bez najmniejszéj przerwy, zawieszenia lub wypadków, dziennik wychodzi i daje jéj dokładny obraz i echo teraźniejszości.

Organizacya codziennego organu prasy wymaga kapitału zakładowego i obrotowego potężnego, a że ryzyko jego całkowitéj straty jest wielkie, zatém dziwić się nie ma powodu, że jest stosunkowo mała liczba dzienników w Londynie. Ponieważ jednak każda opinia polityczna i każde stronnictwo posiada już swój własny, a ponieważ jednocześnie prasa prowincyonalna wzrasta na liczbie, na siłach i na wartości istotnéj, zatém nie ma widoku, ażeby się zastęp dzienników londyńskich powiększył, albo ugrupowanie ich radykalnie zmieniło. Machina, wprowadzająca w ruch każdy dziennik, składa się prawie zawsze z jednych i tych samych kółek i sprężyn. Zazwyczaj dziennik należy do jednego, albo kilku kapitalistów i przedsiębiorców składających spółkę i on lub ona powierza wydawnictwo dwóm osobistościom, z których jedna zajmuje się administracyą, a druga redakcyą. Często administrator jest właścicielem, albo przynajmniéj współwłaścicielem. W jego rękuześrodkowana jest cała materyalna strona przedsięwzięcia. On zawiera kontrakty z agentami ogłoszeń, głównego źródła dochodu, zajmuje się rozpowszechnieniem i sprzedażą dziennika, jego transportem, dostawą papiéru, urządzeniem drukarni, przyjęciem drukarzy, dozorców, agentów, on wprowadza ulepszenia materyalne i od jego zmysłu praktycznego, oraz śmiałych spekulacyi, ryzykujących nieraz wielkie sumy, zależy w znacznéj części stan dziennika. Pod tym względem dynastya Walterów, właścicieli i administratorów *Times'a* daje typy najdoskonalsze.

Obok administracyi stoi niezależnie i rozwija się równolegle redakcya. Redaktor naczelny, pobiérający wielką płacę 5 do 8,000 funtów szt., sam nie pisze nic, albo rzadko: funkcye jego ograniczają się do dawania kierunku i nastroju ogólnego pismu. Powracając z klubów, z audyencyi i konferencyi z ministrami, mężami stanu, dyplomatami, redaktor naczelny zajeżdża około północy do redakcyi, przyjmuje swój sztab generalny, daje instrukcye, wskazówki, ale do ściślejszéj fabrykacyi dziennika, jego kuchni, zazwyczaj się nie miesza. Zawiłe te, ciężkie i niewdzięczne obowiązki spoczywają całkowicie na barkach vice-redaktora. Jest on duszą dziennika: on roz-

daje współpracownikom do napisania artykuły wstępne, on porozumiewa się z naczelnym reporterem, który jest odpowiedzialny za prace swych licznych pomocników, a wybiera z pośród nawału przedmiotów, artykułów, korespondencyi, sprawozdań to co wydrukować, a co odrzucić należy. Bez chwili wahania, bez straty czasu, musi się decydować i lekceważąc miłość własną autorów, nie tracąc nigdy z oka publiczności, codzień przygotować i wykonać dziennik: praca herkulesowa.

Około 7-éj godziny wieczorem sztab generalny współpracowników zbiéra się w gabinecie vice-redaktora, gdzie sięześrodkowują depesze i wiadomości. Ponieważ telefony łączą ten gabinet z ogniskami życia publicznego, ponieważ każdy dziennik ma swe własne druty telegraficzne, przez które specyalni korespondenci przesyłają mu wiadomości bez ustanku, zatém zgromadza się tam nawał wiadomości i informacyi. Około 10-éj piszą się artykuły wstępne i jednocześnie zbiega się chmara reporterów, którzy przepisują swoje stenograficzne notatki i redagują takowe. Kiedy na dole, w drukarni, 100 do 150-ciu zecerów drukuje arkusze ogłoszeń, które bądźcobądź wyjść muszą, na górze układa się dziennik w przybliżeniu. Vice-redaktor dowiaduje się dopiéro po północy, ile kolumn ma do rozporządzenia, czterdzieści albo pięćdziesiąt. Do takowych musi nagromadzone materyały wśrubować bądźcobądź. Często najważniejsze sprawy traktowane są lakonicznie z braku miejsca, a znowu się zdarza w innéj porze, iż drobiazgi rozpościerają się szeroko. Pomiędzy godziną 1-szą a 3-cią dziennik się drukuje, koryguje, a ostatnie arkusze nieraz, z braku czasu, przeglądane są pobieżniéj tylko. Istna kuźnia Wulkana w drukarni i odlewni. Przy udoskonalonych maszynach obecnych, arkusze ośmiostronne dziennika są drukowane i składane od 12 do 50,000 egzemplarzy w godzinę i co pięć minut windy składają je w ogromnéj sali pakunków i ekspedycyi. Pomiędzy 4-tą a 5-tą godziną z rana furgony rozwożą dziennik na dworce dróg żelaznych i wtedy dopiéro cisza i spokój rozsiadają się w dziennikarskiéj arce.

Zastanowiwszy się bliżéj nad organizacyą dziennika angielskiego, zrozumieć snadno jego zalety i jego usterki. Będąc fabryką nowin i wiadomości, stara się dostarczyć czytelnikom najświeższych, najdokładniejszych i najszczegółowszych. Nietylko że utrzymuje stałych korespondentów we wszystkich ogniskach ważniejszych, że opłaca ich po książęcemu, ale posyła specyalnych w razie wojny, albo donioślejszych wypadków. Korespondencye, bez względu na koszt, przesyłane są telegraficznie. Ci korespondenci nie ograniczają się do faktów pierwszorzędnych, nie pogardzają téż brukowemi wiadomostkami. Co-

dziennie np. w *Daily Telegraph* mieszczą się dwie kolumny o życiu paryskiém, gdzie, zacząwszy od biuletynu o stanie powietrza, o nastroju giełdy, od rozpraw w izbach, od dokładnego obrazu położenia politycznego, a skończywszy na plotkach salonowych, na toaletach aktorek, albo *menus* obiadowych, czytelnik ma o godzinie 7-éj rano sprawozdanie o wszystkiém, co zaszło w Paryżu aż do północy dnia poprzedniego. Wskutek takich licznych korespondencyi nagromadza się w dziennikach angielskich nieprzejrzane mnóstwo faktów i informacyi. Stanowi to ich zaletę, i wielką: przeczyć nie myślimy. Ale jest ona okupiona wielu niedostatkami. Idzie o pośpiech wiadomości, nie zaś o ich wierność i prawdziwość. Ani korespondenci nie mają czasu ich sprawdzić u źródła, ani redaktorowie w Londynie oczyścić i wyjaśnić. Jest-to więc lawa wulkaniczna, co obok drogich kruszczów zionie brudne popioły i kamyki. Należałoby w nich wybrać i postąpić sobie względem nich krytycznie: ale właśnie brak krytyki stanowi słabą stronę dzienników. Dziwolągi, jakie plotą angielskie dzienniki nieraz o zagranicznych sprawach są potworne. Po większéj części jest-to następstwem braku systematycznego wykształcenia u dziennikarzy angielskich: mówią i piszą o kwestyach, których historyczny przebieg jest im nieznany, a przekładając informacyę ustną świadka nad badanie dokumentów, są mimowiednie i mimowolnie kanałami fałszu.

Nie należy także szukać w *leaderach* angielskich dzienników téj światłéj, a wytrawnéj krytyki, którą tak często spotykać się daje pod piórem znakomitszych publicystów prasy francuskiéj. Spekulacye filozoficzne nie leżą w promieniu umysłowego horyzontu dziennikarzy angielskich, wszelka synteza jest im wstrętną. Brakuje im także do wysokiego stopnia humanitaryzmu, a źródło tego „mléka życzliwości ludzkiéj“ (*milk of human hindness*), o którém mówił Shakespeare, zdaje się wyschłém, jeżeli kiedykolwiek było obfite. Bezwątpienia napotkać można i w prasie angielskiéj gorące odezwy za uciemiężonymi, a kampanie przeciwko „bułgarskim okrucieństwom“, przeciwko niewolnictwu w Ameryce i t. d. byłoby niesprawiedliwém pominąć. Ale te zjawiska są wyjątkowe i nie pasują do temperamentu brytańskiego. Religia, ewangelia, któréj są urzędowymi wyznawcami, kazałaby im uważać świat za jednę owczarnię i walczyć za solidarność cywilizacyjnego obozu. W rzeczywistości, pod innym kątem spoglądają na ludzkość. Wielka Brytania, Anglia są w ich oczach osią świata, jądrem ludzkości, a reszta powinna jéj służyć: wszystko, co się około tego systematu obracać nie myśli, jest potępiane i oszpecane. Interes handlowy, interes natychmiastowy ryczałtowego wywozu fabrykatów kra-

jowych i korzystnéj ich sprzedaży góruje w ich oczach nad wszystkiemi ideami humanitarnemi. Nawet gdy się czyta wymowne dyatryby o cywilizacyjnéj roli Anglii na płaszczyznach Azyi, w pustyniach Afryki, albo na ludożerczych wyspach oceanu Spokojnego, nie należy zapominać, że dla piszącego i dla czytającego je Anglika równoznacznikiem téj misyi, jéj cechą dotykalną jest wywóz bawełnianych tkanin z Manchesteru, stalowych wyrobów z Sheffieldu, albo innych tego rodzaju okazów. Ten ciasny egoizm oburza z początku i w pierwszéj chwili skłania do pogardy dla utylitaryzmu, co nieraz z cyniczną ujawnia się nagością. Bliższe atoli zastanowienie się nad przedmiotem tym nakazuje pobłażliwość. Najprzód i inne narody są gotowe do takiéj saméj uporczywéj walki za swe uprzywilejowane stanowisko, do takiego samego poświęcania na ołtarzu swéj osobistéj korzyści wszystkich zewnętrznych okoliczności i interesów, a potém, Anglicy są istotnie, szczerze przekonani o swéj wyższości nad innymi narodami, czują się w prawie ich wyzyskiwania. Powiedziano dowcipnie, że w ich przekonaniu Bóg stworzył Anglię prawą ręką, a resztę świata tylko lewą. Czém był *civis Romanus* w świecie starożytnym względem barbarzyńców, tém jest *civis Britannicus* w nowożytnym. Nie należy nigdy tych kategoryi umysłowych angielskich spuszczać z uwagi, gdy się czyta ich dzienniki w kwestyach międzynarodowych, zewnętrznych.

Co się tyczy krajowych, wewnętrznych, to prasa angielska nie ma rywala i stoi ponad wszystkiemi innemi. Używając nieograniczonéj swobody, będąc organem społeczeństwa, co od wieków zarządza swemi sprawami i gdzie rząd i władze państwowe są tylko narzędziami woli narodu, prasa przywykła podnosić zagadnienia wielkie i drobne, traktować je źródłowo, wszechstronnie, zbiérać głosy kompetentne, wyjaśniać, upraszczać i formułować niejako przed parlamentem, który tym różnorodnym i bezprzestannym badaniom nadaje ostateczną formę prawodawczych bilów. Będąc zbiornikiem zeznań, głosów i opinii obywateli, każdy dziennik otwiéra na roścież swe łamy dla okolicznościowych korespondentów. Nieprzebrana jest w Anglii liczba ludzi, którzy piszą jako ochotnicy z jakiegolwiek powodu do dzienników. Gdy się doda, że reporterzy i specyalni przez dziennik wysłani korespondenci na każdy wiec (*meeting*), na miejsce każdego ważniejszego wypadku dają informacye z pierwszéj ręki, to nie można się dziwić roli, jaką prasa zajęła wśród publicznego życia angielskiego.

Jedna uwaga jeszcze do dopełnienia téj ogólnéj charakterystyki. Dzienniki angielskie służą każdy swéj partyi: *Standard* jest organem

torysów, *Daily News* whigów, *Daily Telegraph* jest zachowawczy, *Star* radykalny i t. d. Każdy stając na gruncie swych zasad, walczy za ich zwycięstwo i z ich starcia wytwarza się to życie publiczne żwawe, pełne męskiéj energii i przedsiębiorczości. Ale właśnie dlatego, że gra stronnictw raz jedno, raz drugie stronnictwo do władzy powołuje, nauczyło to dzienniki rozwagi i wyrozumiałości. Nie traktują opozycyjnego obozu z pogardą lub nienawiścią, gdyż sami dziś lub jutro znajdą się pod kołem, a nie na jego wierzchołku. Rzadko toczy się pomiędzy dziennikami polemika osobista, mówią o sobie w trzeciéj osobie, nie wymieniają zazwyczaj tytułów, nie istnieją prawie dla siebie. Trzeba było skandalów *Times'a* w ostatnich czasach, aby wywołać protestacye i polemikę na ostre. Szanują się wzajemnie, choć się spotykają na ostre. Torysi, co najgwałtowniéj sprzeciwiają się polityce Gladstona, nigdy nie mówią w swych dziennikach z lekceważeniem o jego osobie: dumni są z jego oratorskiego talentu, z jego politycznego geniuszu. Gdy zmarł radykalny John Bright, nie było stronnictwa, coby w swych organach nie składało daniny czci wielkiemu mężowi stanu. Ta wzajemna tolerancya, ten duch wysoce obywatelski, co nakazuje uznać w przeciwnikach politycznych nie wrogów, ale równouprawnionych zapaśników, jest w oczach naszych jedném z najprzedniejszych znamion dziennikarstwa angielskiego.

III.

W kraju indywidualizmu, jakim jest do wysokiego stopnia Anglia, każdy organ prasy ma także swoje indywidualne piętno, i zamiast gubić się w ogólnikach i syntetycznéj charakterystyce, daleko łacniéj scharakteryzuje się dziennikarstwo angielskie, zatrzymując się przed kilkoma z jego celniejszych wydawnictw.

Niepodobna nie zacząć tego przeglądu od *Times'a*. „Z wieku mu się i urzędu ten zaszczyt należy.“ Założony w r. 1785 przez Johna Waltera, obchodził on przed kilku laty swój stuletni jubileusz i w pamiątkowéj książce przy téj okoliczności wydanéj, powiedział z dumą, że gdyby cała Anglia i wszystkie jéj pomniki, wszystkie manifestacye jéj życia publicznego od lat stu zaginęły, a pozostała jedynie kolekcya *Times'a* od dnia jego założenia, to i tak udałoby się, przy pomocy tego dziennika, odtworzyć cały obraz przeszłości. Identyfikuje on swą historyę z historyą narodu, a dynastya Walterów, z któréj rąk *Times* nie wyszedł ani na chwilę, rości, i nie bez słuszności, pretensye do poczesnego miejsca w szeregu przywódców społe-

czeństwa angielskiego. Nie mamy ani miejsca, ani powodu opowiadać szczegółowo historyę rozwoju tego dziennika, jego wątłych początków, jego stopniowego rozwoju aż do kulminacyjnego punktu: po wiele razy opowiedziano już tę interesującą kronikę. Przeszedł on kilka faz odrębnych. Założyciel, John Walter, mimo niepraktycznych projektów uproszczenia druku za pomocą słów całych, zamiast czcionek oddzielnych, projektów, które go o wielkie straty pieniężne w samym początku wydawnictwa przyprawiły, wytknął praktyczny plan dla swego organu, i można powiedzieć, iż przetrwał on aż do dni dzisiejszych. Walter postanowił zrobić z *Times'a* dziennik narodowy, stający zawsze i wszędzie w obronie interesu krajowego, egzaltujący poczucie odrębności rodziméj, podnoszący wszystkie objawy krajowéj działalności i posługujący się têm stronnictwem, które mu się najlepiéj temu celowi odpowiadać zdawało. Przerzucanie się z jednego obozu do drugiego, cyniczne zmienianie opinii, obrzucanie błotem ludzi, których się wczoraj stawiało na wyżynach, egoizm drapieżny, bez żadnéj maski i żadnych obsłonek, oto co już w pierwszych latach istnienia *Times'a* stanowiło jego indywidualną cechę. Widocznie nie zraził on taką taktyką swoich czytelników, skoro ich liczba wzrastała ciągle. Trzechpiętrowy gmach na Printing-Square, który dopiéro przed kilkunastu laty przebudowany został, stał się odrazu centralnym punktem świata dziennikarskiego. Gdy John Walter drugi objął w 1812 r. ster dziennika i toczył z wszechwładnym Pittem homeryczną walkę, *Times* był już potęgą i miał prawo nazywać się *the leading journal of Europe.* Wydawca posiadał talent znalezienia zawsze najlepszych piór dziennikarskich, największych talentów i gdy nieocenione współpracownictwo Henryka Crabb Robinsona ustaje, znajdujemy kolejno d-ra Stoddart, Roberta Souttey, kapitana Sterling i t. d. na czele redakcyi. Gdy Robert Peel w r. 1835 ustępuje od władzy, ostatnim jego ministeryalnym aktem było wystosowanie dziękczynnego listu do *Times'a* za potężną podporę, jaką ten organ dawał gabinetowi. Stopniowo *Times* podbija i góruje nad wszystkimi innymi dziennikami, nawet nad doskonałym w epoce między 1830 a 1840 r. *Morning Chronicle* i faktycznie posiada monopol wpływu i znaczenia.

Wyjątkowe, nadzwyczajne swe znaczenie zawdzięczał jednak *Times* swemu redaktorowi naczelnemu, p. John Delane, który objął to stanowisko w 1843 roku i utrzymał się na niém przez lat 36 bez przerwy. Śmierć jego w 1879-ym roku była pierwszym z ciosów, które dotknęły tę olbrzymią instytucyę, i pod których naciskiem coraz widoczniéj się chyli do upadku. Można powiedzieć śmiało, że w ciągu

tego blisko czterdziestoletniego peryodu Jan Tadeusz Delane był kierownikiem opinii angielskiéj. Sam pisał mało, nic prawie, ale żaden artykuł nie pojawił się bez jego poprawek i wskazówek. Do pisania zresztą p. Delane nie miał czasu. Był to człowiek salonów, klubów, sportu. Pierwszy z dziennikarzy żyje na poufałéj, przyjacielskiéj stopie z arystokracyą i światem urzędowym. O dzienniku swoim nietylko że nie mówił, ale mówić nawet unikał, lecz ciągle zbierał dlań wiadomości z pierwszych źródeł. Peel, Graham, Aberdeen, Palmerston, Gladstone, byli jego poufałymi przyjaciółmi w świecie politycznym, tak jak Dickens albo Landseer w pośród literatów i artystów. Mając ucho świata urzędowego, znając lepiéj niż ktokolwiek, jakie były istotne życzenia i aspiracye kraju, był on doradzcą stojącym nieraz za kulisami. Żaden dziennik nie mógł rywalizować z *Times'em* posiadającym takiego kierownika. Dość jest przypomniéć, że w czasie przesilenia ministeryalnego, spowodowanego tryumfem idei wolnohandlowych i zniesienia cła od zboża, Delane, poinformowany prywatnie przez lorda Aberdeena o rozterkach w łonie samego ministeryum, przyczynił się przez natychmiastowe rozpowszechnienie téj wiadomości do wywarcia nacisku na członków gabinetu.

W pamiętnikach Karola Greville'a, tém zródle niewyczerpaném informacyi, odnoszących się do rządów Wilhelma IV i pierwszych lat panowania królowéj Wiktoryi, są na każdéj stronicy dowody téj wyjątkowéj roli i tego nadzwyczajnego wpływu, wywieranego przez naczelnego redaktora *Times'a.* Sposób, w jaki ów krytykował prowadzenie wojny krymskiéj, przyczynił się, podług ustalonego dzisiaj sądu, przeważnie do usunięcia się lorda Aberdeen'a od władzy, a od czasu, jak Delane z przeciwnika stał się powiernikiem i przyjacielem lorda Palmerstona, utrzymywano, że wspólnie z nim rządził Anglią. Nie potrzeba zapewne dodawać, że wpływu i znaczenia swego używał dla przeprowadzenia swych doktryn, swych antypatyi i uprzedzeń bez żadnego względu dla przeciwników. Jego stronnicza przychylność dla stanów niewolniczych w czasie wojny domowéj amerykańskiéj, jego napaści ohydne na Cobdena i Bright'a i wiele innych tego rodzaju rysów, nie mogą być pominięte milczeniem. Ale dziennik, jako organ opinii publicznéj nie tracił nic na tych wybrykach i dopiéro gdy wystąpił nowy toryzm uosobiający się w Disraelim i liberalne stronnictwo, podające przez Gladstona rękę radykalizmowi, dopiéro wtedy *Times* stracił jednolitą, jasną linię wytyczną, którą był szedł dotychczas, i dopiéro wtedy dają się dopatrzéć w nim ślady upadku.

Odpowiedzialności i winy tego upadku nie można wkładać na dra Chenery, który objął w 1880 r. spadkobierstwo po p. Delane.

Zmieniły się naprzód stosunki materyalne prasy przez zniesienie podatku od papiéru i *Times* miał odrazu obok siebie cały szereg współzawodników. Niektóre z tych organów po świetnym zawodzie, jak *Morning Chronicle* albo *Morning Herald*, przeistoczyły się i upadły, ale te, które pozostały, jak *Daily News*, *Daily Telegraph*, *Standard*, i te, które się w ostatnich czasach wytworzyły i ugruntowały, jak *Pall Mall* albo *Star*, wydarły faktyczny monopol, jaki *Times* tak długo posiadał. Pomiatał nimi dawniéj i nawet ich tytułów nie raczył wymieniać. Obecnie musi stwierdzać, że krocie czytelników angielskich do tych organów przeszły i że się o niego nie troszczą. Takie postradanie ufności w swą hegemonię oddziałało na jego ton ogólny. Ale zmieniły się także stosunki moralne i duchowe w społeczeństwie angielskiém i *Times* pokutuje za to, że zmiany téj nie zrozumiał i że z prądem czasu iść nie chce. Kierunek wsteczny zwiększył się jeszcze po śmierci dra Chenery w 1884 r. i po objęciu steru dziennika przez Jerzego Buckle'a. *Times* służy nie społeczeństwu całemu ale téj uprzywilejowanéj klasie narodu, którą w potocznym języku Anglicy nazywają *the upper ten thousand*. Przez okulary i przesądy tych dziesięciu tysięcy uprzywilejowanych jednostek dziennik ten zapatruje się na świat i jego koleje. Utrzymać ich wyłączności i wyjątkowe położenie zdaje mu się koniecznością i w tém widzi rękojmię wielkości narodowéj. Jest przeciwnikiem zapalczywym, otwartym, albo utajonym i podstępnym wszelkich reform postępowych, rozszerzenia prawa głosowania, zniesienia kościoła państwowego i t. p. Ani chce ani umié zrozumiéć demokratycznych prądów popychających społeczeństwo na nowe tory. W polityce krajowéj rządzi się także nie zasadami, ale tradycyami toryzmu. Znana jest jego nienawiść do Irlandyi. Można uczynić go odpowiedzialnym za opór, jaki stronnictwo zachowawcze stawia usamowolnieniu tego kraju, gdyż w łamach jego znaleść można cały arsenał strzał zatrutych przeciwko emancypacyjnemu ruchowi Irlandyi. Czytelnicy przypominają sobie, że *Times* przez wydrukowanie pamfletu *Parnelism a. Crime*, wywołał wielką ankietę i proces państwowy, w przebiegu którego wykazało się, że się posługiwał sfałszowanemi dokumentami. Proces ten, olbrzymie jego koszta i grzywny, na jakie był skazany, kosztowały kasę tego dziennika bajeczne sumy, niektórzy obliczają je na 200,000 funtów szt., przyprawiły o śmierć jego wydawcę p. Macdonalda, okryły organ sromotną i zdawały się zapowiadać jego upadek nieodwołalny. Ale i tym razem *Times* przetrwał burzę. Finansowo akcyonaryusze upaść ma nie dadzą. Rozchodząc się w 70,000 egzemplarzy, przy olbrzymich dochodach z ogłoszeń, ma on dochody roczne, przenoszące

milion funtów szt. Takiego olbrzyma zdławić nie łatwo! Chociaż tedy jest nienawidzony przez cały żywioł radykalny i postępowy, chociaż całe liberalne stronnictwo walczyć z nim nie przestaje, chociaż słusznie wyrzucają mu brak metody w rozkładzie i grupowaniu artykułów, ciężkość w redagowaniu wielu a systematyczne pomijanie niektórych kwestyi, mimo tego *Times* utrzymuje się na swém stanowisku wielkiego dziennika, i nawet ceny swéj zmniejszyć nie myśli, jak to uczyniły wszystkie inne organy prasy angielskiéj z biegiem czasu. Posiada on słynnych korespondentów specyalnych. Dość będzie wymienić z dawniejszych Williama Howard Russell'a, korespondenta z placu wojny krymskiéj, a z obecnych p. Blowitz'a, korespondenta paryskiego, któremu *Times* płaci pensyę ambasadora i który rzeczywiście oddaje mu wielkie przysługi. Nie należy téż zapominać, że najpierwsze pióra dziennikarskie, Tom Taylor, jako krytyk teatralny, Lorde Osborne, sir William Harcourt, lord Sherbrooke, dziekan Stanley i wszystkie wybitne osobistości piśmiennictwa krajowego były czasowo, a często przez długie lata stałymi współpracownikami pisma. W kraju tradycyi nie zapomina się tego rodzaju rysów, a nawet po ich zniknięciu długo żyje ich wspomnienie. Jesteśmy przeświadczeni, że gdy *Times*, po przewidzianym upadku obecnego gabinetu i przyjściu do władzy stronnictwa liberalnego, znajdzie się w opozycyi, to zaczerpie w tym przewrocie nowych sił i chociaż nigdy już dawnego, jedynego stanowiska nie pozyska, to i co do idei przewodnich i co do układu dziennika ulepszy się, zreformuje i nowy kontrakt z powodzeniem podpisze.

Dr. M. E. Trepka.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Archiwum książąt Sanguszków w Sławucie.“ Tom III, str. 554 i XXV: t. IV. str. 647 i XXXIII, Lwów, 1890. Nakładem właściciela archiwum wydał Bronisław Gorczak, konserwator tegoż archiwum.

Dwa spore tomy publikacyi powyższéj, jako ciąg dalszy bogatego Archiwum Sławuckiego, zawierają również, jak poprzednie, materyał do historyi rodziny, a tém samém i do historyi Wołynia w okresie od 1432—1547 r. Przeważnie ilustrują one okres pierwszéj połowy XVI w., zaledwie bowiem 47 numerów odnosi się do wieku XV-go, cała zaś reszta w 571 numerach aktów i listów przypada na okres wskazany. Drobna część tych numerów pochodzi ze starych sumaryuszów i zawiera wyciągi krótkie aktów, których oryginałów wydawca odszukać nie zdołał, zresztą są to akta wprost z oryginałów z Metryki Litewskiéj, Ossolineum, biblioteki Czartoryskich, hr. Czapskich, lub wreszcie ze starych kopiaryuszy, mających charakter urzędowy.

W pierwszych dwóch tomach zauważyliśmy pewną nieśmiałość wydawców, objawiającą się tak w planie wydawnictwa, jakoteż w sposobie wydania, pewną chwiejność i brak stałych zasad wydawniczych, jak to podniesiono w dwóch recenzyach, w poprzednich rocznikach „Ateneum“ pomieszczonych. Zarzutu tego nie można żadną miarą zastosować do tomów, będących przedmiotem niniejszego sprawozdania. Materyał jest jednolity, a podstawą jego zasobne archiwum Sławuckie; z innych źródeł archiwalnych zaczerpnięto tylko to, co z materyałem w bezpośrednim pozostaje związku i ilustruje historyą pierwszych rodzin na Wołyniu, t. j. książęcych domów Ostrogskich, Sanguszków, Zasławskich. Łatwo można zrozumiéć, że bogata treść tych dokumentów i aktów rodzinnych, odnosi się tém samém do we-

wnętrznych stosunków Wołynia i sąsiednich powiatów, że zatém publikacya powyższa do historyi téj ziemi stanowi dziś niewątpliwie najważniejsze źródło, powiększające się i obejmujące coraz to bardziéj różnorodny materyał, zdolny rzucić jaśniejsze światło na najrozmaitsze stosunki wewnętrzne Wołynia.

Zajmujący pod względem administracyjnym odrębne stanowisko, Wołyń, miał na czele miejscowéj szlachty reprezentanta, a był nim do do 1534 r., objętego w t. III, ks. Andrzéj Aleksandrowicz Sanguszko, w następnych zaś latach do 1548 (lata objęte w tomie IV-ym) syn tegoż ks. Andrzeja, Fedor Andrzejowicz. Do stanowiska tych tedy marszałków ziemskich mamy tutaj obfity materyał, pozwalający bliżéj wejrzéć w przemijającą czasową instytucyę marszałków i wielki zakres ich działania. Są to reprezentanci szlachty miejscowéj, naczelnicy administracyi i zarazem dowódcy siły zbrojnéj, a zarząd i bezpieczeństwo bogatéj i zaludniającéj się coraz bardziéj ziemi pozostaje w ich ręku. Oni poskramiają (1538 r.) szerzące się na Wołyniu grabieże i rozboje, udzielają pomocy dworzanom królewskim, wysłanym w téj sprawie do Włodzimierza, Łucka, Krzemieńca (IV, 129); powściągają napady zbójów i złoczyńców na Wołoszczyznę, a zbiegów wołoskich wysyłają w głąb kraju (IV, 351), przewodniczą sądom komisarskim z polecenia króla w sprawach ważniejszych ziemskich, jak np. działu dóbr Ostrogskich (IV, 275), łagodzą nieporozumienia ziemian z miejscowymi starostami (IV, 277), ukrócają i poskramiają swawolę Kozaków (IV, 291). Starostowie bracławski i winnicki otrzymują nakazy działać zgodnie pod dowództwem marszałków w sprawie obrony ziemi (IV, 223); za niestawienie się na służbę hospodarską, karze marszałek (IV, 320); on jest dowódcą naczelnym i obrońcą Wołynia od napadów tatarskich, a szlachta pod jego dowództwem nad brzegami Horynia broni ziemi Wołyńskiéj od napadów często się powtarzających; obrona Wołynia tak wyłącznie spoczywa w ręku marszałków, że nie mogą nawet wyjeżdżać z ziemi, aby nie opuścić sposobności obrony (IV, 320).

Podnieść należy, że obaj królowie Zygmunci dbają o tę odrębność i autonomiczny zarząd owéj prowincyi. Odnoszą się oni do marszałków w sprawach sądowych z poleceniem, by uwzględniali prawo zwyczajowe ziemi Wołyńskiéj (III, N. 336), przestrzegają pilnie, by szlachta nie zastawiała i nie sprzedawała ziemi mieszkańcom sąsiednich prowincyi i powiatów koronnych z krzywdą W. Ks. Litewskiego (III, N. 344). Dbają oni o wzrost i zakładanie nowych miast, powstających liczniéj teraz, z tych kilka na prawie niemieckiém, jak Drohobuż, Dubno, Kowel. Podnoszą się wskutek jarmarków i myt:

Połonne, Turzysk, Ostróg, Kołodno, Równe, Krasiłów, Zwiahel, Satyjów. Odbywają się rewizye zamków wołyńskich (IV, 233), a marszałkowie wskutek poleceń królewskich opatrują zamki, skoro tego obrona wymaga (IV, 274).

Obrona ta odrywa często ziemian od pługa i działa szkodliwie na wzrost gospodarki. Jak dowodzą pomieszczone odezwy królewskie do marszałków i uniwersały, począwszy od r. 1533, wisi groza tatarskich napadów ciągle nad Wołyniem (III, 420); w 1537 roku w marcu i sierpniu przygotowywano się po dwakroć do odparcia najazdów (IV, 71, 81, 86); dalej w 1538 r. (IV, 152, 155); w maju 1539 roku (IV, 197); w 1541 r. szlakiem Zwinogrodzkim (IV, 280, 286); w 1543 r. (IV, 352, 360, 361) i w 1544 r. (IV, 385, 387, 388).

Do gospodarki rządnéj i energicznéj królowéj Bony mamy tutaj ciekawych kilka przykładów: w zaokrągleniu starostwa Krzemienieckiego, uposażeniu kościoła tamże (IV, 144), w zamianie dóbr Kowelskich ks. Sanguszki za dobra królowéj Obolce, Smolany, Horwol w 1543 r.; dóbr Mielnickich za dochody wójtowstwa łuckiego, dóbr Rzeczycy za Krasne i t. p. Znaną jéj energię w obronie ziemi wołyńskiéj, objaśniają listy królowéj do marszałków (IV, 163, 166).

Swawola Kozaków występuje już w 1541 r. jako burzycieli porządku, których ks. Fedor ma poskromić, a ks. Andrzéj w tymże roku otrzymuje, jako sprawca województwa Kijowskiego, polecenie, aby Kozaków spisał na regestr i zabronił im napadów na ziemie tatarskie i tureckie.

Pod N. 340 jest ciekawy regestr z oznaczeniem ilości mających być dostarczonemi służb konnych na potrzebę ziemską, według postanowień sejmu wileńskiego z 1 maja 1528 r. Regestr ten podany jest z kopii niewiadomo jakiéj, gdyż opis téjże u wydawcy (III, 325) jest niedokładny. Zwracano już nieraz uwagę baczną na ten regestr (znajdujący się w oryginale w Metryce Litewskiéj w całości, a więc obejmujący całe księstwo litewskie) tak ze strony historyków, jakotéż lingwistów. W kopii sławuckiéj mamy niestety tylko wyciąg z postanowienia sejmowego, a zatém uchwałę, dotyczącą ziemian brzeskich, podlaskich, mielnickich i wołyńskich. Ci ostatni mieli dostarczyć na potrzebę wojenną 794 konnych służb, a książęta Sanguszkowie z téj liczby dostarczali 126 koni, to jest prawie taką liczbę, jak cały powiat brzesko-litewski, dostarczający 128 koni. Szkoda, że wydawca nie objaśnił na str. 324 służby „Jacko sam“, „Wołkowyj sam“, czy oznacza ona ogólnikowo jedną służbę konną, lub też że dostarczający służby osobiście ją musiał odprawiać.

Dobitnych przykładów przetwarzania się lennictw ziemskich

w pełną własność nie mamy w niniejszym zbiorze, nawet w tomie III, zawierającym nadania wcześniejsze, jak np. Świdrygiełły. Tomy bowiem, będące przedmiotem niniejszego sprawozdania, w większéj części zawierają materyał dotyczący własności większéj ziemskiéj, latyfundyów np. Ostrogskich, Sanguszków i t. p., któreto według najnowszych badań Aleks. Jabłonowskiego („Źródła dziej.“, tom XIX) na Wołyniu obejmowały 32% obszaru województwa Wołyńskiego. Takie przykłady znaleść będzie można w przygotowanym do druku dyplomataryuszu Litwy prof. Bierszadzkiego, a mianowicie w N. 41, col. 84 i dalsze, wyjętym z aktu księgi Metryki Lit., zatytułowanego: „To sut' knigi, komu korol imienija rozdał.“ Na akt ten bardzo ważny zwracano już nieraz baczną uwagę. Ze względu na akta objęte w tomach dalszych archiwum Sławuckiego, wskazać można kilka przykładów, że królowie i w tych latyfundyach nie dopuszczają rozluźnienia węzłów związku feudalnego, który na Wołyniu tak ważną odgrywał rolę i że często nawet własność ziemską w spadku po ojcu otrzymaną w XVI w. potwierdza król (III, N. 115). Ciekawym jest akt darowizny 3 służb bez ziemi w 1522 r.

Zwrócić należy uwagę na 23 listy z epoki objętéj w omawianéj publikacyi, jak Janusza ks. Olszańskiego, wojewody kijowskiego, do brata swego Włodzimierza (IV, 369, 372); Hlebowicza do ks. Fedora Sanguszki (ibid, 391), list Dymitra Sapiehy do Koreckiego; Hornostaja do ks. Fedora Sanguszki w sprawach sejmowych o obronie Ukrainy i napadach tatarskich (IV, 527); nader ważne i ciekawe listy Hleba, Iwana i Stefana Sapiehów umieszczone w dodatkach, zawierające pomiędzy innemi i nowiny polityczne z Krakowa [1]).

Jak wiadomo z monografii o hetmanie Romanie Sanguszku, w archiwum Sławuckiém poczyna się od r. 1547 liczniejszy materyał w listach i korespondencyi, zwłaszcza co do osoby hetmana. Nie można wątpić, że tę korespondencyę można uzupełnić z archiwów innych odpisami listów od hetmana pochodzących i zebrać cały ten materyał w jednym tomie oddzielnym.

Odczytanie i wydanie aktów jest staranne, a w numerach bądź powtórnie wydanych (takich zaledwie kilka), bądź w zgadzających się z publikacyą wspomnianą Bierszadzkiego z tegoż samego źródła, bo

---

[1]) Są to najstarsze, o ile wiadomo, listy Sapiehów. Bogate archiwum Krasiczyńskie obejmuje wielką część korespondencyi téj rodziny tak ważną rolę odgrywającéj w dziejach Litwy, lecz dopiéro od 1576 r. Właściciel krasiczyńskiego archiwum, ks. Adam Sapieha, postanowił wydać listy najprzód rodziny i jeszcze w ciągu roku bieżącego wyjdzie tom I-szy publikacyi pod tyt.: „Archiwum Sapieżyńskie.“

z Metr. Lit. zaczerpniętych, dokładniejsze nawet i ściślejsze. Niektóre uwagi nasuwają się nam przy czytaniu, i tak: t. III, str. 8, w. 5, czyta wydawca Mutwitiszcze, a będzie to prawdopodobnie *mutwiszcze*, jak tego dorozumiewać się można, porównywując rzeczony ustęp z ustępem tegoż tomu N. 171, str. 146, wiersz 10. Na str. 145, w. 13, czytałbym raczéj *sokolniki* aniżeli *sokołojty;* str. 157, w. 10 z dołu *comendatus* raczéj aniżeli *memoratus*; str. 171, w. 5 z dołu *cum deo propino*, raczéj czytaćby należało *propitio*; str. 185, w. 3 z dołu nie *commitantiumque*, lecz raczéj *comitatuumque.* Na rozmaitych miejscach (jak np. III, str. 201, 205, w. 13 z góry, str. 213, w. 8 z dołu) „*pripużenia*", t. IV-ty, w. 14 z dołu „*nikim ne pripużony*" i t. d. na wielu miejscach ma być: *prinużenia*, *ne prinużony* i t. d. od „*prinuditi*" zmuszać kogoś do czegoś. Zresztą od takich drobniejszych usterek nie ustrzeże się choćby najbardziéj wzorowa korekta, dlatego je pomijamy, zaznaczając ogólnikowo, że wydawca wywiązał się z zadania swego z pożytkiem dla nauki i z rozumieniem rzeczy, przyczém pilność.

W końcu parę słów o wydawnictwie. Wiadomo, że takie publikacye, jak *Hanse Recesse*, *Liv-Cur-Est Länd. Urk.-buch*, *Reichstagsakten*, wydawane przez towarzystwa lub akademie, zbiérają zewsząd materyał odnoszący się do zakresu wydawnictwa, nie szczędząc trudów i nakładów; zbiéra taki materyał zewsząd Akademia umiejętności do Hosianów, kodeksów XV-go wieku i t. p., i jeżeli wydawnictwa te odpowiadają w zupełności wymogom nauki i są świetne, to wielka część zasługi spada nietylko na wydawcę, który materyał ułożył, opracował i wydał, ale i na instytucye, które zabiegami swemi i nakładem kosztów ułatwiły zgromadzenie jak najobfitszego materyału do wydawnictwa. O ileż większą jest zasługa, jeżeli wydawnictwem nie zajmuje się instytucya, ale jeden mąż, właściciel jednego tylko archiwum, które lubo cenne, zawierać może tylko pewną część zabytków piśmiennych rodzinnych, uratowanych od zagłady, gdy większa część z biegiem czasu poszła w rozsypkę. Właściciel archiwum Sławuckiego postawił za zadanie uzupełnić ocalone resztki archiwaliami skądinąd i nie szczędzi kosztów, ani nakładów, aby z Metryki litewskiéj, w Moskwie będącéj, z archiwum Nieświeskiego, ze zbiorów lwowskich w Ossolineum, z biblioteki Czartoryskich, Czapskich w Stańkowie, petersburskich zapełnić luki znajdujące się w zbiorach Sławuckich. Cześć mu przeto i wdzięczność składa nauka.

A. Prochaska.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— **Die Geschichte von den sieben Weisen bei den Slaven** *von dr. M. Murko* (Wiedeń, 1890, str. 138 w 8-ce w.). Historya o siedmiu mędrcach, utwór średniowieczny pod wpływem literatury wschodniéj powstały, należał i należy wciąż jeszcze do najpopularniejszych, najbardziéj rozpowszechnionych książek u wszystkich narodów europejskich. Główna jego tendencya, wykazanie chytrości i przewrotności niewieściéj, którą przecie w końcu pokonywa rozum i prawość mężczyzn, widocznie wygadzała i wygadza usposobieniom i zapatrywaniom warstw dawniéj wyższych, dziś — już w téj formie — ludowych tylko i dlatego książeczka w tanich edycyach ciągle się rozchodzi. Słoweniec dr. M. Murko, który już niejeden artykuł temu przedmiotowi poświęcił, a mianowicie wydał swoje „*Beiträge zur Geschichte des Textes der Historia septem sapientum*“, obecnie w nader pracowitéj i sumiennéj rozprawie przedstawia losy owéj książeczki u narodów słowiańskich. Wykazuje tedy najprzód, że Historya o siedmiu mędrcach zarówno w języku łacińskim, jak w przekładzie niemieckim znajdowała się u Czechów i Polaków, że teksty jéj z Włoch dostawały się do Dalmacyi że niektóre z niéj pomysły dostawały się do ludu, i stąd, jak sądzi, i do utworów artystycznych np. do „Zamku Kaniowskiego“. Następnie przechodzi szczegółowo tłómaczenia téj historyi u Słowian. U Bulgarów i Serbów przekładów tych dokonano dopiéro w wieku XIX i to z języka nowogreckiego według tego układu, jaki się u Bizantynów wyrobił pod nazwą „Syntipas“ (*Sindbad*) przez Michała Andreopulos. Tłómaczenia bulgarskiego dokonał Sofroni Wraczanski w r. 1802; drukiem ogłoszone było dopiéro w r. 1844 tłómaczenie Chryzantego Pawłowicza. Na język serbski przełożył i w 1809 r. wydał „Syndypę filozofa“ podobno Jerzy Mihaljewić. U Czechów, Polaków i Rosyan za podstawę przekładu Historyi o siedmiu mędrcach służył bezpośrednio lub pośrednio tekst łaciński; dopiéro w XIX stuleciu u Czechów i Polaków pojawiły się tłómaczenia téj historyi z niemieckiego, a u Czechów powstało nawet całkiem oryginalne jéj obrobienie. Najdawniejsze tłómaczenie czeskie według tekstu zawartego w „*Gesta Romanorum*“ odnosi autor, idąc za Jireczkiem, do drugiéj połowy XIV wieku i sądzi, że żaden z obecnie znanych tekstów łacińskich nie mógł służyć do wykonania tego przekładu, lecz, że musiał istnieć wtedy jakiś tekst dawniejszy. Najstarsze drukowane tłómaczenie czeskie kładzie autor na r. 1502; wyszło ono z drukarni Mikolaja Sztietiny w Pilznie, bakałarza uniwersytetu kra-

kowskiego, a opiéra się na pierwodruku łacińskiego tekstu z roku, jak dowodzi dr. Murko, 1473. Tłómaczem był, wedle domniemania autora, człowiek ogładzony i uczony, prawdopodobnie lekarz. Drugiego przekładu dokonał na początku XIX wieku Wacław Rodomil Kramerius z obrobienia niemieckiego. Jest wzmianka o „Komedyi siedmiu mędrców“ z 1558. Istnieje wreszcie samodzielne opracowanie p. t. „Kratochvilna kronika o sedmi mudrcich“, gdzie tylko trzy opowiadania wzięte są z Historyi, inne albo ze wschodnich obrobień, albo z „*Gesta Romanorum*“, albo wreszcie ze źródła dotychczas nieodkrytego; tych ostatnich jest cztery, podaje je autor w wiernym przekładzie niemieckim dla zapoznania z niemi uczonego świata (str. 30—70). Słusznie przypuszcza autor, że w sposobie opowiadania przebija się umysł nowoczesnego pisarza; w każdym jednak razie uważa za interesujący przykład samoistnéj przeróbki głośnego dziełka popularnego wśród Słowian, któréj autorowi nie podobała się większa część opowiadań, zawartych w tém dziełku. W języku polskim ukazało się ono prawdopodobnie wkrótce po r. 1522 p. n. „Historya piękna i ucieszna o Poncyanie cesarzu rzymskim, jako syna swego jedynego Dyoklecyana dał w naukę i ku wychowaniu siedmi mędrcom“. Przekładu dokonał znany bakałarz uniwersytetu jagielońskiego Jan z Koszyczek nie z niemieckiego, jak utrzymywał Maciejowski, ani z czeskiego, ale wprost z łaciny. Najbliższym jest ten przekład tekstu łacińskiego w wydaniu strasburskiém z r. 1512, ale znajdują się w nim takie imiona własne i takie szczegóły, które zmuszają dr. Murka do przyjęcia istnienia tekstu innego, którego dziś nie znamy; nie sądzi bowiem autor, ażeby owe imiona i szczegóły były pomysłem tłómacza. Sam przekład Jana z Koszyczek wielce chwali dr. Murko; widzi w nim język gładki i ludowy ze zwrotami czysto swojskiemi. Późniejsze wydania: niezupełnie zachowane w bibliotece jagielońskiéj z XVII wieku, daléj bez oznaczenia roku i miejsca z XVIII, następnie z 1761, z 1804, są wiernemi przedrukami przekładu Jan z Koszyczek. Poznańska edycya przez S. G. w 1847 jest również tłómaczeniem Jana z drobnemi zmianami lub opuszczeniami głównie ze względów przyzwoitości dokonanemi. Warszawskie z 1862, 1873, 1878, 1881, 1885, jak i w Nowym Sączu, drukowane 1866, 1871, 1886 na téj saméj polegają podstawie, tylko język jest zmodernizowany, zarówno co do wyrazów i form gramatycznych, jak co do zdań i szyku. Cieszyńska wreszcie edycya, podobno z r. 1888, opiéra się na tłómaczeniu niemieckiém, tém samém, którém się w Czechach posługiwał Kramerius, albo przynajmniéj bardzo do niego zbliżoném. W literaturze ruskiéj tłómaczenie dokonaném zostało prawdopodobnie już w wieku XVI na

Białéj Rusi i to niewątpliwie z przekładu polskiego, jak to bardzo szczegółowo i przekonywająco wykazuje autor. Znanych jest dotychczas 40 rękopismów powieści o siedmiu mędrcach; dr. Murko starannie je segreguje, tworząc grupy według stopnia zgodności manuskryptów, oraz ich zalet literackich. Rękopismy te pochodzą z XVII i XVIII stulecia. Z zestawienia tych rękopismów z tłómaczeniem polskiém Jana z Koszyczek wynika, iż przekład ruski posiada właściwości takie, których nie znajdujemy w owém tłómaczeniu, zaczynając od nazwiska cesarza, który zowie się Eleazar a nie Poncyan, i od nazwy jednego z mędrców Ereus a nie Josephus. Autor przypuszcza, że obok przekładu Jana z Koszyczek istniał w języku polskim inny, może rękopiśmienny tylko, który opiérał się na takiéj redakcyi Historyi siedmiu mędrców, w któréj owe różnice od powszechnie znanego tekstu, a zwłaszcza imię filozofa Jesseus, odpowiadające spotykanemu we francuskich tłómaczeniach: Jessé, Gesse, Jesses, już się znajdowało. Tym sposobem autor na podstawie rozbioru tłómaczeń polskich i ruskich doszedł do wniosku, obchodzącego już uczonych całéj Europy, że w XVI wieku istniéć musiały dwie jeszcze łacińskie redakcye Historyi siedmiu mędrców, których dotychczas nie znamy. Co do tłómaczenia ruskiego, jest ono zdaniem dr. Murko w wielu miejscach prostą transkrypcyą polskiego; a ponieważ wyrazy polskie na Białéj Rusi zrozumiałe, przechodząc w odpisach daléj na wschód, stawały się niepojętemi, powodowało to często całkowitą odmianę sensu, lub czyniło go dziwacznym, co pobudzało znów rozsądniejszych kopistów do licznych przeinaczeń, dodatków i objaśnień w smaku narodowym. Gruntowną tę rozprawę dr. Murki wszystkim pracującym nad literaturą średniowieczną polecić należy. Dostrzeżone przez nas omyłki w dziale dotyczącym tłómaczenia polskiego są małoznaczące, dopeł. lm. jak dawniéj tak i teraz brzmi *uszu*, lub uszów, ale nigdy *uszy* (str. 74); *opróćz tego* znaczy *praeterae* a więcéj nie potrzebnie pyta autor o rzeczownik (str. 75); tylko wyrażenie włożyć drzewce do *toku* jest poprawne, nie zaś do *rogu*; w przemowie Jana z Koszyczek przytoczonéj według wyd. 1804 widocznym jest brak jednego wiersza po 5-ym, który trzeba wziąć z wydań poprzednich, jeżeli go istotnie nie ma w cytowanéj edycyi.

— **O znaczeniu i zadaniach historyi filozofii** przez *W. Lutosławskiego* (Moskwa, 1890, po rusku). Autor, obecnie docent prywatny w uniwersytecie kazańskim, ogłosił już od r. 1885 cały szereg rozpraw w języku niemieckim, francuskim, hiszpańskim i polskim. Odnosiły się one do bardzo różnorodnych przedmiotów: chemii, filolo-

gii romańskiéj, poetyki, etnografii, psychologii, polityki, metafizyki i historyi filozofii, a wszystkie świadczyły o jasnym i trzeźwym umyśle, o bystrości kombinacyjnéj, a nieraz o oryginalności spostrzeżeń. W ostatnich latach poświęcił się specyalnie badaniu historyi filozofii i zdołał już wzbogacić tę dziedzinę dwoma pracami o dziełach dotąd nieznanych, z których jedno jest utworem słynnego Jordana Bruno („*Jordani Bruni Nolani opera inedita, manu propria scripta*“), a drugi nieznanego autora z XVI stulecia („*Eine neu aufgefundene Logik aus dem XVI Jahrhundert*“). Obie te rozprawy drukował w 1889 r. „*Archiv für Geschichte der Philosophie*“ założonym przez prof. Steina w Zurychu. Mając wykładać dzieje filozofii greckiéj w Kazaniu, p. Lutosławski rozpoczął je lekcyą o znaczeniu i zadaniach historyi filozofii wogóle. Zaznaczywszy, że żadna z nauk przyrodniczych nie uwzględnia swéj historyi w takim stopniu, jak filozofia, stara się wyjaśnić, dlaczego się tak działo dawniéj, a szczególniéj dzisiaj. Odrzuca przyczynę podawaną przez niektórych, jakoby w czasach naszych zaprzestano tworzyć nowe systemy filozoficzne; wykazuje bowiem, że w ostatnich dwudziestu latach systemy takie, a mianowicie nowe opracowania metafizyki pojawiły się w znacznéj liczbie. Widzi natomiast tę przyczynę w samém zadaniu filozofii, jako nauki o pojęciach ogólnych, których źródłem jest doświadczenie wewnętrzne. Dla takiéj nauki dzieje są właśnie jakby polem doświadczalném, na którém filozof sprawdza swoje pojęcia, zestawiając je i porównywając z pojęciami innych filozofów, są one tém czém dla badacza przyrody świat zewnętrzny. Dla takiéj nauki nawet błędy poprzednich myślicieli mają wielkie znaczenie, bo są faktami świadomości, a więc materyałem, którym posługuje się filozof. Tak np. w naszém stuleciu filozofowie przychodzili stopniowo do przekonania, że materyalizm, podobnie jak i wprost mu przeciwny idealizm, uważać trzeba za całkiem nieudatne rozwiązania zasadniczéj kwestyi metafizycznéj. Mimo to dzieje materyalizmu i idealizmu będą zawsze miały niepospolitą wagę filozoficzną dlatego, że dwa te poglądy tak są właściwe umysłowi ludzkiemu, iż ci nawet, co następnie wyrobili sobie mniéj jednostronny pogląd na świat, nieraz byli przedtém materyalistami lub idealistami; co więcéj, wśród ludzi, nie zajmujących się filozofią wszędzie spotykamy nieświadomy materyalizm lub idealizm. Historya filozofii przedstawia nam drogę, którą postępowali myśliciele, przechodząc od jednego rozwiązania kwestyi do drugiego, zanim się zatrzymali przy prawdach ostatecznie przyjętych. Prócz tego psychologicznego, ma jeszcze historya filozofii znaczenie pedagogiczne dlatego, że rozwój myśli ludzkiéj wogóle, jak to w XIX stuleciu zauważył Hegel, odpowiada

w rysach głównych rozwojowi myśli indywidualnéj; wskutek tego przyswojenie sobie dziejów filozofii staje się jednym z najlepszych środków przygotowania do samodzielnego myślenia. W naszych czasach nabrała nauka historyi filozofii tém większego znaczenia, że po bankructwie dwu wielkich systemów: idealizmu i materyalizmu, zaczęto, podobnie jak w naukach przyrodniczych, pozbywać się chęci zbudowania wykończonych całości, któreby dawały gotową odpowiedź na wszystkie możliwe pytania, zaczęto rugować czysto osobiste poglądy, a natomiast dbać o zdobycie prawd niewątpliwych w szczuplejszym, ograniczonym dla każdego pojedyńczego badacza (ale nie dla myśli ludzkiéj wogóle) zakresie; przekonano się, że ponieważ wiadomości nasze ulegają stopniowemu rozwojowi, każdy zatém systematyczny wykład prawd jakiejkolwiek nauki, ma czasowe tylko znaczenie, a całkowity i skończony system wiedzy jest niedoścignionym ideałem rozumu naszego wzrastający ciągle w miarę postępów naszych. Dziś tedy zrozumiano potrzebę zdania sobie dokładnéj sprawy z usiłowań myślicieli dawniejszych dla wykazania, co w ich myślach jest wiecznotrwałem, a co przemijającém, ażeby na téj podstawie budować daléj gmach wiedzy filozoficznéj, który ma być wznoszony stopniowo pracą spólną wszystkich myślicieli, nie zaś osobistemi, indywidualnemi wysiłkami. Zbadawszy dzieje świadomości wszystkich wybitnych ludzi, rozszerzamy granice naszego własnego życia. Filozof, dobrze znający historyę dążeń ku prawdzie, przestaje być synem swego wieku, żyje na całéj ziemi i we wszystkich historycznie zbadanych stuleciach. Zrozumiawszy wszystko, nie będzie lekceważył niczego. Toż wszystkie owe błędy, wszystkie jednostronne systemy przedstawiają stany świadomości ludzkiéj. Kto je przeżył choćby chwilowo w swojéj świadomości, ten nabył prawa uważania ich za stadya swego własnego rozwoju, za błędy swojéj własnéj młodości. Na tę minioną młodości własnéj i ogólno-ludzkiéj świadomości przeszłość patrzy filozof taki ze spokojnym uśmiechem i wié, że po szczeblach omyłek doszedł do własnéj dojrzałości, która mu pozwala wziąć udział — w miarę sił — w nowych usiłowaniach zdobycia prawdy. Taka jest treść téj lekcyi p. Lutosławskiego, przedstawiającéj jasno, zwięźle i z właściwą autorowi oryginalnością zadania dziejów filozofii, których nie pojmuje, jako regegestrowanie dawno zapomnianych marzeń, lecz jako żywotny podkład myśli oryginalnéj, jako wskrzeszanie wrażeń, doznawanych od osobistego zetknięcia z wielkiemi geniuszami, jako wspomnienia rozwoju ludzkiego, powtórzonego w rozwoju naszéj własnéj duszy.

— **Olbrychta Karmanowskiego, poety wieku XVII-go, wiersze różne.** Zebrał *J. K. Plebański* (Warsz., 1890, str. 60, II).—**Pieśni Wacława Potockiego**, wydał *J. K. Plebański* (Warsz., 1890). Wielką przysługę dla bibliografii i dziejów piśmiennictwa naszego z XVII-go stulecia oddał prof. Plebański, ogłaszając po większéj części z rękopismu utwory powyższych dwóch poetów. Olbrycht Karmanowski prawie zupełnie był dotychczas nieznany, bo chociaż w r. 1829 T. Ujazdowski wydrukował w „Pamiętniku Sandomierskim“ kilka utworów pod jego nazwiskiem; chociaż był wspominany przez spółczesnych XVII-go wieku poetów, to jednak, jak słusznie mówi prof. P., z powodu małego rozpowszechnienia „Pamiętnika“ i wadliwości w publikacyi owych utworów, nie został ten fakt zaregestrowany w naszych podręcznikach. Prof. P. zabrał się do ogłoszenia poezyi Karmanowskiego na podstawie porównawczego zestawienia dwóch zbiorów rękopiśmiennych, z których jeden p. n. „Wirydarz poetycki“ ułożony został przez Stefana Trębeckiego około r. 1661, a drugi p. n. „*Penu synopticum historicum, grammaticum, politicum*“ pisany był ręką Stanisława Różyckiego. Wreszcie jeden utwór wydrukował według odpisu manuskryptu, znajdującego się w bibliotece Ossolińskich, a parę z „Pamiętnika Sandomierskiego.“ O życiu poety nie wiele mógł prof. P. odszukać danych; stwierdził tylko jego szlachectwo, wskazał jego wyznanie kalwińskie i należenie do dworu księcia Krzysztofa Radziwiłła. Nazwisko Olbrychta Karmanowskiego znajduje się na akcie wyboru Augusta II w r. 1697; ponieważ jednak pierwsze utwory naszego poety odnieść wypada co najmniéj do r. 1618, kiedy się ukazało tłómaczenie „Jerozolimy Wyzwolonéj“ przez Piotra Kochanowskiego, ku czci którego ułożył Karmanowski cztery strofy, trochę wątpliwą jest rzeczą, czy należy mu wyznaczać stuletni z górą okres życia. Wiersze ogłoszone przez prof. Plebańskiego są w większéj części religijne, jakby parafrazy psalmów. Wydawca dostrzega w nich ducha kalwinizmu, ale na to twierdzenie jeden tylko przytacza dowód, a mianowicie dwuwiersz:

Duch skruszony w oczach Twych, serca uniżenie
Wdzięczniejsze nad ofiarę wszelką i kadzenie.

Nie wiem, co prof. Pl. wydało się w tych słowach objawem protestantyzmu, boć przecie one nie są bynajmniéj wyrażeniem dogmatu, że sama wiara zbawia. Zresztą dwuwiersz powyższy jest tylko parafrazą wersetu Psalmu 51-go, który w tłómaczeniu Kochanowskiego brzmi:

Ofiara przyjemna Bogu duch strapiony,
Serce uniżone, umysł ukorzony.

„Świetnych obrazów i przenośni“ w tych pobożnych pieśniach Karmanowskiego odnaleźć się nam nie udało; natomiast możemy podpisać zdanie prof. Pl., że „widzimy w nich nie tyle poetę, ile raczéj wytwornego mówcę, władającego niekiedy szczęśliwiéj od Wacława Potockiego skarbami naszego słowa i rytmu“ — zwłaszcza jeżeli porównywamy tylko jednorodne utwory (religijne) obu poetów. Nie możemy się atoli zgodzić na twierdzenie, jakoby pieśni religijne Potockiego, choć niższe pod względem techniki wierszowania były „co do siły uczucia religijnego od nich wyższe, cieplejsze“ — zdaniem naszém są one wogóle rozwlekłe i mdłe — jak je już p. Brückner określił. Co do okolicznościowych wierszy i fraszek Karmanowskiego, nie posiadają one téj gładkości wysłowienia, co jego pieśni religijne, ale znajduje się w nich niekiedy trafny, śmiały pomysł i zręczne jego obrobienie, lubo i tu istotnie poetycznego tchnienia nie napotykamy. Oryginalną, igraszką słów zapełnioną fraszką są „Drwa“ (drwa i drwić); niezbyt rytmicznym, ale śmiałym żartem jest „Wesele towarzyskie.“ Dwie fraszki „Pacierz do stołu dworski“ i „Po obiedzie“ mogą nam scharakteryzować swojego rodzaju wolnomyślność wśród otoczenia magnackiego, ale w dowcip są ubogie. — Na poprawki wydawcy nie wszędzie można się zgodzić: „mieć *z* potrzebę złota“ jest zupełnie dobrém staropolskiém wyrażeniem, tak samo jak „*przenajdować* prośbami“, poprawiać je na: *przejednywać* zgoła nie potrzeba. Zdaje się, że i „przewoźne piwa“ można pozostawić, nie poprawiając na „przeróżne“, bo owo wyrażenie może oznaczać: „cudzoziemskie, przywiezione.“ — „Pieśni Wacława Potockiego“ nie odkrywają nam w autorze „Wojny Chocimskiéj“ nic nowego pod względem literackim, ale są bardzo ważne ze względu na to, że po raz pierwszy rzucają światło na pierwotne wyznanie religijne poety. W jednéj z „pieśni pokutnych“ czytamy wiersze: „Pasterzu święty, i jam z Twéj owczarnie za inszym wodzem obłądził się marnie“, a przy tych wierszach w „Wirydarzu poetyckim“, skąd wydawca poezye Potockiego wypisał, znajduje się notatka: „bo był pierwéj sekty aryańskiéj.“ Tę notatkę wspiera fakt, że żonę wybrał sobie Potocki z rodu wybitnie aryańskiego Morsztynów (Katarzyna, córka Stefana, starosty kowalskiego).“ Wydawca nie widzi możności określenia czasu, kiedy Potocki przeszedł na katolicyzm; jeżeli wszakże pieśń 3, zawierająca w sobie prośbę do Chrystusa i Matki Boskiéj o pokój, powstała według wszelkiego prawdopodobieństwa w czasie wojny szwedzkiéj, to można twierdzić napewno, iż już wtedy jéj autor, uznający bóstwo Chrystusa („święte wiecznego ojca wieczne plemię“) i czczący Przenajświętszą Pannę, jako matkę Boga („I ty, o Panno, Matko Boga-Syna“) porzucił arya-

nizm. „Decima pieśni pokutnych“, wydrukowana po raz pierwszy przez prof. Plebańskiego, była wyrazem ukorzenia umysłu i serca wobec prawd wyznania, które nie z widoków materyalnych, jak się zdaje, nie pod grozą banicyi, ale z głębi przekonania przyjął: „a pobłogosław zamysł przedsięwzięty, abym w prawdziwéj Twojéj żyjąc wierze, przed Tobą grzechy opłakiwał szczerze.“

= **Z miasta i ze wsi**, obrazki z życia, zebrał *Albert Wilczyński* (Lwów, Gubrynowicz i Schmidt, 1891, str. 252). Lekko, swobodnie, z właściwym sobie pół-dobrodusznym, pół-sarkastycznym uśmiechem opowiada autor „Kłopotów starego komendanta“ zabawne przygody i sceny głównie z życia lwowskiego. W „Narzeczonym Elżuni“ spotykamy całkiem nową w naszém powieściopisarstwie, a wytworzoną na gruncie galicyjskim, postać konkurenta ze sfery inteligencyi, który jako suplent gimnazyalny ma zdawać *rigorosa* i otrzymać stałą posadę, może się więc liczyć do grona epuzerów, zwracających już uwagę mam, posiadających córki na wydaniu. Wprowadzony do domu rodziców Zuni, p. Tymoteusz odbywa systematycznie konkurencyę, rozmawia z panną, przysyła jéj bukiety, oświadcza się, bywa kilka razy na tydzień na herbatce, ale o dniu ślubu nic nie wspomina, zdanie egzaminów odkłada, aż w końcu okazuje się, że po kilku latach suplentury, nie odbywszy *rigorosów*, dostał dymisyę. Naturalnie, nie tracił miny, twierdził, że stanowisko nauczyciela gimnazyalnego jest dla niego za niskie, zamierzył się doktoryzować i wejść do uniwersytetu jako docent. Dla zadowolnienia dumy byłoby dobrze mieć zięcia w uniwersytecie, ale potrzebaby było zapłacić długi narzeczonego, które ciągle rosły i dać całkowite utrzymanie, zanimby rozprawę napisał. Gdy się p. Tymoteusz dowiedział, że Zunia na wyprawę i wszelkie wydatki ma przeznaczone tylko 3,000 reńskich, kiedy liczył na 6,000, odebrawszy pierścionek zaręczynowy, rozgłaszał, że on sam zerwał, wydrwiwając i pannę i jéj rodziców. Opowiadanie to, włożone w usta matki Zuni, doskonale jest utrzymane w charakterze od początku do końca. — „Żywy zastaw“ — to zręcznie wyzyskana anegdota o ożenieniu się pryncypała, p. Kroteczka, z buchalterką.—„Pan Jan“ wybornie przedstawia człowieka słabego charakteru, zdolnego, pełnego pomysłów, ale nie umiejącego rozrządzać należycie swym czasem, dającego się łatwo zaciągać na bibki w handelkach. Wzięty w końcu w kuratelę przez energiczną żonę, dorabia się fortuny, jest zadowolny i szanowany.—W końcu książki znajdujemy jedyny w niéj ze „wsi“ obrazek p. t. „Wójt szlachecki“, osnuty na stosunkach dawniejszych w Królestwie. Dobroduszny, „poczciwy z kościami“ p. Ka-

rol daje się wybrać na wójta, by mieć z tego powodu tysiączne nieprzyjemności, kłopoty i dokładać z własnéj kieszeni na załatwianie cudzych interesów. Mianowicie grzeczny, układny, a przebiegły p. Ildefons, protegowany przez panie, daje się dobrze we znaki p. Karolowi, wyzyskując jego dobre serce i gołębią prostotę. Nigdzie tu rzeczy nie dochodzą do dramatycznego naprężenia; czytelnik ze spokojem przypatruje się plątaninie zabawnéj wypadków i odkłada na bok książkę — z uśmiechem.

— *Czesław Jankowski*, **Sylwetki poetów**, I. Rudolf Baumbach. Józef Wiktor Scheffel (Warsz., T. Paprocki, 1891, str. 55). Sylwetki swoje dwu poetów niemieckich poprzedza autor bardzo słuszną uwagą o małém u nas rozpowszechnieniu znajomości nowszéj literatury niemieckiéj nietylko wśród ukształconego ogółu, ale nawet wśród samych poetów. „Poezya nasza—mówi on—hołduje bądź wzorom Mickiewiczowskiéj jeszcze szkoły, bądź szuka ich u dawniejszych dobrze renomowanych poetów zagranicznych. Coppée chyba jeden, z nowszych poetów, wpływ na nią wywiera—a jednak znalazłoby się dziś na Parnasie kosmopolitycznym wiele świeżych prądów, które należałoby uwzględnić... Jeżeli na szerszéj arenie zdobywa dziś sobie uznanie piosnka bezpretensyonalna, śmiała, świeża; to pora otrząsnąć się z sentymentalnych gruchań i łzawych elegii; jeżeli dziś świat cały słucha chętnie pieśni poważnéj, głęboko w życie spółczesne sięgającéj, to widocznie mgliste majaczenia przestały być zadaniem poezyi i nie czas już bawić się mydlanemi bańkami niczém niekrępowanego natchnienia. Słowem, poeci nasi wieleby mogli... nauczyć się, nie poprzestając na studyowaniu nieśmiertelnych mistrzów, lecz idąc ręka w rękę z rówieśnikami swymi, którzy gdzieindziéj bynajmniéj nie mają powodu uskarżać się na brak uznania i sympatyi.“ Dwu właśnie przedstawicieli świéżości i pogody ducha daje poznać p. Jankowski czytelnikom naszym, a daje poznać w sposób jaknajlepszy, bo za pośrednictwem dobrze wybranych przekładów, streszczeń i barwnie, a lekko nakreślonych charakterystyk. Rudolf Baumbach urodził się wprawdzie jeszcze r. 1842, ale dopiéro od lat jakich 15 występuje na widowni poezyi, pozyskawszy już sobie rozgłos wielki a zasłużony. Najwybitniejszą cechą jego utworów jest „pogoda, zdrowy, nieprzesadzony optymizm, okraszony wykwintnym, czasami swawolnym humorem.“ Choć dotyka stron tęsknoty, a nawet żalu, prześlizguje się po nich lekko, jakby obawiał się być natrętnym czytelnikowi swoją osobistą spowiedzią. Gdy idzie o odtworzenie cudzych cierpień, znajduje on tony przenikające do głębi serca, ale proste, bez sztucznego

patosu, bez wybuchów gwałtownych. Świéżość jakaś młodzieńcza, brak wszelkiéj wymuszoności, dowcip, nastrój pogodny — oto co daje Baumbach czytelnikowi „przesyconemu pesymizmem, wyrzekaniami, sentymentalną płaczliwością lub górnolotném filozofowaniem.“ Za najlepszy ze wszystkich zbiorów lirycznych Baumbacha uważa p. J. „*Lieder eines fahrenden Gesellen.*“ Lubi zabarwiać opowiadania swoje średniowiecznym kolorytem dla wywołania wesołego, łagodnie drwinkującego usposobienia; tego rodzaju wiersze znajdują się w zbiorze: „*Abenteuer und Schwänke alten Meistern nacherzählt.*“ Poematy treści epicznéj: „*Zlatorog*“, „*Frau Holde*“ mają wprawdzie dużo zalet, ale ustąpić muszą pierwszeństwa pieśniom. Nowelle prozą p. n. „*Sommermärchen*“ na tle fantazyjném mają wiele powabu same przez się, jako sztuka opowiadania, a nie są pozbawione i głębszego parabolicznego znaczenia. — Józef Wiktor Scheffel, zmarły w 1886 r., jest autorem znakomitego romansu historycznego z X wieku: „Ekkehard“, poematu „Trębacz z Säkkingen“, który od r. 1853 stu kilkudziesięciu wydań się doczekał, oraz szeregu wesołych, nieraz burszowskim humorem tchnących pieśni, które go najpopularniejszym w Niemczech uczyniły. Oryginalność tego poety, zdaniem p. J., polega głównie na sposobie traktowania obranego przedmiotu: seryo przemawia on rzadko kiedy; świętych i bohatérów traktuje niemal zawsze z całą swobodą: są-to wszystko jego dobrzy znajomi, koledzy; rzadko o poważniejszą, głębszą myśl potrąca; naturę uwielbia, lecz jéj majestat nie budzi w nim podnioślejszego nastroju; groza bitew, cierpienia kochanków—wszystko, zdaje się, są to dla niego zwykłe wypadki życia powszedniego; nie wyrzeka, nie oburza się, nie przeraża; — cobądź się stanie, i tak jeszcze zawsze aż nadto dobrze się dzieje na tym wesołym bożym świecie“ (str. 31). P. J. streszcza bardzo zajmująco „Trębacza z Säkkingen“; zaznajamia wybornie z utworami lirycznemi, o powieści tylko mówi zbyt ogólnikowo. W każdym razie tę pięknie napisaną książeczkę polecić można każdemu, kto się chce zapoznać z nowszą poezyą niemiecką, a zarazem wypowiedzieć życzenie, żeby autor na tych dwóch sylwetkach nie poprzestał.

= **Zosia.** Skreślił... *Zdzisław K.* (Kraków, 1890, str. 14). Książeczka powstała z odczytu, wypowiedzianego przez autora w Wieliczce. Prosta, niepretensyonalna forma jest jéj zaletą. Nie znajdziemy tu ani głębszych uwag nad kreacyą Mickiewicza, ani uderzających przymiotów wykładu, ale trafne, starannie dokonane, ładnym i poprawnym stylem przedstawione streszczenie ustępów, w których się Zosia pojawia, uilustrowane obficie przytoczeniami. W końcu od-

czytu, wielbiąc postać pełną wdzięku, zdrowia i szlachetności, autor wyraża zdanie, że „ani biret doktorski, ani skalpel, ni pióro w ręku kobiéty nie zdziała tyle dobrego, co serce poczciwe, które powinno być źródłem pociechy dla męża, co te słowa miłością natchnione, które są prawdziwym dla chorej duszy balsamem, co te uczynki w cichym domowym zakątku, na których nieraz przyszłość... spoczywa“, bo „serce jest największym rozumem kobiéty.“

— **Romantycyzm i filozofia w Dziadach** przez *Prawdosława* (Kraków, 1890, str. 74). Jest-to rzecz napisana przez człowieka mistycznie po chrześciańsku nastrojonego, który lubi i umié snuć rozległe pomysły, upatrywać alegorye i symbole w utworach poezyi, który lekceważąco odtrąca badanie analityczne, a więc i sam nie zadaje sobie trudu udowodnienia swych twierdzeń, — on je tylko stawia i rozwija; jedno słówko, jeden frazes, jeden obraz w dziele poety wystarcza mu, by na nim oprzéć cały wywód. Dawniéj już uważano „Dziady“ Mickiewicza za syntezę myśli i poezyi wieszcza; Prawdosław utrzymuje, że w nich mieści się „synteza filozoficznéj jego myśli“, a mianowicie: „cała harmonijna prawda wszechżyciowa, czuciem i wiarą pojęta, w któréj się objawia stosunek niewidzialnego świata z tym widzialnym, mającym wcielić w sobie przychodzący z tamtego mu wzór i ideał doskonałości ku swojemu pokojowi i szczęściu“ (str. 6). W trzech stopniach rozwoju przedstawia się ta „harmonijna prawda wszechżyciowa“, bo trojaki jest charakter naszéj poezyi romantycznéj, któréj „Dziady“ najwyższym są wyrazem, t. j. społeczny, ludowy i chrześciański. W pierwszéj części „Dziadów“ wyprowadza poeta na jaw jéj charakter społeczny, wykazując w postaciach przez siebie na scenę wprowadzonych niezadowolenie z teraźniejszości, z cywilizacyi starzejącéj się, nie dającéj zaspokojenia dążności do ideału. W drugiéj i czwartéj części każe się poeta zwrócić do ludu, ażeby w jasnych, pogodnych i zdrowych nurtach jego myśli odświeżyć siły, „oczyścić czucie, cywilizacyjnemi wpływy skażone i schorzałe, przydając do niego rozsądek.“ W t. zw. wreszcie części trzeciéj panuje żywioł chrześciański, który myśli i uczucia wydoskonala przez czystą prawdę bożą objawioną, w którym „do indywidualnego ducha duch boży przybywa.“ Taka jest w najzwięźlejszém streszczeniu myśl téj rozprawy, myśl, zdaniem naszém, całkiem nieudowodniona co do dawniejszych części „Dziadów“; wyraźnego bowiem protestu przeciw cywilizacyi nowożytnéj, a témbardziéj szukania lekarstwa na jéj braki w żywiole ludowym trudno się w nich doszukać, chociaż nie przeczymy, że niektóre wyrażenia, przypominające czy to Roussa, czy Goethe-

go, czy Jean Paula, ku takiemu poglądowi mogą dać pohop. Ale i tych nawet wyrażeń, autor wierny swojemu sposobowi przedstawiania rzeczy, nie zaakcentował należycie. W języku dużo jest niepoprawności, a w stylu niejasności; rażących omyłek druku zbyt dużo.

= **Literatura o Mickiewiczu.** Luźne uwagi skreślił *Czesław Pieniążek* (Poznań, 1890, str. 35). Po sumarycznem wyliczeniu artykułów i książek dotyczących Mickiewicza, w czém autor nie okazał dostatecznéj znajomości, gdyż wymienia często artykuły błahe, a pomija bardzo ważne (np. Spasowicza), podaje p. Pieniążek pobieżną charakterystykę trzech prac o wielkim poecie: pp. Chmielowskiego, Ziemby i Tretiaka, a w końcu wspomina o „Albumie pamiątkowém“, wydaném przez Wł. Piasta i o Towarzystwie literackiém imienia Mickiewicza we Lwowie. Gorąca cześć dla poety nie idzie tu w parze z dostateczném zgłębieniem tego, co o nim napisano, ani téż z bezstronnością sądu o tych publikacyach.

= *Antoni Borzemski.* **Sprawa pokucka za Aleksandra** (Kraków, 1889). Do szeregu rozpraw historycznych, które wyszły z seminaryum zmarłego prof. Liskego, należą dwie, które, można powiedzieć, wyjaśniły pierwotne dzieje Mołdawii i zarazem pierwsze stosunki tegoż kraju z Polską. Z pierwszéj rozprawy p. Aleksandra Czołowskiego „O początkach Mołdawii“ zdałem sprawę na inném miejscu („Głos“ z r. z.); niemniéj ciekawą jest praca p. Borzemskiego p. t. „Sprawa pokucka za Aleksandra.“ W dzisiejszéj Galicyi — w zlewisku górnego Prutu, leży kąt kraju, zwany od dawna Pokuciem, w najstarszych zaś swych pomnikach historycznych także „Małą Wołoszczyzną.“ Skąd pochodzi ta pierwsza nazwa; — oto od XIV w. począwszy, osiedli tutaj w wielkiéj liczbie koloniści wołoscy, a rząd polski swoim zwyczajem z chęcią dał im ziemię do zagospodarowania się, niemniéj także prawo własnego samorządu, z którego powstały liczne wsie osadzone „na prawie wołoskiém.“ Tymczasem w macierzystym kraju, w Mołdawii, powstało osobne wołoskie państewko, które zaraz zaczęło rościć sobie pretensye do—Pokucia. P. Borzemski dowodzi w swéj rozprawie, że pretensye te podnosił silnie już za rządów Jagiełły, hospodar mołdawski Stefan I-szy i że od tego czasu nie schodziły one z porządku dziennego polityki mołdawskiéj, aż do ostatecznego ubicia téj sprawy za rządów hospodara Bohdana Jednookiego. Gdzie źródło prawne tych roszczeń—nie wié autor „Sprawy pokuckiéj“, a przecież odpowiedź sama niejako nasuwa się czytel-

nikowi obeznanemu z całym szeregiem podobnych pretensyi z XIV-go i XV-go w. Np. królowie węgierscy z całą konsekwencyą dążyli zawsze do zhołdowania krajów wołoskich na téj jedynéj, prawnéj wrzekomo, podstawie, że cała ludność zamieszkująca je wyszła w XIV w. z Węgier i w ten sposób samowolnie zrzuciła z siebie poddaństwo węgierskie. A czyż nie zachodził zupełnie identyczny stosunek między Mołdawią a Pokuciem?! W Mołdawii król Węgier, a na Pokuciu hospodar mołdawski szukali zbiegłych poddanych. Takie „prawo“ (?), które przetrwało na wschodnich kresach Europy aż do XVI w., było, jak wiele innych zwyczajów, zabytkiem rządów plemion tatarskich, które w XIII-ym np. wieku „szukały zbiegłych poddanych“ aż w Węgrzech. Naturalnie, pretensye tego rodzaju były tylko wówczas uwzględniane, jeżeli poparło je zwykłe prawo wojny — prawo silniejszego. Nie inaczéj miała się rzecz z pretensyami hospodarów mołdawskich do polskiego Pokucia. Z rozprawy p. Borzemskiego widzimy, że wszelkie kroki dyplomatyczne ze strony Mołdawii nie mogły w żaden sposób wprowadzić hospodarów w rzeczywiste posiadanie Pokucia. Polska była właśnie w XV w. państwem bardzo możném, niemniéj na tronie węgierskim zasiadał Jagiellończyk Władysław; nie dziw, że pretensye drobnych władców wołoskich mogli królowie polscy składać do kosza, naodwrót jednak hospodarowie mołdawscy musieli Polsce hołd składać. Dopiéro po klęsce Jana Olbrachta na Mołdawii, mógł ówczesny hospodar Stefan Wielki wyzyskać sytuacyą i w r. 1502, więc już za rządów króla Aleksandra napadł i zajął całe Pokucie. Teraz odsłania się odwrotna strona medalu. O ile przedtém bezsilni hospodarowie zanosili nic nie znaczące petycye do rządu polskiego o „zwrot Pokucia“, o tyle teraz rolę petenta przyjął z konieczności na się król Aleksander. Ale hospodar Stefan — nie bez słuszności zyskał w historyi przydomek „Wielkiego.“ Umiał on zyskać pomoc dyplomatyczną w osobie króla Węgier, Władysława, za cenę hołdu; z drugiéj zaś strony łączył się z Tatarami i Moskwą do orężnéj z Polską rozprawy. Oczywiście, petycye króla Aleksandra o zwrot Pokucia mógł teraz składać do kosza hospodar mołdawski i nie omieszkał tego czynić. Dopiéro śmierć Stefana w r. 1504 nadała całéj sprawie inny obrót. Oto syn i następca „Wielkiego“ hospodara, Bohdan, nietylko nie dorównywał ojcu w przedsiębiorczości, ale ponadto widział się silnie zagrożonym na własnym tronie przez brata stryjecznego, który przebywał w Polsce. Król Aleksander straszył Bohdana, że pretendentowi da pomoc, a kiedy do tego wszystkiego w Mołdawii zaczęły się rozruchy przeciw hospodarowi, Bohdan od razu zapomniał

o „prawnych“ pretensyach do Pokucia i zwrócił je Polsce nibyto za rękę królewnéj Elżbiety, któréj jednak nigdy nie otrzymał. Tak skończyła się „sprawa o Pokucie“, któréj wyjaśnienie przez p. Borzemskiego niemało przyczynia się do krytycznéj znajomości pierwotnych polsko-mołdawskich stosunków.

K. J. Gorzycki.

— *Maxime Kowalewsky.* **Tableau des origines et de l'évolution de la famille et de la propriété.** Stockholm 1890, str. 202.—*C. N. Starcke.* **La famille primitive.** Paris. 1891 str. 287 (w „Bibliotece międzynarodowéj).—Praca prof. Kowalewskiego jest zebraniem odczytów, które miał w przeszłym roku w Sztokholmie. W gruncie rzeczy jest to tylko popularyzacya prac Morgana, Mac Lennana, Giraud Teulona, uzupełniona przykładami, zaczerpniętemi przez autora z prawodawstw słowiańskich i zwyczajowego prawa ludów Kaukazu. Autor jest krańcowym rzecznikiem poglądu, że praformą stosunków małżeńskich był „heteryzm“ i że dopiéro z biegiem czasu ukazały się bardziéj określone postaci pożycia małżeńskiego, oparte najprzód na prawie macierzystém, następnie zaś ojcowskiém. Na bliższą uwagę zasługują ustępy, gdzie p. Kowalewskij usiłuje skreślić zależność pomiędzy rozwojem rodziny a własności. W jego rozumieniu patryarchatowi odpowiada tak zwana „zadruga“ (spółkowina rodzinna) wraz z kultem przodków, prawa spadkowe określają się tutaj dążnością utrzymania w całości zbiorowego gospodarstwa rodzinnego. Z zadrugi dopiéro, w miarę wydzielania się poszczególnych stadeł małżeńskich, powstaje dalsza forma posiadania ziemi, znana w Rosyi pod nazwą „obszczyny“. Właśnie miejsca, gdzie autor, opierając się na faktach ekonomicznych wziętych ze stosunków rosyjskich, kreśli ów rozwój własności ziemskiéj, należą do przedstawiających największą wartość. Jeszcze dzisiaj tu i owdzie w Rosyi, zwłaszcza na północo-wschodzie, widzimy takie przeradzanie się zadrugi w obszczynę. Najprzód wydzielają się latorośle — przysiołki, aby wykarczowawszy kawał lasu, gospodarzyć na własną rękę. Łąki jednak i lasy pozostają własnością zbiorową. Ukazuje się „marka“ t. j. stosunki, odpowiadają średniowiecznéj marce niemieckiéj. Nad Donem widzimy podobny rozwój, tutaj w r. 1877 aż 70 stanic olbrzymich składało jedną taką całość. Marka z czasem rozpada się na pojedyńcze wioski — „obszczyny“, które w miarę rozwoju techniki i gospodarstwa wymiennego przechodzą w zbiorowisko indywidualnych osad włościańskich.

Tymczasem stanowisko, jakie zajął Starcke, jest wprost odwrotne. Naturalnie mamy na myśli ewolucyę rodziny, o któréj autor ten, profesor uniwersytetu w Kopenhadze, mówi jedynie. Odrzuca on zupełnie poglądy Morgana, Bachofena i in., jako niczém nieuzasadnione. Sądzi, że takie objawy, jak poliandrya, lewirat, prostytucya ze względów religijnych (w świątyniach), prawo pierwszéj nocy. bynajmniéj nie są szczątkami pierwotnego bezładu małżeńskiego, lecz przeciwnie wynikły z warunków tego otoczenia, w którém dzisiaj istnieją, słowem, że są pochodzenia późniejszego. Rozwój rodziny miał się odbywać w ten sposób, że pierwotnie istniało prawo ojcowskie, oparte na tém, że mężczyzna posiadał kobietę na swoją własność, jako rzecz jakąś. Mógł on jéj pożyczać przyjacielowi, lecz dzieci swoją drogą uchodziły za jego własność. Ojcowstwo było zatém stosunkiem natury prawnéj. Dopiéro późniéj, z osiadłym trybem życia, zjawiło się prawo macierzyste. Uprzytomnijmy myśl autora jednym przykładem. W rodzinie patryarchalnéj murzyńskiéj, głowa domu posiada kilka żon. W jaki sposób będzie on, a w raz z nim i dalsze otoczenie odróżniać od siebie różnych potomków jego? Czy nie najwłaściwiéj jest to czynić według matek? I oto stoimy wobec źródła, z którego wytryśnie prawo macierzyste. Niepodobna w krótkiéj wzmiance zapuszczać się w wywody badacza duńskiego. Powiemy tylko, że jeśli chciał nadać pracy swojéj wygląd naukowy, musiał nie mało uczynić wysiłków, żeby zbić wszystkie dowody przeciwników. Należy powiedzieć, że uczynił to z wielką zręcznością, jakkolwiek osobiście nas nie przekonał. Wprawdzie niepodobna mu zarzucić fałszowania faktów, lecz omijanie tych, które świadczą na jego niekorzyść. Swoją drogą praca Starcke'a posiada rzadką doniosłość naukową, autor bowiem należy do liczby tych krytyków, których istnienie jest warunkiem dalszego rozwoju nauki, gdyż zmusza pewną teoryę do powtórnego sprawdzenia wszystkich swoich założeń i wywodów. *K. L.*

— **Biédni ludzie**. Obrazki z życia przez *Maryana Gawalewicza*. Kraków, 1890 (Nakładem Żupańskiego i Heumanna. Str. 277). Dla obserwacyi autora „Filistrów“ zbyt ciasną wydał się widocznie areną świat salonów i buduarów ze swym nużącym konwencyonalizmem, skoro w niedługim stosunkowo czasie czwartą już z rzędu darzy piśmiennictwo powieścią, któréj tło wspiéra się o szersze ramy życiowych stosunków. Powieść „Biedni ludzie“ jest kompozycyą większych rozmiarów, urozmaiconą wprowadzeniem różnorodnych żywio-

łów, które rzucone na tło powszednich stosunków urzędniczo-mieszczańskich, dały skupiony w sobie i artystycznie zaokrąglony obraz życia téj sfery. Bohaterem opowieści jest Ignacy Bułat, jeden z tych rozbitków, których burze rzuciły daleko, bo aż na drugą półkulę i przez ćwierć wieku kazały mu żyć zdala od kraju i rodziny. Na obczyźnie ciężko borykając się z losem, zebrał on skromną fortunę i powraca z nią do swoich, w nadziei, że ci, do których z takiém utęsknieniem śpieszył, ciepłem życia rodzinnego wynagrodzą mu ciężkie chwile pobytu wśród obcych. Ale na samym wstępie doznaje rozczarowania. Ciężka walka o byt tych, na których łono los go obecnie rzucił, wytworzyła w tém najbliższém otoczeniu atmosferę egoizmu, zatarła szlachetniejsze uczucia i uczyniła niemal zupełnie obcymi. Przyjmują go zimno a jedyną pobudką okazywanéj pozornie życzliwości jest nadzieja wyzyskania amerykańskiego wujaszka, o którego zasobach mają nieco zbyt optymistyczne wyobrażenie. Dobrodusznego oryginała, który całą siłą woli oddala od siebie przypuszczenie zaniku pojęć moralnych we własnéj rodzinie, wyzyskują wszyscy bez skrupułu, do chwili, w któréj nadzieja pewniejszego i lepszego zysku nie każe im zerwać z nim stosunków. Gdy te rachuby zawiodły, gdy usiłowania wydania córki za starego, ale bogatego libertyna i nikczemnika nie powiodły się, nawraca się cała rodzina do wzgardzonego wujaszka, aby uratować choć w części zapis przyobiecany przez tegoż w razie zastosowania się do jego życzeń, t. j. zerwania owego ohydnego małżeństwa. Ten epizod i jego następstwa, odsłaniające w całéj pełni poziom pojęć moralnych tych „biédnych ludzi“ nie zrażają jednak serca niepoprawnego entuzyasty. Niepomny bolesnego zawodu i doznanych uraz, Bułat oddaje zapis i przygarnia napowrót do serca niewdzięcznych. Obok stosunków rodzinnych Warzyńskich, tworzących główne tło powieści, rysuje autor równolegle drugi, silnym kontrastem odcinający się idyliczny obrazek życia rodzinnego wdowy Maleckiéj i jéj córki Anny, z którą Bułat łączy się dozgonnym węzłem, znajdując w tém małżeństwie dla skołatanéj burzami swéj arki spokojną i szczęśliwą przystań. Bez silenia się na malowanie wielkiéj gry uczuć lub silnych dramatów miłości dał p. Gawalewicz w „Biednych ludziach“ jeden z szarych, ale pełnych prawdy i prostoty obrazów z życia sfery mieszczańsko-urzędniczéj, uderzający przedewszystkiém siłą kolorytu, prawdą i spoistością kompozycyi, oraz wdziękiem formy. W szeregu rzuconych na tło tego obrazu figur i postaci składających barwną jego mozajkę, jest jedna, która mimo podrzędnéj roli w akcyi, przed innemi przykuwa uwagę

czytelknika i wyrazistemi rysami utrwala się w umyśle. Jest nią postać wykolejonego pesymisty, moralnie i fizycznie upośledzonego rozbitka życiowego, Adolfa Lipeckiego. Ogólnemi rysami typ ten przypomina może kilka podobnych w naszém powieściopisarstwie, ale subtelnością zarówno psychicznych jak i zewnętrznych rysów, konsekwentném i logiczném przeprowadzeniu wysoce oryginalnego swą burzliwością charakteru, którego pierwiastkiem jest pogarda dla siebie samego i dla innych, staje figura ta w galeryi typów wytworzonych przez najnowszą beletrystykę na wydatném miejscu. *W. Pr.*

= *Ernest J. Breiter.* **Społeczeństwo galicyjskie.** Szkice krytyczne i programowe. Lwów, 1890, str. 114. Jesto broszura treści i tendencyi politycznéj, w któréj autor, jeden z młodych ale śmiało piórem szermujących publicystów obozu liberalno-demokratycznego, roztrząsa szkicowo obecne położenie społeczno-polityczne ludności galicyjskiéj i stosunek władz autonomicznych do rządu, oraz dzieje rozwoju myśli społecznéj i idei demokratycznéj, począwszy od wieku XVIII, aż do czasów dzisiejszych. W politycznym dziale, wypełniającym znaczniejszą część rozprawy poddaje autor szczegółowéj a w wielu ustępach uzasadnionéj krytyce dzisiejszy ustrój społeczeństwa galicyjskiego, rozpatruje organizacyę sejmu i jego stronnictw, stosunek sejmu do rządu i koła polskiego, organizacyę wydziału krajowego i zakresu działania tegoż, politykę reprezentacyi kraju, działalność namiestnika hr. Badeniego, stanowisko marszałka krajowego i jego stosunek do władzy namiestnicznéj a w końcu ostatni rozdział pracy poświęca ocenie dziennikarstwa galicyjskiego. Wywody i zapatrywania p. Breitera, aczkolwiek wypowiedziane w sposób zbyt śmiały, mieszczą wiele rozsądnych uwag i znamionują umysł krytyczny, dobrze odczuwający ujemne strony i potrzeby reformy istniejących stosunków. Znać w téj pracy gorące pragnienie usunięcia wadliwości w ekonomicznéj i społecznéj organizacyi, przejęcie się duchem teoryi liberalizmu młodzieńczego umysłu, nie ochłodzonego krytycyzmem i doświadczeniem życiowém. Autor widzi zacofanie i brak dobréj woli nawet tam, gdzie konieczność polityczna stwarza nieuniknione sytuacye, gdzie rozwaga w postępowaniu i refleksya nakazuje pewne umiarkowanie, jak np. w charakterystyce stosunku władzy autonomicznéj do namiestnictwa. Nie zupełnie wystarczająco motywuje téż autor np. zarzut braku energii, przeżycia się i nieumiejętności zgrupowania silniejszych partyj około swych organów, uczyniony przewa-

żnéj części postępowego dziennikarstwa galicyjskiego. Z całą słusznością natomiast wytyka chwiejność polityki reprezentacyi galicyjskiéj w Wiedniu i serwilizm skłaniający koło do schlebiania centralistom niemieckim. Pogląd, że reprezentacya galicyjska powinna rozwinąć raczéj politykę federacyjną, szukać zbliżenia z pobratymcami i tym sposobem stworzyć silną opozycyę przeciw centralizmowi nie jest nowym, ale dziś więcéj niż kiedykolwiek na czasie. Praca p. Breitera jest pierwszą częścią na obszerniejsze rozmiary zamierzonego studyum, w którém autor zamierza poddać krytyce stosunki galicyjskie we wszystkich kierunkach. Tym dalszym, zapowiedzianym przez autora częściom pracy, życzyćby należało mniéj namiętnego traktowania rzeczy i ludzi, a wówczas całość zyska na pogłębieniu i powadze, i w niejednym poglądzie spotka się z uznaniem ludzi myślących i uznających wraz z autorem potrzebę społecznéj reformy, a mających większe pole do częściowego bodaj jéj zrealizowania.

— *Biart Lucien.* **Cervantès.** Paris, 1890. Legène, Oudin et C-ie. Książkę p. Biart'a o Cervantesie śmiało polecić możemy każdemu, kto się interesuje nieśmiertelnym autorem Don-Kixota. Samodzielne studya nad Cervantesem nadały układowi i treści wymienionego dzieła pewną oryginalność przy wielkiéj popularności wykładu i jasności a przejrzystości stylu. Kilka drzeworytów ozdabia książkę, któréj taniość ze względu na jéj zawartość jest zdumiewającą (1 ½ fr.). P. Biart nie pisze wyczerpującéj biografii; przedstawia on rozwój talentu Cervantesa w związku ze szczegółami jego burzliwego i nie obfitującego w powodzenie życia. Taka metoda zasługuje na zupełne uznanie. Autor nie ominął żadnego ważnego ustępu życia i działalności literackiéj nieśmiertelnego Hiszpana, lubo z konieczności musiał mało uwagi drugorzędnym utworom poświęcać. Przekłady p. Biart podaje własne, i to stanowi prawdziwą ozdobę dziełka; umié on zatrzymać się na najciekawszych i ważniejszych ustępach. Przeciętny czytelnik po przeczytaniu książki nietylko zrozumié, jaką rolę odegrywa Cervantes-poeta, ale ujrzy w swéj wyobraźni sympatyczną postać tego idealisty, bohatera z pod Lepanto. Uważamy za zbyteczne wyczerpujące u p. Biart'a streszczenie Don-Kixota, którego musi znać każdy niemal czytelnik — i to jedyny rys ujemny książki, jeżeli mu to za nadużycie poczytać można. Znany powszechnie, jako autor Don-Kixota, Cervantes, w dziełku p. B. występuje jako dramaturg, jako nowelista, jako liryk, słowem dla charakterystyki poety znajdujemy sporo materyału. P. B., krytyk trzeźwy i wytrawny, w niewielu słowach umié wydać sąd jasny w kwe-

styach spornych; posiada on umysł historyka i znajomość stosunków społecznych i literackich Hiszpanii XVI w. Zwracam uwagę czytelników Cervantesa na książkę p. Biarta; sądzę także, że polski przekład byłby bardzo użytecznym. Ze strony formalnéj książka jest wzorową. *L. Sz.*

= *Dr. Alojzy Winiarz*, **Sądy boże w Polsce** („Kwartalnik historyczny“, zeszyt II z r. 1891). W dawniejszym przewodzie sądowym polskim spotykamy instytucyę prawa dowodowego, zwaną „sądem bożym.“ Instytucyę tę spotykamy we wszystkich pierwotnych prawodawstwach wszystkich ludów aryjskich. Widzimy je w prawie salickiém, w pierwszych t. zw. „barbarzyńskich“ prawach germańskich, niemniéj w „Prawdzie ruskiéj“, w serbskim „Zakonniku“ cara Duszana, w czeskich „Radach zemskeho prawa“ i rozmaitych mniéj ważnych źródłach prawnych. Monografia d-ra Winiarza zajmuje się specyal nie i wyczerpująco tylko sądami bożemi w Polsce, niemniéj jednak wykazuje ich ogólny — europejski charakter, sięgający w bardzo odległe czasy. Może to jeszcze zabytek przyniesiony do nas z pierwotnéj, wspólnéj siedziby aryjczyków. Próby: wody, żelaza i pojedynku — oto zwykłe formy sądów bożych. Na Zachodzie stosowano je jako główne środki, dowodowe; wśród Słowian, a specyalnie w Polsce, były one tylko środkiem dodatkowym; co naturalnie przemawia silnie na korzyść pierwotnych stosunków prawnych słowiańskich. Już ten sam fakt wskazuje, że sądy boże były tak dobrze u nas, jak w prawach narodów zachodnich, instytucyą rodzimą, praca zaś p. Winiarza wykazuje dowodnie, że sięgają one w czasy przedchrześciańskie. Kościół nie wprowadzał nigdzie sądów bożych—zastał on już je w rozmaitych postaciach, a nie mogąc lub nie chcąc znosić, ubrał je tylko w szatę chrystyanizmu. Formy te były wszędzie jednakowe; to téż sposób stosowania sądów bożych w Polsce był taki sam, jak we Francyi i w Niemczech. P. Winiarz nie stara się o wyszukanie prastarego źródła „sądów bożych“; zdaje się nam, że źródła kryją się w ogólnéj zasadzie „wzajemnéj zemsty“, która pozwalała i dotąd pozwala ludom barbarzyńskim, żyjącym w ustroju rodowym, poszukiwać sprawiedliwości poszkodowanemu na krzywdzącym przez osobistą pomstę. Dotychczas zasada pojedynków nie jest właściwie niczém innėm, jak tylko tego rodzaju zemstą. Przeniesienie prawa do stosowania takiéj zemsty na władzę państwową, — jest właściwie krokiem postępowym; krokiem powolnéj zamiany urządzeń rodowych na prawodawstwa narodowe. Naturalnie, prędko już postęp ten stał się bardzo względnym, to też sądy boże nie przeżyły końca wieków śred-

nich. Późniejsze przykłady pojedynków sądowych, są, jak Helcel mówi, szczególnemi przypadkami „chwycenia się zwyczaju dawnego rycerskiego, w celu odwrócenia od siebie potwarzy, lub pomszczenia się krzywdy.“ Były sądy boże prerogatywą królów i książąt, a więc przywilejem jedynéj średniowiecznéj władzy centralnéj; w Polsce było to: *ius ducale*, które w imieniu panującego wykonywali także wojewodowie i kasztelanowie. Późniéj dopiéro niektórzy książęta nadawali prawo odbywania sądów bożych, jako specyalny przywiléj — instytucyom duchownym i najwybitniejszym „baronom.“ Rozprawa p. Winiarza jest napisana rzeczywiście wyczerpująco, ze względu zaś na swą treść jest dla historyi prawa polskiego nader ważną.

K. J. Gorzycki.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Dziennikarstwo.—„Słowo i kij", artykuł p. Grendyszyńskiego.—Druga strona sprawy.—Nowe prawo socyalne we Francyi. — Proces Cumming'a.— Zbrodnia i samobójstwo Weiss'owéj.—Przyjaciele emancypacyi kobiecéj i dekadenci.—Talent i moralność.— Kwarantanna moralna. — Wyścigi konne.—Zmiana w reżyseryi teatrów warszawskich.—Kierownictwo literackie i autorowie dramatyczni.—Listy ks. Chełmickiego z Brazylii.—Filantropia i sala pracy w Kaliszu.—Nie będzie kolei.

W życiu publiczném współczesnéj ludzkości dziennikarstwo stało się jednym z dominujących czynników. Opanowało ster opinii publicznéj, a właściwie tak się z nią zespoliło, że samo stało się téj opinii wyrazem.

Bez przesady powiedziéć można, że nowa cywilizacya zawdzięcza swój rozkwit drukowi. Jeżeli przypomnimy sobie, jakie nadzwyczajne przewroty wywołała myśl ludzka, odziana w formę drukowanego słowa, zwłaszcza w dwu ostatnich stuleciach, że w zeszłém stuleciu kilku genialnych pisarzy obaliło kilkunastowiekowe, i na niezachwianych, zdawało się, fundamentach oparte przesądy i nadużycia, a w naszém oświeciło i uświadomiło gromadne masy, to uplastyczni się nam potęga druku. Od czasu zaś rozwoju dziennikarstwa ta potęga stała się popularną. Czytelnik przez codzienne obcowanie z dziennikiem, ulega nieznacznie jego wpływowi.

Dziennikarstwo sprzyjało rozwojowi społeczeństwa i samo wzrastało wraz z tym rozwojem. Rozwój narodów zachodnich, oraz forma ich organizacyi politycznéj, jak: konstytucyonalizm i parlamentaryzm, wybory polityczne z prawem powszechnego głosowania i całe życie publiczne, wywołały potrzebę dziennikarstwa, informującego szybko niezliczone masy czytelników o faktach i o ideach, kursach pieniężnych i sporach parlamentarnych, teatrach i sądach, nabożeństwach i... skandalach.

I w téj fazie rozwoju, niestety, stał się ważny przewrót. Na łamach dzienników, obok ludzi z talentem, powołaniem i organizacyą pisarską stanęli rzemieślnicy i handlarze słowa, bez talentu i bez powołania. Ażeby zasłonić brak pierwszego i drugiego, wymyślono dla nich i położono im na czole etykietę, którą nazwano „sprytem“. Ponieważ nie ma w nich ani śladu tego dziwnego ognia i téj przenikliwéj intuicyi, zwanéj talentem, więc ten spryt tylko, który często się tłómaczy, a nawet jest równoznaczny z blagą i bezczelnością, otworzył im szeroko drzwi gościnnéj prasy.

Panowanie tego nowego typu „kierowników opinii“ w prasie sprawiło, że dziennikarstwo stało się fachem i rzemiosłem, że na łamach pism do zwycięskiéj konkurencyi z ludźmi talentu stanęły rzesze płytkich, ale sprytnych, ograniczonych, ale zręcznych, nie władających artystycznem słowem, lecz wrażliwych na zarobek dziennikarzy i reporterów.

Ten wstęp o dziennikarstwie pozostaje w związku, który następnie wyjaśnię, z ważną sprawą, podniesioną w artykule p. Ludomira Grendyszyńskiego w „Kuryerze Codziennym“ p. t. „Słowo i kij“. Artykuł krytykował stosunek opinii naszéj do dziennikarstwa, wtedy, kiedy publicysta, wypowiadając swoje trzeźwe przekonanie, zgodne z interesami ogółu, których bronić jest jego zadaniem, spotyka się z podejrzeniami, a nawet napaściami i obelgami pewnych kół lub koteryi, wyrażających swoję opozycyę strzałami z za płotu lub innemi nikczemnemi środkami. Wywody artykułu zostały oparte na fakcie napadu na recenzenta „Ziarna“, przez aktorów zarogatkowego teatrzyku, niezadowolonych z jego krytyki. Fakt ten, potrącający o ogólniejsze pojęcia etyczne, był, zdaniem autora, w naszych stosunkach symptomatycznym.

„Korektywą przewagi — pisze p. Grendyszyński — jaką daje dziennikarzowi jego uzbrojenie w potęgę słowa publicznego, musi być jego odpowiedzialność osobista za nadużycie téj broni. Uchylają się od téj odpowiedzialności tylko tchórze lub szalbierze. Ale ta przywracająca równowagę zasada, sprowadzająca dziennikarzy na poziom zwykłych stosunków ludzkich, nie znaczy bynajmniéj, że osoba, która się czuje dotkniętą, przez czyjeś wystąpienie w prasie, może być sama sędzią w swojéj sprawie, ani co gorsza, że ma prawo używać innych środków satysfakcyi, niż te, jakie są przyjęte przez ustalone obyczaje ludzi cywilizowanych. Tylko bezstronny sąd osób trzecich, ludzi honoru, może orzec, czy w danym razie nadużycie rzeczywiście popełnione zostało, czy ze względu na źródło lub osobę, nie jest wskazaną poprostu wzgarda, czy może dla naprawienia wyrządzonéj krzywdy wy-

starczy publiczna replika lub odwołanie, czy też konieczną jest rozprawa honorowa, albo inny rodzaj satysfakcyi“.

„Nikczemnym zaś jest wszelki napad zdradziecki — pisze daléj p. G. — lub wykonany na pojedyńczą osobę, za pomocą przeważającéj liczebnie siły. Tak postępują tylko tchórze lub rzezimieszki. Nieudanie się zamachu, w takich dokonanego warunkach, powiększa tylko sromotę napastników“.

„Wrodzona nasza krewkość i brak wyrobienia, bardzo często nas do podobnéj nietolerancyi popychają. Słysząc lub czytając cudze zdanie, w najlepszéj wypowiedziane wierze, gotowiśmy czynić wszelkie możliwe przypuszczenia, posądzać autora o różne lepsze lub gorsze pobudki postronne; tylko nigdy nie chcemy przypuścić poprostu, że takie było jego zupełnie szczere przekonanie, bez żadnych względów pobocznych. Brak rozumnéj tolerancyi, jest i był naszą wielką wadą narodową. Nigdzie całe klasy i warstwy społeczne nie są tak drażliwe na sąd odmienny, nieprzychylny, być może błędny, ale szczery, jak u nas. Obrażeni i oburzeni odpowiadają wnet zakwestyonowaniem wartości moralnéj osoby, która ośmiela się miéć zdanie odrębne. Powiedz słowa prawdy, téj czy innéj instytucyi lub klasie społecznéj, albo na odwrót: weź w obronę tę czy inną sprawę, wnet ci podsuną pobudki postronne, podług nich zakwalifikują, tylko nie przypuszczą, że takie jest twoje szczere zdanie i nie przyznają, że je masz prawo swobodnie wygłaszać“.

P. Grendyszyński na czasie zrobił ten wykład początkowych zasad etyki publicznéj, któréj jedni u nas nie znają wcale, a drudzy co chwila o niéj zapominają. Autor ten wogóle posiada odwagę swoich przekonań i dobry zmysł publicystyczny, tłómacząc się przytém zwięźle i energicznie. Oświetlił on jednę stronę stosunku naszéj publiczności do prasy i oświetlił ją, jak sądzę, słusznie. Pozostaje jeszcze druga strona.

Mówiłem na wstępie, że dziennikarstwo tegoczesne powoli staje się rzemiosłem, opanowywaném przez tak zwanych sprytnych, choć ograniczonych i nic wspólnego z powołaniem publiczném i pisarskiém nie mających dziennikarzy. Ci powoli także zamieniają je w kantor handlowo-informacyjny, dostarczający wiadomości według gustu, licznéj rzeszy swoich klientów. Tym ludziom zarówno jest obojętną prawda, jak i estetyka, styl, jak i ortografia.

Pamiętajmy o tém, że publiczność nietyle zważa na to, jak się mówi, lecz — kto mówi? Od czasu więc, jak do dziennikarstwa coraz tłumniéj garną się ludzie bez kwalifikacyi umysłowych, pisarskich i moralnych, kredyt publicznego słowa widocznie upada. Nie znaczy

to, żeby upadało dziennikarstwo, lecz czytelnik szuka w niém tylko faktów, informacyi i wiadomości, nie dbając choćby się tam znalazła, ani o kierującą myśl przewodnią, ani o duch podniosły.

Jeżeli ton lub firmę organom słowa dają ludzie, których skandale i brudy są tajemnicą publiczną; jeżeli naczelną zasadą tych organów jest lawirowanie od jednego do drugiego bieguna, tak, że na jednéj kolumnie dziennika spotykamy hołdy i dla dewocyi, i dla Wenery, to nie dziw, że wiara w szczerość i powagę publicznego słowa słabnie. Tutaj, mojém zdaniem, możnaby szukać niektórych przyczyn smutnych objawów, nad któremi słusznie ubolėwa p. Grendyszyński.

Żyjemy w téj smutnéj epoce, w któréj odarto, spospolitowano i poniżono wszystko. Losu takiego bardzo boleśnie doznał na sobie i zawód pisarski. Z każdym dniem więcéj staje on się przedmiotem spekulacyi w ręku blagierów i rzemieślników słowa. Zjawisko to jest tak ogólne i widoczne, że zaprzeczać mu chyba nie można. Miał on znakomitych apostołów, jak Św. Augustyn i Rousseau, dziś ma wielką liczbę znakomitych aferzystów. Uległ ogólnemu prawu. Możnaby powtórzyć za Zolą z ostatniego jego romansu: „O pieniądze, wszystko zatruwające, wszędzie wnoszące zgniliznę, wysuszające duszę, wypędzające z niéj dobroć, czułość, miłość dla bliźniego. Pieniądze, tylko pieniądze, oto wielki przestępca, winowajca wszystkiego co okrutne i brudne“.

Francya wstąpiła, zdaje się, na drogę socyalizmu państwowego. W zeszłym miesiącu, minister spraw wewnętrznych, Constans, wniósł do izby deputowanych projekt do prawa o kasie emerytalnéj dla robotników, który otworzy zapewne erę reform socyalnych, zaniedbywanych dotychczas bardzo przez teraźniejszą rzeczpospolitą. Według projektu, każdy robotnik będzie składał dziennie od 5 do 10 centymów, pracodawca zostanie obowiązany do takiéj saméj wkładki, a państwo do $^2/_3$ tych zjednoczonych wkładek. Dla robotników wkładki będą dobrowolne, dla pracodawców obowiązkowe, to jest, ci ostatni od każdego pracownika, uiszczającego składkę do kasy a zatrudnionego w ich przedsiębiorstwie, sami też równą opłatę wnosić mają. Do kasy emerytalnéj robotnik składki wnosić powinien od 25-go roku życia, a po upływie lat 30-tu zatém w 55-ym roku, stosownie do wysokości swoich wkładek otrzyma emeryturę od 300 do 600 franków rocznie. Prawo przewiduje wypadki choroby lub innych nieszczęść, nie pozwalających robotnikowi uiszczać składek. Otóż, jeżeli taka przerwa, nieszczęśliwemi i niezależnemi wypadkami wywołana, nie wyniesie więcéj nad lat 5, wówczas robotnik praw do całkowitéj emerytury w oznaczonym czasie nie traci. Obliczają, że jeśli liczba zabezpie-

czonych robotników wyniesie prawdopodobnie 5,000,000, państwo zostanie obciążone roczném zobowiązaniem 100,000,000 franków.

Tak wyglądają w streszczeniu zasady projektowanego prawa francuskiego. Będzie ono bardzo skromne, lecz przeciwnicy obecnego gabinetu i burżuazyi francuskiéj, podejrzéwają ich szczerość w doprowadzeniu do skutku nawet tych skromnych na rzecz klasy pracującéj zobowiązań. Bo najprzód rząd, po za izbą deputowanych, w któréj zasiada znaczna bądź co bądź liczba posłów, sprzyjających prawodawstwu robotniczemu, ma w rezerwie senat, złożony z bogatych kapitalistów, którzy założą prawdopodobnie *veto* przeciwko uchwale izby deputowanych; a następnie projekt kasy emerytalnéj powstał dla zrównoważenia agitacyi zachowawców francuskich, przyrzekających zająć się losem klasy robotniczéj celem uzyskania od niéj głosów wyborczych.

Dlatego téż słynny agitator, poeta Deroulède, w dzień wniesienia nowego prawa do izby deputowanych, zarzucił z góry Constansowi hipokryzyę, oświadczając, że wtedy uwierzy w szczere intencye rządu, kiedy ten złoży deklaracyę, że w razie odrzucenia projektu przez senat, rząd poda się do dymisyi.

Lecz zauważyć trzeba, że szczerze, czy nieszczerze tak wyszydzana przez socyalistów rzeczpospolita weszła na drogę socyalizmu państwowego, po któréj daléj kroczyć musi, bo stronnictwo pracy ma dostateczną świadomość i zbyt dobrą organizacyę, aby na platoniczném dla siebie współczuciu poprzestać chciało, lub z raz obranego kierunku zawrócić pozwoliło.

Nasuwa się chęć zrobienia pobieżnego choćby porównania między socyalném prawodawstwem niemieckiém, które już weszło i wchodzi w wykonanie, a tym świeżym projektem francuskim. Ponieważ jednak dalszych jego losów jeszcze nie znamy, odkładamy to porównanie do czasu, kiedy się stanie prawem obowiązującém.

Nie będzie może zbytecznem zwrócić jeszcze na tém miejscu uwagę na kilka wypadków zagranicznych, już nie ze sfery politycznéj, lecz obyczajowéj... Bez żadnéj intencyi do przesady, uważać je trzeba za bardzo wymowne komentarze do obyczajów współczesnego europejskiego społeczeństwa ze sfer inteligentnych i wyższych...

Sprawa, o któréj we wszystkich dziennikach europejskich tak wiele pisano, była dramatem miłosnym. To zbrodnia, proces i śmierć Weissowéj w Algeryi. Młoda ta kobiéta pod wpływem swego kochanka, pragnęła powoli otruć swego męża przez systematyczne dosypywanie arszeniku do jadła.

Krótki rys biograficzny Weissowéj jest następujący. Matka jéj należała do zapalonych emancypantek, studyowała medycynę, wierzyła w swój talent literacki. Porzuciła męża i dzieci dla nauki. Córka jéj, trucicielka i bohatérka zakończonego tragicznie procesu, wychowywała się u babki w Nizzy, w niezdrowéj atmosferze moralnéj. Upadła przed zamążpójściem. Znalazł się jednak człowiek, który uwierzył w jéj rehabilitacyę i ożenił się z nią. Na granicy pustyni saharskiéj, w Aïn-Fezza, młode małżeństwo przeżyło kilka lat szczęśliwie. Tam właśnie zjawia się Roques, inżynier-paryżanin, któremu Weissowa po długim oporze uległa. Roques żądał jednakże więcéj, żądał śmierci jéj męża. Po odjeździe swoim do Madrytu, listami stamtąd natarczywie domagał się tego. Weissowa truje powoli męża, lecz zbrodnia wychodzi na jaw. Przestępczyni została aresztowaną, sądzoną, skazaną na ciężkie roboty. W więzieniu otruła się i umarła.

Ohydny ten dramat został opatrzony obszernemi komentarzami nie dla samego faktu zbrodni, lecz dlatego, że trucicielka miała być kobiétą wysoko wykształconą, a „Spowiedź“, jaką napisala w więzieniu, ma być dowodem jéj niepospolitego talentu literackiego; następnie, roztrząsaną przy téj okazyi była kwestya położenia społecznego kobiéty, jéj stosunku do mężczyzny, etyki małżeńskiéj i rodzinnéj.

Wogóle, w tym chaosie potępień, obron i sprzecznych sądów trudno sprowadzić kwestyę do prostych pojęć, do jasnéj formuły.

Weissowa—według jednych—miała subtelną i delikatną organizacyą, umysł wykształcony, i została skazaną na pożycie małżeńskie z człowiekiem ograniczonym. Ponieważ mąż na rozwód zgodzić się nie chciał, musiała więc szukać sposobu wydostania się z małżeńskiego więzienia. Więzień, zamknięty w swojéj celi, a spragniony wolności, morduje strzegącego go dozorcę. Kobiéta, połączona okowami prawa i opinii z mężem, którego już nie kocha, otwarcie mu to wyznając, ma prawo postąpić tak, jak ów w okowach jęczący więzień. Zbrodniarką—według nich — nie była Weissowa, lecz tyrańskie stosunki społeczne, czyniące z kobiéty własność mężczyzny.

Weissowa—według drugich—była córką epoki dekadencyi i newrozy. Miała wielki talent, a talentów nie obowiązują prawa ogólnéj moralności. Sąd mógł ją nazwać zbrodniarką, oni zrobili z niéj gwiazdę. Według nich była ona trawioną tym okrutnym stanem psychologicznym, który w języku dekadentów nazywa się „stanem duszy końca wieku.“ Niech nikt nie rzuca kamieniem na jéj grób. Za wy-

stępek wymierzyła sobie sama karę przez śmierć samobójczą. Uchylmy czoła — wołali dekadenci — przed strasznym fatalizmem, ścigającym każdą wyższą naturę ludzką.

Weissowa — według trzecich — była tylko psychopatką i tutaj szukać należy wszystkich motywów jéj postępowania i zbrodni.

Przytoczyłem co główniejsze zasady i zapatrywania, wypowiedziane z powodu tego wypadku. Zatrzymajmy się na nich przez chwilę.

Przed kilku laty rozlegały się po całéj Europie echa zaciętéj dyskusyi, prowadzonéj między przeciwnikami i zwolennikami rozwodu małżeńskiego we Francyi. Dumas syn, uzbrojony w swoją giętką, świetną, choć paradoksalną dyalektykę, wymownie bronił rozwodów, jako instytucyi moralnéj, ludzkiéj i w dzisiejszéj fazie cywilizacyjnéj koniecznéj. Rozwód został uchwalony, a raczéj tylko przywrócony, jako rozdział kodeksu Napoleona, zawieszony w 1816 r. przez reakcyę burbońską.

Rozwód jednak, jak się często odzywają głosy sceptyczne, nie poprawił stosunków małżeńskich we Francyi. Rozwód w ustanowionéj obecnie formie — mówią jedni — nie wystarcza, bo wymaga albo wyraźnych przyczyn, albo obustronnéj zgody na rozwiązanie małżeństwa. Weissowa np. nie mogła takiéj zgody mężowskiéj uzyskać. Rozwód—mówią inni—jest tylko formą prawną, nie zmieniającą wcale społecznego położenia, a właściwie poniżenia kobiéty. Przy równouprawnieniu politycznèm, obyczajowèm, społecznèm kobiéty, tragedya w Aïn-Fezza nie miałaby miejsca.

Przypuśćmy, że tak byłoby istotnie, lecz obrońcy praw kobiéty idą za daleko, tłómacząc, a nawet usprawiedliwiając jéj zbrodnię. Porównanie z więźniem, mordującym swego dozorcę, nie wytrzymuje krytyki choćby dla téj prostéj przyczyny, że więźniowi uniemożliwiają ucieczkę przeszkody fizyczne, w postaci krat, rygłów i dozorcy. Zabija on swego stróża nie jako bezwiednego wyobraziciela porządku społecznego, lecz łamie tylko materyalną przeszkodę, zagradzającą mu wolność. Bohatérka algierska, skoro miała możność oszukiwania męża, udając się na schadzkę z kochankiem, miała możność z nim i uciec.

Dekadenci znów, którzy nad czołem trucicielki rozpostarli tragiczną aureolę epoki upadku, domagając się dla talentu przywileju, nawet z występku, błądzą świadomie czy nieświadomie. Zdaje się, że płytkimi pedantami są ci, którzy rygorystycznemi przykazaniami katechizmu moralno-społecznego objąć chcą wszystkich zarówno, bez

względu na umysł, charakter i talent. Walka dwu pierwiastków: arystokratycznego i demokratycznego może się skończyć w polityce, lecz nie skończy się nigdy w życiu. Jest-to zapewne niezłomne prawo przyrody, które wiekuiście trwać będzie, bez względu na to, czy je przeklinamy, czy błogosławimy. Talent jest tym pierwiastkiem arystokratycznym i niedorzecznością byłoby pętać go moralnie wtedy, kiedy nikomu nie przychodzi do głowy niwelować go umysłowo. Nie można choćby dla tego od talentu żądać uległości dla wszystkich przykazań filisterskiego katechizmu, że jego przeznaczeniem jest częstokroć obalać ustalone, a wytwarzać nowe poglądy na moralność, literaturę, sztukę, wszystko. Ludzie przeciętni nie doznają i nie przeczuwają nawet tych wszystkich wstrząśnień, zawrotów, wznoszeń się i upadków, jakie bywają udziałem ludzi, obdarzonych tą „iskrą bożą.“

Dopasować się do rzeczywistości, wejść w nią, żyć podług jéj katechizmu, jest dla nich równym ciężarem, jak arabczykowi ciągnąć pług, przeznaczony dla wołu. A warunki życiowe właśnie więcéj sprzyjają wołom, niż biegunom.

Pamiętajmy jednak z drugiéj strony, że długa kultura moralna wytworzyła pewne stałe zasady, przeciwko którym nikomu wykroczyć nie wolno. Owszem nawet, na ludzi, obdarzonych wyższym umysłem, a więc i rozleglejszą świadomością, spada większa odpowiedzialność za takie wykroczenie. Gdyby im nawet ustawa obyczajowa chciała przyznać jakie wyjątkowe przywileje, to chyba pod warunkiem, że obalając przeżyte lub niedorzeczne przesądy i nadużycia a wytwarzając nowe, przyczyniają się do utrwalenia tych istotnych zasad moralnych, bez których postęp, budowa, a nawet egzystencya społeczna, byłyby niemożliwe.

Z tego punktu zapatrywania, tylko w epoce, że się tak wyrażę, ekscentryczności moralnéj, mogła paryskim lub innym dekadentom przyjść chętka usprawiedliwienia trucicielki-samobójczyni, wypływającego według nich z wyższości jéj talentu.

Z całą pewnością zresztą powiedziéć można, że w praktyce tego uprzywilejowanego miejsca nie tyle żądają dla siebie talenta wielkie, oryginalne i pożyteczne, ile tuzinkowe lub chore, poszukujące niezdrowéj sławy, sensacyi i okazyi do pozowania. Dziennik paryski, który rozesłał kwestyonaryusz do znakomitych pisarzów, czy list, zostawiony przez samobójczynię do jéj małoletniego syna, powinien mu zostać wręczony, czy téż nie, byłby również dobrze zrobił, poddając

opinii znakomitszych umysłów kwestyę stosunku talentu do moralności.

Ta kwestya, także z powodu dramatu miłosnego, była roztrząsaną w roku zeszłym i u nas, w Warszawie. W choréj epoce mówiono i talenta wybitne, ją wyobrażające, a przeto najwięcéj zapłodnione jéj duchem, muszą być także chore. Boć trudno przypuścić, ażeby oprowadzając nas po zawiłych labiryntach duszy, obnażając nędzę i upadek, zachować mogły stan normalny. Przeczy temu wrażliwość, która jest podstawą talentu, a stopień i napięcie téj wrażliwości rozstrzygają właśnie o jego gatunku i poziomie. Lecz ta choroba psychiczna, którą spostrzegamy w zdenerwowanych talentach współczesnych, zwraca się głównie przeciwko osobistości, nią dotkniętéj. Instynkta zbrodnicze nie mają z nią nic wspólnego. Zbrodni w Aïn-Fezza nawet przy największém naciąganiu logiki i psychologii i do téj kategoryi zaliczyć nie można.

Nie mam pretensyi, abym w téj „Kronice“ gruntownie przedstawił rzecz, która zresztą potrąca o wielorakie pojęcia etyczne.

Czytałem niedawno, że podobno bardzo światły pisarz turecki, historyk i krytyk obyczajów, Mithad-effendi, ostrzega swoich współziomków przed zarazą obyczajów europejskich. Moralna budowa społeczeństw i rodziny europejskiéj — woła on — rozpada się już nie co dzień, lecz co godzina. Stoi on na jedném stanowisku z Tołstojem, rzucającym anatemę na owoce fałszywéj kultury.

Reakcya taka zresztą i w literaturze europejskiéj pierwszorzędnych posiada wyznawców, że wspomnimy tylko Bourget'a i Rood'a, literacką szkołę skandynawską z Ibsenem na czele i t. d. Zresztą nieraz jeszcze o tém mówić przyjdzie.

A teraz uprzedzić jeszcze muszę zarzut, jaki mnie może spotkać. „Co za potrzeba — mówią — roztrząsać przed czytelnikiem polskim ohydne zbrodnie i skandale zagraniczne. Najlepszą odpowiedzią na nie jest milczenie. Nas to wcale nie dotyczy, bo dzięki Bogu jesteśmy jeszcze moralnie zdrowi. Po co te brudy moralne szczepić na naszym gruncie“—wołają.

Odpowiedziałbym na to, że o ile szczegółowe opisy i opowiadania o wstrętnych zbrodniach lub skandalach, jak to często robią dzienniki, jest niegodném zadań dziennikarstwa, o tyle świadome zdanie sobie sprawy z ujemnego zjawiska obyczajowego jest właśnie publistycznym obowiązkiem. Co innego jest dla wywołania sensacyi coś gorszącego opowiadać, a co innego to zło, w miarę możności starać się zrozumiéć i osądzić.

Następnie, nie jestem o tyle kompententnym w porównawczéj

moralności, abym mógł orzec, czy jesteśmy gorsi lub lepsi od innych. Wiem tylko, że, jak w danym czasie, społeczne położenie kobiéty jest w całéj Europie prawie jednakowe, że analogiczne wypadki obyczajowe zdarzają się i u nas, a etyka z nad Sekwany lub Dunaju nie różni się zasadniczo od etyki z nad Wisły.

Zresztą, w wieku lokomotywy i telegrafu kwarantanna moralna, gdyby nawet wierzyć w jéj zabezpieczającą ochronę, jest niemożliwą. Nie milczeniem, lecz wskazaniem przyczyn zła i własną zdrową świadomością zabezpieczyć się można od zarazy, gdyby przychodziła z zagranicy.

Od bardzo dawnych czasów, najważniejszym wypadkiem, jaki mógł zajść w czerwcu, w Warszawie, bywały wyścigi konne. Odbyły się i w tym roku, z mniejszą wprawdzie uroczystością i pompą. Walnego zjazdu nie było. Wyścigi, z wyjątkiem wysokiego *high-lifu* i kupiecko - kantorowo - bilardowo - próżniaczéj młodzieży, chorującéj na szyk sportsmański i dlatego grającéj, i zgrywającéj się w totalizatora, nie budzą już ani w publiczności warszawskiéj, ani w ogóle krajowym żywszego zajęcia. Jest-to instytucya egzotyczna, która trwałych korzeni zapuścić tu nie mogła, pomimo wielkiego uwielbienia naszego do cudzoziemszczyzny. W Towarzystwie wyścigów myślą jednak inaczéj, bo następne wyścigi odbędą się już nie w przyszłym czerwcu, lecz w jesieni r. b.

Prasa warszawska bardzo gorliwie przypominała Towarzystwu wyścigów o wystawach inwentarza w Warszawie, które od lat kilku ustały. Sprawa ta przyszła pod obrady kierowników Towarzystwa i w sensie dodatnim została zdecydowaną. Wystawa inwentarza na placu Ujazdowskim odbędzie się już w roku przyszłym, że Towarzystwo bowiem posiada dawną koncesyę na urządzanie tych wystaw.

W kierownictwie artystycznem teatrów warszawskich zaszła zmiana. Obowiązki reżyserskie, które dotychczas sprawowane były przez p. Tatarkiewicza, zostały rozdzielone pomiędzy p. Kotarbińskiego, jako reżysera literackiego i pp. Tatarkiewicza i Ładnowskiego, jako reżyserów scenicznych. Do pierwszego należéć będzie komedya, do drugiego dramat.

Jak wiadomo, krytyka teatralna stawiała nieraz zarzuty dotychczasowéj reżyseryi. Nie wchodzimy wcale w ich słuszność, lecz to chyba nie ulega wątpliwości, że w artystycznem kierownictwe teatru, pierwszy głos powinien należéć do człowieka z wykształceniem estetyczno-literackiém. Sztuka dramatyczna, któréj poziom obecny w porównaniu z innemi gałęziami literatury jest tak niski, upada głównie dlatego, że ucieka z niéj pierwiastek filozoficzny, ustępu-

jąc pierwsze miejsce tak zwanéj sceniczności, to jest zręcznéj technicznéj budowie sztuki, a nawet rzemiosłu, nie mającemu nic wspólnego z prawdziwą sztuką. Takie opłakane pojmowanie zawodu pisarza scenicznego powołało do szeregów autorów dramatycznych ludzi niezdolnych do żadnéj funkcyi w jakiejkolwiek innéj gałęzi umysłowéj i literackiéj pracy. Za taki stan literatury dramatycznéj w znacznéj części zwalano odpowiedzialność na kierowników teatrów europejskich, których kwalifikacye umysłowe i estetyczne — według jednego z krytyków niemieckich, są poprostu śmieszne.

Odrodzenie teatru, jako instytucyi cywilizacyjnéj, o szlachetnych zadaniach dokonać się może przedewszystkiém przez istotnie utalentowanych autorów dramatycznych, którzyby wypędzili z niéj dzisiejszych rzemieślników i spekulantów. Bez nich teatr pozostanie tém, czém jest dzisiaj, miejscem płaskiéj zabawy, dla żądnéj śmiechu i sensacyi gawiedzi, bo objawem oddawna jest stwierdzonym, że unika go wyżéj wykształcona inteligencya.

Byłoby naturalnie złudzeniem kłaść takie zadanie na literackiego kierownika teatru. Dokonać go nie może ani jeden człowiek, ani jedno pokolenie. Zysk jednak dla sztuki dramatycznéj będzie już znaczny wtedy, kiedy istotny i oryginalny talent autorski z zaufaniem tam się zwróci, w przekonaniu, że kompetentnie ocenionym i ewentualnie zachęconym zostanie.

Bo nie ma wątpliwości, że w teatrach dzisiejszych za wiele zwracają uwagi na aktorów, a za mało na autorów.

P. Kotarbińskiemu dowodzić słuszności tych spostrzeżeń nie potrzeba, życzyć mu tylko należy, ażeby znalazł się w warunkach do pożytecznéj działalności odpowiednich.

Emigracya brazylijska stoi ciągle na porządku dziennym. Gorączka emigracyjna wprawdzie osłabła, lecz nie ustała. Partya emigrantów, wysłanych przez ks. Chełmickiego, przybyła już do kraju. Listy ks. Ch. pisane z Brazylii do „Słowa“ i „Kuryera Warszawskiego“, zawierają wiele ciekawych szczegółów o ekonomicznych i obyczajowych stosunkach w tym kraju. Niezawodnie, że wyjdą one w oddzielnéj, należycie ułożonéj i uporządkowanéj odbitce, i wtedy staną się główną częścią naszéj brazylijskiéj literatury. Opisy nędzy i nieszczęść emigrantów są przygnębiające. Najlepiéj jeszcze wygląda kolonia polska w San Paolo.

„Istotnie — pisze ks. Chełmicki — sprawiają oni zupełnie inne wrażenie, niż owi biedacy z Rio. Najpierw dobry klimat sprawia, że nie widzi się tych twarzy i postaci wyczerpanych i strawionych, których sam widok świadczy o ogromie ich niedoli. Nadto, skutkiem nie-

zwykłego wzrostu miasta, łatwiéj tu o pracę, szczególniéj téż dla rzemieślników. Lecz nie należy się łudzić powierzchownością, ani obecném pomyślniejszém położeniem; ale wystarczy wejść tylko w rozmowę, aby przekonać się, że te jednostki, które zbiegiem wypadków lub szczęśliwych okoliczności ocalały, to niewielki zaledwie odsetek z tych, co legli pod ciosem niedoli brazyliskiéj. Historya każdego z nich, to cały zamknięty w sobie dramat, przypominający onego rozbitka, który uratował się, gdy dziesiątki innych utonęły. Wszyscy szukali szczęścia na owych „rajskich polach Brazylii“, na których agenci obiecywali im złoto i dostatki. Nędza, choroby i widmo głodowéj śmierci wypędziły ich stamtąd. Po długich walkach woleli tutaj przynajmniéj znaleść kawałek chleba. „Bóg ulitował się nad nami—powiadają wśród gorzkich łez—i oto żyjemy i może kiedyś, jak wyrodne dzieci, wrócimy do swoich“. Powrót do kraju jest jedyném marzeniem każdego emigranta. Nie spotkałem ani jednego, nawet z tych, którym się dobrze powodzi, żeby nie liczył dni swego pobytu w Brazylii. Każdego, jeżeli nie nędza i niedola, to trapi okrutnie przynajmniéj tęsknota, brak wszelkiéj moralnéj i religijnéj pomocy.“

Z uczuciem ulgi przyjmuje się każdą wiadomość, kiedy filantropia obiéra dla siebie właściwy kierunek, przybierając formę zdrowéj organizacyi społecznéj. Filantropia nasza bowiem w zwykłym porządku jest czynną dopiéro wobec inwalidów, przestępców i kalek.

Urządzamy wystawę obrazów nieszczęśliwego malarza dopiéro wtedy, kiedy ten dostał obłąkania; tańcujemy na kolonie dla małoletnich, ale wtenczas dopiéro, kiedy ci małoletni już są przestępcami; robimy składki na garnuszek dla niemowląt dopiéro wtedy, kiedy sława Skublińskiéj obiegła już Europę.

Dopóki nie zmarniejesz, nie dostaniesz suchot, lub nie zaczniesz kraść z nędzy, jesteś dla filantropii obojętny. Jéj klientem masz prawo stać się wtenczas, kiedy stracisz rozum, zdrowie lub uczciwość. Dają ci prawo do litości wtenczas, kiedy życie odebrało ci już energię i zdrowie do pracy.

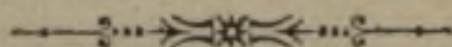
Rozumna filantropia na zachodzie postępuje wprost przeciwnie. W zasadzie jéj działalności nie leży martwota i rutyna, lecz rozum społeczny i żywotność. Anglicy dają niezmiernie wiele na miłosierdzie, lecz zadanie ich polega nie tyle na przykładaniu plastrów już otwartéj nędzy, ile na usuwaniu złych warunków, ją wywołujących. Tam nie czekają, aż staniesz się nędzarzem lub przestępcą, lecz dadzą ci fachowe wykształcenie, a w razie braku pracy w kraju, stowarzyszenie lub gmina wyślą cię do kolonii.

Taki pogląd na zadanie filantropii podziela widocznie także kil-

ka jednostek w Kaliskiém towarzystwie dobroczynności, urządzając w Kaliszu salę pracy dla ubogich i opuszczonych dzieci. Przeszło 20 dzieci obojéj płci otrzymuje tam naukę niektórych rzemiosł i zarabia już w pewnéj części na siebie. W podziale pracy starano się, w miarę możności, przestrzegać zasad pedagogicznych, aby dzieci nadmiarem lub niewłaściwą pracą nie przeciążać, zapewnić im wytchnienie i rozrywkę. Inicyatywa tego obywatelskiego czynu wyszła od dr. Dreckiego, który już przez założenie taniéj kuchni w Kaliszu i wogóle działalnością na polu społecznêm w têm mieście dobrze się zapisał w rocznikach naszéj samopocy. Czyby inne prowincyonalne Towarzystwa dobroczynności nie chciały pójść za przykładem kaliskiego, urządzając u siebie podobne zakłady pracy? Sprawa opuszczonych, ubogich, na nędzę materyalną i zepsucie moralne wystawionych dzieci jest w kraju naszym jedną z najpilniejszych. Przy nadzwyczaj szybkim zwłaszcza wzroście ludności w naszym kraju, rozwija się ogromna hodowla przyszłych przestępców i żebraków. Dla tego organizacyę opieki nad takiemi dziećmi śmiało uważać można za najpilniejszą.

W ostatnich czasach ponowiły sią w dziennikach wzmianki o projekcie kolei żelaznéj kalisko-łódzkiéj. Oświadczenie urzędowe, jakie świéżo usłyszała deputacya obywateli miasta Kalisza, każe uznać ten projekt za niewykonalny ze względów strategicznych.

B. Lut.



Feldmarszałek hr. von Moltke.

Wodzowi, który zdobył sobie wielką kartę w historyi kończącego się stulecia, który dwiema, z niezmiernym talentem, rozumem i pracą przygotowanemi a z niezrównanêm szczęściem przeprowadzonemi, wojnami, zmienił mapę środkowéj a położenie całéj Europy, człowiekowi nieposzlakowanego charakteru, któremu i najzaciętsi jego polityczni wrogowie cześć oddają, starcowi, który do ostatniéj chwili dziewięćdziesiątletniego żywota, zachował nietkniętą rzeźwość umysłu, a w siedemdziesiątym roku życia łatwo jeszcze wytrzymywał fizyczne trudy i nieustanne natężenie umysłu ciężkiéj, chociaż tylko siedmiomiesięcznéj wojny; wreszcie pisarzowi, a zwłaszcza historykowi wojen, rzadkiéj bezstronności, a nieraz bardzo oryginalnéj barwy, należy się od nas nieco obszerniejsza w téj kronice wzmianka.

Helmut Karol Bernard von Moltke, urodził się w Parchimie w Wielkiém Księstwie Meklemburg-Szweryńskim d. 26 października

1800. Stara szlachecka rodzina meklenburska Moltków, początek swój datująca od XIII stulecia, w XVIII rozdzieliła się na dwie gałęzi: na starszą meklenburską czyli niemiecką i na młodszą duńską. Wielki feldmarszałek cesarstwa niemieckiego, którego praktyczno-wojenny zawód datuje się od pogromu i rozbioru Danii w r. 1863, pochodzi z téj drugiéj linii i urodził się duńczykiem. Dziad jego, Adam Gotlob, przeniósł się do Danii, zajmował tam wysokie stanowisko i był przyjacielem Fryderyka V. Ojciec feldmarszałka, Wiktor, był generał porucznikiem w służbie duńskiéj (um. 1846). Sam feldmarszałek zaczynał zawód wojskowy w armii duńskiéj. Mając lat dwanaście, przyjęty został do szkoły kadetów w Kopenhadze, w ośm lat późniéj został podporucznikiem piechoty.

Ciężka to musiała być i szkoła i służba. Rodzina Moltkego prawdopodobnie nie była bogatą, prędzéj stosunkowo ubogą. Awans w małéj armii duńskiéj koniecznie musiał być trudny; Moltke bowiem w 1822 r. nietylko poprosił o uwolnienie ze służby duńskiéj, ale o pozwolenie wstąpienia do armii pruskiéj. Ogłoszone niedawno, wkrótce po śmierci feldmarszałka, dokumenta téj dymisyi dotyczące, są ciekawe i charakterystyczne, ale zaledwie w najściślejszém skróceniu podać je możemy. W podaniu swém do króla, podporuczuik Moltke nietylko prosi o pozwolenie przeniesienia się do armii pruskiéj, gdyż ta, jako wielka armia, przedstawia więcéj sposobności do nauki, któréj on bardzo pragnie, by ją poświęcić całkowicie na usługi króla (duńskiego), ale prosi jeszcze, by mu, w drodze najwyższéj łaski, wypłacono trzechmiesięczny żołd, bez czego trudno mu będzie odbyć podróż. Ciekawą jest także dołączona do prośby lekceważąca opinia generał adjutanta: że opuszczenie służby przez podporucznika Moltkego najmniejszéj szkody armii duńskiéj nie przyniesie.

Wskutek téj opinii, dymisya i pozwolenie zostały udzielone, ale zapomogi pieniężnéj na drogę stanowczo odmówiono. Moltke jednak musiał zawczasu przygotować sobie grunt w Berlinie, bo został przyjęty bez trudu w tym samym stopniu, jaki miał w Danii, do pułku piechoty. Ale i tam awans był nie łatwy. Zdaje się, że ledwo po 1830 r. Moltke został kapitanem. W 1832 r. przeniesiono go do generalnego sztabu. Cesarz Wilhelm I, nie raz przypominał, że to on pierwszy poznał się na zdolnościach Moltkego. Przeglądając bowiem z obowiązku zwykłe doroczne wypracowania młodszych oficerów, zwrócił uwagę na rozprawę Moltkego, uznał ją za odznaczającą się od innych swą wartością i zalecił przeniesienie autora do sztabu.

Od r. 1835 zaczyna się Moltkemu lepiéj powodzić. Widocznie znalazł protekcyę i zwrócił na siebie oko władzy. Sułtan Mahmud

potrzebował instruktorów dla swéj armii i zwrócił się z żądaniem ich do Berlina. Pozwolono Moltkemu wstąpić do służby tureckiéj, z udzieleniem urlopu i zachowaniem stopnia w armii pruskiéj. Prawdopodobnie przez owe lat trzynaście (od r. 1822) pracował on wiele, uczył się, kształcił tak w wojskowéj specyalności, jak w językach, których siedm doskonale posiadał. Przez owe lata, pracując nad sobą umiejętnie, nabył on zapewne téj wielkiéj umiejętności pracy, dobrego rozkładu czasu, tego niezrównanego wygimnastykowania sił umysłowych, jakie do końca życia w nim podziwiano. Mówił mało, nazywano go podobno mrukiem, czy milczkiem, myślał wiele, myślał zdrowo, porządnie i jasno. Owa służba sułtańska pod względem pieniężnym była bardzo korzystna, zwłaszcza że Mahmud wielce cenił młodego kapitana, którego wezwał do towarzyszenia sobie w objeździe Bułgaryi. Moltke wówczas nakreślił plany nowych fortyfikacyi twierdz dunajskich. W Turcyi jednak bawił tylko lat cztery, zwiedziwszy jeszcze Azyę mniejszą i ułożywszy plan organizacyi wojsk rezerwowych (redyfów), w r. 1839 po bitwie pod Nizibis wrócił do Berlina. Twierdzą, a to jest bardzo prawdopodobne, że bitwa ta została przez Turków przegrana w sposób haniebny, dlatego że wielki wezyr nie chciał przyjąć planów kampanii i rad Moltkego usłuchać. Może jednak nie tyle jeszcze ten tryumf Ibrahima paszy i jego Egipcyan stał się powodem zniechęcenia, ile rozpatrzenie się gruntowne w stosunkach rozpadającego się państwa, widok zdrady, przekupstwa, kradzieży, ciemnoty i nieuczciwości sfer rządzących tureckich. W Stambule zresztą po owéj klęsce inne wpływy zagraniczne zyskały przewagę.

Owocem tego pobytu w Turcyi były dwa dzieła: „Listy o Turcyi“, dziś jeszcze pod wielu względami ciekawe, i jednotomowa, ale doskonale, jasno i z wielką znajomością rzeczy napisana historya „Rusko-tureckiéj wojny z r. 1828 i 1829.“ Jakie wrażenie w swoim czasie zrobiły w publiczności te dwie prace literackie, nie wiemy; zdaje się, że nie wielkie. Drugiéj bowiem edycyi doczekały się dopiéro w 1877-ym; ale wówczas Moltke był już pogromcą z pod Sadowy i Sedanu.

W r. 1839-ym wrócił on do generalnego sztabu tak samo kapitanem, jak wyjechał; majorem został dopiéro w r. 1842-im. Awans w armii niemieckiéj i dziś nie jest ani łatwy, ani szybki, chociaż armia ta liczy na stopie pokoju blisko 500,000 i musi utrzymywać kadry oficerów, potrzebnych dla półtora miliona żołnierzy na stopie wojny. Jeszcze w r. 1850 wojsko pruskie liczyło tylko 121,100 ludzi w armii stałéj, którą w razie wojny można było landwerą do 600,000 powięk-

szyć. Więc dosługa dla oficerów była bardzo trudna; zdarzali się nawet porucznicy siwiejący. Ale od 1839 r. najwyższe nawet sfery miały już oko na Moltkego. W r. 1846 został on, jako major, adjutantem księcia Henryka pruskiego, któremu towarzyszył do Rzymu. Po śmierci tego księcia przeniesiony był do komendy generalnéj nadreńskiéj, w r. 1848 został naczelnikiem wydziału w sztabie generalnym, od r. 1849 do 1855 był szefem sztabu korpusu IV, od r. 1856 adjutantem księcia Fryderyka Wilhelma (późniéj cesarza Fryderyka III-go). W r. 1858-ym powierzono mu szefostwo wielkiego sztabu generalnego. Od r. 1846 awans na podpułkownika, pułkownika, generał-majora był już bardzo szybki, w r. 1858 został generał-porucznikiem. Przytaczamy to tylko z obowiązku. Dla historyka te awanse i dalsze nawet, oraz różne nagrody, nie mają znaczenia od chwili, jak Moltke został szefem wielkiego sztabu gen. Z tą chwilą zaczyna się dziejowa téj osobistości działalność.

Od r. 1871 Niemcy nazywają Moltkego „największym wodzem dzisiejszéj epoki.“ Temu tytułowi, danemu przez wdzięczność narodu za zdobytą dlań sławę i korzyści, nie dziwimy się. Patryotyzm wszelką przesadę podobną usprawiedliwia, a nawet, według nas, obowiązkową czyni. Nie dziwimy się i tym z obcych, którzy tytuł ten powtarzają do téj pory, nie wglądając i rozejrzéć się nie mogąc w historyi szczegółowéj ostatnich wielkich wojen. Tryumfy przez armię niemiecką odnoszone były tak wielkie, tak nadzwyczajne, tak na imaginacyę, najobojętniejszych nawet, działające, że człowieka, których do podobnych zwycięstw wojska swego kraju poprowadził i doprowadził, dla tłumów współczesnych otaczać musi jakaś aureola, patrzących zdala bardzo olśniewająca. Dla tłumów wszystko jest dobrém, co się dobrze kończy, wszelkie powodzenie podziw i uwielbienie w nich budzi. Historya jednak, zwłaszcza historya wojen, nie zna tak stanowczych wyroków, uwielbień i zapałów. Wglądając w szczegóły, ważąc wypadki i tych następstwa, nie zaprzecza wielkości, ani zasługi, ale je spokojniéj ocenia. Już Fryderyk II-gi, wielki wódz na prawdę, powiedział, że w wojnie niezmiernie często rządzi „jego królewska mość przypadek“ „*Sa Majesté le hasard!*“ Dziś to bardzo dowcipne orzeczenie króla-wojownika zamieniliśmy na jeden wyraz: okoliczności. Willisen, bardzo poważny teoretyk niemiecki, powiedział: „Poznać wojnę można tylko za pomocą wojny; do tego jednak nie jest koniecznie potrzebnym osobisty w wojnie udział. Przeciwnie, samą istotę wojny poznajemy, ucząc się jéj rozmyślaniem głębokiém z książek i planów. Nawet uczestnik wojny „poznaje“ ją o tyle, o ile zarazem uczy się jéj. To, co „z góry“ (powiedzielibyśmy

może z Bożéj łaski, lub od natury) daje się jedynie prawdziwemu wodzowi, to, czego nie może dać najgłębsza nauka, tego wódz i na wojnie nie zdobędzie; wojna tylko objawi osobiste, już przez niego posiadane, przymioty.“

Wielkość Moltkego, bo wielkim jest czynami swemi, może przedewszystkiém w tém spoczywa, że powyższe czy téż podobne przekonania i do siebie, a zwłaszcza do swéj armii, stosować praktycznie umiał, że je w system zamienił.

„Prusy, pisze generał Wojde w swéj bardzo cennéj pracy o wojnie francusko-niemieckiéj (wydanéj w Warszawie po rusku w r. 1890), Prusy, jedyne z mocarstw Europy, przez pół wieku od zakończenia wielkiéj epoki napoleońskiéj, nie prowadziły żadnéj wojny, bo wojną nazywać nie można drobnych działań przeciw powstaniom w r. 1848 i 1849-ym. Pierwszy poważny przeciwnik Prus, Austrya, szczyciła się zwycięskiemi wojnami włoskiemi z r. 1848 i 1849, wytrzymała następnie wojnę węgierską, nakoniec wojnę przeciw Piemontowi i francuską w r. 1859-ym. Wszystkie więc korzyści doświadczenia były po stronie Austryi. Jednakże wypadki dowiodły, że „nie posiadające doświadczenia“ Prusy we wszystkiém wyprzedziły swego obytego z wojną przeciwnika. Toż samo powtórzyło się w r. 1870-ym w wojnie Prus przeciw Francyi, chociaż ta ostatnia szczyciła się swą „afrykańską szkołą wojenną“, wojnami krymską i włoską, i licznemi mniéj lub więcéj ważnemi wyprawami zamorskiemi, zwłaszcza meksykańską. Czém więc dzisiejsze Prusy zastąpiły brak własnego wojennego doświadczenia, gdzie znalazły sztukę, która im pozwoliła prześcignąć swych „doświadczonych“ przeciwników. Zródłem, z którego czerpały Prusy, a z niemi całe Niemcy, była jedynie n a u k a. Opiérając się na wielkich napoleońskich wzorach, rozjaśniając je rozmyślaniem, uzupełniając troskliwém badaniem wszystkich późniejszych wojennych wypadków, Niemcy, przy pomocy, genialnego Klauzewica (teorya wojny) wytworzyli i rozwinęli nową wojenną naukę i stosowali ją w granicach praktyki pokojowéj. Kiedy inne mocarstwa, prowadząc wojny, umiały tylko wynosić empiryków Basainów i Mac-Mahonów, albo wytwarzać efemeryczne, benedekowskie reputacye, Niemcy przez swą naukę wytworzyły cały szereg wykształconych specyalistów wojennych i nie wahały się rozwiązać im rąk na mocy „prawa samodzielnéj inicyatywy.“ Na téj nauce Niemcy, albo, właściwiéj mówiąc, Prusy oparły cały swój system wojenny.“

Że tak jest, jak twierdzi gen. Wojde, przyznają dziś i inni, nawet francuscy pisarze wojskowi, ale w tém właśnie zasługa Moltkego. Tak się wyrabiał sam, tak wyrabiał innych, wszedłszy do wielkiego

sztabu generalnego, a zwłaszcza zostawszy jego szefem. Był to wielki organizator wojny nietylko w materyalnych jéj zasobach i przygotowaniach, których dokładność do najwyższego, dotąd dla innych niedościgłego, doprowadził stopnia, ale był także organizatorem ducha armii. Sam się uczył ciągle i otaczających go kolegów młodszych do uczenia zmuszał. Nędzna wojna duńska w 1864 r., którą jedni grzeczniéj nazywają egzekucyą, drudzy poprostu rozbojem, w któréj 70,000 sprzymierzonych Austryaków i Prusaków, mając za sobą w rezerwie więcéj korpusów, aniżeli przeciwnik mógł mieć batalionów, gniotło, dość nieudolnie i powolnie, 30,000 Duńczyków, jak to bardzo dobitnie nawet Rüstow wykazuje, posłużyła tylko Moltkemu dla nauki i poprawy pewnych, dość ważnych, usterek, jakie w wojsku przez czas téj wyprawy zauważył. A do naprawy brał się tak szybko, że w dwa lata późniéj już z niéj skorzystał przeciw Austryakom, którzy niczego się w 1864 nie nauczyli. Nie zrozumieli nawet wyższości pruskich szybkostrzelnych iglicówek nad ich prze zlufę nabijanemi karabinami. Tak świetnie przeprowadzona zwycięska wojna z Austryą nie skłoniła Moltkego do zarozumiałego wypoczynku, ale znowu stała się środkiem nauki, owocem któréj była ta niezrównana szybkość uruchomienia i skoncentrowania armii niemieckiéj nad Renem w lipcu 1870 r.; podziwiana do téj pory, jako arcydzieło wojennéj organizacyi, nie dająca jeszcze wprawdzie pewności zwycięstwa, ale stanowiąca najdzielniejsze możebnego zwycięstwa podstawy.

Więc wojny organizator wielki. Czy równie wielki wódz? Gdybyśmy tylko po wypadkach i następstwach dwóch ostatnich wojen sądzili, musielibyśmy powtórzyć zdanie Niemców. Jeżeli jednak rozważymy szczegółowo te wojny, chociażby wedle Rüstowa a nawet wedle historyi wydanéj przez sztab pruski pod kierunkiem samego Moltkego co do wojny austryackiéj, albo wedle pracy generała Wojdego i takiéjże historyi sztabowéj pruskiéj co do wojny francuskiéj, dzieła zresztą bardzo sumiennie napisanego, musimy Niemcom przypomniéć to co powiedział Moltke o armii niemieckiéj, która dziś uważa siebie, i jest powszechnie dotąd uważana, za najpierwszą armię w świecie: „Nie wiemy ściśle, co jest warta nasza armia, ponieważ nigdy pobitymi nie byliśmy“. I my nie wiemy ściśle, czy Moltke był wielkim wodzem, bo mu zanadto sprzyjały okoliczności. Nie miał nigdy przeciw sobie człowieka mniéj więcéj równego sobie pracą, wiedzą, talentem, miał tylko przeciw sobie nieudolności. W wojnie austryackiéj miał Benedeka, dobrego generała dywizyi lub korpusu, zatém podkomendnego, walecznego żołnierza, ale bez pomysłowości, bez energii, może

nawet krępowanego względami dla arcyksiążąt, dowodzących korpusami. W wojnie francuskiéj przeciwnik był jeszcze nędzniejszy. Był nim cesarz Francuzów chory, bez woli, bez postanowienia, lichy w sztuce wojskowéj dyletant, paraliżujący wszystko i wszystkich obawami swemi i dynastyjnemi względami. Że Moltke, czujny, niesłychanie pracowity, zdumiewająco, pomimo siedemdziesięciu lat wieku, wytrzymały, mogący jeszcze do czternastu godzin siedzieć na koniu, wspierany przez dzielnych podkomendnych, o których wykształceniu czy wyrobieniu przez niego, gen. Wojde wspomina, przy przewadze własnych sił a nawet broni, umiał korzystać ze zdumiewających przeciwnika błędów, to dowodzi tylko, że był znakomitym wodzem. Wielkość jego tak bezwzględnie sławiona jako najwyższość, innéj potrzebuje miary. Dzisiejsza krytyka wojskowa np. nie unosi się wcale nad planem zasadniczym kampanii czeskiéj, który w zasadzie prawie był kopią kampanii Fryderyka W. z 1756 i 1757 r. Według tego planu armia podzielona na dwie połowy, działała na dwóch podstawach. Oprócz tego, armia wschodnia przebywająca góry, jeszcze pokrajana była na części. Gdyby nie jakiś niepojęty upadek umysłowy i moralny Benedeka, który stał z założonemi rękami, nie wystąpił skupioną siłą przeciw częściowo wysuwającym się z wąwozów gór korpusom pruskim, rzeczy łatwo mogły wziąć inny obrót, pisze jeden z historyków téj wojny. Objaśniając zaś możebne następstwa z porażki pod Trautenau korpusu gwardyi pruskiéj, który, pobity przez korpus 10 austryacki i wparty w nieładzie w wąwóz, o mało nie naraził bez ratunku połączenia dwóch armii pisze tenże historyk: „Gdyby jedna lub druga bliższa dywizya austryacka, idąc na strzały działowe, nie czekając rozkazu Benedeka, ruszyła na pomoc do Trautenau, to zbyt wątłe rusztowanie kombinacyi gen. Moltkego runęłoby w jednéj chwili, porażka pruska pod Trautenau nie dałaby się naprawiać, zwycięstwo pruskie pod Nachodem zamieniłoby się w przegraną, dywizye pruskie pod Giczynem byłyby w niebezpieczeństwie a zajęcie Czech zamieniłoby się dla Prusaków w klęskę“.

Jak wiadomo stało się inaczéj i pod Sadową w czasie bitwy, nastąpiło połączenie dwóch armii, o którém Moltke sam w liście do Treitschkego pisze: „Połączenie dwóch, do danéj chwili osobno działających armii, uważam za rzecz najwyższą, jaką strategiczne dowództwo osiągnąć może“. Daléj, zaś w tymże liście dodaje: „Położenie przypominało bitwę pod Bautzen, w któréj prawe skrzydło Francuzów wielokrotnie i usilnie o posiłki prosiło. Zamiast posiłków, Napoleon przysyłał tylko odpowiedź: O trzeciéj godzi-

nie bitwa będzie wygraną. Ponieważ o téj godzinie musiał przybyć Ney na skrzydło sprzymierzonych". Rolę Neya odegrała pod Sadową armia księcia następcy.

Podobnych, również bardzo uzasadnionych krytyk spotkaliśmy więcéj jeszcze a i o wojnie francuskiéj mamy ich dość pod ręką. Nie piszemy jednak studyów historycznych, a tylko wspomnienie, które chcieliśmy zrobić o ile można sprawiedliwém, oddające cześć świéżo zmarłéj wielkiéj osobistości dziejowéj, nie chcąc jednak w hołdzie przekroczyć granic, jakie prawda historyczna zakreśla.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*.—Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Іюня 1891 г. — Druk Jana Cotty.